



**JEFF
LINDSAY**

CIENÉ DEXTERA

JEFF
LINDSAY

CIEŃ DEXTERA

Z angielskiego przełożył
TOMASZ WYŻYŃSKI



Wydanie elektroniczne

O książce

Najnowszy tom kultowej serii kryminalnej Jeffa Lindsaya o „dobrym zabójcy” Dexterze Morganie, techniku kryminalistycznym policji w Miami na Florydzie. Tego nie zobaczysz w telewizji!

To, co wydawało się niemożliwe, staje się faktem. Mężczyzna w hondzie nakrywa Dextera na gorącym uczynku, podczas ćwiartowania zwłok kolejnej ofiary, jednak nie informuje o tym policji. Świadek. Jego nieracjonalne zachowanie nie daje Morganowi spokoju, nie pozwala normalnie funkcjonować. Obawiając się aresztowania, z trudem wytrzymuje kilka godzin w pracy, traktując nawet pobyt w domu z rodziną jako męczący obowiązek. Co robić? Czekać na rozwój wypadków czy przejść do kontrataku – wytropić świadka i załatwić sprawę po swojemu? Odpowiedź jest oczywista, lecz zadanie okazuje się trudniejsze, a obiekt polowania sprytniejszy, niż przypuszczał. Anonimowy przeciwnik, którego Dexter nazywa Cieniem, podsuwa mu fałszywe tropy, śledzi jego rodzinę, osacza go, starając się dorównać mu pod względem brutalności i metod. W tym samym czasie w Miami grasuje okrutny morderca, który masakruje swoje ofiary – policjantów – przy użyciu kamieniarskiego młota. W identyczny sposób ginie koleżanka Dextera z pracy, Camilla Figg, on sam zaś staje się głównym podejrzanym o zabójstwo. Detektywi prowadzący śledztwo biorą Morgana pod lupę. Czy Cień i Młociarz to jedna i ta sama osoba? Jakie plany ma Cień wobec Dextera i członków jego rodziny?

JEFF LINDSAY (Jeffry Freudlich)

Współczesny pisarz amerykański, znany przede wszystkim z cyklu powieści o Dexterze Morganie – analityku śladów krwi, zarazem seryjnym zabójcy. Współautorką kilku wcześniejszych książek Lindsaya była jego żona, Hilary Hemingway, bratanica Ernesta Hemingwaya. Pierwsza powieść o Dexterze, **Demony Dextera**, została opublikowana w 2004 i posłużyła za kanwę scenariusza popularnego serialu telewizji „Showtime”, zatytułowanego *Dexter*. W latach 2005-2013 ukazały się dalsze tomy serii, m.in. **Delirium Dextera**, **Dzieło Dextera**, **Cień Dextera** i *Dexter's Final Cut*.

Tego autora

DEMONY DEXTERA

DELIRIUM DEXTERA

CIEŃ DEXTERA

Tytuł oryginału:
DOUBLE DEXTER

Copyright © Jeff Lindsay 2011
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2013

Polish translation copyright © Tomasz Wyżyński 2013

Redakcja: Agnieszka Łodzińska

Ilustracja na okładce: Dmitry Naumov/Shutterstock

Projekt graficzny okładki: Andrzej Kuryłowicz

ISBN 978-83-7885-155-4

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS A. KURYŁOWICZ

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com



Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Skład wersji elektronicznej:

[Virtualo Sp. z o.o.](http://Virtualo.Sp.z.o.o.)

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

Spis treści

[O książce](#)

[O autorze](#)

[Tego autora](#)

[Dedykacja](#)

[Podziękowania](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[10](#)

[11](#)

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

Dla Hilary, jak zawsze

Podziękowania

Bardzo serdecznie dziękuję Samancie Steinberg, jednemu z czołowych kryminologów amerykańskich, autorce *Steinberg's Facial Identification Catalog* oraz *Steinberg's Ethnicities Catalog*, która przejrzała maszynopis pod względem merytorycznym.

I jak zawsze specjalne podziękowania dla Bear, Pookie i Tink, którzy przypominają mi, dlaczego to wszystko jest ważne.

1

Oczywiście są chmury. Zasłaniają niebo i pulsujący, nabrzmiały księżyc, który przełyka nad nimi ślinę. Gdzieś w górze powoli sączy się światło – ale blask jest ukryty, schowany za niskimi, ciemnymi obłokami zakrywającymi świat. Wkrótce spadnie gwałtowna letnia ulewa, bo chmury są bliskie pęknięcia, dojrzałe do tego, co musi nastąpić, i ze straszliwym wysiłkiem próbują powstrzymać potop, który się wkrótce rozpocznie.

Wkrótce – ale nie teraz, jeszcze nie. Muszą czekać, nabrzmiwając mocą tego, co narasta, prawdziwym, oślepiającym prądem tego, co się stanie, co musi się stać, gdy przyjdzie pora, kiedy konieczność przemieni się w prawdę chwili, nadając kształt teraźniejszości...

Ten czas jednak jeszcze nie nadszedł. Chmury spoglądają gniewnie na ziemię, kłębią się i czekają, a potrzeba staje się coraz silniejsza. Napięcie narasta. Już wkrótce, na pewno. Już za kilka chwil ciemne, milczące chmury wypełnią ciszę nocy nieznośną wszechmocą swojej potęgi i rozbiją mrok na płonące strzępy – i wtedy, dopiero wtedy, nadejdzie wyzwolenie.

Chmury się rozstąpią i uwięzione w nich napięcie tryśnie potokami czystej rozkoszy, zalewając świat światłem i wolnością.

Ta chwila jest blisko, bardzo blisko – lecz jeszcze nie nadeszła. Obłoki czekają na właściwy moment coraz ciemniejsze, coraz cięższe, coraz bardziej nabrzmiałe, aż wreszcie nie mogą już wytrzymać.

A w dole, w mroku nocy? Co się dzieje tu, na ziemi, w cieniu rzucanym przez posępne chmury, które przesłoniły księżyc? Kim jest mroczna postać skradająca się w ciszy, gotowa, pełna wyczekiwania? Kimkolwiek jest, czeka w napięciu zwinięta niczym wąż, aż nadejdzie moment, gdy zrobi to, co musi zrobić, co zawsze robi. Ta chwila zbliża się szybko, pędząc na mysich łapkach, jakby ona także wiedziała, co musi się stać, i bała się tego; jakby czuła trwogę przed nadchodzącą prawdą – jest coraz bliżej, tuż-tuż, spogląda ci na szyję, wyczuwa ciepły trzepot żył i myśli: Teraz.

Niebo rozdziera ogłuszający huk błyskawicy. W nagłym blasku widać dużego, pulchnego mężczyznę idącego w ciemności, jakby on również czuł za sobą mroczny oddech. Rozlega się grzmot i widać kolejną błyskawicę. Mężczyzna jest coraz bliżej, niesie laptop i szarą kopertę, szuka kluczyków i znika w mroku. Jeszcze jeden błysk; mężczyzna jest bardzo blisko, trzyma laptop i unosi w górę kluczyki do samochodu. Znowu znika. Zapada nagła cisza, absolutna, jakby nic nie oddychało – nawet ciemność wstrzymuje oddech...

A później w jednej chwili zrywa się wiatr, rozlega się łoskot gromu i cały świat woła: „Teraz!”.

Teraz!

I zaczyna się dziać to, co musi się stać tej ciemnej letniej nocy. Z chmur lecą na ziemię strugi deszczu, świat znowu zaczyna oddychać, w wilgotnym mroku bardzo powoli i ostrożnie rozwijają się miękkie, ostre pędy i pełzną w stronę kłowna, który, stojąc na deszczu, usiłuje otworzyć drzwi samochodu. Drzwi się uchylają, laptop i koperta lądują na siedzeniu, a potem okrągły mężczyzna siada za kierownicą, zamyka drzwi i oddycha głęboko, ocierając wodę z twarzy. Uśmiecha się triumfalnie, co ostatnio często mu się zdarza. Steve Valentine jest szczęśliwym człowiekiem;

ostatnio wszystko układa się po jego myśli i uważa, że tak samo będzie tego wieczoru. Życie Steve'a Valentine'a jest bardzo udane.

A także prawie zakończone.

Steve Valentine to kłown. Nie zwykły wesołek, szczęśliwa karykatura normalności. Jest zawodowym kłownem, który zamieszcza ogłoszenia w miejscowych gazetach i bierze udział w przyjęciach dla dzieci. Niestety, celem jego życia nie jest sprawianie radości niewinnym maluchom, a sztuczki wymknęły mu się spod kontroli. Już dwa razy aresztowano go i zwolniono, ponieważ rodzice poskarżyli się policji, że zabrał dziecko do ciemnego pomieszczenia, by mu pokazać kolorowy balon w kształcie zwierzęcia.

Valentine, dwukrotnie wypuszczony z braku dowodów, stał się ostrożny. Od tego czasu nikt się nie skarżył – jak można było się skarżyć? Ale nie przestał się bawić z dziećmi, jasne, że nie. Tygrys zawsze pozostaje tygrysem i Valentine również się nie zmienił. Zaczął postępować mądrzej, bardziej podstępnie, jak zraniony drapieżnik. Rozpoczął nową, mroczną grę i uznał, że nigdy nie poniesie konsekwencji.

Jednak się pomylił.

Dziś otrzyma rachunek.

Valentine mieszka w obskurnym bloku na północ od portu lotniczego Opa-locka. Budynek wygląda, jakby miał co najmniej pięćdziesiąt lat. Na ulicy od frontu stoją wraki samochodów, niektóre całkiem spalone. Dom drży lekko, gdy nad nim przelatują startujące lub lądujące odrzutowce; ich huk zagłusza nawet warkot samochodów dochodzący z pobliskiej autostrady.

Mieszkanie Valentine'a znajduje się na pierwszym piętrze pod numerem jedenastym i ma on stamtąd doskonały widok na stary plac zabaw dla dzieci – zardzewiałe drabinki, huśtawki i obręcz do gry w koszykówkę bez siatki.

Postawił na balkonie odrapany leżak, by obserwować ten plac. Siedzi więc na leżaku, popija piwo, patrzy na dzieci i fantazjuje na temat zabaw z nimi.

I rzeczywiście się bawi. Wiemy, że bawił się z co najmniej trzema małymi chłopcami, lecz prawdopodobnie było ich więcej. W ciągu ostatniego półtora roku z pobliskiego kanału wyłowiono trzy małe ciała. Chłopców wykorzystano seksualnie, a następnie uduszono. Wszyscy pochodzili z sąsiedztwa, co oznacza, że ich rodzice są biedni i prawdopodobnie przebywają w Ameryce nielegalnie. Nawet po śmierci swoich dzieci nie mieli zbyt wiele do powiedzenia policji – chłopcy stanowili idealny cel dla Valentine'a. Trzy morderstwa, a policja nie natrafiła na żaden trop.

Ale my mamy coś więcej niż trop. Wiemy, kto zabił te dzieci. Steve Valentine obserwował chłopców z balkonu, śledził w mroku, nauczył nowych, ostatecznych zabaw, a potem wrzucił do brudnej wody kanału. Następnie wrócił zadowolony na odrapany leżak, otworzył piwo i dalej obserwował plac, szukając nowego małego przyjaciela.

Valentine uważa się za wielkiego spryciarza. Myśli, że potrafi realizować swoje niezwykle marzenia i że nie znajdzie się ktoś na tyle inteligentny, by go wytropić i powstrzymać. Ma rację.

Do dziś.

Kiedy policjanci przyjeżdżali w tej rejon prowadzić śledztwa w sprawie trzech zamordowanych chłopców, nie zastawali Valentine'a w mieszkaniu. Nie był to szczęśliwy przypadek, tylko celowe działanie drapieżnika – kłown miał urządzenie, które pozwalało podsłuchiwać rozmowy policjantów prowadzone przez radio. Wiedział, kiedy znajdują się w pobliżu. Nie zdarzało się to często. Policja nie lubi przyjeżdżać w takie miejsca, gdzie może liczyć najwyżej na wrogą obojętność mieszkańców. To

jeden z powodów, dla których Valentine tu zamieszkał. Jeśli pojawiają się gliny, wie o tym.

Policjanci przyjeżdżają, jeśli ktoś wykręci 911 i poinformuje o kłótni małżeńskiej w mieszkaniu numer jedenaście na pierwszym piętrze. A jeżeli powie, że kłótnia zakończyła się przeraźliwym krzykiem, po którym nagle zapadła cisza, zjawiają się szybko.

Kiedy Valentine słyszy przez radio, że policja jedzie do jego mieszkania, natychmiast je opuszcza. Zabiera wszystkie materiały związane ze swoim hobby – a ma takie materiały, tacy jak on zawsze je przechowują – zbiega po schodach, idzie do samochodu i odjeżdża. Wraca, kiedy dowiaduje się z radia, że wszystko się uspokoiło.

Nie spodziewa się, że ktoś zapamiętał tablicę rejestracyjną jego wozu i wie, że jeździ dwunastoletnim chevroletem blazerem z tabliczkami z napisem CHOOSE LIFE! i magnetycznym znaczkiem na drzwiach, na którym znajdują się słowa: KLOWN PUFFALUMP. Nie sądzi też, że ktoś może czekać na niego na tylnym siedzeniu samochodu, skulony w ciemności.

Myli się. Ktoś zna jego wóz i czai się na podłodze starego chevroleta. Valentine kończy ocierać twarz, uśmiecha się triumfalnie, po czym w końcu – w końcu! – wkłada klucz do stacyjki i zapala silnik.

Kiedy samochód ożywa, nadchodzi właściwy moment i nagle, w końcu, coś z rykiem wyskakuje z ciemności i błyskawicznie zarzuca na tęgą szyję Valentine'a pętlę z nylonowej żyłki wędkarskiej o wytrzymałości dwudziestu pięciu kilogramów. Z ust kłowna wydobywa się tylko jeden krótki dźwięk: „Aaa...”. W głupi, żaloszny, słaby sposób zaczyna rozpaczliwie machać rękami, a napastnik czuje chłodną, pogardliwą moc przepływającą po żyłce do własnych dłoni. Z twarzy Valentine'a znika uśmiech i pojawia się na naszym obliczu: jesteśmy tak blisko, że czujemy

zapach jego strachu, słyszymy przerażone bicie jego serca i widzimy, jak traci oddech. To dobrze.

– Teraz należysz do nas – mówimy, a nasz rozkazujący głos trafia go niczym błyskawica przecinająca ciemność. – Będziesz robił to, co każemy, i tylko wtedy, gdy ci powiemy.

Valentine myśli, że może się sprzeciwić, i wydaje cichy, wilgotny dźwięk, więc bardzo mocno zaciskamy pętlę, tylko na chwilę, by wiedział, że jego oddech należy do nas. Twarz mu ciemnieje, oczy wychodzą z orbit, unosi ręce do szyi i przez kilka sekund usiłuje chwycić palcami pętlę, lecz zaraz opuszcza dłonie na kolana, pochyła się do przodu i zaczyna tracić przytomność. Luzujemy trochę żyłkę, bo jest za wcześnie, stanowczo zbyt wcześnie, by umarł.

Jego barki się poruszają i wydaje ochrypły charkot, wciągając powietrze w płuca. Nie wie jeszcze, że pozostało mu już w życiu bardzo niewiele oddechów, i robi kilka z nich, a później marnuje cenne powietrze, skrzecząc:

– O co chodzi, kurwa?!

Na nosie wisi mu obrzydliwa nić śluzu, a jego głos jest stłumiony, ochrypły i bardzo irytujący, więc znowu zaciskamy pętlę, tym razem nieco delikatniej, na tyle, by rozumiał, że nad nim panujemy, po czym bardzo posłusznie rozdziawia usta, chwytą się za szyję i milknie.

– Nie gadaj! – mówimy. – Jedź!

Podnosi wzrok, patrzy w lusterko wsteczne i nasze oczy po raz pierwszy się spotykają – oczy chłodne i ciemne, widoczne w otworach w jedwabnej masce zakrywającej naszą twarz. Przez chwilę chce coś powiedzieć, więc bardzo łagodnie poruszamy pętlą, by mu o niej przypomnieć, zatem zmienia zdanie. Przestaje spoglądać w lusterko, wrzuca bieg i rusza.

Każemy mu jechać na południe, od czasu do czasu zachęcając go lekkimi szarpnięciami pętli, by pamiętał, że nawet oddychanie nie jest automatyczne i zależy od nas. Przez większą część jazdy zachowuje się bardzo dobrze. Tylko raz, po zatrzymaniu się na światłach ulicznych, patrzy na nas w lusterku, przełyka ślinę i pyta:

– Kim pan jest? Dokąd jedziemy?

Szarpiemy bardzo mocno pętlę i świat ciemnieje mu przed oczami.

– Jedziemy tam, gdzie każemy ci jechać – odpowiadamy. – Prowadź i milcz, a może pożyjesz dłużej.

To wystarczy, by zaczął się zachowywać grzeczniej, bo jeszcze nie wie, że wkrótce, bardzo niedługo, nie będzie chciał już żyć dłużej; zrozumie, że życie jest bardzo bolesne.

Rozkazujemy, by jechał bocznymi uliczkami do obskurnej dzielnicy, gdzie znajduje się wiele nowo wybudowanych domów jednorodzinnych. Część jest pusta, ponieważ banki odebrały je właścicielom z powodu długów hipotecznych; wybraliśmy i przygotowaliśmy jeden z nich, położony na spokojnej uliczce, niedaleko zepsutej latarni. Kierujemy tam Valentine'a i każemy mu zatrzymać samochód pod staroświecką wiatą przylegającą do domu, gdzie wóz nie jest widoczny z ulicy, a potem wyłączyć silnik.

Przez dłuższą chwilę siedzimy nieruchomo, trzymając pętlę i słuchając odgłosów nocy. Musimy być bardzo ostrożni, toteż tłumimy narastające akordy muzyki księżycy i cichy szelest wewnętrznych skrzydeł, które marzą o tym, by się rozwinąć i wzbić w niebo. Nadśluchujemy, czy w ciemności nie pojawią się dźwięki, które mogą zakłócić spełnienie naszej potrzeby. Słyszymy tylko szum ulewy i wiatru, plusk wody na dachu wiaty, szelest drzew, gdy przechodzi nad nimi letnia burza.

Patrzemy. Dom po prawej stronie, jedyny budynek, z którego widać wiatę, jest ciemny. On również jest pusty, podobnie jak dom, przed którym się zatrzymaliśmy; zadbaliśmy, by nikogo tam nie było. Obserwujemy ulicę, nasłuchujemy, smakujemy ciepły, wilgotny wiatr, próbując wyczuć zapach innej istoty, która może nas widzieć lub słyszeć – i niczego nie zauważamy. Oddychamy głęboko, czując aromat i smak przepięknej nocy oraz strasznych, cudownych wydarzeń, w których wkrótce będziemy uczestniczyć, tylko my i kłown Puffalump.

Nagle Valentine usiłuje zrozumieć to, co się z nim dzieje, i przełyka ślinę, starając się to zrobić delikatnie i cicho, tak by nie czuć ostrego bólu szyi. Wydany przez niego dźwięk drażni nasze uszy niczym okropne szczęknięcie tysiąca zębów. Szarpiemy mocno pętlę, prawie przecinając mu skórę na szyi, na tyle mocno, by na zawsze zapomniał, że wyda kiedyś jakiś dźwięk. Wygina się do tyłu na fotelu, dotykając palcami żyłki, po czym nieruchomieje z wybałuszonymi oczyma. Wsiadamy szybko z samochodu, otwieramy drzwi i wyciągamy go na zewnątrz. Klęczy na chodniku pod wiatą.

– Szybko! – mówimy. Luzujemy żyłkę, a on unosi na nas wzrok i wyraz jego twarzy świadczy o tym, że na zawsze przestaje wierzyć w to, że cokolwiek spotka go szybko. Kiedy widzimy w jego oczach tę nową, cudowną świadomość, zaciskamy lekko pętlę, by zrozumiał, jak prawdziwa jest ta myśl. Valentine wstaje z kolan i przechodzi przed nami przez tylne drzwi, wkraczając do wnętrza ciemnego budynku. Znalazł się w swoim ostatnim domu, gdzie spędzi resztę życia.

Wprowadzamy go do kuchni i każemy stać przez kilka sekund. Czekamy za jego plecami, trzymając pętlę, a on zaciska pięści, porusza palcami i znów przełyka ślinę.

– Proszę... – szepce ochryplym głosem, który umarł za życia.

– Tak – mówimy ze spokojną cierpliwością, w której odzywa się nuta nadchodzącego uniesienia. Może słyszy w naszym głosie nadzieję, bo leciutko kręci głową, jakby liczył, że odwróci przypływ radości.

– Dlaczego? – skrzeczy. – To... to... Dlaczego?!

Bardzo mocno zaciskamy żyłkę na jego szyi i patrzymy, jak przestaje oddychać, a jego twarz sinieje. Znów pada na kolana, lecz nie pozwalamy, by stracił przytomność; luzujemy delikatnie pętlę, by mógł wciągnąć niewielki łyk powietrza przez obolałe gardło. Odzyskuje świadomość, a my mówimy mu całą radosną prawdę.

– Dlatego – odpowiadamy. A potem bardzo mocno zaciskamy pętlę i obserwujemy z zadowoleniem, jak mdleje i pada z siną twarzą na podłogę.

Pracujemy szybko, by się przygotować, nim się obudzi i wszystko zepsuje. Bierzemy z samochodu niewielką torbę z narzędziami, podnosimy z siedzenia wozu szarą kopertę, którą tam zostawił, po czym szybko wracamy do kuchni. Po chwili Valentine jest już przymocowany taśmą klejącą do stołu – nagi, z zalepionymi ustami, a wokół znajdują się ładne fotografie znalezione w kopercie, śliczne zdjęcia małych chłopców, którzy się bawią, śmieją do kłowna, trzymają piłkę lub bujają się na huśtawce. Trzy fotografie, które umieściliśmy bardzo starannie, by na pewno je zobaczył – pochodzą z artykułów prasowych o chłopcach znalezionych w kanale.

Kiedy kończymy przygotowania, Valentine trzepoce powiekami. Przez chwilę leży nieruchomo; zapewne czuje ciepłe powietrze na nagiej skórze, zdając sobie sprawę, że nie jest w stanie się poruszyć, a może zastanawia się dlaczego. Potem wszystko sobie przypomina, otwiera szeroko oczy i próbuje zrobić to, co niemożliwe – przerwać taśmę klejącą, nabrać powietrza w płuca i krzyknąć przez zalepione usta na tyle głośno, by ktoś go usłyszał. Nic takiego się nie zdarzy, nigdy więcej. Valentine'owi

pozostała już tylko jedna drobna rzecz, jedna nieważna, nieistotna, cudownie niezbędna rzecz, która za chwilę się rozpocznie, choćby na próżno próbował się szamotać.

– Uspokój się – mówimy, kładąc na jego nagiej, poruszającej się piersi dłoń odzianą w gumową rękawicę. – Wkrótce będzie po wszystkim.

I rzeczywiście mamy na myśli wszystko: każdy oddech i mrugnięcie, każdy uśmiech i chichot, każde przyjęcie urodzinowe, każdy balon w kształcie zwierzęcia, każdą głodną wycieczkę w mrok za małym, bezbronnym chłopcem. To wszystko się skończy, na zawsze, już wkrótce.

Klepiemy go w pierś.

– Ale nie za szybko – mówimy. Przepływa przez nas potok chłodnego szczęścia i Valentine widzi w naszych oczach prostą prawdę. Może już wszystko rozumie, a może ciągle czuje głupią, absurdalną nadzieję? Kiedy jednak leży na stole, skrępowany mocną taśmą klejącą i jeszcze mocniejszą potrzebą delirycznej nocy, wokół zaczyna rozbrzmiewać melodia Mrocznego Tańca, a my przystępujemy do pracy. Wtedy Valentine na zawsze traci wszelką nadzieję, bo zaczyna się dzieć to, co musi się wydarzyć.

Zaczyna się powoli – nie z powodu wahania lub niepewności, lecz dlatego, by trwało dłużej. Powoli, byśmy mogli się rozkoszować każdym starannie zaplanowanym, przeciwczonym, dobrze znanym cięciem i powoli uświadomić kłownowi, że oto nadszedł jego kres, który następuje tu, teraz, dziś w nocy. Powoli malujemy prawdziwy portret tego, co musi się stać, kreśląc długie ciemne linie, by pokazać, że to już na zawsze. To jego ostatni występ – teraz, tu, dziś w nocy; powoli, starannie, metodycznie, plasterek po plasterku i kawałek po kawałku zapłaci szczęśliwemu strażnikowi mostu z lśniącym ostrzem i powoli przekroczy ostatnie przesłó, zmierzając w stronę nieskończonej ciemności, o której już wkrótce zacznie marzyć, bo

zrozumie, że to jedyny sposób uniknięcia bólu. Ale jeszcze nie, nie za szybko; najpierw musimy go doprowadzić do miejsca, z którego nie ma powrotu, aby stało się dla niego przeraźliwie jasne, że znalazł się na krawędzi i nigdy nie wróci. Musi to zrozumieć, pojąć, wchłonąć, uznać za słuszne, konieczne i niezmiennie; nasze szczęśliwe zadanie polega na tym, by go tam zabrać, a potem wskazać granicę i powiedzieć: „Widzisz? Oto gdzie jesteście. Przeszedłeś na drugą stronę i wszystko się kończy”.

Przystępujemy do pracy, wokół narasta muzyka, a przez lukę w chmurach zerka księżyc i śmieje się radośnie z tego, co widzi. Valentine bardzo chętnie współpracuje. Jęczy, syczy, wydaje stłumione piski, widząc, że to, co się dzieje, nigdy się nie cofnie, ponieważ on, Steve Valentine, kłown Puffalump, szczęśliwy, zabawny mężczyzna z twarzą pomalowaną na biało, który kocha dzieci tak bardzo, że czasem bawi się z nimi w nieprzyjemny sposób, stopniowo znika. Oto Steve Valentine, kłown występujący na przyjęciach, który w ciągu jednej mrocznej godziny może przeprowadzić dziecko przez całą magiczną podróż zwaną życiem, od szczęścia i zdziwienia do ostatecznej męki, gdy usta wypełnia brudna woda pobliskiego kanału. Steve Valentine, zbyt sprytny, by ktoś go powstrzymał lub udowodnił coś przed sądem. Ale teraz nie znajduje się w sądzie i nigdy przed nim nie stanie. Dziś w nocy leży na ławie Sądu Dextera, w naszej dłoni lśni ostateczny werdykt, a tam, gdzie zmierza Valentine, nie ma obrońców z urzędu ani apelacji.

Zanim po raz ostatni opadnie młotek, przerywamy na chwilę. Na naszym ramieniu przysiada niewielki ptaszek i ćwierka: „Ćwir, ćwir! Lawda, lawda! To musi być prawda!”. Znamy znaczenie piosenki. To pieśń Kodeksu Harry’ego, z którego wynika, że musimy uzyskać pewność, iż zajmujemy się właściwą osobą, abyśmy mogli zakończyć z dumą i radością, czując satysfakcję i spełnienie.

Resztki Valentine'a oddychają z trudem i powoli, a w jego czerwonych, opuchniętych oczach płonie światło zrozumienia. Zatrzymujemy się, pochylamy nad nim i obracamy jego głowę w stronę fotografii, które wokół niego umieściliśmy. Zrywamy z jego warg taśmę klejącą; to musi boleć, ale to taki niewielki ból w porównaniu z tym, co czuje od długiego czasu, że tylko lekko syczy.

– Widzisz ich? – pytamy, chwytając go za wilgotny podbródek i obracając głowę, by patrzył na fotografie. – Widzisz, co zrobiłeś?

Spogląda na zdjęcia dzieci i na odsłoniętej części jego twarzy pojawia się zmęczony uśmiech.

– Tak – odpowiada. Jego głos jest stłumiony przez pętlę, lecz mimo to brzmi wyraźnie. Stracił już wszelką nadzieję, z jego języka zniknął smak życia, lecz kiedy patrzy na fotografie porwanych przez siebie chłopców, po jego kubeczkach smakowych kroczy na palcach ciepłe wspomnienie. – Byli... piękni... – Wpatruje się dłuższą chwilę w fotografie, a potem zamyka oczy. – Piękni... – powtarza. Wydaje się nam teraz bardzo bliski.

– Ty też jesteś piękny – mówimy. Zaklejamy mu usta taśmą i wracamy do pracy, by osiągnąć zasłużone szczęście, gdy zabrzmie apogeum symfonii utkanej ze światła księżyca.

Muzyka stopniowo potężnieje, narasta, aż wreszcie rozlega się ostatni triumfalny, radosny akord i następuje wyzwolenie. Gniew, złość, napięcie, zamęt i frustracja bezsensownego codziennego życia, które musimy prowadzić, by to mogło się stać, rozplývają się w ciepłym, wilgotnym mroku. Marne, nikczemne próby upodobnienia się do kretyńskich ludzi nikną w ciemności, a ich śladem, niczym zbity, obolały szczeniak, podąża to, co pozostało z nikczemnej, poszarpanej powłoki Steve'a Valentine'a.

Żegnaj, Puffalumpie...

2

Sprzątaliśmy, jak zwykle czując rozchodzące się po ciele zadowolenie, leniwą satysfakcję, że dobrze wykorzystaliśmy noc. Byliśmy zmęczeni i szczęśliwi. Potrzeba została zaspokojona. Chmury odpłynęły, pozostawiając wesołe światło księżyca, i czuliśmy się o wiele lepiej. Po wszystkim zawsze czujemy się lepiej.

Może zbyt mocno skupiliśmy się na sobie i nie zwracaliśmy należytej uwagi na otoczenie – nagle usłyszeliśmy hałas, cichy, zdyszany oddech, a potem lekki tupot pędzących stóp. Zdążyliśmy się tylko odwrócić; stopy pobiegły w stronę tyłu ciemnego domu i rozległ się trzask zamykanych drzwi. Podeszliśmy do okna i wyjrzeliliśmy przez żaluzje. Z niemym przerażeniem spostrzegliśmy, że samochód zaparkowany przy krawężniku rusza gwałtownie i szybko odjeżdża w ciemność. Rozbłysły jego tylne światła – lewe znajdowało się pod nietypowym kątem – i zobaczyliśmy jedynie, że to stara, ciemna honda z dużą rdzawą plamą na bagażniku przypominającą metaliczne znamię. Później samochód znika z pola widzenia, a my czujemy w żołądku lodowaty, kwaśny ciężar, gdy dociera do nas niewiarygodna, straszna prawda. Zalewa nas fala paniki. Jest jak okropna, czerwona krew tryskająca ze świeżej rany...

Ktoś nas widział.

Przez długą, przerażającą minutę wyglądamy przez drzwi, kołysani przez powtarzające się echa tej niewiarygodnej myśli. Ktoś nas widział. Cicho

wszedł niezauważony i zobaczył nas, gdy staliśmy nad szczątkami Valentine'a, których nie zdążyliśmy jeszcze całkowicie zapakować. Widział wszystko dostatecznie wyraźnie, by zrozumieć, że to kawałki ludzkiego ciała, po czym natychmiast uciekł w panice i rozpląnął się w mroku. Mógł nawet dostrzec naszą twarz; tak czy inaczej, widział dostatecznie dużo, by się zorientować, czego jest świadkiem, a potem odjechał i prawdopodobnie zawiadomił policję. W tej chwili oficer dyżurny wysłała samochody patrolowe, by nas aresztować – a my stoimy jak skamieniali, wstrząśnięci, gapiąc się z otwartymi ustami w miejsce, gdzie zniknęły tylne światła samochodu, zdumieni jak dziecko oglądające znajomy film rysunkowy z dubbingiem w obcym języku. Ktoś nas widział... W końcu ogarnia nas lęk i zabieramy się szybko do działania – pośpiesznie kończymy sprzątanie i wychodzimy przez drzwi z ciepłymi pakunkami, w których znajduje się efekt naszej nocnej pracy.

Jakimś cudem wychodzimy z domu i znikamy w mroku. Nikt nas nie ściga. Nie słyszymy syren wozów policyjnych, pisku opon i trzasków krótkofalówek rozdzierających ciemność i zwiastujących bliski koniec Dextera.

W końcu ostrożnie, w napięciu opuściłem okolicę i w mojej głowie znów pojawiła się ta sama myśl, która powtarzała się w nieskończoność, niczym odgłos fal uderzających w skalisty brzeg.

Ktoś nas widział.

Pozbywając się resztek kłowna, przez cały czas się nad tym zastanawiałem – nie mogłem o tym nie myśleć. Prowadziłem samochód, zerkając jednym okiem w lusterko wsteczne, czekając na oślepiający błysk niebieskiego światła i ostre wycie syreny. Ale nic takiego się nie wydarzyło, nawet gdy przesiadłem się z auta Valentine'a do swojego i pojechałem powoli do domu. Nic. Byłem wolny, zupełnie sam i ścigały mnie tylko

demony mojej wyobraźni. Wydawało się to niemożliwe, przecież ktoś mnie zobaczył w trakcie zabawy. Widział starannie pokrojone kawałki Valentine'a i stojącego nad nimi szczęśliwego mężczyznę z nożem. Nie potrzebowałem wyższej matematyki, by znaleźć rozwiązanie równania – $A + B = \text{krzesło elektryczne dla Dextera}$. Ktoś uciekł z pustego domu, doszedłszy do tego samego wniosku, ale dlaczego nie zawiadomił policji?

Nie miało to żadnego sensu. To, co się stało, wydawało się szalone, nieprawdopodobne, niemożliwe. Ktoś mnie widział, lecz nie poniosłem żadnych konsekwencji. Nie mogłem w to uwierzyć, gdy jednak zatrzymałem samochód przed swoim domem, powoli, stopniowo odzyskałem zdolność logicznego rozumowania. Siedziałem zgarbiony nad kierownicą i zacząłem racjonalnie analizować sytuację.

W porządku, ktoś mnie zobaczył *in flagrante iugulo* i mogłem się spodziewać, że zostanę natychmiast aresztowany. Ale to nie nastąpiło i wróciłem do domu, pozbywszy się dowodów rzeczowych. W tej chwili nic nie łączyło mnie z horrorami pustego domu. Ktoś widział mnie przez mgnienie oka, owszem. Jednak w środku było ciemno – prawdopodobnie zbyt ciemno, by zobaczył moją twarz, rzucając jedno przerażone spojrzenie; poza tym stałem odwrócony bokiem. Nie istniał żaden sposób, by połączyć mroczną postać z nożem z jakąkolwiek konkretną osobą, żywą lub martwą. Numer rejestracyjny samochodu Valentine'a pozwalał zidentyfikować tylko Valentine'a, a byłem pewien, że nie udzielą odpowiedzi na żadne pytania, chyba że ktoś chciałby nawiązać kontakt z jego duchem.

W wypadku gdybym został rozpoznany i wysunięto niewiarygodne oskarżenie pod moim adresem, nie istniały żadne obciążające mnie dowody. Miałem nieskazitelną opinię jako pracownik policji Miami; mogłem z godnością odrzucać absurdalne zarzuty. Żaden normalny człowiek nie

uwierzyłyby, że mógłbym popełnić taką zbrodnię, z wyjątkiem mojego osobistego wroga, sierżanta Doakesa, który miał tylko niejasne podejrzenia, a to, że od tak dawna nie potrafił ich potwierdzić, działało na moją korzyść.

Co zatem pozostawało? Nieznany intruz widział przez mgnienie oka moją twarz w mrocznym pomieszczeniu – czy istnieją jakiegokolwiek dowody mogące zagrozić mojej wolności?

Trybiki mojego mózgu obracały się, szczękały, wirowały, po czym pojawiła się odpowiedź: Nie istnieją.

Brakowało dowodów, by powiązać mnie z tym, co tajemnicza, przerażona osoba mogła zobaczyć w ciemnym, pustym budynku. Była to nieodparta konkluzja, wynik logicznego rozumowania, którego nie dawało się podważyć. Wróciłem wolny do własnego domu i nic nie mogło tego zmienić. Odetchnąłem głęboko, wytarłem dłonie o spodnie i wszedłem przez drzwi.

W domu panowała cisza, bo było bardzo późno. Usłyszałem lekkie pochrapywanie Rity i zajrzałem do pokoju Cody'ego i Astor, którzy spali, śniąc swoje dziecięce, dzikie sny. Obok Rity leżała w łóżeczku Lily Anne – cudowna, niewiarygodna Lily Anne, roczne dziecko stanowiące centrum mojego nowego życia. Stałem, patrząc na nią, i jak zawsze podziwiałem łagodną doskonałość tej twarzy, miniaturowe piękno malutkich paluszków. Lily Anne, cudowny początek Dextera Wzór Numer Dwa.

Tej nocy naraziłem na niebezpieczeństwo całe swoje życie. Byłem głupi, szaleńczo nierozważny i o mało nie poniosłem konsekwencji – aresztowania i więzienia. Nigdy więcej nie wziąłbym na ręce Lily Anne, nigdy nie trzymałbym jej za rączkę, gdy stawiała pierwsze kroki – i oczywiście, nigdy nie znalazłbym nowego przyjaciela takiego jak Valentine, by zabrać go na mroczny plac zabaw. Podjąłem zbyt wielkie ryzyko. Przez pewien czas nie mogę się wychylać; muszę się zachowywać

bardzo grzecznie, aż uzyskam absolutną pewność, że nic mi nie grozi. Ktoś mnie widział; otarłem się o zwiewną suknię starej dziwki, Sprawiedliwości, i nie powinienem znów się wybierać na polowania. Muszę zrezygnować z Mrocznych Rozkoszy Dextera i przemienić się w Tatę Dextera. Może na zawsze z tym skończyć? Czy rzeczywiście muszę tak bardzo ryzykować? Usłyszałem cichy, szyderczy śmiech Mrocznego Pasażera, który układał się do snu. Tak, musisz! – syknął z leniwym zadowoleniem.

Jednak nie w najbliższym czasie; po dzisiejszej nocy powinienem zrobić sobie dłuższą przerwę. Ktoś mnie widział. Położyłem się do łóżka i zamknąłem oczy, lecz wciąż prześladował mnie lęk przed aresztowaniem. Walczyłem z nim, zmiatałem miotłą logiki, przekonywałem się, że jestem zupełnie bezpieczny. Nikt nie mógł mnie zidentyfikować, nie pozostawiłem żadnych śladów; rozsądek podpowiadał, że nic mi nie grozi. Wszystko było w porządku – choć niezupełnie w to wierzyłem. W końcu zapadłem w niespokojny, męczący sen.

Nazajutrz w pracy nie zdarzyło się nic, co mogłoby świadczyć, że powinienem się czymkolwiek martwić. Kiedy przyjechałem, w laboratorium kryminalistycznym policji hrabstwa Miami-Dade panował spokój. Wykorzystałem poranną apatię, uruchamiając komputer i starannie sprawdzając wczorajszy dziennik oficera dyżurnego: nie odnotowano w nim rozpaczliwego wezwania dotyczącego maniaka z nożem w pustym domu. Nie wszczęto alarmu, nikt mnie nie poszukiwał. Jeśli jak dotąd nic takiego się nie zdarzyło, należało przyjąć, że w przyszłości również się nie zdarzy. Byłem czysty – na razie.

Logika potwierdzała, że nic mi nie grozi. W ciągu następnych dni powtarzałem to sobie wielokrotnie, mimo to mój jaszczurczy umysł z jakichś powodów nie chciał przyjąć tego do wiadomości. W pracy siedziałem zgarbiony, czekając na cios, który nie nadchodził – wiedziałem,

że nikt mi go nie zada, lecz i tak na niego czekałem. Budziłem się w nocy i nasłuchiwałem dźwięków funkcjonariuszy jednostki antyterrorystycznej zajmujących stanowiska wokół domu...

Nic się na szczęście nie działo – w nocy nie rozlegały się syreny wozów policyjnych, nikt nie łomotał w drzwi, nie mówił przez megafon, każąc mi wyjść z podniesionymi rękami. Życie biegło rutynową koleją, nikt nie domagał się głowy Dextera. Stopniowo zacząłem mieć wrażenie, że szydzi ze mnie jakieś okrutne, niewidzialne bóstwo, naśmiewając się z mojej czujności, kpiąc z mojego lęku. Czuję się tak, jakby nic nigdy się nie wydarzyło albo Świadek się zdematerializował, lecz nie mogłem się uwolnić od myśli, że coś się wkrótce stanie.

Czekałem i coraz bardziej się denerwowałem. Praca stała się trudna do wytrzymania, siedzenie w domu z rodziną zmieniło się w męczący obowiązek, z życia Dextera uleciała cała przyjemność.

Kiedy ciśnienie staje się zbyt wielkie, w końcu nawet wulkan wybucha, choć jest zbudowany z kamienia. Ja jestem wykonany z mniej odpornego materiału, więc trudno się dziwić, że po trzech dniach czekania na cios, który nigdy nie nadszedł, wreszcie eksplodowałem.

Ten dzień okazał się wyjątkowo stresujący bez rzeczywistych powodów. Odnaleziono w morzu zwłoki w stanie zaawansowanego rozkładu – był to młody mężczyzna zabity strzałem z pistoletu dużego kalibru. Natknęło się nań małżeństwo emerytów z Ohio, które płynęło wynajętą motorówką. Jedwabna koszula trupa wkręciła się w śrubę, a mężczyzna z Akron doznał niegroźnego zawału serca, gdy się pochylił, by ją oczyścić, i zobaczył przy burcie łodzi zgniłą twarz trupa. A kuku – witajcie w Miami!

Kiedy dowiedzieli się o tym policjanci i technicy kryminalistyczni, wywołało to mnóstwo wesołości, lecz Dexter pozostał obojętny. Makabryczne żarty, które normalnie skłoniłyby mnie do śmiechu, nie robiły

na mnie żadnego wrażenia. Dzięki imponującej samokontroli udało mi się wytrzymać półtorej godziny wśród kretyńsko dowcipkujących kolegów, nie wywołując awantury. Ale nawet najbardziej nieprzyjemne przeżycia wreszcie się kończą – po długim czasie spędzonym w wodzie na zwłokach nie było żadnych śladów krwi, toteż moje umiejętności okazały się niepotrzebne i w końcu mogłem wrócić do swojego gabinetu.

Spędziłem resztę dnia na rutynowej papierkowej robocie, wściekając się z powodu akt, które się zgubiły, i raportów pisanych w kretyński sposób – czy w szkołach nie uczą już gramatyki?! Kiedy przyszła pora powrotu do domu, ruszyłem do samochodu, nim zegar skończył wybijać piątą.

Morderczy chaos panujący na ulicach nie poprawił mi humoru. Naciskałem klakson, pokazywałem innym kierowcom środkowy palec i wściekałem się z powodu korków. Zawsze było dla mnie oczywiste, że inni ludzie są boleśnie głupi, ale tego wieczoru szczególnie działało mi to na nerwy i kiedy w końcu wróciłem do domu, nie potrafiłem udawać, że się cieszę z przebywania z rodziną. Cody i Astor grali na Wii, Rita kąpała Lily Anne, wszyscy wykonywali swoje nic nieznaczące, codzienne czynności, a ja stałem przy frontowych drzwiach i zastanawiałem się nad tym, jak irytująco głupie stało się moje życie. Nagle poczułem, że coś we mnie pęka, lecz zamiast rozbijać meble i walić pięścią, rzuciłem klucze na stół i wyszedłem przez tylne drzwi.

Słońce zaczęło zachodzić, ciągle jednak było gorąco i bardzo wilgotno; po trzech krokach poczułem, że twarz pokrywają mi krople potu. Czułem ich chłód na policzkach, co oznaczało, że moja twarz jest gorąca. Przepęniała mnie dziwna wściekłość, uczucie, którego doznawałem bardzo rzadko, i zacząłem się zastanawiać, co się dzieje w Krainie Dextera? Tak byłem zdenerwowany, czekałem na nieuniknioną apokalipsę, ale dlaczego nagle ogarnął mnie gniew skierowany przeciwko własnej rodzinie? Lęk,

jaki od pewnego czasu odczuwałem, przemienił się w nową złość, niebezpieczną emocję i ciągle nie wiedziałem, dlaczego tak się dzieje. Czemu kilka drobnych, nieszkodliwych przykładów ludzkiej głupoty doprowadziło mnie do takiej furii?

Przeszedłem po wysuszonej trawie porastającej nasze podwórko i usiadłem przy stole ogrodowym, chcąc się czymś zająć. Siedzenie nie było szczególnie aktywną formą spędzania czasu, więc wcale nie poczułem się lepiej. Zaciskałem pięści, robiłem miny, oddychałem głęboko, lecz wcale mnie to nie uspokoiło.

Nudne, drobne, absurdalne frustracje, kwintesencja codziennego życia wreszcie doprowadziły mnie do załamania. Bardziej niż kiedykolwiek powinienem zachować lodowaty spokój i całkowite panowanie nad sobą – ktoś mnie widział. Nawet teraz mógł mnie śledzić, zbliżyć się do mnie na palcach, szykować do ataku. Powinienem działać w sposób absolutnie logiczny – jakakolwiek pomyłka mogła mieć katastrofalne skutki. Musiałem ustalić, czy ten napad wściekłości oznacza, że artystyczny gobelin noszący imię Dexter zaczyna się ostatecznie pruć, czy to tylko czasowe rozdarcie tkaniny. Znów wziąłem głęboki wdech i z zamkniętymi oczami słuchałem szumu powietrza w płucach.

Wtedy usłyszałem za plecami cichy, uspokajający głos, który stwierdził, że istnieje rozwiązanie, tak naprawdę bardzo proste, a ja powinienem słuchać głosu rozsądku. Poczułem, jak powietrze w moich płucach zmienia się w lodowatą, błękitną mgiełkę, otworzyłem oczy i obejrzałem się za siebie. Spojrzałem przez lukę w gałęziach drzewa na ciemniejący horyzont nad żywopłotem sąsiadów, na wielki, pomarańczowożółty, szczęśliwy księżyc, z którego dobiegały jedwabiste słowa, który ślizgał się nad horyzontem i wisiał na niebie niczym szczęśliwy, tusty przyjaciel z wakacji w dzieciństwie...

Dlaczego masz czekać, aż cię znajdzie? Dlaczego nie wytropisz go pierwszy?

Była to piękna, kusząca prawda, ponieważ doskonale potrafiłem polować na ofiary i się ich pozbywać. Czemu nie załatwić sprawy w ten sposób? Dlaczego nie przejść do kontraktu? Przejrzeć bazy danych, wyszukać wszystkie stare ciemne hondy w Miami, znaleźć tę z przekrzywionym tylnym światłem, a potem załatwić całą sprawę raz na zawsze, robiąc to, w czym jestem mistrzem – czysto, szybko i dobrze się bawiąc. Bez Świadka nie będzie również zagrożenia i wszystkie moje problemy znikną niczym kostki lodu roztopiające się w promieniach letniego słońca.

Kiedy się nad tym zastanawiałem, czerwona mgła przed moimi oczami zaczęła się rozpraszać – rozluźniłem dłonie, twarz przestała być gorąca, poczułem chłodne, szczęśliwe światło księżyca, a w mrocznych zakamarkach mojej wewnętrznej twierdzy rozległ się cichy pomruk aprobaty. Coś zachichotało i powiedziało wyraźnie: „Tak, to naprawdę bardzo proste”...

Była to prawda. Wystarczyło po prostu spędzić trochę czasu przy komputerze, znaleźć kilka nazwisk, a potem wymknąć się w mrok z paroma nieszkodliwymi rekwizytami – rolką taśmy klejącej, dobrym nożem i kawałkiem żyłki wędkarskiej. Odnaleźć mój Cień, a potem zaprosić w ustronne miejsce, by dzielił ze mną przyjemności pięknego letniego wieczoru. Nic nie mogło być bardziej naturalne i terapeutyczne – wyjaśnienie sytuacji, beztraska zabawa połączona z likwidacją wszystkich problemów i koniec niesprawiedliwego zagrożenia dla wszystkiego, co jest mi drogie. Wydawało się to bardzo rozsądne z wielu punktów widzenia. Dlaczego miałbym pozwolić, by coś zagrażało mojemu życiu, wolności i hobby polegającemu na wiwisekcji?

Oddychałem coraz wolniej. Proste rozwiązanie, jakie mi przyszło do głowy, ocierało się o moje nogi jak kot i mruczało uwodzicielsko; czułem, że obiecuje mi całkowite uspokojenie. Spojrzałem na niebo. Wielki księżyc uśmiechnął się fałszywie, zapraszając mnie do tańca i dając do zrozumienia, że zawsze będę żałował, jeśli okażę się na tyle głupi, by odmówić. Wszystko będzie dobrze, nucił coraz szybciej wśród pięknego brzmienia akordów. Więcej niż dobrze: cudownie! Musiałem tylko być sobą.

Zależało mi na czymś prostym – i oto znalazłem prosty sposób. Wytropić, pokroić, odzyskać spokój. Popatrzyłem na księżyc, a on czule odwzajemnił moje spojrzenie, uśmiechając się promiennie do swojego ulubionego ucznia, który w końcu przeanalizował problem i znalazł rozwiązanie zadania.

– Dziękuję – rzekłem. Nie odpowiedział, tylko chytrze mrugnął. Ostatni raz odetchnąłem chłodnym powietrzem, wstałem i wróciłem do domu.

3

Nazajutrz rano obudziłem się w znacznie lepszej formie. Decyzja, by podjąć konkretne działania, sprawiła, że otrząsnąłem się z przygnębienia – wyskoczyłem z łóżka z uśmiechem na ustach i pieśnią w sercu. Oczywiście nie mógłbym zaśpiewać tej pieśni Lily Anne, bo słowa były dla niej trochę zbyt drastyczne, jednak czułem się szczęśliwy. Dlaczego nie? Nie czekałem już biernie, aż wydarzy się coś złego; zamierzałem podjąć aktywne działania – sprawić, by coś się stało, najlepiej komuś innemu. Było to sensowne podejście; z natury jestem tropicielem, a nie zwierzyną, i podjęcie decyzji zgodnej z własnym charakterem musiało mnie wprowadzić w lepszy nastrój. Pośpiesznie zjadłem śniadanie i zdołałem dotrzeć do pracy nieco wcześniej niż zwykle, by zająć się swoim nowym projektem badawczym.

Laboratorium było ciągle puste; usiadłem przy komputerze i wszedłem do bazy danych pojazdów zarejestrowanych na Florydzie. Podczas porannej jazdy samochodem zastanawiałem się, według jakich kryteriów szukać widmowej hondy, i dokładnie przemyślałem problem. Sporządziłem listę wszystkich osobowych hond wyprodukowanych w ciągu ostatnich ośmiu lat, a następnie posortowałem je według miejsca zamieszkania właścicieli i ich wieku. Byłem przekonany, że mój Cień ma mniej niż pięćdziesiąt lat, toteż szybko odrzuciłem starsze osoby. Następnie zająłem się kolorem wozu. Honda wydawała się dość ciemna, lecz jedno spojrzenie na

odjeżdżający samochód nie pozwoliło określić barwy. Tak czy inaczej, wiek, promienie słońca i słone powietrze Miami mogły zmienić kolor lakieru, czyniąc go trudnym do rozpoznania.

Byłem jednak pewien, że samochód nie jest jasny, toteż pozostawiłem na liście tylko wozy o ciemnej karoserii. Następnie skupiłem się na lokalizacji i wyeliminowałem samochody zarejestrowane w odległości ponad siedmiu kilometrów od domu, gdzie widział mnie Świadek. Przyjąłem, że mieszka w pobliżu, w południowym Miami; inaczej skąd by się tam wziął? Był to domysł, lecz uznałem go za rozsądny; pozwoliło to wyeliminować dwie trzecie aut figurujących na liście. Musiałem obejrzeć każde, które na niej pozostało, by znaleźć przekrzywione tylne światło i charakterystyczną rdzawą plamę na bagażniku.

Kiedy do laboratorium zaczęli przybywać moi koledzy, dysponowałem listą czterdziestu trzech starych, ciemnych hond należących do osób w wieku poniżej pięćdziesięciu lat, mieszkających we wskazanym rejonie. Weryfikacja listy wymagała sporej pracy, lecz byłem pewien, że potrafię to wykonać szybko i skutecznie. Zapisałem listę jako zaszyfrowany plik o nazwie „honda”, co brzmiało wystarczająco niewinnie, i wysłałem e-mailem do samego siebie, by otworzyć na swoim laptopie po powrocie do domu.

Zaledwie dwie sekundy po wysłaniu wiadomości do laboratorium wszedł Vince Masuoka, trzymając w ręku białe pudełko z wyrobami cukierniczymi.

– Ach, młody człowieku – rzekł, unosząc pudełko. – Przynoszę ci zagadkę: co jest ulotne jak wiatr, a jednocześnie wieczne?

– Wszystko, co żyje, mistrzu – odpowiedziałem. – I to znajduje się w pudełku.

Rozpromienił się i zdjął wieczko.

– Weź swoje cannolo, koniku polny – rzekł. Spełniłem polecenie.

W ciągu następnych dni zacząłem po pracy sprawdzać hondy z mojej listy. Na początku zająłem się adresami położonymi w pobliżu mojego domu, gdzie mogłem dotrzeć na piechotę. Powiedziałem Ricie, że chciałbym trochę pobiegać, i uprawiałem jogging w swojej dzielnicy, udając normalnego człowieka chcącego poprawić kondycję fizyczną. Rzeczywiście, po kilku dniach poczułem się znacznie lepiej. Decyzja, by podjąć konkretne działania, sprawiła, że przestałem się martwić. Odzyskałem energię i dobry humor, a na mojej twarzy znów pojawił się sztuczny uśmiech. Wróciłem do normalnego życia.

Oczywiście normalne życie techników kryminalistycznych w Miami często się różni od tego, co uważają za normalne zwykli ludzie. Niekiedy trzeba pracować w nietypowych porach i oglądać ofiary zabójstw, czasem zamordowane w zaskakujący sposób. Nigdy nie przestałem się dziwić, jak nieskończenie pomysłowi bywają ludzie, gdy zadają śmiertelne rany swoim współpracownikom. Dwa tygodnie po śmierci Valentine'a znów zacząłem się nad tym zastanawiać. Stałem na deszczu na poboczu autostrady I-95 i myślałem o obrażeniach zadanych inspektorowi Marty'emu Kleinowi. Nigdy wcześniej nie widziałem takich ran. To, że Klein zginął w niezwykle sposób, nawet trochę mnie cieszyło, bo pozwalało zapomnieć o tym, że jestem kompletnie przemoczony.

Księżyc skrył się za chmurami. Stałem na deszczu w grupce ludzi, którzy mrugali, oślepieni reflektorami przejeżdżających samochodów i lampami wozów policyjnych. Byłem przemoczony i głodny; z mojego nosa, uszu i rąk kapłała woda, która ściekała za kołnierz bezużytecznej nylonowej kurtki, prosto do spodni i skarpetek. Znajdowałem się w pracy, więc musiałem słuchać niekończącej się paplaniny policjantów ubranych w żółte peleryny przeciwdeszczowe. Ale ja nie jestem policjantem, tylko

technikiem kryminalistycznym, a technicy nie dostają żółtych peleryn przeciwdeszczowych. Muszą się zadowalać tym, co przywieźli w bagażniku samochodu – w tym wypadku cienką nylonową kurtką, która nie stanowi żadnej osłony przed tropikalną ulewą.

Stoję na deszczu i chłonę wodę jak gąbka, a tymczasem inspektor Zręda jeszcze raz opowiada inspektorowi Bęcwałowi, jak jeden z funkcjonariuszy zauważył na poboczu samochód policyjny, po czym skontrolował go zgodnie z procedurą. Następnie zaczyna ją opisywać, jakby cytował regulamin.

Gorsze od nudy i zimna rozchodzącego się po kościach jest to, że Dexter musi stać na deszczu i udawać, że jest zatroskany i wstrząśnięty. Niełatwo udawać to w sposób wiarygodny; dziś wieczorem nie wychodzi mi to najlepiej, gdyż nieustannie myślę o swoich nieszczęściach. Co kilka minut spostrzegam, że na mojej twarzy pojawia się grymas irytacji i niecierpliwości. Ale walczę z nim, nakładam właściwą maskę i staram się dzielnie znosić mrok, ulewę i niekończące się oczekiwanie. Nie patrzymy na drobnego handlarza narkotyków, który dostał to, na co zasłużył. To nie niewierna żona przyłapana na gorącym uczynku przez rozgniewanego męża. Zwłoki znajdujące się w fordzie crown victoria należą do jednego z nas, członka bractwa policjantów z Miami. Tak się przynajmniej wydaje, gdy zaglądamy do środka i spoglądamy na bezkształtną masę leżącą na siedzeniu.

Nie jest bezkształtna dlatego, że widzimy ją niewyraźnie, ani dlatego, że leży bezwładnie na siedzeniu. Ciało Kleina zmasakrowano młotem, powoli, starannie, aż zmieniło się w bryłę zmiądzonych kości i mięsa, która nie przypomina człowieka, funkcjonariusza policji.

Oczywiście to coś koszmarnego, zwłaszcza że spotkało policjanta, funkcjonariusza noszącego odznakę i broń i mającego zapobiegać takim

morderstwom. Zmasakrowanie policjanta w taki powolny, metodyczny sposób to szczególny afront wobec naszego uporządkowanego społeczeństwa i zniewaga dla pozostałych pracowników wymiaru sprawiedliwości. Wszyscy czujemy szok i wściekłość – a przynajmniej doskonale je udajemy. Zabójstwo tego rodzaju jeszcze nigdy się nie zdarzyło i nawet ja nie potrafię sobie wyobrazić, kto mógł je popełnić.

Ktoś poświęcił mnóstwo czasu i energii, masakrując inspektora Marty'ego Kleina i zmieniając go w galaretowatą masę – a co gorsza, zrobił to pod koniec dnia pracy, gdy czekała na nas kolacja. Nie ma kary za równie straszliwą zbrodnię i miałem nadzieję, że straszliwa sprawiedliwość zostanie wymierzona – po kolacji i deserze, nad filiżanką czarnej kawy. Może przy włoskich ciasteczkach.

Nic z tego. Dexterowi burczy w brzuchu i cieknie mu ślinka, gdy myśli o pysznych potrawach Rity, które czekają w domu, toteż nie potrafi utrzymać mięśni twarzy we właściwej konfiguracji. Ktoś może to zauważyć i zdziwić się, że się ślinię, stojąc obok straszliwie zmasakrowanych zwłok inspektora Kleina, toteż wielkim wysiłkiem żelaznej woli znów biorę pod kontrolę swoją twarz i zaczynam czekać, spoglądając posepnie na kałużę deszczu wokół przemoczonych butów.

– Jezu! – odzywa się Vince Masuoka, który nagle się pojawia koło mnie. Wyciąga głowę, by zajrzeć do samochodu. Ma na sobie pelerynę z demobilu, toteż wygląda na suchego i zadowolonego. Mam ochotę go kopnąć. –Niewiarygodne...

– Rzeczywiście, trudne do uwierzenia – odpowiadam, podziwiając swoją żelazną wolę, która powstrzymuje mnie przed zaatakowaniem Masuoki.

– Tylko tego nam brakowało! – ciągnie. – Maniaka z młotem masakrującego policjantów. Jezu!

Miałem podobne uczucia. Czasem prowadziliśmy śledztwa w sprawie śmiertelnych pobić, lecz jeszcze nigdy nie widzieliśmy równie brutalnego morderstwa dokonanego z takim maniakalnym skupieniem. Było to coś zupełnie nowego w historii walki z przestępczością w Miami – unikatowa, niesłychana zbrodnia, którą odkryto tego wieczoru, gdy na poboczu autostrady 1-95 odnaleziono samochód inspektora Kleina. Ale nie miałem ochoty zachęcać Vince'a do robienia kolejnych głupich, banalnych uwag. Deszcz padający na moją cienką kurtkę odebrał mi wszelką ochotę do rozmowy, toteż po prostu popatrzyłem na Masuokę i skupiłem się na utrzymywaniu poważnej miny: zmarszczyć czoło, wykrzywić wargi...

Koło samochodów zaparkowanych na poboczu zatrzymał się kolejny wóz i wysiadła z niego Deborah. To znaczy, ściśle biorąc, sierżant Deborah Morgan, moja siostra, kierująca śledztwem w sprawie tej nowej, straszliwej zbrodni. Umundurowani funkcjonariusze zerknęli na nią; jeden z nich ją poznał i szturchnął drugiego. Odsunęli się, a Debs wysiadła i poszła zajrzeć do auta, w którym znajdowały się zwłoki. Po drodze włożyła żółty płaszcz przeciwdeszczowy. Skinąłem jej głową, gdy mnie mijiała, a ona odwzajemniła pozdrowienie. Kiedy popatrzyła na Kleina, wypowiedziała dwa krótkie, starannie dobrane słowa, które podkreślały, że jest najważniejszą osobą na miejscu zbrodni, a także trafnie wyrażały jej stan emocjonalny.

– O kurwa! – zakląła, po czym odwróciła się i spojrzała na mnie. – Masz coś? – spytała.

Pokręciłem głową, co sprawiło, że woda pociekła mi za kołnierz.

– Czekaamy na ciebie – odpowiedziałem. – Na deszczu.

– Musiałam znaleźć opiekunkę do dziecka. – Znów zerknęła na mnie. – Powinieneś włożyć pelerynę.

– Szkoda, że o tym nie pomyślałem – rzekłem pogodnie, a Debs odwróciła się z powrotem w stronę szczątków Marty’ego Kleina.

– Kto znalazł zwłoki? – spytała, wciąż zaglądając do wnętrza forda.

– Ja – odpowiedział jeden z policjantów, gruby Murzyn z wąsami opadającymi po obu stronach ust.

Deborah popatrzyła na niego.

– Cochrane, tak?

– Zgadza się – odparł, kiwając głową.

– Niech pan opowie – poprosiła.

– Miałem rutynową służbę patrolową – zaczął Cochrane. – Zauważyłem pusty samochód policyjny zaparkowany na poboczu autostrady międzystanowej numer dziewięćdziesiąt pięć. Połączyłem się z centralą i uzyskałem informację, że to samochód inspektora Marty’ego Kleina. Następnie wysiadłem ze swojego samochodu i podszedłem. – Umilkł na chwilę, może zmieszany, że wielokrotnie powtórzył słowo „samochód”. Po chwili odchrząknął i kontynuował: – Po dojściu do miejsca, skąd mogłem widzieć wewnątrz wozu inspektora Kleina, eee...

Cochrane umilkł, jakby nie mógł znaleźć właściwego słowa, i wyręczył go stojący obok niego policjant.

– Wyrzygał cały lunch – stwierdził.

Cochrane spojrział na niego z wściekłością i mogłoby dojść do awantury, gdyby Deborah nie uspokoiła sytuacji.

– To wszystko? – spytała. – Zajrzał pan do środka, zwymiotował i wezwał wsparcie?

– Przyjechałem, zobaczyłem, zwymiotowałem – mruknął koło mnie Vince Masuoka, lecz na szczęście Deborah go nie usłyszała.

– Zgadza się – odparł Cochrane.

– Niczego pan nie zauważył? – spytała Debs. – Żadnych podejrzanych pojazdów?

Cochrane zamrugał szybko, wciąż przewyciężając chęć uderzenia swojego kolegi.

– Była godzina szczytu – rzekł rozdrażnionym tonem. – Jak rozpoznać podejrzany pojazd wśród tysięcy samochodów?

– Skoro muszę to panu mówić, może powinien pan poprosić o przeniesienie do działu administracyjnego? – spytała uprzejmie Debs.

– Bęc! – odezwał się Vince, a policjant stojący obok Cochrane’a wydał z siebie zduszony dźwięk, próbując nie wybuchnąć śmiechem.

Cochrane nie wydawał się rozbawiony. Odchrząknął.

– Posłuchajcie – rzekł. – Obok przejechały tysiące samochodów i wszyscy kierowcy zwalniali, by popatrzeć. Padało i była kiepska widoczność. Gdybyście mi powiedzieli, na co zwracać uwagę, mógłbym coś zauważyć.

Debs spoglądała nań z twarzą bez wyrazu.

– Za późno – rzuciła i spojrzała w stronę forda. – Dexter! – zawołała przez ramię.

Chyba powinienem się tego spodziewać. Moja siostra zakłada, że mam mistyczny dar tropienia psychopatycznych morderców, z którymi stykamy się w pracy. Jest przekonana, że wystarczy, bym rzucił okiem na miejsce zbrodni, a natychmiast jestem w stanie podać nazwisko, adres i numer ubezpieczenia zabójcy. Kiedy ma do czynienia z morderstwem popełnionym przez chorego maniaka, z reguły prosi mnie o pomoc, gdyż uważa, że ja również jestem chorym maniakiem, więc doskonale ich rozumiem. Często jestem w stanie dostarczyć użytecznych wskazówek dzięki cichym podpowiedziom Mrocznego Pasażera i gruntownemu zrozumieniu swojego rzemiosła. Ale tym razem byłem bezradny.

Z wahaniem podszedłem do Deborah. Nie znoszę sprawiać jej zawodu, lecz nie miałem nic do powiedzenia. Zabójstwo Kleina było tak okrutne i brutalne, że nawet Mroczny Pasażer zacisnął z dezaprobatą usta.

– Co o tym sądzisz? – spytała Debs, zniżając głos, by zachęcić mnie do szczerości.

– Musiał to zrobić kompletny wariat – odrzekłem.

Popatrzyła na mnie, jakby czekała na dalszy ciąg, a gdy stało się jasne, że nic więcej nie powiem, warknęła:

– Naprawdę sam to wymyśliłeś?

– Jasne – odparłem z irytacją. – Wystarczyło jedno spojrzenie do środka samochodu. Daj spokój, Debs, przecież nawet nie wiemy, czy to naprawdę Klein.

– To on – odpowiedziała.

Otarłem z czoła strumyk wody i popatrzyłem przez szybę. Kupa galarety leżąca na siedzeniu ledwo przypominała człowieka, lecz moja siostra wydawała się przekonana, że to inspektor Klein. Wzruszyłem ramionami, co sprawiło, że woda znowu pociekła mi za kołnierz.

– Skąd wiesz?

– Łysina na czubku głowy – stwierdziła, wskazując jeden z końców bezkształtnej bryły. – Marty miał taką samą.

Popatrzyłem znowu. Zwłoki rozlewały się na siedzeniu niczym budyń; nie zauważyłem żadnych ran ani krwi. Skóra była nienaruszona, a jednak ciało Kleina zmasakrowano w straszliwy sposób. Szczyt czaszki wydawał się jedynym miejscem, gdzie nie zadano żadnego ciosu, chyba po to, by ofiara nie umarła zbyt szybko. Rzeczywiście, dostrzegłem krąg różowej skóry otoczony wianuszkami zatłuszczonych włosów. Pamiętałem, że Klein miał bardzo podobną łysinę. Nie przysiągłbym jednak, że to naprawdę on, lecz nie jestem prawdziwym detektywem jak moja siostra.

– Czy to jakaś specyficznie kobieca umiejętność? – spytałem. – Potrafisz odróżniać ludzi po włosach?

Zerknęła na mnie i przez jedną przerażającą sekundę myślałem, że posunąłem się za daleko i że uderzy mnie mocno w ramię, jak to czasem robiła. Zamiast tego jednak popatrzyła na pozostałych techników kryminalistycznych, wskazała samochód i rzekła:

– Otwórzcie drzwi.

Stałem na deszczu i patrzyłem. Kiedy drzwi samochodu się uchyliły, przez grupę funkcjonariuszy przebiegł dreszcz – w ten sposób zginął policjant, jeden z nas, i wszyscy gliniarze obecni na miejscu zbrodni uznali to za osobistą zniewagę. Co gorsza, byliśmy absolutnie pewni, że to się powtórzy, że spotka któregoś z nas. Już wkrótce jeden z członków naszego niewielkiego bractwa padnie ofiarą równie brutalnego ataku. Nie wiedzieliśmy kto ani kiedy, tylko że to nastąpi...

Mroczny księżyc na niebie, mroczny czas dla Dextera. Wśród policjantów z Miami zapanowała trwoga, straszliwa niepewność, a Dexter stał, ociekając wodą, a w jego głowie kołatała się tylko jedna mroczna myśl:

Nie jadłem kolacji.

4

Skończyłem po dziesiątej i czułem się tak, jakbym przez ostatnie cztery godziny stał pod wodą. Mimo to wstydziłem się wracać do domu, nie sprawdzwszy niektórych adresów ze swojej listy. Dlatego przejechałem powoli koło dwóch miejsc, które znajdowały się po drodze. Pierwszy samochód parkował bezpośrednio przed domem; na bagażniku nie było żadnych śladów, więc pojechałem dalej.

Drugi samochód stał pod wiatą, ukryty w cieniu, i nie widziałem bagażnika. Zwolniłem i skręciłem na podjazd, udając, że zabłądziłem i chcę zawrócić. Zauważyłem coś na bagażniku – kiedy padły na niego światła reflektorów, zeskoczył z niego największy kocur, jakiego w życiu widziałem, i dał susa w ciemność. Zawróciłem i pojechałem do domu.

Dotarłem tam po jedenastej. Nad frontowymi drzwiami paliła się lampa; wysiadłem z samochodu i zatrzymałem się na skraju kręgu światła. Deszcz w końcu przestał padać, lecz po niebie wciąż płynęły ławice ciemnych chmur, i przypominała mi się noc dwa dni wcześniej, gdy ktoś mnie obserwował.

Znów ogarnął mnie niepokój. Groźnym wzrokiem spojrzałem na chmury, ale nie wydawały się przestraszone. Zmoczyłyśmy cię! – odezwały się szyderczo. Stoisz jak idiota, ociekając wodą, i całe twoje ciało się marszczy!

Była to prawda. Zamknąłem samochód i wszedłem do domu.

Wewnątrz panował względny spokój, bo był środek tygodnia. Cody i Astor spali, a z salonu dobiegały ciche dźwięki telewizora; nadawano wieczorne wiadomości. Rita drzemała na kanapie z Lily Anne na kolanach. Nie obudziła się, gdy wszedłem do salonu, lecz Lily Anne spojrzała na mnie jasnymi, rozbudzonymi oczyma i powiedziała:

– Da! Da! Da! Da!

Natychmiast mnie poznała: bystra dziewczynka. Popatrzyłem na jej szczęśliwą buzię i poczułem, jak kilka ciemnych chmur odpływa w dal.

– Cześć, Lily! – odrzekłem z powagą. Roześmiała się wesoło.

– Och! – odezwała się Rita, nagle wyrwana z drzemki. – Jesteś w domu, Dexter? Nie słyszałam, jak wchodzisz. Wracasz tak późno... Znowu.

– Przepraszam – odparłem. – Praca.

Spoglądała na mnie przez dłuższą chwilę, mrugając, a potem pokręciła głową.

– Jesteś zupełnie przemoczony – zauważyła.

– Padało.

Mrugnęła jeszcze kilka razy.

– Przestało padać godzinę temu.

Nie miałem pojęcia, dlaczego o tym mówi, ale lubię banalne, grzeczne zwroty, więc odpowiedziałem:

– Tak, rozpogadza się.

– Ach... – westchnęła Rita. Znów popatrzyła na mnie w zamyśleniu i zacząłem się czuć trochę niezręcznie. W końcu pokręciła głową. – Cóż, musisz być bardzo... Twoja kolacja... Jesteś głodny?

– Jak wilk.

– Woda z twojego ubrania kapie na podłogę. Lepiej włóż coś suchego. Jeśli się przeziębisz... – Poruszyła dłonią przed moją twarzą. – Och, Lily

Anne zupełnie się rozbudziła. – Na jej twarzy pojawił się macierzyński uśmiech, który wielokrotnie próbował malować Leonardo da Vinci.

– Przebiorę się – powiedziałem i poszedłem korytarzem do łazienki. Schowałem mokre ubranie do koszyka, wytarłem się ręcznikiem i włożyłem suchą piżamę.

Kiedy wróciłem, Rita nuciła Lily Anne piosenkę, a dziewczynka wesoło gaworzyła. Nie chciałem przerywać, lecz miałem ważną sprawę do załatwienia.

– Wspominałaś coś na temat kolacji? – spytałem.

– Byłam bardzo... Och, mam nadzieję, że zupełnie nie wystygła... Tak czy inaczej, jest w garnku... Potrzyj ją małą. Zaraz ją włożę do mikrofalówki.

Wstała szybko z kanapy i podała mi Lily Anne. Zrobiłem krok do przodu i wziąłem dziecko, na wypadek gdyby Rita naprawdę zamierzała je włożyć do mikrofalówki. Ruszyła w stronę kuchni, a ja usiadłem na kanapie ze swoją córką.

Popatrzyłem na dziecięcą twarzyczkę Lily Anne – moją przepustkę do nowego świata uczuć i normalnego życia. Cud jej narodzin sprawił, że nieco upodobniłem się do człowieka. Dzięki niej po raz pierwszy w życiu zacząłem odczuwać emocje, jakich mógłby doznawać zwykły śmiertelnik. Miała niespełna rok i stawało się oczywiste, że jest niezwykłym dzieckiem.

– Potrafisz przeliterować słowo „hiperbola”? – spytałem.

– Da! – zawołała radośnie.

– Bardzo dobrze – odrzekłem, a ona wyciągnęła rękę i uszczypnęła mnie w nos na znak, że wybrałem zbyt łatwe słowo. Walnęła mnie w czoło otwartą rączką i podskoczyła kilka razy, co było uprzejmą prośbą o zadanie trudniejszego pytania. Spełniłem jej życzenie.

Kilka minut później Lily Anne i ja skończyliśmy recytować dwie zwrotki *Frog Went A-Courtin'* i pracowaliśmy nad ostatnimi szczegółami ogólnej teorii grawitacji, gdy do pokoju wpadła Rita, niosąc talerz z przyjemnie pachnącą potrawą.

– Pieczeń wieprzowa – oznajmiła. – Dodałam do sosu trochę grzybów. Te ze sklepu były niezbyt... A poza tym pomidory i kapary... Oczywiście Cody'emu nie smakowało... Ach, zapomniałam ci powiedzieć. – Postawiła talerz na stoliku do kawy. – Przepraszam, jeśli żółty ryż jest trochę... Dentysta powiedział... Astor potrzebuje aparatu ortodontycznego i jest zupełnie... – Uniosła dłoń i usiadła.

– Powiedziała, że wolałaby raczej... Do licha, zapomniałam widelca! – zawołała, zerwała się z kanapy i popędziła z powrotem do kuchni.

Lily Anne popatrzyła za nią, po czym przeniosła wzrok na mnie. Pokręciłem głową.

– Mama zawsze mówi w ten sposób – stwierdziłem. – Przyzwyczaisz się. Miała trochę niepewną minę.

– Da! Da! Da! – zagruchała. Pocałowałem ją w czubek głowy. Smak był cudowny: połączenie szamponu dla niemowląt z jakimś upajającym feromonem wydzielanym przez małe dzieci.

– Chyba masz rację – odpowiedziałem. Rita wróciła do pokoju, położyła koło talerza widelec i serwetkę, wzięła Lily Anne na kolana i kontynuowała sagę o Astor i dentyście.

– Mówiłam jej, że to tylko na rok i że wiele innych dziewcząt... Ale ona... Opowiadała ci o Anthony'ach?

– Anthony'ach dupku? – spytałem.

– Och, on wcale nie jest... Tak go nazywa, choć nie powinna... Dziewczynki podchodzą do tego inaczej, a Astor jest w takim wieku... Pieczeń nie jest za sucha? – spytała, patrząc na mój talerz.

– Nie, idealna – odparłem.

– Za sucha, bardzo mi przykro. Więc pomyślałam, że mógłbyś z nią porozmawiać – zakończyła. Miałem nadzieję, że ma na myśli Astor, a nie pieczeń.

– Co jej powiedzieć? – spytałem, połknąwszy kolejny kęs suchej pieczeni.

– Że to normalne.

– Masz na myśli aparat ortodontyczny?

– Tak, jasne – odpowiedziała. – A o czym mówimy?

Prawdę mówiąc, często nie bardzo wiem, o czym mówimy, ponieważ Rita zwykle prowadzi rozmowę na trzy tematy jednocześnie. Może to wpływ jej pracy: nawet przeżywszy z nią kilka lat, wiem tylko, że zajmuje się przeliczaniem dużych kwot pieniędzy na obce waluty i inwestowaniem na rynku nieruchomości. To zdumiewające, że kobieta dostatecznie inteligentna, by się tym zajmować, okazała się absolutną idiotką w kwestii doboru partnerów. Najpierw poślubiła narkomana, który brutalnie bił ją oraz dzieci, a później trafił za kratki. Uwolniwszy się od koszmaru, zawarła kolejne małżeństwo z jeszcze gorszym potworem: mną.

Oczywiście Rita nigdy się nie dowie, kim jestem naprawdę. Bardzo się staram utrzymać ją w błogiej niewiedzy na temat Mrocznego Dextera, radosnego wiwisekcjonisty żyjącego dla szelestu szarpanej taśmy klejącej, błysku noża, zapachu strachu wydzielanego przez towarzysza zabaw, który trafił do Dexterlandu, bo zabijał niewinnych ludzi i wymknął się wymiarowi sprawiedliwości...

Rita nigdy nie pozna tej sfery mojego życia, podobnie jak Lily Anne. Chwile spędzane z nowymi przyjaciółmi takimi jak Valentine mają charakter prywatny – przynajmniej do straszliwej chwili, gdy pojawił się Świadek. Przypomniałem sobie listę właścicieli hond. Jedno z figurujących

na niej nazwisk musiało należeć do Świadka, a gdy ustalę, o kogo chodzi... Przez chwilę wyobrażałem sobie, jak go porywam i krępuję taśmą klejącą, prawie słyszałem stłumione jęki bólu i strachu...

Zacząłem myśleć o swoim hobby i mimo woli popełniłem straszliwe przestępstwo – jadłem pieczeń wieprzową Rity, nie zwracając uwagi na jej smak. Na szczęście, gdy wyobraziłem sobie Świadka szarpiącego się w więzach, ugryzłem się w język, co wyrwało mnie z przyjemnych fantazji. Nabrałem na widelec ostatnią porcję żółtego ryżu z kaparami, włożyłem do ust i usłyszałem głos Rity:

– Ubezpieczenie nie obejmuje stałych aparatów, a zatem... W tym roku powinnam dostać spory bonus. Astor rzadko się uśmiecha, prawda? Może jeśli jej zęby... – Nagle umilkła, machnęła ręką i skrzywiła się. – Och, Lily Anne, trzeba ci zmienić pieluszkę... – Wstała i zaniósła dziewczynkę na przewijak. Ciągnął się za nimi specyficzny odór, którego źródłem na pewno nie była pieczeń wieprzowa. Odsunąłem pusty talerz i z westchnieniem rozsiadłem się na kanapie: Dexter Trawiący.

Z jakiegoś dziwnego, irytującego powodu, zamiast zapomnieć o codziennych kłopotach, zacząłem myśleć o pracy i straszliwie zmasakrowanych zwłokach Marty'ego Kleina. Nie znałem go dobrze, a nawet gdybym znał, nie jestem zdolny do tworzenia związków o charakterze emocjonalnym, nawet szorstkich przyjaźni tak popularnych w policji. Zwłoki nie robią na mnie wrażenia – dotykание martwych ciał i patrzenie na nie to część mojej pracy, a poza tym od czasu do czasu zajmuję się tym hobbystycznie. Nie chciałbym, by moi koledzy się domyślili, jednak widok martwego policjanta nie robi na mnie większego wrażenia niż widok martwego adwokata. Ale trup taki jak ten, całkowicie zmasakrowany młotem... Było to coś zupełnie nowego, prawie nadprzyrodzonego.

Furia, z jaką tłuczono Kleina, miała w sobie coś psychotycznego – z drugiej strony niepokoiło mnie to, że morderca postępował niesłychanie metodycznie i poświęcił na to tyle czasu. To wykraczało poza zwyczajne szaleństwo. Zabójca odznaczał się wielką siłą fizyczną, wytrwałością i, co najbardziej przerażające, chłodnym opanowaniem, dzięki któremu nie posunął się za daleko i nie spowodował śmierci zbyt wcześnie, przed połamaniami wszystkich kości.

Intuicyjnie czułem, że nie jest to pojedynczy, stosunkowo nieszkodliwy epizod w życiu mordercy, który na kilka godzin przekroczył granicę szaleństwa. Wyglądało to jak utrwalony schemat, sposób istnienia, coś stałego. Szaleńcza siła i wściekłość połączona z chirurgicznym opanowaniem. Nie byłem w stanie sobie wyobrazić, kto mógłby być do tego zdolny, i tak naprawdę nie chciałem. Znów jednak ogarnęło mnie przecucie, że wkrótce znajdziemy następne zwłoki policjantów.

– Dexter? – zawołała cicho Rita z sypialni. – Nie idziesz do łóżka?

Zerknąłem na zegar koło telewizora: dochodziła północ. Kiedy zobaczyłem godzinę, poczułem, jaki jestem zmęczony.

– Już idę! – odpowiedziałem. Wstałem z kanapy i przeciągnąłem się, czując, jak ogarnia mnie przyjemna senność. Należało iść spać; jutro mogę zacząć się martwić straszliwym końcem Marty’ego Kleina. Zło każdego dnia powinno się wypełnić do końca, przynajmniej w dobre dni.

Włożyłem talerz do zlewu i poszedłem do sypialni.

□□□

Tkwiłem w ciemnej krainie snu i nagle poczułem, jak w mojej głowie rozlega się okropny huk – obudziłem się, a z mojego nosa ciekł śluz po potężnym kichnięciu.

– O Boże! – zawołała Rita, siadając obok mnie na łóżku. – Przeziębilesz się po tym wszystkim. Wiedziałam... Proszę, weź chusteczkę...

– Dziękuję – odpowiedziałem, usiadłem na łóżku, wziąłem chusteczkę i przyłożyłem do nosa. Znów kichnąłem, tym razem w chusteczkę, i poczułem, że rozpada mi się w dłoni. – Ooooch... – westchnąłem. Na moje palce pociekł śluz i poczułem tępy ból w kościach.

– Boże... Weź drugą – powiedziała Rita. – I umyj ręce... Popatrz na zegarek, pora wstawać.

Wyszła z łóżka, nim zdążyłem unieść do twarzy następną chusteczkę. Straszliwie ciekło mi z nosa i zastanawiałem się, dlaczego złośliwy los sprowadził na mnie to nowe nieszczęście. Bolała mnie głowa: miałem wrażenie, że jest wypchana mokrym piaskiem, a na domiar złego musiałem wstać i iść do pracy.

Na szczęście Dexter jest w jednym naprawdę dobry – w naśladowaniu ludzkich zachowań. Żyję wśród istot, które myślą, czują i postępują w sposób absolutnie niezrozumiały, lecz jestem w stanie funkcjonować, gdyż nauczyłem się je perfekcyjnie imitować. Na szczęście dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludzkiego życia to po prostu powtarzanie tych samych gestów, wypowiedzanie tych samych banałów, wykonywanie mechanicznych ruchów niczym zombie. Wydaje się to straszliwie nudne i absurdalne – lecz tak naprawdę ma głęboki sens. Jeśli ktoś codziennie robi to samo, nie musi w ogóle myśleć. Biorąc pod uwagę to, jak dobrze ludzie radzą sobie z czymś trudniejszym od żucia gumy, czy tak nie jest dla wszystkich najlepiej?

W bardzo młodym wieku nauczyłem się obserwować ludzi w trakcie rutynowych, codziennych czynności, a następnie robić dokładnie to samo. Tego ranka ta umiejętność bardzo mi się przydała, ponieważ, gdy wstałem z łóżka i powlokłem się do łazienki, w mojej głowie nie było nic oprócz

flegmy. Gdybym nie wiedział, jak zachowuje się wcześniej rano normalny człowiek, zapewne bym sobie nie poradził. Zupełnie straciłem zdolność myślenia i czułem w kościach tępy ból.

Ale pozostał schemat czynności wykonywanych rano: prysznic, golenie, mycie zębów, zajęcie miejsca przy stole w kuchni, gdzie Rita postawiła przede mną filiżankę kawy. Wypiłem ją i poczułem iskierkę życia, a Rita przyniosła mi jajecznicę. Może był to skutek działania kawy, ale pamiętałem, jak jeść jajecznicę, i bardzo dobrze mi to wyszło. Kiedy skończyłem, Rita położyła przede mną dwie tabletki na przeziębienie.

– Połknij je – powiedziała. – Kiedy zaczną działać, poczujesz się znacznie... Och, spójrz na zegar! Cody! Astor! Wstawajcie! Spóźnicie się!

Dolała mi kawy i poszła budzić dzieci. Po minucie Cody i Astor usiedli przy stole, a Rita postawiła przed nimi talerze. Cody machinalnie zaczął jeść, lecz Astor wsparła się na łokciu i popatrzyła z niesmakiem na jajka.

– Nie są ścięte – powiedziała. – Chcę płatki owsiane.

Wszystko stanowiło część porannego rytuału. Astor nigdy nie chciała jeść rzeczy przygotowanych przez Ritę. Wiedziałem, co nastąpi za chwilę, i wydało mi się to dziwnie uspokajające. Rita i dzieci odgrywali role powtarzane każdego ranka, a ja czekałem, aż tabletki zaczną działać i odzyskam zdolność myślenia. Do tego czasu nie miałem się czym martwić; wystarczyło postępować według schematu.

5

Kiedy przyjechałem do pracy, wszystko wciąż toczyło się rutynowo. W dyżurce siedział ten sam policjant co zawsze, który tradycyjnie obejrzał moją legitymację i skinął głową. Kiedy jechałem na pierwsze piętro, do windy wsiedli ci sami ludzie. A w automacie z kawą czekała ta sama ohydna lura, która znajdowała się w nim od początku świata. Bardzo pocieszające i z wdzięczności naprawdę próbowałem pić kawę, jak zwykle straszliwie się krzywiąc. Ach, rozkosze codzienności...

Odwróciłem się od automatu i okazało się, że stoi przede mną jakaś kobieta, więc musiałem się gwałtownie zatrzymać, a jadowity wywar z mojego kubeczka zachlapał mi przód koszuli.

– O cholera! – zaklęła kobieta. Oderwałem wzrok od brązowej plamy i ujrzałem Camillę Figg, jedną z moich koleżanek z wydziału kryminologii. Miała około trzydziestki, była przysadzista, brzydka i dość małomówna. W tej chwili się rumieniła, co często jej się zdarzało na mój widok.

– Camilla! – Miałem wrażenie, że powiedziałem to dość miłym tonem, biorąc pod uwagę, że moja koszula była względnie nowa, a teraz nadawała się do wyrzucenia. Tak czy inaczej, Camilla zaczerwieniła się jeszcze bardziej.

– Bardzo przepraszam! – wybąkała i zerknęła szybko w obie strony, jakby szukała drogi ucieczki.

– Nic się nie stało – odpowiedziałem, choć nie była to prawda. – Polewanie się tą kawą jest na pewno bezpieczniejsze niż jej picie.

– Nie chciałam... Mam nadzieję, że nie... – rzekła i uniosła rękę, jakby chciała zacząć czyścić moją koszulę, na szczęście nie zrobiła tego, tylko opuściła głowę. – Bardzo mi przykro – dodała, po czym czmychnęła korytarzem i znikła za rogiem.

Spoglądałem za nią, mrugając głupkowato: w codziennej rutynie pojawiło się coś nowego, lecz nie miałem pojęcia, o co chodzi ani co powinienem zrobić. Zastanawiałem się nad tym przez kilka bezsensownych sekund, po czym wzruszyłem ramionami. Byłem przeziębiony i nie miałem obowiązku analizować dziwnego zachowania Camilli. Jeśli zrobiłem lub powiedziałem coś niewłaściwego, mogło to wynikać z działania tabletek na przeziębienie. Odstawiłem kubeczek z kawą i poszedłem do toalety, by oczyścić koszulę.

Szorowałem ją przez kilka minut zimną wodą, lecz nie zdołałem usunąć plamy. Papierowe ręczniki się przecierały, na koszuli pozostawały drobne kłaczkę, ale plama nie zniknęła. Kawa z automatu w komendzie miała zdumiewające właściwości: może częściowo składała się z farby albo barwnika przemysłowego? To na pewno tłumaczyłoby jej smak. W końcu zrezygnowałem i wytarłem koszulę. Kiedy wyszedłem z łazienki, była ciągle mokra, więc poszedłem do laboratorium w nadziei na pomoc Vince'a Masuoki, który dobrze się znał na odzieży i tkaninach; czasem rozmawialiśmy na ten temat. Ale zamiast uzyskać kilka cennych rad na temat wywabiania plam, spotkałem swoją siostrę Deborah, która chodziła za Vince'em i wydawała mu polecenia. Vince analizował zawartość niewielkiej torebki na dowody rzeczowe.

W rogu pomieszczenia stał oparty o ścianę mężczyzna. Nie znałem go. Miał około trzydziestu pięciu lat, ciemne włosy i był średniego wzrostu.

Nikt mi go nie przedstawił, on sam nie zachowywał się groźnie, toteż po prostu przeszedłem obok niego.

Debs popatrzyła na mnie i powitała mnie w swój zwykły miły sposób.

– Gdzie się podziewałeś, do cholery?!

– Byłem na lekcjach tańca – odpowiedziałem. – W tym tygodniu uczymy się tanga. Mam zademonstrować?

Zrobiła kwaśną minę i pokręciła głową.

– Chodź tutaj i zastąp tego kretyna – poprosiła.

– Świetnie, teraz nazywają mnie kretynem! – rzucił gderliwie Vince. – Jesteś taka sprytna, bo Simone Legree wlała ci do połowy do tyłka?

– Skoro tylko do połowy, nie rozumiem, dlaczego się denerwujesz – odpowiedziałem. – Czy mogę przyjąć, że to jakieś nowe materiały związane ze śledztwem w sprawie zabójstwa Marty’ego Kleina? – zwróciłem się grzecznie do Debs.

– Próbuję to ustalić – odpowiedziała. – Ale jeśli będzie się tym zajmował ten dupek, nigdy się nie dowiemy.

Przyszło mi do głowy, że tego ranka Debs i Vince nieustannie mówią o tylnej części ciała, co nie jest moim ulubionym sposobem rozpoczynania dnia. Jednak w pracy należy okazywać tolerancję, toteż puściłem to mimo uszu.

– Znaleźliście coś ciekawego? – spytałem.

– To po prostu jakieś idiotyczne opakowanie z podłogi samochodu Kleina – odpowiedział Vince.

– Opakowanie odjedzenia – dorzucił nieznajomy stojący w rogu. Popatrzyłem na mężczyznę, a potem na Deborah i uniosłem lekko brwi.

– Poznajcie się. To Alex Duarte, mój nowy partner – wyjaśniła, wzruszając ramionami.

– Ach, *mucho gusto* – zwróciłem się do mężczyzny.

– Tak, owszem – odrzekł niepewnie.

– Jakiego jedzenia? – spytałem.

Deborah zacisnęła zęby.

– Właśnie usiłuję się dowiedzieć – stwierdziła. – Jeśli ustalimy, gdzie Klein jadł przed śmiercią posiłek, będziemy mogli wziąć to miejsce pod obserwację i może namierzymy mordercę.

Podszedłem do miejsca, gdzie stał Vince, oglądając zwitek zatłuszczonego białego papieru umieszczonego w plastikowej torebce na materiał dowodowy.

– Bardzo dużo tłuszczu – powiedział. – Powinny się zachować odciski palców. Chciałem po prostu ich poszukać. To standardowa procedura.

– Mamy już odciski Kleina, dupku! – prychnęła Deborah. – Potrzebuję odcisku palca mordercy.

Popatrzyłem przez plastik na zatłuszczony papier. Miał czerwony odcień i chociaż nie jestem specjalistą od opakowań, wydał mi się znajomy. Pochyliłem się, otworzyłem torebkę i powąchałem. Mój katar chwilowo się zmniejszył, zapach był silny i łatwy do rozpoznania.

– Tacos – stwierdziłem.

– *Geshundeit* – rzekł Vince.

– Jesteś pewien? – dopytywała Deborah. – To opakowanie po tacos?

– Na sto procent. Zapach ostrych przypraw jest bardzo charakterystyczny – odpowiedziałem. Uniosłem torebkę i wskazałem małe żółte okruchy w rogu. – A oto resztki potrawy.

– Boże, tacos! – zawołał z przerażeniem Vince. – Jak ludzie mogą jeść takie świństwa?!

– Tacos z sieci Taco Bell? – spytał Duarte.

– Wtedy na papierze byłoby logo, prawda? – odpowiedziałem. – Poza tym Taco Bell ma żółte opakowania. To pochodzi z jakiegoś niewielkiego

baru, może budki ulicznej.

– Świetnie. W Miami są ich tysiące – zauważyła Deborah.

– I wszystkie sprzedają tacos – dodał Vince. – Ohyda! Deborah obrzuciła go pogardliwym spojrzeniem.

– Wiesz, że jesteś kompletnym kretyńcem? – spytała uprzejmie.

– Nie, nie wiem – odparł pogodnie Masuoka.

– Skąd w wozie Kleina wzięło się opakowanie po tacos? – spytał Duarte.

– Kto je jakieś idiotyczne tacos? O co tu chodzi?

– Może nie mógł znaleźć *empanadas*? – odezwałem się.

– Empa... co? – odparł, spoglądając na mnie pustym wzrokiem.

– Czy możecie ustalić, skąd pochodzi to tacos? – spytała Debs. – Na przykład dzięki analizie chemicznej przypraw?

– Debs, na litość boską, to zwyczajne tacos! – powiedziałem. – Wszystkie są takie same.

– Nie, nie wszystkie – odrzekła. – To tacos ma związek ze śmiercią policjanta.

– Mordercze tacos – wtrącił Vince. – Podoba mi się to.

– Może pochodzić z jakiegoś lokalu, o którym zrobiło się głośno – stwierdziłem i Deborah spojrzała na mnie z nadzieją. – Wiecie, czasami rozchodzi się plotka, że u Manny’ego robią świetne burgery, a w Hidalgo najlepsze *medianoche*.

– Tak, ale to przecież tylko tacos – rzekł Vince. – Bądźmy poważni...

– W porządku, więc może jest po prostu tanie albo przygotowuje je dziewczyna w stringach – odpowiedziałem.

– Słyszałem o barze, którego właścicielka, bardzo ładna kobieta, podaje potrawy w bikini – wtrącił Duarte. – Dostarcza jedzenie na budowy i zarabia niezłe pieniądze, wierzcie mi. Tylko dlatego, że pokazuje kawałek biustu.

– Nie wierzę w te idiotyzmy – rzekła Deborah. – Czy wszystkie rozmowy muszą się zawsze kończyć na cyckach?

– Nie zawsze. Czasami się kończą na tyłku – stwierdził Vince, sprytnie wracając do tego tematu. Zacząłem się zastanawiać, czy w pobliżu nie ma ukrytej kamery, która transmituje nasze rozmowy do telewizji, a uśmiechnięty prezenter wręcza nagrody za każdym razem, gdy wypowiadamy słowo „tyłek”.

– Moglibyśmy wypytać innych policjantów, czy nie znają jakichś dobrych lokali, gdzie można kupić tacos – stwierdził Duarte.

– Albo obejrzyć ładne cycki – rzekł Vince. Deborah zignorowała go, za co powinien być jej wdzięczny.

– Dokładnie przebadajcie to opakowanie – rzuciła, po czym odwróciła się i wybiegła z laboratorium. Duarte wyprostował się, skinął głową i podążył za nią.

Patrzyłem, jak odchodzą. Vince mrugnął do mnie, a potem wyszedł, mruknąwszy, że potrzebuje jakiegoś odczynnika. Przez chwilę siedziałem beczynnienie. Moja koszula była ciągle mokra i z irytacją myślałem o Camilli Figg. Stała tuż za mną, zbyt blisko, nie musiała tego robić. Co gorsza, powinienem zauważyć, że ktoś zachodzi do mnie od tyłu w taki sposób. Mógł to być handlarz narkotyków z uzi albo zwariowany ogrodnik z maczetą, groźniejsi niż kubek wstrętnej kawy.

Gdzie jest Mroczny Pasażer, gdy go naprawdę potrzebuję? Siedziałem w zimnym laboratorium ubrany w wilgotną koszulę i byłem pewien, że nie pomoże to mojemu zdrowiu. Nagle poczułem, że za chwilę kichnę, i chwyciłem papierowy ręcznik; na szczęście zdążyłem go przyłożyć do nosa. Tabletki na przeziębienie okazały się zwykłym oszustwem, humbugiem. Były bezwartościowe, jak wszystko na tym żalonym świecie.

Zanim zmieniłem się w kupę śluzu płaczącego nad swoim losem, przypomniałem sobie o czystej koszuli wiszącej za biurkiem w moim gabinecie. Trzymałem ją tam na wypadek, gdybym się pobrudził w pracy. Zdjąłem ją z wieszaka i włożyłem, po czym umieściłem moką, zaplamioną koszulę w plastikowej torbie, by zabrać ją do domu. Była to ładna *guayabera* ze srebrnymi gitarami na kołnierzyku. Może Rita zna jakiś magiczny sposób, by wywabić plamę?

Kiedy wróciłem, Vince był już w laboratorium i zabraliśmy się do pracy. Staraliśmy się naprawdę bardzo. Przeprowadziliśmy wszystkie możliwe analizy – wizualne, chemiczne i elektroniczne – lecz nie znaleźliśmy niczego, co mogłoby ucieszyć moją siostrę. Deborah telefonowała zaledwie trzy razy, co świadczyło o jej zdumiewającej samokontroli. Nie mieliśmy jej nic do powiedzenia. Uważałem za bardzo prawdopodobne, że to opakowanie po *tacos*, nie mógłbym jednak tego stwierdzić pod przysięgą.

Koło południa tabletki na przeziębienie całkowicie przestały działać i znów zacząłem kichać. Usiłowałem nie zwracać na to uwagi, lecz trudno pracować w laboratorium, przyciskając do nosa papierowy ręcznik, toteż w końcu skapitulowałem.

– Muszę wyjść, nim się wysmarkam na materiał dowodowy – rzekłem do Vince’a.

– *Tacos* by to nie zaszkodziło – odpowiedział.

Poszedłem samotnie na lunch do tajskiej restauracji w pobliżu lotniska. Nie czułem głodu, lecz zawsze uważałem, że najlepszym lekarstwem na przeziębienie jest duży talerz pikantnej tajskiej zupy. Kiedy skończyłem jeść, zacząłem się obficie pocić. Bakterie, które zaatakowały mój organizm, powracały do ekosfery Miami, gdzie było ich właściwe miejsce. Poczułem się znacznie lepiej, co sprawiło, że zostawiłem trochę zbyt duży napiwek. Jednak kiedy wyszedłem na dwór, znów zacząłem straszliwie kichać

i odczuwał się ból w kościach. Miałem wrażenie, że ktoś ściska mi stawy imadłami.

Szczęście to iluzja – podobnie jak dobroczynne działanie tajskiej zupy. Poddałem się i wstąpiłem do apteki, by kupić więcej tabletek na przeziębienie. Tym razem wziąłem trzy i kiedy wróciłem do pracy, przestałem kichać, a ból w kościach nieco złagodniał. W końcu mogłem się zająć rutynowymi sprawami. Ponieważ oczekiwałem, że spotka mnie coś nieprzyjemnego, nic się nie stało.

Reszta popołudnia okazała się nieciekawa. Pracowaliśmy dalej, badając opakowanie po tacos przy użyciu wszystkich możliwych technik laboratoryjnych, lecz do końca dnia pracy zdołałem ustalić tylko, że Masuoka nie znosi meksykańskiego jedzenia.

– Dostaję od niego bardzo nieprzyjemnych gazów – stwierdził. – Negatywnie wpływa to na moje życie towarzyskie.

– Nie wiedziałem, że prowadzisz jakieś życie towarzyskie – zauważyłem. Oglądałem okruch tacos pod mikroskopem w złudnej nadziei, że znajdę jakąś wskazówkę, a tymczasem Vince badał tłustą plamę na opakowaniu.

– Oczywiście, że prowadzę życie towarzyskie – rzekł. – Prawie co wieczór chodzę na imprezy. Znalazłem dwa włosy.

– Na imprezie? – spytałem.

– Nie, w tłuszczu – odpowiedział. – Na imprezy cały się gołę.

– Ludzkie włosy?

– Tak, jasne – odparł. – Usuwam sobie ludzkie włosy.

– Mam na myśli włosy na opakowaniu. Czy są ludzkie?

Zmarszczył brwi i spojrzał w mikroskop.

– Raczej szcurze – rzucił. – Kolejny powód, by nie jeść meksykańskiego jedzenia.

– Szczurze włosy nie są specjalnością meksykańskiej kuchni, Vince – odpowiedziałem. – To znaczy, że tacos pochodzi z brudnej budki ulicznej.

– Nie znam się na budkach – stwierdził. – Lubię jeść w miejscach, gdzie są krzesła.

– I coś jeszcze? – spytałem.

– Stoły też się przydają. I srebrne sztucce.

– Czy coś jeszcze jest w tłuszczu? – powtórzyłem, tłumiąc chęć wbicia kciuków w oczodoły Masuoki.

– Nic, to zwyczajny tłuszcz – odparł, wzruszając ramionami.

Badania okruchu tacos również nie dały żadnych rezultatów. Ustaliłem, że potrawę przyrządzono z prażonej kukurydzy, i znalazłem kilka substancji nieorganicznych, prawdopodobnie konserwantów. Wykonaliśmy wszystkie możliwe testy, jakie można było przeprowadzić bez zniszczenia opakowania, i nie znaleźliśmy niczego istotnego. Dowcipy Vince’a nie stały się lepsze i pod koniec dnia mój humor się nie poprawił. Czułem się nawet gorzej niż rano. Odparłem jeszcze jeden telefoniczny atak Debs, schowałem materiał dowodowy i ruszyłem w stronę drzwi.

– Wybierasz się na tacos? – zawołał za mną Vince.

– Pocałuj mnie w dupę – odrzekłem. Ja także miałem prawo coś powiedzieć na temat tylnej części ciała.

6

Wracalem do domu w godzinie szczytu, co jak zwykle odbywalo sie bardzo nerwowo. Kierowcy agresywnie sie wyprzedzali, cudem unikajac kolizji. Na zjeździe z autostrady Palmetto plonął pick-up. Obok niego stal ze znudzoną miną mężczyzna ubrany tylko w dzinsy i pognieciony kowbojski kapelusz; na plecach miał duży tatuaż przedstawiający orła i trzymał w ręku papierosa. Wszyscy zwalniali, by popatrzeć na pożar, a z tyłu słyszałem wycie syreny wozu strażackiego, który usiłował dotrzeć do płonącego pojazdu, przedzierając się przez korki. Gdy mijalem miejsce wypadku, znów zaczęło mi ciec z nosa i kiedy w dwadzieścia minut później dotarłem do domu, bez przerwy kichałem.

– Wlusiłem! – zawołałem, przechodząc przez próg, i w odpowiedzi rozległa się salwa odpalanych pocisków. Cody znów grał na Wii, niszcząc przeciwników zmasowanym ogniem artylerii. Zerknął na mnie, po czym znów wbił wzrok w ekran telewizora; jak na niego było to ciepłe powitanie. – Gdzie mama? – spytałem.

– W kuchni – odrzekł, kiwając głową w stronę drzwi. Była to dobra wiadomość; obecność Rity w kuchni oznaczała, że wkrótce pojawi się coś pysznego. Z przyzwyczajenia pociągnąłem nosem, by wyczuć zapach potrawy, co okazało się kiepskim pomysłem, ponieważ podrażniło mi zatoki i zacząłem kichać.

– Dexter! – zawołała z kuchni Rita.

– Apsik! – odpowiedziałem.

– Och! – Stała w drzwiach. Miała na rękach gumowe rękawiczki i trzymała duży nóż. – Masz straszny katar!

– Owszem – odpowiedziałem. – Skąd te rękawiczki?

– Rękawiczki? Gotuję ci zupę – wyjaśniła, machając nożem. – Z papryczkami, żebyś miał... Specjalnie dla ciebie, bo Cody i Astor nie lubią papryki.

– Nie znoszę ostrych potraw – odezwała się Astor, która wyszła ze swojego pokoju i usiadła na kanapie obok Cody'ego. – Dlaczego musimy jeść zupę?

– Możecie dostać hot doga – stwierdziła Rita.

– Nie znoszę hot dogów – rzuciła Astor.

Rita zmarszczyła brwi i pokręciła głową. Na czoło opadł jej kosmyk włosów.

– Jeśli nic ci nie smakuje, możesz chodzić głodna! – powiedziała ze złością. Poprawiła włosy i wróciła do kuchni. Popatrzyłem na wychodzącą Ritę, lekko zdziwiony. Prawie nigdy nie dawała się wyprowadzić z równowagi i nie pamiętałem, by wcześniej zwróciła się do Astor takim tonem. Kichnąłem i podszedłem do kanapy.

– Starajcie się nie denerwować mamy – poprosiłem. Astor spojrzała na mnie i się odsunęła.

– Nie zaraż mnie katarą – burknęła, obrzucając mnie groźnym wzrokiem.

Spojrzałem na czubek jej głowy. Miałem ochotę ją walnąć jakimś tępym narzędziem, lecz zdawałem sobie sprawę, że dyscyplinowanie dziecka w tak brutalny sposób nie jest akceptowane w społeczeństwie, w którym staram się normalnie funkcjonować. Nie mogłem winić Astor, że jest

w złym humorze, podobnie jak Rita i ja. Może w letnim deszczu znalazły się jakieś toksyczne substancje, które wywołują napady złego nastroju?

Dlatego po prostu głęboko odetchnąłem, oddaliłem się od naburmuszonej Astor i poszedłem w stronę kuchni, by sprawdzić, czy jestem w stanie poczuć zapach gotującej się zupy. Zatrzymałem się w progu. Rita stała koło kuchenki, odwrócona do mnie plecami. Otaczał ją obłok pary o apetycznym wyglądzie. Zrobiłem krok naprzód i pociągnąłem nosem.

Oczywiście kichnąłem, bardzo głośno i dźwięcznie, najwyraźniej zaskakując Ritę, ponieważ podskoczyła i upuściła trzymany kieliszek, który rozbił się na podłodze.

– Cholera! – zakląła, co znów mnie zdziwiło. Spojrzała na kałużę wina rozlewającą się u jej stóp i się zaczerwieniła. – To tylko... Postanowiłam czegoś się napić w czasie gotowania, a potem mnie przestraszyłeś.

– Przepraszam. Chciałem tylko powąchać zupę.

– Ale przecież... – Urwała, po czym wybiegła na korytarz i wróciła ze szczotką i śmietniczką. – Zajrzyj do Lily Anne. Może trzeba jej zmienić pieluszkę.

Patrzyłem przez chwilę na sprzątającą Ritę. Miała zaczerwienione policzki i unikała mojego wzroku. Czułem, że coś jest nie w porządku, lecz nie potrafiłem się domyślić, o co chodzi. Chyba liczyłem, że jeśli będę na nią patrzył dostatecznie długo, wreszcie przyjdzie mi do głowy jakieś wyjaśnienie – może pojawią się napisy albo ukaże się mężczyzna w fartuchu laboratoryjnym, który wręczy mi ilustrowaną broszurę w ośmiu językach? Nic takiego się jednak nie stało. Pochylona Rita sprzątała kawałki szkła i wycierała wino, a ja ciągle nie miałem pojęcia, dlaczego zachowuje się tak dziwnie.

Wyszedłem z kuchni i udałem się do sypialni, gdzie leżała w łóżeczku Lily Anne. Nie była zupełnie rozbudzona, ale wierciła się niespokojnie,

jakby jej także udzieliło się ogólne zdenerwowanie. Pochyliłem się i sprawdziłem pieluchę – należało ją zmienić, śpioszki wybrzuszały się w kroku. Wyjąłem córeczkę z łóżeczka i zaniósłem na przewijak. Natychmiast się obudziła, co utrudniało zmianę pieluchy, ale przyjemnie było przebywać w towarzystwie kogoś, kto na mnie nie warczy.

Później zabrałem ją do swojego gabinetu, by nie oglądała mordowania potworów na ekranie Wii. Usiadłem przy biurku i posadziłem ją sobie na kolanach. Bawiła się długopisem, stukając w blat z dużym skupieniem i wyczuciem rytmu. Wyjąłem z pudełka chusteczkę higieniczną i wytarłem sobie nos. Powiedziałem sobie, że katar minie po kilku dniach, i należy go traktować jako drobną niedogodność. Poza tym wszystko jest w porządku, czuję się świetnie i jestem szczęśliwy. Moje życie rodzinne układa się idealnie i odnoszę sukcesy w pracy. Wkrótce wytropię człowieka sprawiającego mi kłopoty i zaproszę na intymne spotkanie, które dostarczy mi czystej rozkoszy.

Wyjąłem listę hond i położyłem na biurku. Jak dotychczas wyeliminowałem trzy nazwiska. Jeśli będę pracował w tak wolnym tempie, poszukiwania zajmą kilka tygodni. Chciałem je przyśpieszyć, znaleźć drogę na skróty i pochyliłem się nad listą, by poszukać drobnych wskazówek ukrytych między wierszami. W tej samej chwili Lily Anne stuknęła długopisem w papier. „Na! Na! Na!”, zawołała i oczywiście miała rację. Musiałem być cierpliwy, staranny i ostrożny. Znajdę go, obedrę ze skóry i wszystko jakoś się ułoży...

Kichnąłem. Lily Anne się wzdrygnęła, a potem chwyciła listę, pomachała nią i rzuciła na podłogę. Popatrzyła na mnie, rozpromieniona, bardzo dumna z siebie. Skinąłem głową, podziwiając jej mądrość. Było to jasne stwierdzenie: Dość bujania w obłokach. Mamy pracę do wykonania.

Ale zanim zaczęliśmy pracować nad reformą systemu podatkowego, z korytarza dobiegł piękny dźwięk.

– Dexter! Dzieci! – zawołała Rita. – Kolacja gotowa!

Popatrzyłem na Lily Anne.

– Da! – powiedziała i przyznałem jej rację. Poszliśmy do kuchni.

□□□

Nazajutrz był piątek, co miało swoje zalety. Nie był to przyjemny tydzień i cieszyłem się, że wreszcie się skończy – spędzę weekend w domu i wyleczę się z kataru. Jednak najpierw musiałem wytrzymać kilka ostatnich godzin w pracy.

Do południa zażyłem sześć tabletek na przeziębienie i zużyłem pół rolki papierowych ręczników. Kiedy zająłem się drugą połową rolki, do laboratorium weszła Deborah. Vince i ja poddaliśmy opakowanie po tacos wszystkim możliwym testom i nic nie znaleźliśmy. Masuoka nie chciał się zgodzić na losowanie, który z nas ma do niej zadzwonić, by to powiedzieć, toteż zaszczyt ten przypadł mnie. Trzy minuty później wkroczyła do laboratorium niczym mściwa furia.

– Miałam nadzieję, że coś od was dostanę, kurwa! – rzuciła w progu.

– Może środek na uspokojenie? – zasugerował Vince i uznałem, że tym razem trafił w dziesiątkę.

Deborah spojrzała na niego, a potem na mnie, i zacząłem się zastanawiać, czy zdążę uciec. Ale nim wyrządziła nam trwałe szkody fizyczne, rozległo się szuranie koło drzwi i spojrzeliśmy w tamtą stronę. W progu stała Camilla Figg. Popatrzyła na mnie, zarumieniła się, rozejrzała po laboratorium i powiedziała:

– Och, przepraszam... Nawet nie tutaj...

Przełknęła ślinę, po czym szybko odeszła korytarzem, nim zdążyliśmy się zastanowić, o co jej chodziło.

Zerknąłem z powrotem na Deborah, spodziewając się, że znów zacznie się wściekać. Jednak ku mojemu zdziwieniu nie wyciągnęła broni ani nawet mnie nie uderzyła. Zamiast tego odetchnęła głęboko i wyraźnie się uspokoiła.

– Ten psychol, który zmasakrował Marty’ego Kleina, jest naprawdę groźny – powiedziała.

Vince otworzył usta, prawdopodobnie chcąc wygłosić jakąś dowcipną uwagę. Deborah popatrzyła na niego wzrokiem, który sprawił, że się rozmyślił i zamknął usta.

– Myślę, że znowu to zrobi – stwierdziła. – Wszyscy policjanci tak uważają. Sądzą, że to jakiś wariat w stylu Freddy’ego Kruegera. Bardzo się boją i chcą, żebym go szybko złapała. Mam tylko jedną wskazówkę: opakowanie po tacos. – Wzruszyła ramionami i pokręciła głową. – Wiem, że to niewiele, ale nie znaleźliśmy nic więcej... Proszę, chłopcy... Dex, czy możecie zrobić coś jeszcze?

Widać było, że bardzo jej zależy i że prosi szczerze. Vince popatrzył na mnie z niepewnym wyrazem twarzy. Nie był dobry w naśladowaniu szczerości i wydawał się zbyt zdenerwowany, by odpowiedzieć, toteż musiałem to zrobić ja.

– My także chcielibyśmy złapać tego gościa, Debs, ale doszliśmy do ściany – odrzekłem. – Opakowanie jest standardowe, pochodzi z nieokreślonego punktu sprzedaży. Wiemy tylko, że w środku znajdowało się tacos, choć nie zeznałbym tego pod przysięgą. Żadnych odcisków palców, śladów. Nie jesteśmy czarodziejami. – Kiedy wypowiedziałem słowo „czarodziejami”, w mojej głowie pojawił się obraz kłowna przywiązanego do stołu taśmą klejącą. Odepchnąłem przyjemne

wspomnienie i skupiłem się na Debs. – Bardzo mi przykro – dodałem. Szczerść brzmiąca w moim głosie była prawie autentyczna. – Zrobiliśmy wszystko co możliwe.

Deborah spoglądała na mnie przez dłuższą chwilę. Odetchnęła głęboko, popatrzyła na Vince'a, a potem pokręciła powoli głową.

– W porządku – stwierdziła. – Wobec tego musimy czekać, aż znów zaatakuje, i liczyć na więcej szczęścia. – Odwróciła się i wyszła z laboratorium znacznie wolniejszym krokiem niż poprzednio.

– Wow! – odezwał się Vince ściszym głosem. – Jeszcze nigdy jej takiej nie widziałem... – Pokręcił głową.

– Przerazające...

– Chyba naprawdę przejmuje się tą sprawą – zauważyłem.

Pokręcił przecząco głową.

– Nie, po prostu się zmienia – odparł. – Macierzyństwo sprawiło, że zmiękła.

Mogłem powiedzieć, że nie jest taka miękka jak inspektor Klein, lecz Vince mógłby to uznać za kiepski dowcip. Zresztą jego spostrzeżenie było trafne. Po urodzeniu syna Nicholasa Deborah naprawdę zmiękła. Dziecko stanowiło prezent pożegnalny od Kyle'a Chutsky'ego, przyjaciela, który mieszkał z nią przez kilka lat, a potem zniknął. Nicholas przyszedł na świat parę miesięcy po Lily Anne i był dość sympatyczny, ale w porównaniu z moją córką wydawał się tępy i brzydki.

Deborah go uwielbiała, co było naturalne, i po jego urodzeniu rzeczywiście złagodniała. Mimo to bardziej lubiłem dawną Debs. Wolałbym znosić jej straszliwe uderzenia łokciem, niż widzieć ją w takim podłym nastroju. Nie mogliśmy jednak zrobić nic więcej, nawet jeśli nas o to prosiła. Stare opakowanie po tacos znalezione na podłodze samochodu

to niewielka wskazówka; nie dawało się z niego wyciągnąć prawie żadnych informacji.

Zastanawiałem się nad tym problemem przez cały dzień, usiłując wymyślić jakiś sprytny sposób, który sprawiłby, że zabójstwo Kleina ukazałoby się w nowym świetle. Bez rezultatu. Mam duże umiejętności zawodowe i jestem z tego dumny. Chciałbym, by moja siostra była zadowolona i odnosiła sukcesy, lecz teraz nie mogliśmy jej pomóc. Było to frustrujące, źle wpływało na moje poczucie własnej wartości i potęgowało ponury nastrój.

O piątej z ulgą opuściłem laboratorium, gdzie stale towarzyszyło mi napięcie, i miałem nadzieję, że spędzę miły weekend w domu. Był piątek wieczór i jazda samochodem okazała się gorsza niż zwykle. Kierowcy, jak zazwyczaj zachowywali się agresywnie i reagowali złością; towarzyszył temu dziwny, świąteczny nastrój, jakby energia gromadząca się w trakcie całego tygodnia wreszcie znajdowała ujście, powiększając chaos panujący na ulicach. Na autostradzie Dolphin cysterna uderzyła od tyłu w osobowy bus wiozący mieszkańców osiedla dla emerytów. Do kraksy doszło przy prędkości dziesięciu kilometrów na godzinę, lecz tył busa został wgnieciony, a auto popchnięte przez cysternę uderzyło w piętnastoletnią toyotę z połatanymi oponami.

Jechałem w ślimaczym tempie obok miejsca wypadku w długim rzędzie samochodów. Kierowcy spoglądali na szofera cysterny, który wrzeszczał na czterech pasażerów toyoty i na grupkę przerażonych emerytów z busa na poboczu.auta zatrzymały się, a potem znów powoli ruszyły. Zanim dotarłem do autostrady Dixie, widziałem jeszcze dwie stłuczki. Mimo to dzięki połączeniu zręczności, długoletniej praktyki i ślepego szczęścia dotarłem do domu bez poważnych urazów.

Zaparkowałem swój samochód za dwuletnim SUV-em, który stał przed naszym domem – jak w każdy piątek przyjechał do nas na kolację mój brat Brian. Robił to od roku, odkąd pojawił się w Miami; najwyraźniej zależało mu na utrzymywaniu kontaktów ze mną, swoim jedynym żyjącym krewnym. Zaprzyjaźnił się z Codym i Astor, którzy natychmiast się zorientowali, że jest chłodnym, pustym mordercą, podobnie jak ja, i chcieli być tacy sami jak on. Rita, okazując tę samą znakomitą zdolność oceny mężczyzn, która skłoniła ją do poślubienia dwóch potworów z kolei, akceptowała koszmarnie sztuczne pochlebstwa Briana i uważała go za wspaniałego faceta. A ja? Cóż, ciągle nie mogłem uwierzyć, że Brian nie ma jakiegoś ukrytego celu, by się wokół nas kręcić, ale był moim bratem, a rodzina to rodzina. Nie wybieramy sobie krewnych. Najlepsze, na co możemy liczyć, to przeżyć, zwłaszcza w mojej rodzinie.

Lily Anne bawiła się w kojcu, a Brian i Rita siedzieli obok siebie na kanapie pogrążeni w poważnej rozmowie. Kiedy wszedłem, spojrzeli na mnie i miałem wrażenie, że w oczach Rity pojawiło się poczucie winy. Z twarzy Briana nie dało się niczego wyczytać. Na pewno nie mógł się czuć winny i jak zwykle uśmiechnął się do mnie fałszywie.

– Witaj, bracie! – rzekł.

– Dexter, Brian i ja rozmawialiśmy... – odezwała się Rita, prawdopodobnie chcąc mnie przekonać, że nie wykonywali operacji mózgu jednego z sąsiadów. Zerwała się z kanapy, podeszła do mnie, objęła i cmoknęła w policzek.

– Cudownie – odpowiedziałem i kichnąłem.

Rita odskoczyła i zdołała uniknąć kontaktu z chmurą zarazków, które wyleciały z mojego nosa.

– Ach, przyniosę chusteczki... – powiedziała, po czym wyszła z salonu i podążyła do łazienki.

Wytarłem nos rękawem i usiadłem w fotelu. Popatrzyłem na brata, a on odwzajemnił moje spojrzenie. Brian rozpoczął niedawno pracę w dużej kanadyjskiej firmie handlującej nieruchomościami na południu Florydy. Jego zadanie polegało na nawiązywaniu kontaktu z ludźmi, których domy miały zostać odebrane przez banki, i zachęcaniu do natychmiastowej wyprowadzki. Teoretycznie powinni otrzymywać pewną kwotę, zwykle około tysiąca pięciuset dolarów, po czym firma Briana mogła nabyć nieruchomość od banku i odsprzedać z zyskiem. Mówię „teoretycznie”, ponieważ ostatnio brat dysponował dużymi sumami pieniędzy i wyglądał na szczęśliwego człowieka, toteż byłem pewien, że przywłaszcza sobie gotówkę i stosuje mniej konwencjonalne sposoby opróżniania domów. Jeśli ktoś ma długi hipoteczne, zwykle pragnie zniknąć na jakiś czas – dlaczego Brian nie mógłby mu pomóc zniknąć permanentnie?

Nie miałem, oczywiście, żadnych dowodów – zresztą jego sprawy zawodowe niewiele mnie obchodziły, dopóki pojawiał się w domu z czystymi rękami i przyzwoicie się zachowywał. Mimo to miałem nadzieję, że pozbył się swojego fantazyjnego stylu i stał się ostrożniejszy.

– Jak interesy? – spytałem uprzejmie.

– Średnio – odpowiedział. – Podobno sytuacja na rynku się poprawia, ale osobiście tego nie zauważyłem. Miło jest przebywać w Miami.

Uśmiechnąłem się grzecznie, przede wszystkim, by mu pokazać, jak powinien wyglądać naprawdę dobry fałszywy uśmiech, a Rita wróciła z pudełkiem chusteczek higienicznych.

– Proszę – rzekła, wręczając mi je. – Dlaczego po prostu nie nosisz ich przy sobie? O, do licha, minutnik! – zawołała i wybiegła do kuchni.

Brian i ja obserwowaliśmy ją z ciekawością i podziwem; mieliśmy podobny wyraz twarzy.

– Bardzo piękna kobieta – odezwał się mój brat. – Szczęściarz z ciebie, Dexter.

– Tylko nie mów tego przy Ricie – poprosiłem. – Może pomyśleć, że mi zazdrościsz, a ma samotne przyjaciółki.

Zrobił zdziwioną minę.

– Ach, przepraszam, nie pomyślałem o tym – rzekł. – Naprawdę mogłaby zacząć mnie swatać?

– W jednej chwili – odparłem. – Uważa, że małżeństwo to najlepsza rzecz, jaka może spotkać mężczyznę.

– A tak nie jest?

– Szczęście rodzinne ma wiele zalet. Jestem pewien, że Rita byłaby zachwycona, gdybyś mógł go zakosztować.

– Ach... – westchnął i popatrzył na mnie w zamyśleniu. – Wydaje się, że małżeństwo ci służy.

– Chyba można odnieść takie wrażenie.

– Chcesz powiedzieć, że jednak nie służy? – spytał, marszcząc brwi.

– Nie wiem – odparłem. – Myślę, że jest okay. Chociaż ostatnio...

– Światło wydaje się przygaszone, smak nieco mdły?

– Coś w tym rodzaju – przyznałem. W gruncie rzeczy nie miałem pojęcia, czy Brian po prostu ze mnie nie drwi.

Spojrzał na mnie poważnie i przynajmniej raz wyraz jego twarzy nie wydawał się sztuczny.

– Dlaczego któreś nocy nie wybierzesz się ze mną na wycieczkę? – spytał cicho; w jego głosie zabrzmiała szczerłość. – Urządzimy sobie wieczór kawalerski. Rita nie powinna się sprzeciwić.

Nie mogło być absolutnie żadnych wątpliwości, o co mu chodzi. Miał tylko jedną rozrywkę i wiedziałem, że od dawna marzy o wspólnej zabawie ze mną, swoim jedynym krewnym, z którym tak wiele go łączyło –

braterstwo krwi oraz noża. I, szczerze mówiąc, wydało mi się to wręcz niezdolnie pociągające, ale... ale...

– Czemu nie, bracie? – spytał cicho, pochylając się do przodu z autentycznym napięciem na twarzy. – Dlaczego nie mielibyśmy tego zrobić razem?

Spoglądałem nań przez chwilę, nie wiedząc, czy z radością przyjąć jego propozycję, czy ją odrzucić, może dotykając dłonią czoła i wydając okrzyk: *Retro me, Brianus!* Zanim jednak dokonałem wyboru, jak zwykle wtrąciło się życie i podjęło decyzję za mnie.

– Dexter! – wrzasnęła ze swojego pokoju Astor z furią jedenastolatki skłonnej do napadów złego humoru. – Odrabiam pracę domową z matematyki i potrzebuję pomocy! Natychmiast!

Popatrzyłem na Briana i pokręciłem głową.

– Przepraszam cię, bracie. Mam nadzieję, że się nie pogniewasz?

Usiadł wygodnie na kanapie i uśmiechnął się fałszywie.

– Mmm, szczęście rodzinne... – rzekł.

Wstałem i poszedłem pomóc Astor w lekcjach.

7

Astor siedziała w pokoju, który dzieliła z Codym, pochylona nad skrzynią służącą im za biurko. Prawdopodobnie na początku na jej twarzy malowało się skupienie, lecz stopniowo zmieniło się w grymas frustracji. Stamtąd był już tylko krok do groźnego spojrzenia, którym mnie obrzuciła, gdy wszedłem do pokoju.

– To jakieś kompletne gówno! – warknęła z taką wściekłością, że zastanawiałem się, czy nie poszukać broni. – Nie ma w tym ani krzty sensu!

– Nie powinnaś używać brzydkich słów – rzekłem dość łagodnym tonem, bo byłem pewien, że gdybym zareagował ostrzej, rzuciłaby się na mnie z pięściami.

– Chodzi ci o słowo „sens”? – spytała pogardliwie. – W tym kretyńskim podręczniku na pewno go nie ma! – Zatrasnęła książkę i rozwaliła się na krześle z rękami założonymi na piersi. – Pierdoły! – rzuciła, zerkając na mnie kątem oka, by sprawdzić, czy ujdzie jej to na sucho.

Udałem, że nie słyszę, i podszedłem do niej.

– Przeczytaj mi to zadanie – poprosiłem.

Pokręciła głową, nie unosząc oczu.

– Bezużyteczne pierdoły! – mruknęła. Kichnąłem i wyciągnąłem chusteczkę higieniczną. – Jeśli zarazę się od ciebie katarem, to przysięgam, że... – dodała, wciąż nie patrząc na mnie. Nie powiedziała, co mnie czeka, ale sądząc po tonie jej głosu, nie było to nic miłego.

Schowałem chusteczkę do kieszeni, pochyliłem się nad biurkiem i otworzyłem książkę.

– Nie zarazisz się ode mnie, wziąłem witaminę C – powiedziałem, próbując zbagatelizować problem. – Na której stronie jest to zadanie?

– Kiedy dorosnę, te idiotyzmy nie będą mi do niczego potrzebne! – zrzędziła dalej.

– Może to prawda, ale teraz musisz je znać – stwierdziłem. Zacisnęła zęby i milczała, więc ciągnąłem: – Chcesz zostać na zawsze w szóstej klasie, Astor?

– Mam jej dość! – syknęła.

– Jedyne sposobem uwolnienia się to zdać do siódmej. A do tego musisz umieć rozwiązać to zadanie.

– To głupoty! – burknęła, lecz miałem wrażenie, że zaczyna mięknąć.

– W takim razie nie powinien to być dla ciebie żaden problem, bo nie jesteś głupia – odparłem. – Chodź, zobaczmy, o co chodzi.

Opierała się jeszcze przez minutę, lecz w końcu skłoniłem ją do otwarcia książki na odpowiedniej stronie. Było to stosunkowo proste zadanie dotyczące układu współrzędnych i gdy się uspokoiła, bez trudu wszystko jej wyjaśniłem. Zawsze byłem dobry w matematyce. W porównaniu z ludzkim zachowaniem wydaje się jasna i logiczna. Astor nie miała naturalnego talentu matematycznego, ale szybko załapała, o co chodzi. Kiedy w końcu zamknęła książkę, wydawała się znacznie spokojniejsza i prawie zadowolona, toteż postanowiłem zaryzykować i poruszyć kolejny ważny temat.

– Astor, twoja mama prosiła, żebym z tobą porozmawiał o stałym aparacie ortodontycznym – zacząłem. Musiałem nieświadomie użyć tonu, jakim dorośli rozpoczynają poważne rozmowy z dziećmi, gdyż spojrzała na mnie z wyrazem czujnego niepokoju.

– Mama chce mi zrujnować życie! – zawołała gniewnie, reagując z gwałtownością typową dla nastolatki. – Będę brzydka i nikt nawet na mnie nie spojrzy!

– Nie będziesz brzydka – powiedziałem.

– Te metalowe druty na zębach wyglądają ohydnie! – rzuciła płaczliwie.

– Możesz wyglądać ohydnie teraz, przez kilka miesięcy, albo przez całe życie, gdy dorośniesz. Wybór jest prosty.

– Czy nie można po prostu zrobić jakiejś operacji? – jęknęła. – Nie poszłabym do szkoły przez kilka dni i sprawa byłaby załatwiona.

– Nie da się tego zrobić w ten sposób – odparłem.

– Będę wyglądać jak cyborg i wszyscy będą się ze mnie śmiać!

– Dlaczego uważasz, że będą się śmiać?

Popatrzyła na mnie z rozbawioną pogardą, która przydawała jej wieku.

– Chodziłeś kiedyś do szóstej klasy? – spytała.

Było to dobre pytanie, lecz nie chciałem na nie odpowiadać.

– Szósta klasa nie trwa wiecznie; nie musisz nosić aparatu do końca życia – odrzekłem. – Kiedy go zdejmą, będziesz mieć piękne zęby i uśmiech.

– Nie mam żadnych powodów, by się uśmiechać!

– Za kilka lat będziesz miała. Zaczнеш chodźć na imprezy, dyskoteki i przyda ci się piękny uśmiech. Powinnaś myśleć perspektywicznie.

– Perspektywicznie! – prychnęła, jakbym użył brzydkiego słowa. – Perspektywicznie jest to, że przez cały rok będę wyglądać jak dziwoląg i wszyscy to zapamiętają! Na zawsze zostanę dziewczyną z ogromnym, koszmarnym aparatem ortodontycznym!

Zacząłem poruszać ustami, lecz nie wydobyły się z nich żadne dźwięki. Astor myliła się w tak wielu sprawach, że nie wiedziałem, od czego zacząć.

Zabarykadowała się w wysokiej wieży nastoletniego gniewu i nie miałem szans jej przekonać.

Na szczęście nie zdążyłem niczego powiedzieć i dalej narażać na szwank swojej opinii świetnego negocjatora, ponieważ z korytarza dobiegł głos Rity:

– Dexter! Astor! Kolacja!

Ciągle miałem otwarte usta, gdy Astor wyszła z pokoju i krótka rozmowa na temat aparatu ortodontycznego dobiegła końca.

□□□

Obudziwszy się w poniedziałek rano, nadal kichałem i czułem ból w kościach. Przez chwilę, tuż po obudzeniu, miałem wrażenie, że psychopata, który zmasakrował inspektora Kleina, w jakiś sposób dostał się w nocy do mojego pokoju i zrobił ze mną to samo. Ale później usłyszałem spuszczenie wody w toalecie i Rita pośpieszyła przez sypialnię do kuchni. Normalne życie wstało chwiejnie na nogi i rozpoczęło następny dzień.

Przeciągnąłem się, czując ból w kościach. Zastanawiałem się, czy jestem zdolny do empatii, myśląc o Kleinie. Nie wydawało się to prawdopodobne – nigdy nie doświadczałem takich emocji i nawet magiczne zdolności Lily Anne nie mogły sprawić, bym się zmienił w ciągu jednej nocy. Prawdopodobnie to tylko kaprysy mojej podświadomości.

Kiedy jednak wstałem i zająłem się rutynowymi porannymi czynnościami (jedną z nich stało się kichanie), zastanawiałem się nad obrażeniami Kleina. Jego skóra nie została uszkodzona; bito go z wielką siłą, lecz nie pojawiła się krew. Domyślałem się, że był w pełni świadomy w chwili, gdy łamano mu wszystkie kości – Mroczny Pasażer syknął na znak zgody. Czuł każde uderzenie, każdy potworny cios młota, aż wreszcie,

po bardzo długich cierpieniach, zmarł wskutek obrażeń wewnętrznych. Było to znacznie gorsze od kataru i mało zabawne, zwłaszcza dla Kleina.

Chociaż metoda zabójstwa budziła we mnie niesmak i wywoływała pogardę Mrocznego Pasażera, naprawdę zacząłem odczuwać coś w rodzaju empatii – owszem, lecz nie dla Kleina. Braterskie uczucie, zapuszczające śliskie macki w moich myślach, dotyczyło mordercy Kleina. Był to oczywiście kompletny idiotyzm, ale usłyszałem cichy szept, który stwierdził, że moje pretensje sprowadzają się do wyboru niewłaściwego narzędzia zbrodni. Czy nie dbałem o to, by Valentine był przez cały czas przytomny, gdy się nim zajmowałem? Oczywiście zasłużył na to, molestując i zabijając małych chłopców – ale kto jest zupełnie niewinny? Może inspektor Klein był oszustem podatkowym, bił żonę albo mlaskał przy stole? Mógł zasługiwać na to, co zrobił z nim tak zwany psychopata, doprawdy, czy sam nie jestem psychopatą?

Świetnie zdawałem sobie sprawę, że to nieprzyjemne rozumowanie ma wiele słabych stron, lecz przez cały czas czułem lekką odrazę do samego siebie. Towarzyszyła mi ona, gdy jadłem śniadanie, kichałem, przygotowywałem się do wyjścia do pracy, znów kichałem, aż w końcu wziąłem dwie tabletki na przeziębienie i ruszyłem w stronę drzwi, kichając.

Nie mogłem się uwolnić od absurdalnej myśli, że jestem bardziej winny od mordercy Kleina, ponieważ on zabił tylko jedną osobę, a ja przechowywałem kasetkę z drewna różanego z pięćdziesięcioma dwoma pamiątkowymi szkiełkami laboratoryjnymi – każde z nich oznaczało jednego martwego towarzysza zabaw. Czy to znaczy, że jestem pięćdziesiąt dwa razy gorszy?

Wydawało się to oczywistym nonsensem – to, co zrobiłem, było całkowicie usprawiedliwione, zgodne z Kodeksem Świętego Harry’ego, korzystne dla społeczeństwa, a poza tym bardzo zabawne. Te rozważania

tak mnie pochłonęły, że mój instynkt samozachowawczy zaczął funkcjonować dopiero wtedy, gdy opuściłem autostradę U.S. 1 i znalazłem się na wjeździe na autostradę Palmetto. Nagle usłyszałem cichy ostrzegawczy syk, który stał się na tyle uporczywy, że zwrócił moją uwagę, przebijając się przez mgłę egoistycznych myśli. Kiedy wreszcie zacząłem go słuchać, zmienił się w jedną, konkretną myśl.

Ktoś mnie obserwuje.

Nie wiem, dlaczego byłem tego pewien, lecz nie miałem żadnych wątpliwości. Prawie fizycznie czułem na sobie czyjś wzrok, jakby ktoś muskał mi kark nożem ostrym jak brzytwa. Mrowienie skóry było równie wyraźne jak ciepło promieni słońca – ktoś na mnie patrzył, właśnie na mnie, i na pewno nie robił tego z sympatią.

Rozsądek podpowiadał mi, że w czasie porannej godziny szczytu w Miami wielu ludzi może spoglądać na mnie z niesmakiem, a nawet nienawiścią, z dowolnego powodu – może komuś nie podoba się mój samochód, a mój profil przypomina nauczyciela matematyki z ósmej klasy? Ale rozsądkowi sprzeciwiała się ostrożność: przyczyna nie jest istotna, ważne jest, że to się dzieje. Ktoś mnie obserwuje we wrogi sposób i muszę ustalić kto to taki.

Rozejrzałem się powoli, od niechcienia. Jechałem wśród innych samochodów, takich samych jak każdego ranka. Po prawej stronie znajdowały się dwa pasy ruchu wypełnione autami: odrapana impala, a za nią stary ford z bagażnikiem turystycznym na dachu. Dalej zauważyłem toyoty, hummery i bmw, lecz żaden z nich nie wydawał się groźniejszy od innych.

Znów spojrzałem przed siebie, przejechałem kilka metrów i powoli zacząłem obracać głowę w lewo...

Nagle rozległ się pisk opon, ryk klaksonów, po czym dostrzegłem starą hondę, która gwałtownie skręciła na pobocze, zawróciła i zjechała z powrotem na autostradę U.S. 1. Ruszyła na północ, minęła skrzyżowanie, a potem zniknęła w bocznej uliczce. Zauważyłem przekrzywione tylne światło i ciemną plamę na bagażniku.

Spoglądałem za hondą, aż wyrwały mnie z zamyślenia klaksony innych samochodów. Usiłowałem sobie wmówić, że to czysty zbieg okoliczności. Dobrze wiedziałem, ile jest w Miami starych hond; wszystkie znajdowały się na mojej liście. Jak dotychczas obejrzałem tylko osiem; niewykluczone, że tej jeszcze nie sprawdziłem. Mógł to być zwykły idiota, który nagle zmienił zdanie i postanowił jechać do pracy inną trasą, przypomniał sobie, że zostawił w domu włączony czajnik albo na biurku płytkę CD z prezentacją w PowerPoincie.

Ale niezależnie od tego, ile banalnych powodów wymyślałem, by wyjaśnić zachowanie kierowcy hondy, czułem mroczną pewność, że spoglądał on na mnie złym wzrokiem. Kiedy się odwróciłem, by na niego popatrzeć, nagle odjechał, jakby ścigały go demony. Ja i Mroczny Pasażer dobrze wiedzieliśmy, co to naprawdę znaczy.

Poczułem lekkie mdłości i spociły mi się dłonie. Czy to możliwe? Czy człowiek, który widział mnie tamtej nocy, mógł mnie odnaleźć? Wytropić, zanotować numer rejestracyjny mojego samochodu, śledzić? Było to wyjątkowo nieprawdopodobne – szanse wydawały się astronomicznie małe – lecz czy to się stało?

Zacząłem się nad tym zastanawiać. Nie istniał żaden związek między Dexterem Morganem, znakomitym technikiem kryminalistycznym, a domem, gdzie widziano mnie z Valentinem. Pojechałem tam samochodem kłowna i w ten sam sposób opuściłem to miejsce; nikt mnie nie śledził.

Pozostawała magia albo zbieg okoliczności. Chociaż nie mam nic przeciwko Harry'emu Potterowi, uznałem to drugie za bardziej prawdopodobne. Pusty dom znajdował się zaledwie półtora kilometra od skrzyżowania autostrady Palmetto z autostradą U.S. 1. Już wcześniej przyjąłem, że Świadek mieszka w tym rejonie – jeśli tak było, musiał jeździć do pracy autostradą U.S. 1, a prawdopodobnie również Palmetto. Większość ludzi rozpoczyna pracę o podobnej godzinie i wszyscy mieszkańcy tej dzielnicy poruszają się podobnymi trasami. Było to boleśnie oczywiste. Właśnie dlatego codziennie tworzą się korki. Nasze spotkanie nie wydawało się wcale nieprawdopodobnym zbiegiem okoliczności. W istocie było nawet dość prawdopodobne, że obaj jeździmy do pracy podobną trasą, toteż prędzej czy później Świadek mógł zobaczyć mój samochód, a nawet mnie samego.

I tak się stało. Znowu mnie spotkał i tym razem dokładnie mi się przyjrzał. Usiłowałem oszacować, jak długo na mnie patrzył, lecz okazało się to niemożliwe; samochody nieustannie stawały i ruszały, a jeden taki postój trwał dwie minuty. Mogłem tylko zgadywać, ile czasu mnie obserwował. Prawdopodobnie zaledwie przez kilka sekund, jeśli wierzyć mojemu instynktowi, który zasygnalizował niebezpieczeństwo.

Jednak miał dość czasu, by zauważyć kolor mojego wozu, zanotować numer rejestracyjny i Bóg wie co jeszcze. Doskonale wiedziałem, że nawet połowa tych informacji wystarczyłaby, by mnie zidentyfikować – było to możliwe choćby na podstawie tablicy rejestracyjnej. Ale czy Świadek zamierzał to zrobić? Uciekł w popłochu, a ja nie znałem jego planów. Może wkrótce zaczał się przed moim domem z nożem kuchennym? Na jego miejscu bym to zrobił, jednak nie potrafiłem przewidzieć jego reakcji. Sprawnie posługiwałem się komputerem i mogłem korzystać z baz danych niedostępnych dla innych ludzi; wykorzystywałem je do niezwykle

celów. Istnieje tylko jeden Dexter, a Świadek nim nie jest. Kimkolwiek jest, nie może być taki jak ja. Jednak nie miałem pojęcia, kto to taki ani co może zrobić. Niezależnie od tego, jak długo powtarzałem sobie, że nic mi nie grozi, nie mogłem się uwolnić od absurdalnego lęku, że Świadek coś zamierza. Głos spokojnego rozsądku został zagłuszony przez krzyki paniki, które rozlegały się w mojej głowie. Znowu mnie zobaczył, tym razem poznał moją codzienną, normalną tożsamość, przez co czułem się kompletnie nagi i bezbronny.

Nie pamiętam, jak wjechałem na autostradę Palmetto i dotarłem do pracy; nie zginąłem w wypadku samochodowym tylko dzięki szczęśliwemu przypadkowi. Znalazłszy się w komendzie, uspokoilem się na tyle, by wyglądać w miarę normalnie, lecz wciąż prześladował mnie lęk, chwilami przechodzący w panikę.

Na szczęście nie musiałem się długo zajmować swoimi nieistotnymi kłopotami. Ledwo przystąpiłem do rutynowej pracy, do mojego gabinetu wpadła Deborah, za którą podążał jej nowy partner Duarte.

– W porządku – rzekła, jakbyśmy kontynuowali przerwana rozmowę. – Ten facet musi być notowany, prawda? Nie robi się czegoś takiego zupełnie nagle; musiał wcześniej wchodzić w konflikt z prawem.

Kichnąłem i popatrzyłem na Debs, mrugając głupekowato. Nie popisałem się inteligencją, lecz byłem pochłonięty własnymi troskami i potrzebowałem chwili, by załapać, o co jej chodzi.

– Masz na myśli mordercę inspektora Kleina? – spytałem.

Syknęła niecierpliwie.

– Kurwa, Dex, co innego twoim zdaniem mogłabym mieć na myśli?!

– Może wyścigi samochodowe NASCAR? – odpowiedziałem. – Zdaje się, że odbywały się w ten weekend.

– Nie zachowuj się jak dupek! – rzuciła. – Potrzebuję informacji.

Mogłem powiedzieć, że określenie „dupek” bardziej pasuje do osoby, która w poniedziałek rano wpada do gabinetu brata, nie mówi „dzień dobry” i nie pyta, jak spędził weekend, zdawałem sobie jednak sprawę, że moja siostra nie znosi uwag na temat zachowania w miejscu pracy, toteż po prostu wzruszyłem ramionami.

– Jak też tak uważam – odrzekłem. – To, co zrobił, jest zwykle końcem długiego procesu, który rozpoczął się od innych rzeczy... no wiesz. Wszystko powinno być gdzieś w aktach.

– Jakich rzeczy? – spytał Duarte.

Zawahałem się; z jakiegoś powodu czułem się trochę niezręcznie, prawdopodobnie dlatego, że mówiłem o tych sprawach w obecności nieznanego człowieka – ogólnie rzecz biorąc, nie lubię o tym mówić nawet z Debs; wydaje mi się to trochę zbyt osobiste. Chcąc zyskać na czasie, wziąłem papierowy ręcznik i wytarłem nos, lecz Deborah i Duarte spoglądali na mnie niczym dwa psy czekające na kość. Nie miałem wyboru i musiałem kontynuować.

– Cóż – rzekłem, wyrzucając ręcznik do kosza. – Tacy psychopaci często zaczynają od zwierząt. W dzieciństwie, gdy mają jedenaście, dwanaście lat. Zabijają psy albo koty. Po prostu... eee... eksperymentują. Usiłują sprawdzić, co sprawia im przyjemność. W końcu ktoś z rodziny albo sąsiedztwa znajduje martwe zwierzęta i w sprawę włącza się policja.

– Więc to musi być w aktach – rzekła Debs.

– Możliwe – odpowiedziałem. – Taki człowiek działa według pewnego schematu i w końcu trafia do domu poprawczego. Akta wychowanków są utajnione; nie możemy prosić sądu o dostęp do archiwów wszystkich domów poprawczych.

– Wobec tego podaj mi coś lepszego – rzekła z naciskiem Deborah. – Coś, nad czym mogłabym zacząć pracować.

– Nie mam nic oprócz przeziębienia, Debs – rzekłem, kichając.

– Cholera! – zaklęła. – Nie możesz wymyślić jakiejś wskazówki?

Spojrzałem na nią, a potem na Duartego, i poczułem się jeszcze bardziej niezręcznie.

– Jakiej? – spytałem.

Duarte wzruszył ramionami.

– Deborah twierdzi, że potrafi pan sporządzać profile psychologiczne.

Byłem zaskoczony i trochę zdenerwowany, że Debs powiedziała o tym Duarteemu. Mój talent do profilowania psychologicznego miał bardzo osobisty charakter, gdyż powstał w wyniku bezpośrednich doświadczeń z socjopatami podobnymi do mnie. Wydawało się, że Deborah ma zaufanie do Duartego. Tak czy inaczej, uznali, że mogę im się przydać.

– Cóż – rzekłem wreszcie. – *Mas o menos.*

Duarte pokręcił głową.

– Co to znaczy? Tak czy nie? – spytał.

Popatrzyłem na Deborah, która lekko się do mnie uśmiechnęła.

– Alex nie zna hiszpańskiego – wyjaśniła.

– Och, przepraszam – rzekłem.

– Zna francuski – powiedziała, spoglądając nań z czułością.

Poczułem się jeszcze bardziej niezręcznie, gdyż zrozumiałem, że popełniłem gafę. Przyjąłem, że każda osoba o kubańskim nazwisku mieszkająca w Miami musi znać hiszpański. Jednocześnie zdałem sobie sprawę, że jest to kolejna przyczyna sympatii Debs do jej nowego partnera. Z jakiegoś powodu wybrała w szkole francuski, choć mieszkała w mieście, gdzie hiszpański jest używany częściej niż angielski, a francuski absolutnie do niczego się nie przydaje – nie można się nim porozumieć nawet z Haitańczykami, których liczba stale się zwiększa. Oni posługują się

językiem kreolskim, podobnym do francuskiego w równym stopniu co chiński.

Teraz Deborah znalazła bratnią duszę i było widać, że się zaprzyjaźnili. Prawdziwa istota ludzka z pewnością poczułaby zadowolenie, że współpraca siostry z Duarteem dobrze się układa, ale ponieważ jestem taki, jaki jestem, byłem rozdrażniony i wytrącony z równowagi.

– Cóż, *bonne chance* – rzekłem. – Ale sędzia nigdy się nie zgodzi na ujawnienie dokumentacji z domu poprawczego, zwłaszcza że nie wiemy, o kogo chodzi.

Z twarzy Debs zniknął irytujący wyraz czułości.

– Nie mogę po prostu siedzieć z założonymi rękami i czekać na nie wiadomo co, do cholery! – rzuciła.

– Nie będziesz musiała – odparłem. – Jestem prawie pewien, że znowu to zrobi.

Spoglądała na mnie przez dłuższą chwilę, po czym skinęła głową.

– Tak, ja też tak uważam – stwierdziła, popatrzyła na Duarteego i ruszyła w stronę drzwi. Poszedłem za nią i kichnąłem.

– Na zdrowie – mruknąłem do siebie, ale nie poczułem się lepiej.

8

W ciągu następnych kilku dni zintensyfikowałem swoje poszukiwania hondy. Każdego wieczoru wracałem do domu nieco później, sprawdzwszy kolejne adresy pieszo lub samochodem, jeśli znajdowały się daleko. Przerываłem łowy dopiero wtedy, gdy było już za ciemno, by coś zobaczyć. Przechodziłem w milczeniu koło fotografii rodzinnych w salonie i siedłem pod prysznic. Z każdym dniem byłem coraz bardziej sfrustrowany.

Trzeciego dnia zbliżyłem się do frontowych drzwi bardzo spocony i zdałem sobie sprawę, że spogląda na mnie Rita. Patrzyła takim wzrokiem, jakby szukała jakiejś skazy.

– Co się stało? – spytałem, zatrzymując się przed nią.

Przyjrzała mi się uważnie i oblała rumieńcem.

– Och, już późno, a ty jesteś taki spocony... – rzekła. – Myślałam... To nic, naprawdę...

– Uprawiałem jogging – wyjaśniłem, nie wiedząc, dlaczego się tłumaczę.

– Wziąłeś samochód – zauważyła.

Miałem wrażenie, że Rita za bardzo się interesuje tym, jak spędzam czas. Najwyraźniej była to jedna z drobnych wad małżeństwa.

– Poszedłem na boisko koło szkoły średniej – stwierdziłem, wzruszając ramionami.

Przez dłuższą chwilę spoglądała na mnie w milczeniu. Chyba o czymś myślała, lecz nie miałem pojęcia, o co jej chodzi.

– To wszystko wyjaśnia – powiedziała w końcu, po czym wstała i podążyła do kuchni, a ja poszedłem wziąć prysznic.

Może nie zauważałem tego wcześniej, ale każdego wieczoru, gdy wracałem spocony po swoich „ćwiczeniach”, spoglądała na mnie uważnie z tajemniczą miną, po czym szła do kuchni. Kiedy to dziwne zachowanie powtórzyło się po raz czwarty z kolei, ruszyłem za nią i stanąłem w progu. Otworzyła kredens, wyjęła butelkę wina, nalała sobie pełny kieliszek, po czym uniosła go do ust. Wycofałem się, nim mnie zauważyła.

Nic z tego nie rozumiałem. Z pozoru wydawało się, że istnieje jakiś związek między moimi późnymi powrotami do domu a pićm wina przez Ritę. Zastanawiałem się nad tym, biorąc prysznic, lecz po kilku minutach doszedłem do wniosku, że dysponuję zbyt ograniczoną wiedzą na temat skomplikowanych mechanizmów ludzkich zachowań, małżeństwa i psychiki Rity, a zresztą miałem inne zmartwienia. Znacznie ważniejsze było odnalezienie hondy – chociaż mogłem się tym energicznie zająć, wcale tego nie robiłem. Dlatego przestałem myśleć o tajemnicy Rity i wina; stała się ona kolejną cegłą w murze frustracji, jaki się wokół mnie formował.

Po tygodniu minął mi katar, wykreśliłem z listy wiele innych nazwisk i zacząłem się zastanawiać, czy moje poszukiwania nie są stratą cennego czasu. Czułem narastającą niecierpliwość, chciałem koniecznie coś zrobić, lecz ani o krok nie zbliżyłem się do odnalezienia Świadka. Każdego dnia stawałem się coraz bardziej nerwowy, a po wykreśleniu kilku kolejnych nazwisk zacząłem nawet obgryzać paznokcie, co ostatnio zdarzało mi się w szkole średniej. Było to irytujące i powiększało moją frustrację; chwilami obawiałem się wręcz, że grozi mi załamanie psychiczne.

Dobrze przynajmniej, że byłem w lepszej formie niż policjant Gunther, którego zwłoki znaleziono wkrótce po brutalnym morderstwie Marty'ego Kleina. Gunther pełnił służbę w mundurze, a nie po cywilnemu, jak Klein, ale nie było wątpliwości, że zbrodni dokonał ten sam sprawca. Powoli, metodycznie zmasakrowano go ogromnym młotem, łamiąc wszystkie kości. Zabójca się nie śpieszył, chcąc zadać mu jak najwięcej bólu. Tym razem zwłok nie pozostawiono w samochodzie policyjnym na autostradzie I-95. Ciało policjanta Gunthera znaleziono w Bayfront Park, tuż obok pomnika Torch of Friendship, mającego wygląd pochodni i poświęconego pamięci Johna Kennedy'ego, co wydawało się nieco ironiczne. Natknęło się na nie młode kanadyjskie małżeństwo w podróży poślubnej, które wybrało się na romantyczny spacer wczesnym rankiem – kolejna atrakcja w czasie pobytu w naszym zaczarowanym mieście.

Kiedy przyjechałem na miejsce, w niewielkiej grupce policjantów wyczuwało się atmosferę zabobonnego lęku, rodzaj cichej paniki. Było ciągle dość wcześnie, ale brak kawy nie stanowił głównego problemu. Wśród policjantów panowało napięcie; niektórzy wytrzeszczali oczy, jakby zobaczyli ducha. Ich reakcja była zrozumiała – podrzucenie zwłok Gunthera w tak uczęszczanym miejscu nie wydawało się dziełem człowieka. Biscayne Boulevard w centrum Miami nie znajduje się na odludziu, gdzie może się zakraść maniackalny morderca, niosąc zwłoki ofiary. To miejsce publiczne, a mimo to ciało Gunthera musiało leżeć obok obelisku przez kilka godzin.

Policjanci zwykle reagują na tego rodzaju bezpośrednie wyzwania w sposób przesadnie wrażliwy. Kiedy ktoś łamie prawo z tak bezczelną ostentacją, uważają to za osobistą zniewagę; zabójstwo Gunthera wstrząsnęłoby każdą policją na świecie. Jednak funkcjonariusze z Miami nie wydawali się wściekli, lecz pełni nabożnego lęku; wyglądali, jakby byli

gotowi porzucić broń i skorzystać z telefonu zaufania dla osób, które miały kontakt ze zjawiskami nadprzyrodzonymi.

Przyznaję, że zmasakrowane zwłoki policjanta leżące na chodniku koło pomnika wytrąciły z równowagi nawet mnie. Trudno było zrozumieć, w jaki sposób żywa istota mogła iść jedną z najruchliwszych ulic miasta, a następnie pozostawić na niej martwe ciało. Nikt nie sugerował otwarcie, że jest to działanie istot nadprzyrodzonych – przynajmniej nic takiego nie słyszałem – ale sądząc po minach zgromadzonych funkcjonariuszy, nikt tego nie wykluczał.

Zjawy nie są moją specjalnością; zajmuję się plamami krwi i nie miałem tu nic do roboty. Było oczywiste, że Gunthera zamordowano w innym miejscu, a następnie zwłoki podrzucono. Byłem pewien, że moja siostra Deborah poprosi mnie o opinię, toteż kręciłem się po okolicy i usiłowałem znaleźć jakąś trudno dostrzegalną wskazówkę przeoczoną przez innych techników. Najbardziej zwracała uwagę galaretowata masa w niebieskim mundurze, która była niegdyś policjantem Guntherem, żonatym ojcem trojga dzieci. Obserwowałem, jak wokół chodzi na czworakach Angel Batista Nie-Z-Rodziny-Dyktatora, starannie szukając najdrobniejszych śladów i najwyraźniej niczego nie znajdując.

Za moimi plecami rozbłysło jaskrawe światło, więc odwróciłem się zaskoczony. Metr ode mnie stała zarumieniona Camilla Figg z aparatem fotograficznym w ręku; na jej twarzy malowało się poczucie winy.

– Och, przepraszam, nie zauważyłam, że flesz jest włączony – wymamrotała. Spoglądałem na nią przez chwilę, mrugając głupkowato oczami, częściowo z powodu rozbłysku, a częściowo dlatego, że jej zachowanie nie miało żadnego sensu. Po chwili jedna z osób stojących przy żółtej taśmie wychyliła się i zrobiła nam zdjęcie, gdy patrzyliśmy na siebie. Camilla szybko poszła do niewielkiego poletka trawy między ścieżkami,

gdzie Vince Masuoka odnalazł odcisk stopy. Zaczęła regulować ostrość aparatu, by sfotografować ślad, a ja spojrzałem w inną stronę.

– Nikt nic nie widział – odezwała się Deborah, która pojawiła się nagle koło mojego łokcia. Byłem wytrącony z równowagi niespodziewanym błyskiem flesza Camilli i odskoczyłem nerwowo, jakbym zobaczył ducha. Kiedy doszedłem do siebie, Deborah spojrzała na mnie z lekkim zdziwieniem.

– Przestraszyłaś mnie – powiedziałem.

– Nie wiedziałam, że tak łatwo cię przestraszyć. – Zmarszczyła brwi i pokręciła głową. – Wszyscy są zdenerwowani. To jeden z najbardziej uczęszczanych punktów miasta, a ktoś przywozi tu zwłoki, zostawia i tak po prostu odjeżdża?

– Znaleźli je o świcie, więc zostały podrzucone w nocy – odparłem.

– Tu nigdy nie jest ciemno – stwierdziła Deborah. – Lampy uliczne, budynki, Bayside Marketplace, hala sportowa sto metrów dalej. Nie wspominając o tej cholernej pochodni. Pali się od północy do siódmej rano.

Rozejrzałem się po okolicy. Byłem tu wiele razy, w dzień i w nocy, i rzeczywiście teren zawsze zalewało światło z sąsiednich budynków. Bayside Marketplace, hala sportowa American Airlines Arena zaledwie przecnicę dalej – wszystko to jeszcze bardziej powiększało bezpieczeństwo. A do tego oczywiście ta przeklęta pochodnia.

Lecz po przeciwnej stronie rosły drzewa i znajdował się pas trawy. Odwróciłem się i popatrzyłem w tym kierunku. Deborah zerknęła na mnie, zmarszczyła brwi, a potem zrobiła to samo.

Między drzewami, za parkiem otaczającym pomnik widać było Biscayne Bay. Na roziskrzonych od słońca wodach zatoki płynął pod pełnymi żaglami duży jacht zmierzający do portu; minął go jeszcze większy jacht motorowy, wywołując duże fale, które gwałtownie zakołysały kadłubem

mniejszej łodzi. W mojej głowie zaczęła kiełkować pewna myśl i wyciągnąłem rękę w stronę zatoki. Nagle koło żółtej taśmy rozbłysnął kolejny flesz; w tej samej chwili Deborah popatrzyła na mnie wyczekująco i otworzyła szeroko oczy, gdyż przyszło jej do głowy to samo.

– Oczywiście! Ten sukinsyn przyplął łodzią! – rzekła. Klasnęła w dłonie i rozejrzała się, szukając wzrokiem swojego partnera. – Hej, Duarte! – zawołała, po czym poszli razem w stronę zatoki.

– Cieszę się, że mogłem pomóc – powiedziałem. Odwróciłem się, by zobaczyć, kto zrobił fotografię, lecz dostrzegłem tylko Angela pochylonego nad kępą trawy, która wzbudziła jego zainteresowanie. Camilla pomachała ręką do kogoś stojącego w tłumie gapiów zebranych przy żółtej taśmie. Poszła porozmawiać ze swoim znajomym, a ja się odwróciłem i spojrzałem na siostrę usiłującą szukać świadków, którzy widzieli, jak morderca przyplął łodzią. Miało to sporo sensu; z własnego doświadczenia doskonale wiedziałem, że płynąc łodzią, można sobie pozwolić na bardzo wiele rzeczy, zwłaszcza w nocy. Mówiąc „bardzo wiele rzeczy”, nie mam na myśli tylko swobodnych zachowań, jakie widuje się od czasu do czasu w wykonaniu par. Uprawiając swoje hobby, podejmowałem na swojej łodzi czynności, które mogłyby wzbudzić sprzeciw ludzi o wąskich horyzontach, i było dla mnie oczywiste, że nikt niczego nie widzi. Najwyraźniej nikt również nie zauważył psychotycznego mordercy o niemal nadprzyrodzonych cechach, który przetransportował zwłoki dobrze zbudowanego policjanta do Bayfront Park.

Ale ponieważ wszystko działo się w Miami, istniała jednak jakaś szansa, że ktoś coś widział i po prostu nie zawiadomił policji. Może bał się zabójcy albo nie chciał, by odkryto, że nie ma zielonej karty? A może po prostu w telewizji akurat nadawano naprawdę ciekawy odcinek *Pogromców mitów*

i ktoś chciał go obejrzyć do końca? Przez następną godzinę Debs i jej zespół krążyli wzdłuż brzegu zatoki w poszukiwaniu mitycznego świadka.

Nie zdziwiłem się, że nikogo nie znaleźli. Nikt nic nie wiedział, nikt niczego nie zauważył. W okolicy rankiem panował duży ruch – ulicami szli do pracy ludzie zatrudnieni w sklepach i na statkach wycieczkowych przycumowanych do brzegu. Żadna z tych osób nie obserwowała zatoki w nocy. Wszyscy pracownicy ochrony, którzy mieli nocny dyżur, udali się do domów na zasłużony odpoczynek; może pracowali z pełnym zaangażowaniem, a może po prostu oglądali telewizję? Deborah skrzętnie zebrała ich nazwiska i telefony, a później podeszła do mnie z grymasem na twarzy, jakbym to ja ponosił winę za to, że mimo prób nie znalazła świadka.

Staliśmy na brzegu zatoki niedaleko *Biscayne Pearl*, jednego ze statków wycieczkowych obwozących turystów po mieście. Deborah spojrzała w stronę Bayside, po czym pokręciła głową i ruszyła z powrotem w kierunku Torch of Friendship. Podążyłem za nią.

– Ktoś na pewno coś widział – stwierdziła. Miałem nadzieję, że naprawdę w to wierzy, bo jej słowa nie zabrzmiały przekonująco. – Nie da się wyciągnąć na brzeg potężnie zbudowanego policjanta, a potem przenieść pod pomnik, by nikt niczego nie zauważył.

– Chyba że to robota Freddy’ego Kruegera – zauważyłem.

Uderzyła mnie mocno w ramię, ale nie włożyła w cios całego serca, więc powstrzymanie okrzyku bólu przyszło mi względnie łatwo.

– Nie mieszajmy do tej sprawy żadnych nadprzyrodzonych bzdur! – powiedziała. – Ktoś spytał Duarte’go, czy moglibyśmy sprowadzić *santero*, po prostu na wszelki wypadek.

Skinąłem głową. Jeśli ktoś wierzył w magię, sprowadzenie *santero*, jednego z kapłanów Santerii, wydawało się sensowne. Wiara w czary jest

w Miami zdumiewająco powszechna.

– I co powiedział Duarte?

– Spytał, co to jest *santero* – prychnęła Deborah.

Popatrzyłem na nią, by się przekonać, czy żartuje; o *santero* słyszeli wszyscy Amerykanie kubańskiego pochodzenia, a nawet mogli ich mieć w swoich rodzinach. Ale oczywiście Duarte nie znał tego słowa, ponieważ wychował się w kręgu kultury francuskiej.

– Wiemy, że to psychopata, człowiek z krwi i kości – ciągnęła. Byłem prawie pewny, że nie ma na myśli Duarte. – Nie jest niewidzialny i nie potrafi się teleportować.

Zatrzymała się koło dużego drzewa i spojrzała na nie w zamyśleniu, po czym zerknęła na drogę, którą przebyliśmy.

– Popatrz – rzekła, wskazując drzewa, a następnie *Biscayne Pearl*. – Jeśli zacumował łódź koło statku wycieczkowego, był zasłonięty.

– Nie zupełnie niewidoczny, ale prawie – odpowiedziałem.

– Tuż obok tego cholernego statku... – mruknęła. – Musieli coś widzieć.

– Chyba że spali.

Pokręciła głową, popatrzyła wzdłuż rzędu drzew w stronę Torch of Friendship, wzruszyła ramionami i poszła dalej.

– Ktoś coś widział – powtórzyła z uporem. – Musiał.

Wróciliśmy w milczeniu do pomnika. Deborah była pogrążona w myślach. Kiedy doszliśmy na miejsce, lekarz sądowy zakończył już oględziny zwłok policjanta Gunthera. Pokręcił głową na znak, że nie znalazł niczego ciekawego.

– Czy wiadomo, gdzie Gunther jadł lunch? – spytałem. Deborah obrzuciła mnie takim wzrokiem, jakbym zaproponował, byśmy się rozebrali i pobiegli razem Biscayne Boulevard. – Lunch, Debs – powtórzyłem cierpliwie. – Może coś meksykańskiego?

Wreszcie zrozumiała i podeszła do lekarza sądowego.

- Potrzebuję spisu zawartości żołądka – usłyszałem, jak mówi do niego.
- W czasie autopsji proszę zwrócić uwagę, czy jadł ostatnio tacos.

Lekarz popatrzył na nią bez zdziwienia. Jeśli ktoś współpracuje z wydziałem zabójstw policji w Miami, po pewnym czasie przestaje się czemukolwiek dziwić, a pytanie o resztki tacos w treści żołądkowej martwego funkcjonariusza wydaje się rutynowym zleceniem. Skinął ze znużeniem głową, a Deborah poszła porozmawiać z Duarte. Zostałem sam na sam ze swoimi myślami.

Zastanawiałem się przez kilka minut, lecz przyszło mi do głowy tylko to, że jestem głodny i że nie znajdę tu nic do zjedzenia. Nie miałem nic do roboty – w okolicy nie było żadnych plam krwi, a resztą śladów zajmowali się inni technicy kryminalistyczni.

Odwróciłem się od zwłok Gunthera i rozejrzałem po miejscu zbrodni. Za żółtą taśmą w dalszym ciągu stał tłum gapiów, którzy wyglądali jak ludzie czekający na rozpoczęcie koncertu rockowego. Patrzyli na zwłoki i – trzeba to zapisać na ich korzyść – kilku próbowało robić przerażone miny, gdy wyciągali szyje, by więcej widzieć. Większość usiłowała robić zdjęcia komórkami. Wkrótce fotografie zmasakrowanych zwłok policjanta Gunthera znajdą się w całym internecie, a świat będzie udawać, że jest wstrząśnięty. Czyż technologia nie jest cudowna?

Przez pewien czas kręciłem się na miejscu zbrodni i udzielałem kolegom pomocnych wskazówek, ale jak zwykle nikt się nie interesował moimi sugestiami – prawdziwy profesjonalizm nigdy nie jest doceniany. Ludzie zawsze wolą robić wszystko w swój własny, głupi sposób i nie słuchają rad osób inteligentniejszych od siebie.

Wreszcie minęła pora lunchu, a niedoceniony i niewykorzystany Dexter w końcu się znudził i postanowił wrócić do świata prawdziwej pracy

czekającego w małym gabinecie w komendzie policji. Znalazłem przyjaźnie nastawionego funkcjonariusza, który jechał w tamtą stronę. Miał ochotę rozmawiać o wędkarstwie, a ponieważ dobrze się na tym znam, przyjemnie spędziliśmy czas. Zatrzymał samochód po drodze, byśmy kupili trochę chińskiego jedzenia; było to bardzo miłe z jego strony i z wdzięczności zapłaciłem za jego porcję *lo mein* z krewetkami.

Kiedy pożegnałem swojego nowego najlepszego przyjaciela i usiadłem za biurkiem z przyjemnie pachnącym lunchem, zacząłem czuć, że pasmo upokorzeń i cierpień, które nazywamy życiem, może mieć jednak jakiś głębszy sens. Zupa okazała się pyszna, podobnie kluski, a pikantny kurczak *kung pao* sprawił, że zacząłem się pocić. Po skończeniu posiłku ogarnęło mnie przyjemne zadowolenie i zastanowiłem się dlaczego. Czy naprawdę jestem taki prosty, że zjedzenie dobrego lunchu wprawia mnie w błogi nastrój? A może to jakiś podstęp? Może do jedzenia dodano glutaminianu sodu, który zaatakował ośrodki przyjemności w moim mózgu i sprawił, że czuję się dobrze wbrew własnej woli?

Cokolwiek się stało, czułem ulgę, że uwolniłem się od ciemnych chmur, które zbierały się wokół mojej głowy od kilku tygodni. To prawda, miałem kilka zmartwień, ale chyba za bardzo się nimi przejmowałem. Najwyraźniej wyleczył mnie jeden posiłek złożony z dobrego chińskiego jedzenia. Kiedy wyrzucałem do kosza puste pojemniki, nuciłem pod nosem, co zdarza mi się bardzo rzadko. Czy tak wygląda ludzkie szczęście? Jego źródłem są kluski? Może powinienem zawiadomić jakąś organizację zajmującą się zdrowiem psychicznym, że kurczak *kung pao* działa lepiej niż sertralina? Mógłbym otrzymać Nagrodę Nobla, a przynajmniej list z podziękowaniami z Chin.

Mój beztroski nastrój trwał prawie do końca pracy. Zszedłem do magazynu dowodów rzeczowych, by zwrócić kilka próbek, a kiedy

wróciłem do swojego niewielkiego gabinetu, czekała na mnie duża, nieprzyjemna niespodzianka.

Miała sto siedemdziesiąt osiem centymetrów wzrostu, sto kilo żywej wagi i wydawała się wściekła – Murzyn znajdujący się w moim gabinecie bardziej przypominał złośliwego owada niż istotę ludzką. Stał na dwóch stalowych protezach zastępujących stopy, a jeden z metalowych szponów pełniących funkcję rąk manipulował przy moim komputerze.

– Czy potrzebuje pan pomocy w logowaniu do Facebooka, sierzancie Doakes? – spytałem z udawaną uprzejmością.

Obrócił się gwałtownie, najwyraźniej zaskoczony, że przyłapałem go na grzebaniu w moim laptopie.

– Ostu atsze – odpowiedział. Chirurg amator, który odciął mu stopy i dłonie, usunął również język, więc prowadzenie przyjemnej konwersacji z Doakesem stało się zupełnie niemożliwe.

Oczywiście wcześniej również nie było to łatwe: zawsze mnie nie znosił i podejrzewał, że robię to, co robię. Nigdy nie dałem mu jakichkolwiek powodów, by wątpił w moją starannie sfabrykowaną niewinność, a jednak w nią wątpił – nawet gdy nie zdołałem go uratować przed nieszczęśliwą operacją chirurgiczną. Próbowiałem, naprawdę się starałem, lecz po prostu nie wyszło. Trzeba mi jednak oddać sprawiedliwość: zdołałem przewieźć w bezpieczne miejsce większość ciała Doakesa. Teraz obwiniał mnie o swoje amputacje oraz wiele innych nieokreślonych zbrodni. I oto siedział przy moim komputerze i mówił: „Ostu atsze”.

– Ostu? – spytałem wesoło. – Jest pan miłośnikiem ostów, sierzancie? Nie wiedziałem o tym. Szuka pan w moim komputerze ostu?

Popatrzył na mnie jeszcze bardziej jadowitym wzrokiem, co robiło wyjątkowe wrażenie, po czym sięgnął po niewielki, przenośny syntezytor

mowy, który zawsze ze sobą nosił. Wcisnął coś i maszyna odezwała się pogodnym barytonem:

– Po prostu! Patrzę!

– Oczywiście! – odpowiedziałem z udawaną wesołością, próbując naśladować dziwnie optymistyczny głos syntezy. – I niewątpliwie świetnie panu idzie. Ale, niestety, zagląda pan do mojego prywatnego komputera, gdzie trzymam prywatne materiały, a to jest niezgodne z przepisami.

Nadal patrzył na mnie z wściekłością; stał się zupełnie monotematyczny. Nie odrywając ode mnie wzroku, napisał coś na klawiaturze syntezy, który po chwili stwierdził radośnie:

– Któregoś! Dnia! Cię! Dostanę! Sukinsynu!

– Och, na pewno – rzekłem uspokajająco. – Ale będzie pan to musiał zrobić na własnym komputerze. – Uśmiechnąłem się, by pokazać, że nie żywię urazy, po czym skinąłem dłonią w stronę drzwi. – A teraz, czy zechciałby pan łaskawie opuścić to pomieszczenie?

Wciągnął nosem powietrze, po czym wypuścił je przez zęby, przez cały czas obserwując mnie nieruchomym wzrokiem. Chwycił syntezy mowy, wsadził sobie pod pachę i wyszedł, zabierając resztki mojego dobrego humoru.

Miałem kolejny powód do niepokoju. Dlaczego sierżant Doakes zaglądał do mojego komputera? Oczywiście myślał, że znajdzie tam jakieś obciążające materiały – ale jakie? I dlaczego teraz, w moim prywatnym laptopie? Nie mógł mieć żadnego uzasadnionego powodu, by grzebać w moim komputerze. Byłem pewien, że nie interesuje się informatyką. Kiedy stracił ręce i nogi, dano mu z litości pracę biurową, by mógł odsłużyć kilka lat pozostałych do pełnej emerytury. Zajmował się jakimiś

bezużytecznymi sprawami administracyjnymi w dziale personalnym. Nie wiedziałem czym, i mnie to nie obchodziło.

Przyszedł do mojego gabinetu i zaczął grzebać w moim laptopie pod wpływem obsesyjnego pragnienia zniszczenia mnie. Ale dlaczego zrobił to w pracy? Wydawało mi się, że jak dotąd ograniczał się do obserwowania mnie; nigdy wcześniej nie przyłapałem go na ukradkowym przeglądaniu moich rzeczy. Skąd ta nieprzyjemna eskalacja? Czy wreszcie przekroczył granicę i zmienił się w maniaka ogarniętego jedną obsesją: jak mnie dopaść? A może rzeczywiście miał powody przypuszczać, że znajdzie coś, co pozwoli udowodnić, że jestem winny?

Na pozór wydawało się to niemożliwe. Owszem, popełniłem wiele nagannych, lecz bardzo przyjemnych czynów, które ściśle biorąc, są niezgodne z prawem, jestem jednak bardzo ostrożny i zawsze starannie sprzątam. Nie miałem pojęcia, co Doakes zamierzał znaleźć. Byłem prawie pewny, że w moim komputerze nie ma nic ciekawego.

Wydawało się to zagadkowe i bardzo niepokojące. Opuścił mnie dobry nastrój i znów wpadłem w podły humor. Właśnie tak wyglądają cudowne efekty chińskiego jedzenia – po trzydziestu minutach człowiek znów robi się ponury.

Kiedy szykowałem się do wyjścia do domu, do mojego gabinetu weszła Deborah, która wydawała się jeszcze bardziej przygnębiona.

– Szybko odjechałeś – rzekła. Zabrzmiało to tak, jakby oskarżała mnie o kradzież wyposażenia biurowego.

– Musiałem się zająć pracą – odpowiedziałem, usiłując naśladować jej posępny ton.

Zamrugła.

– Co ostatnio w ciebie wstąpiło?

Zaczerpnąłem tchu, próbując zyskać na czasie.

– Co masz na myśli?

Zacisnęła wargi i przekrzywiła głowę.

– Przez cały czas jesteś zdenerwowany. Warczysz na ludzi. Wyglądasz, jakby coś cię gryzło, martwiło.

Był to dla mnie bardzo trudny moment. Naturalnie miała rację, ale co mogłem jej powiedzieć? Rzeczywiście, coś mnie martwiło – byłem przekonany, że ktoś mnie widział i rozpoznał, a teraz przyłapałem sierżanta Doakesa na grzebaniu w swoim komputerze. Połączenie tych dwóch faktów wydawało się prawie niemożliwe – anonimowy świadek, który mnie obserwował w trakcie zabawy, nie mógł mieć nic wspólnego z działaniami Doakesa – lecz obie te rzeczy razem tworzyły bardzo niepokojącą sytuację. Targały mną sprzeczne uczucia, a nie byłem do tego przyzwyczajony.

Ale co mogłem powiedzieć siostrze? Deborah i ja zawsze dobrze się rozumieliśmy, częściowo dlatego, że nie dzieliliśmy się swoimi emocjami. Ja nic nie czułem, a ona zbyt się wstydziała je okazywać.

Mimo to musiałem jej coś wyjaśnić. Tak naprawdę Deborah była jedyną osobą na świecie, z którą mogłem porozmawiać, chyba że chciałbym wydawać sto dolarów za godzinę na psychoanalityka, co wydawało się kiepskim pomysłem, bo albo musiałbym mu powiedzieć prawdę, co nie wchodziło w rachubę, albo zacząć wiarygodnie zmyślać, co z pewnością byłoby marnowaniem pieniędzy, które mogłyby zostać przeznaczone na naukę Lily Anne w szkole medycznej.

– Nie wiedziałem, że to widać – rzekłem w końcu.

– Dexter, jestem twoją siostrą! – prychnęła.

– Wychowaliśmy się razem, pracujemy razem, znam cię lepiej niż ktokolwiek na świecie. Widzę, że coś cię gryzie. – Uniosła zachęcająco brew. – Co to takiego?

Oczywiście miała rację. Znała mnie lepiej niż wszyscy – lepiej niż Rita, Brian lub inni ludzie, z wyjątkiem Harry’ego, naszego dawno zmarłego ojca. Podobnie jak Harry Deborah wiedziała o nocnych zabawach Mrocznego Dextera i pogodziła się z moim hobby. Mogłem porozmawiać tylko z nią. Zamknąłem na chwilę oczy i zastanawiałem się, jak zacząć.

– Nie wiem – powiedziałem. – Po prostu... eee... kilka tygodni temu, kiedy...

Nagle rozległ się głośny pisk krótkofalówki Deborah i dobiegło z niej pytanie:

– Sierżant Morgan, gdzie pani jest?

Deborah potrząsnęła głową i uniosła krótkofalówkę.

– Tu Morgan – rzekła. – Jestem w dziale kryminologii.

– Proszę przyjechać, pani sierżant – odezwał się głos w krótkofalówce. – Chyba znaleźliśmy coś, co powinna pani zobaczyć.

– Przepraszam – rzuciła, patrząc na mnie. Nacisnęła guzik krótkofalówki i powiedziała: – Już jadę. – Wstała, ruszyła w stronę drzwi, zawahała się i odwróciła w moją stronę. – Porozmawiamy później, Dex, okay?

– Jasne – odparłem. – Nie martw się o mnie.

Chyba nie zabrzmiało to dla niej równie żałośnie jak dla mnie, gdyż skinęła głową i szybko wyszła. Uporządkowałem biurko, a potem ruszyłem do swojego samochodu.

9

Kiedy dotarłem do domu, wciąż świeciło słońce. To jedna z nielicznych korzyści ze spędzania lata w Miami: temperatura może wynosić trzydzieści sześć stopni, wilgotność przeszło sto procent, ale po powrocie do domu o szóstej wieczorem jest wystarczająco jasno, by usiąść na dworze z rodziną i pocić się jeszcze przez półtorej godziny.

Oczywiście Rita i dzieci nie siedzieli w ogrodzie. Jako rodowici mieszkańcy Miami uważamy, że opalanie jest dobre dla turystów; sami wolimy przebywać w klimatyzowanych pomieszczeniach. Kiedy mój brat Brian podarował Cody'emu i Astor konsolę gier Wii, prawie przestali wychodzić z domu; trzeba ich było do tego zmuszać. Nie chcieli opuszczać pokoju, w którym ustawiliśmy to urządzenie. Z tego powodu wprowadziliśmy bardzo surowe zasady dotyczące Wii. Dzieci musiały wcześniej odrobić lekcje i nie mogły grać więcej niż godzinę dziennie.

Kiedy wszedłem do domu i zobaczyłem Cody'ego i Astor stojących przed telewizorem z pilotami Wii w rękach, automatycznie zadałem pytanie:

– Lekcje odrobione?

Nawet na mnie nie spojrzeli. Cody skinął w milczeniu głową, a Astor zmarszczyła brwi.

– Odrobiliśmy lekcje zaraz po szkole – oznajmiła.

– W porządku – rzekłem. – Gdzie Lily Anne?

– Z mamą – odpowiedziała Astor, niezadowolona, że jej przerywam.

– A gdzie mama?

– Nie wiem – odrzekła, machając pilotem i dziko zmagając się z czymś, co pojawiło się na ekranie. Cody zerknął na mnie (grała tylko Astor) i lekko wzruszył ramionami. Prawie nigdy nie wypowiadał więcej niż trzy słowa, co było skutkiem ubocznym maltretowania przez biologicznego ojca, i Astor mówiła za nich oboje. Jednak w tej chwili najwyraźniej nie miała ochoty na rozmowę, prawdopodobnie ciągle zdenerwowana sprawą aparatu ortodontycznego. Odetchnąłem głęboko, usiłując zapomnieć o narastającej irytacji.

– Doskonale – powiedziałem. – Dziękuję, że pytacie, owszem, miałem męczący dzień w pracy. Ale teraz, gdy znalazłem się na łonie rodziny, czuję się znacznie lepiej. Bardzo mi miło, że mogłem z wami pogawędzić.

Cody uśmiechnął się krzywo i bardzo cicho powiedział:

– Łono...

Astor milczała; zacisnęła zęby i zaatakowała dużego potwora widocznego na ekranie. Westchnąłem. Dzieci często nie potrafią docenić sarkastycznych uwag. Zrezygnowałem z prób rozmowy z Codym i Astor i poszedłem poszukać Rity.

Nie znalazłem jej w kuchni, co sprawiło mi zawód, bo znaczyło, że Rita nie szykuje czegoś pysznego na kolację. Na kuchence nie stał żaden garnek. Nie był to także wieczór, gdy jedliśmy resztki potraw z poprzednich dni. Trochę mnie to zdziwiło i zmartwiło. Miałem nadzieję, że nie będziemy musieli zamawiać pizzy – dzieci bardzo to lubiły, lecz gotowe jedzenie nie mogło się równać z potrawami przygotowanymi przez Ritę, choćby nawet niezbyt się starała.

Wyszedłem z salonu na korytarz. Nie znalazłem Rity w łazience ani w sypialni. Zacząłem się zastanawiać, czy nie schwytał ją Freddy Krueger.

Podszedłem do okna sypialni i wyjrzałem do ogrodu.

Rita siedziała przy stole pod dużym figowcem, którego gałęzie rozpościerały się nad połową naszego podwórka. Lewą ręką podtrzymywała Lily Anne, siedzącą jej na kolanach, a prawą piła wino z dużego kieliszka. Poza tym nie robiła absolutnie nic – po prostu patrzyła na dom i powoli kiwała głową. Widziałem, jak wypija łyk wina, przytula Lily Anne i wzdycha głęboko.

Jej zachowanie było bardzo dziwne i nie wiedziałem, co o tym sądzić. Nigdy nie widziałem, by Rita robiła coś takiego – siedziała samotnie z nieszczęśliwą miną i popijała wino. Nie miałem pojęcia, co się stało, i trochę się zaniepokoiłem. Jednak najważniejsze wydało mi się to, że nie szykuje kolacji, i ta niebezpieczna bierność wymagała szybkiej, energicznej reakcji. Przeszedłem przez dom, minąłem Cody'ego i Astor – wciąż radośnie mordujących potwory na ekranie – i wyszedłem do ogrodu.

Rita spojrzała na mnie i zastygła na chwilę. Szybko się odwróciła, odstawiła kieliszek na ławkę koło stołu i znów obrzuciła mnie wzrokiem.

– Wróciłem do domu – zacząłem ostrożnie.

Głośno pociągnęła nosem.

– Tak, wiem – odpowiedziała. – Znowu jesteś cały spocony.

Usiadłem obok niej; kiedy się zbliżyłem, Lily Anne zaczęła podskakiwać, więc wyciągnąłem ręce w jej stronę. Pochyliła się do przodu i Rita podała mi ją ze zmęczonym uśmiechem.

– Och, jesteś takim dobrym tatusiem... – odezwała się. – Dlaczego nie potrafisz... – Potrząsnęła głową i znów pociągnęła nosem.

Odwróciłem wzrok od jasnej, radosnej buzi Lily Anne i spojrzałem na zmęczoną, nieszczęśliwą twarz Rity. Ciekło jej z nosa i wydawało się, że płakała; miała mokre policzki i czerwone, nieco podpuchnięte oczy.

– Czy coś się stało? – spytałem.

Otarła oczy rękawem bluzki i wypła łyk wina. Odstawiła kieliszek za siebie i znów na mnie spojrzała. Otworzyła usta, by coś powiedzieć, przygryzła wargi i odwróciła wzrok, potrząsając głową.

Nawet Lily Anne wydawała się zdziwiona zachowaniem Rity; przez chwilę podskakiwała gwałtownie, wołając:

– Abbab! Bab! Bab!

Rita spojrzała na mnie ze zmęczonym uśmiechem.

– Trzeba jej zmienić pieluszkę – rzekła i nim zdążyłem odpowiedzieć, wydała krótki dźwięk, który przypominał czkawkę, lecz nie miałem wątpliwości, że to łkanie. Uznałem to za przesadną reakcję na brudną pieluszkę.

Nie czuję się dobrze w towarzystwie ludzi targanych silnymi uczuciami; nie przeżywam emocji, toteż nie rozumiem, skąd się biorą i co znaczą. Ale po latach studiów i praktyki nauczyłem się radzić sobie w sytuacjach, gdy inni je przeżywają. Kiedy mam do czynienia z osobą targaną emocjami, zwykle potrafię właściwie zareagować.

Przyznaję jednak, że w tym wypadku byłem bezradny. Zgodnie z podręcznikowymi zasadami płacząca kobieta wymaga pocieszenia, choćby udawanego – ale jak mogłem pocieszyć Ritę, skoro nie wiedziałem, co ją doprowadziło do płaczu? Popatrzyłem na nią uważnie, szukając jakiejś wskazówki, ale niczego nie dostrzegłem. Owszem, miała zaczerwienione oczy i wilgotne policzki, lecz niestety na jej twarzy nie wypisano wyjaśnienia, o co chodzi i co w tej sytuacji robić. Czułem się coraz bardziej niezręcznie.

– Eeee... Czy coś się stało? – wybąkałem.

Znów pociągnęła nosem i wytarła go rękawem bluzki. Zrobiła taką minę, jakby miała zamiar powiedzieć coś naprawdę doniosłego, zamiast tego tylko potrząsnęła głową i dotknęła palcem buzi Lily Anne.

– Chodzi o Lily Anne – rzekła. – Musimy się przeprowadzić.

Usłyszałem okropne słowa: „Chodzi o Lily Anne”, i przez chwilę świat wirował mi przed oczami. Oczami wyobraźni ujrzałem listę straszliwych chorób, które mogły zaatakować moją córeczkę. Chwyciłem ją mocniej i odetchnąłem głęboko, by się uspokoić. Lily Anne pomogła mi, waląc rączką w bok mojej głowy i mówiąc: „Bac! Bac!”. Uderzenie w ucho przywróciło mi świadomość; popatrzyłem na Ritę, która najwyraźniej nie miała pojęcia, jakie wrażenie zrobiły na mnie jej słowa.

– Co się dzieje z Lily Anne? – spytałem.

– Słucham? – odparła Rita. – Co masz na myśli? Nic się z nią nie dzieje. Och, Dexter, jesteś taki... Po prostu musimy się przeprowadzić. Z powodu Lily Anne.

Popatrzyłem na szczęśliwą buzię dziecka podskakującego na moich kolanach. Słowa Rity nie miały żadnego sensu, przynajmniej dla mnie. Dlaczego powinniśmy się przeprowadzić z powodu Lily Anne? Oczywiście była moją córką, z czym wiązały się liczne straszne niebezpieczeństwa. Może odziedziczone po mnie geny sprawiły, że zaczęła się zachowywać w dziwny sposób, i sąsiedzi nie chcą tego dłużej znosić? Była to okropna myśl, lecz nie mogłem tego wykluczyć.

– Co zrobiła Lily Anne? – spytałem.

– Dexter, przecież ona ma dopiero rok – odrzekła Rita. – Co mogłaby zrobić?

– Nie wiem – stwierdziłem. – Ale powiedziałaś, że musimy się przeprowadzić z powodu Lily Anne.

– Och, na litość boską... Jesteś zupełnie... – Machnęła ręką, po czym odwróciła się i wypila następny łyk wina, pochylając się nad kieliszkiem i zasłaniając go przede mną, jakby nie chciała, bym widział, co robi.

Przełknęła wino, odstawiła kieliszek na ławkę i odwróciła się w moją stronę.

– Rito, skoro z Lily Anne nic się nie dzieje i nie zrobiła nic złego, to dlaczego musimy się przeprowadzić?

Zatrzepotała powiekami i otarła rękawem kąciki oczu.

– To po prostu... – powiedziała. – Popatrz na nią. – Wskazała dziewczynkę i odniosłem wrażenie, że ma zaburzoną motorykę, bo zahaczyła o moje ramię. Wyciągnęła rękę i wskazała dom. – Taki mały dom, a Lily Anne robi się taka duża...

Spojrzałem na nią i czekałem na dalszy ciąg, na próżno. Jej słowa były dla mnie całkowicie niezrozumiałe, najwyraźniej jednak nie zamierzała powiedzieć nic więcej. Czy Rita naprawdę sądziła, że Lily Anne stanie się wkrótce gigantyczna jak Alicja z Krainy Czarów i nie zmieści się w domu? A może była to jakaś tajna wiadomość po aramejsku, której rozszyfrowanie zajmie mi kilka lat? Słyszałem wiele rad na temat sposobów postępowania z kobietami, lecz w tym momencie moje małżeństwo potrzebowało przede wszystkim tłumacza.

– Rito, to, co mówisz, nie ma żadnego sensu – powiedziałem łagodnie.

Pokręciła głową, nieco chwiejnie, i popatrzyła na mnie groźnie.

– Nie jestem pijana – odparła.

Jeśli ktoś mówi, że z kimś nie śpi, nie jest bogaty lub nie jest pijany, prawie zawsze mija się z prawdą. To jedna z nielicznych uniwersalnych prawd dotyczących ludzi, które zawsze się sprawdzają. Lecz zaprzeczanie takim twierdzeniom jest rzeczą niewdzięczną, nieprzyjemną, a czasem niebezpieczną. Dlatego po prostu uśmiechnąłem się ze zrozumieniem.

– Oczywiście, że nie jesteś pijana – odpowiedziałem. – Czy musimy się przeprowadzić do nowego domu, bo Lily Anne jest duża?

– Nasza rodzina staje się coraz większa, Dexter. Potrzebujemy większego domu.

W moim mózgu zapaliło się światełko. Zacząłem się domyślać.

– Potrzebujemy domu o większej powierzchni, bo dzieci rosną?

– Tak! – odrzekła, uderzając dłonią w blat stołu.

– Dokładnie tak! – Zmarszczyła brwi. – Myślałeś, że o co mi chodzi?

– Nie miałem pojęcia. Siedzisz przed domem i płaczesz. Westchnęła, odwróciła wzrok i znów niezgrabnie otarła rękawem twarz.

– Poczułam się trochę nieszczęśliwa... – Spojrzała na mnie i szybko odwróciła wzrok. – Wiesz, że nie jestem głupia... – wymamrotała, po czym zmarszczyła brwi i powtórzyła dobitnie: – Nie. Jestem. Głupia.

– Nigdy cię za taką nie uważałem – odrzekłem, co zresztą, paradoksalnie, pokrywało się z prawdą. Moim zdaniem Rita była zdumiewająco roztrzepana, ale nie głupia. – Dlatego płaczesz?

Obrzuciła mnie twardym wzrokiem i po chwili zacząłem się czuć niezręcznie. Wreszcie jej oczy znów wypełniły się łzami i spojrzała w bok.

– To tylko hormony – powiedziała. – Nie chciałam, żeby ktoś widział.

Przed oczami przemknęła mi wizja kogoś oglądającego hormony Rity, lecz próbowałem się skoncentrować na sednie sprawy.

– Więc to nie dotyczy bezpośrednio Lily Anne? – spytałem wciąż niepewny.

– Nie, oczywiście, że nie – odrzekła. – Dom jest za mały. Cody i Astor nie mogą wiecznie mieszkać w tym samym pokoju... Astor jest już za duża.

Chyba zrozumiałem. Astor dorastała i nie mogła dalej mieszkać w jednym pokoju z bratem. Jednak przyzwyczyłem się do tego domu i nie chciałem się z niego wyprowadzać, a ponadto miałem kilka praktycznych zastrzeżeń.

– Nie stać nas na nowy dom – powiedziałem. – Zwłaszcza na większy.

Rita pokiwała palcem i zerknęła na mnie figlarnie jednym okiem.

– Nie słuchałeś... – stwierdziła, z całych sił starając się wymawiać słowa wyraźnie.

– Chyba nie.

– Jest mnóstwo znakomitych okazji – powiedziała.

– Okazji. – Pokręciła głową i zamknęła oczy. – Och, o Boże... – Oddychała głęboko i kołysała się przez chwilę, aż zacząłem się zastanawiać, czy nie spadnie z ławki. Znów głęboko odetchnęła, poruszyła głową i spojrzała na mnie. – Pustostany, domy odebrane właścicielom przez banki – stwierdziła ostrożnie. – Nie nowe domy. – Uśmiechnęła się dziwnie, po czym odwróciła się i sięgnęła po kieliszek; tym razem wypła go do końca.

Zastanawiałem się nad tym, co powiedziała – a przynajmniej nad tym, co zdołałem zrozumieć. Rzeczywiście, na południowej Florydzie było mnóstwo nieruchomości możliwych do nabycia po okazjnych cenach. Chociaż oficjalnie sytuacja gospodarcza się poprawiała, w Miami ciągle mieszkało wielu ludzi, którzy zaciągnęli kredyty hipoteczne i nie mogli ich spłacać; wielu z nich wyprowadzało się z domów, pozostawiając bankom długi oraz przeszacowane nieruchomości. Z kolei banki chętnie sprzedawały je za ułamek pierwotnej ceny.

Wiedziałem o tym wszystkim. Ostatnio dużo mówiono o złych kredytach hipotecznych, odbieraniu domów właścicielom i okazjach na rynku nieruchomości. Media publikowały reportaże na ten temat, toczyły się dyskusje ekspertów. Nawet mój brat Brian zajmował się zawodowo tym samym zagadnieniem.

Ale teoretyczna wiedza o istnieniu tanich domów była czymś zupełnie innym niż próba wyciągnięcia z tego korzyści osobistych. Lubiłem nasz obecny dom i poświęciłem swoje mieszkanie, by w nim zamieszkać.

Przeprowadzka byłaby trudna, niewygodna i nieprzyjemna; nie mieliśmy gwarancji, że znajdziemy coś lepszego, zwłaszcza że musielibyśmy zamieszkać w domu opuszczonym przez poprzednich właścicieli w rozpacz i złości. Ktoś mógł porobić dziury w dachu, wyrwać druty ze ścian – czy przynajmniej nie groziła nam zła karma?

Jednak Lily Anne znów udowodniła, że ma jaśniejszy, bardziej klarowny ogląd sytuacji niż jej zwariowany ojciec. Kiedy zastanawiałem się nad hipotekami i niedogodnościami związanymi z przeprowadzką, błyskawicznie rozwiązała problem. Podskoczyła trzy razy na swoich potężnych małych nóżkach i zawołała:

– Da! Da! Da! Da! – Dla podkreślenia wyciągnęła rękę i szarpnęła mnie za ucho. Popatrzyłem na córeczkę i podjąłem decyzję.

– Masz rację – stwierdziłem. – Zasługujesz na własny pokój. – Odwróciłem się do Rity, by powiedzieć, że się zgadzam, ale opierała się o skraj stołu z zamkniętymi oczami. Jej głowa delikatnie się kołysała; miała rozchylone usta i dłonie zaciśnięte na kolanach.

– Rito? – odezwałem się.

Wyprostowała się i spojrzała na mnie z lękiem.

– O mój Boże! Przestraszyłeś mnie!

– Przepraszam. Co z domem?

Zmarszczyła brwi.

– Brian twierdzi... Mam nadzieję, że się nie gniewasz, że z nim rozmawiałam? – Na jej twarzy pojawił się wyraz lekkiego zażenowania. – Wiesz, zajmuje się tym zawodowo. – Uniosła rękę, ale zawadziła nią o kant stołu. – Auć!

– To dobrze, że rozmawiałaś z Brianem – powiedziałem tonem łagodnej zachęty.

– Brian świetnie się na tym zna. Wie wszystko o domach. Jest doskonale zorientowany.

– Tak, to prawda.

– Pomoże nam. Pomoże znaleźć, znaleźć...

– Dom – podpowiedziałem.

Pokręciła powoli głową i zamknęła oczy. Czekałem, lecz milczała.

– Przepraszam – rzekła w końcu, bardzo cicho. – Chyba muszę się położyć.

Wstała z ławki. Pusty kieliszek upadł na ziemię i odpadła mu nóżka, lecz Rita tego nie zauważyła. Stała przez chwilę, kołysząc się lekko, po czym ruszyła chwiejnie w stronę domu.

– Czeka nas przeprowadzka – zwróciłem się do Lily Anne.

– Da! – odrzekła zdecydowanym tonem i podskoczyła. Wstałem i zaniósłem ją do domu. Musiałem zatelefonować; wyglądało na to, że tego wieczoru na kolację będzie pizza.

10

Kiedy nazajutrz rano przyszedłem do pracy, na moim biurku czekał raport nadesłany przez biuro lekarza sądowego. Przejrzałem go pobieżnie, a potem, gdy zobaczyłem, co zawiera, usiadłem i zacząłem czytać z autentycznym zainteresowaniem. Były to wyniki sekcji zwłok policjanta Gunthera. Po przedarciu się przez terminologię medyczną można było znaleźć kilka ważnych informacji. Po pierwsze, analiza plam opadowych wskazywała, że zwłoki leżały kilka godzin twarzą w dół – było to interesujące, ponieważ w chwili ich odnalezienia koło Torch of Friendship twarz była skierowana do góry. Oznaczało to prawdopodobnie, że morderca zabił Gunthera późnym popołudniem, a później ukrył ciało aż do zmroku. W nocy przystąpił do działania i przetransportował je w rejon pomnika.

Kilka stron poświęcono uszkodzeniom narządów wewnętrznych i kończyn Gunthera; opis pokrywał się z informacjami dotyczącymi Kleina. Raport nie zawierał spekulacji na temat okoliczności zbrodni – byłoby to nieprofesjonalne i mało pomocne – stwierdzał jednak, że urazy powstały w wyniku użycia stalowego narzędzia posiadającego gładki, podłużny obuch wielkości karty do gry. W mojej ocenie mogło chodzić po prostu o duży młot.

Badanie organów wewnętrznych potwierdziło wyniki oględzin zwłok. Morderca bardzo się starał, by Gunther jak najdłużej żył, i połamał mu wszystkie kości starannie wymierzonymi, potężnymi ciosami. Nie był to

przyjemny rodzaj śmierci, lecz z drugiej strony nie wyobrażam sobie, by jakakolwiek śmierć mogła być przyjemna – nigdy nie próbowałem zabijać w sposób przyjemny dla ofiary. Zupełnie mnie nie interesuje, czy mogłoby to być zabawne.

Przejrzałem raport, aż dotarłem do strony zaznaczonej żółtym markerem, zawierającej wykaz zawartości żołądka Gunthera. Połowę pozycji podkreślono na jasnożółto; prawdopodobnie zrobiła to Deborah. Nie potrzebowałem podkreśleń, by zwrócić uwagę na najważniejszą informację. W żołądku Gunthera, oprócz innych ohydnych rzeczy, znaleziono resztki potrawy złożonej z mąki kukurydzianej, sałaty, mielonej wołowiny i kilku przypraw, w tym chili i kminu rzymskiego.

Innymi słowy, ostatnim posiłkiem Gunthera były tacos, podobnie jak w wypadku Kleina. Miałem nadzieję, że przynajmniej im smakowało.

Kiedy skończyłem czytać raport, zadzwonił telefon na biurku. Moje zdolności telepatyczne natychmiast pozwoliły mi się domyślić, że to prawdopodobnie moja siostra. Podniosłem słuchawkę.

– Morgan – powiedziałem.

– Czytałeś raport lekarza sądowego? – spytała Deborah.

– Przed chwilą skończyłem.

– Czekaj na mnie. Zaraz do ciebie przyjdę.

Po dwóch minutach weszła, niosąc kopię raportu.

– Co o tym sądzisz? – spytała, siadając na krześle i machając dokumentem.

– Nie podoba mi się styl, a fabuła wydaje się banalna – odparłem.

– Przestań żartować! Za pół godziny mam odprawę i muszę coś powiedzieć.

Popatrzyłem na nią z lekką irytacją. Dobrze wiedziałem, że chociaż potrafi stawić czoła wściekłym, uzbrojonym po zęby handlarzom kokainą

i rozstawiać po kątach dwa razy większych od siebie, potężnie zbudowanych policjantów, kompletnie się gubi, gdy ma wystąpić publicznie przed dużą grupą ludzi. Nie przeszkadzało mi to, a nawet sprawiało przyjemność; miło było od czasu do czasu być świadkiem jej upokorzenia. Jednak okropna trema Debs przed wystąpieniami publicznymi stała się w końcu również moim problemem i zawsze pisałem scenariusze jej przemówień. Niesłychanie niewdzięczne zadanie, bo i tak się gubiła, niezależnie od tego, ile wspaniałych kwestii przygotowałem.

Ale cóż, przyszła do mojego gabinetu i prosiła w dość miły sposób, przynajmniej jak na siebie, toteż musiałem jej pomóc, choć nie miałem na to ochoty.

– Schemat jest ten sam: połamane kości i posiłek złożony z tacos – zacząłem głośno myśleć.

– Wiem o tym – odparła. – Dalej, Dex.

– Interesujący jest dwutygodniowy odstęp między zabójstwami.

Zatrzepotała powiekami i spoglądała na mnie przez chwilę.

– To coś znaczy? – spytała.

– Na pewno.

– Co?

– Nie mam zielonego pojęcia – odpowiedziałem. – Ważne są także różnice między obydwojma zabójstwami – dodałem, nim zdążyła się pochylić i dać mi kuksańca.

– To też wiem – odrzekła w zamyśleniu. – Gunther nosił w pracy mundur, a Klein cywilne ubranie. Pierwsze zwłoki znaleziono w samochodzie, drugie obok Torch of Friendship. Przywieziono je łodzią. Dlaczego, na litość boską?!

– Co najważniejsze, trzeba się zastanowić, dlaczego pozostałe cechy obu zabójstw są takie same – dodałem, a Deborah spojrzała na mnie dziwnym

wzrokiem. – Identyczna metoda działania. Dwaj policjanci. Dlaczego akurat oni? W jaki sposób zaspokajali potrzeby zabójcy?

Potrząsnęła niecierpliwie głową.

– Mam w dupie psychologię – stwierdziła. – Muszę po prostu schwytać tego psychopatycznego skurwysyna.

Mogłem powiedzieć, że najlepszy sposób na schwywanie psychopatycznego skurwysyna to zrozumieć, co sprawia, że jest psychopatycznym skurwysynem, lecz wątpiłem, czy dobrze przyjęłaby tę uwagę. Poza tym tak naprawdę nie było to zgodne z prawdą. Wiele lat pracy w policji nauczyło mnie, że najlepszy sposób schwywania mordercy to szczęśliwy przypadek. Oczywiście nikt tego głośno nie mówi, zwłaszcza w trakcie wywiadów w telewizji. Wtedy trzeba wyglądać poważnie i podkreślać, że policja prowadzi drobiazgowy, żmudny śledztwo.

– Co z łodzią? – spytałem.

– Szukamy jej. Wiesz, ile jest łodzi w Miami, nawet jeśli liczyć tylko te oficjalnie zarejestrowane?

– Moim zdaniem łódź nie należała do mordercy. Prawdopodobnie ukradł ją w zeszłym tygodniu.

– Skradzionych łodzi też jest mnóstwo! – prychnęła. – Cholera, Dexter, zajęłam się rutynowymi sprawami. Potrzebuję dobrego pomysłu, nie kolejnych głupot, które wymyślasz na poczekaniu!

Chociaż w ostatnim czasie nie byłem w najlepszym nastroju, odniosłem wrażenie, że Deborah przekracza granice, których należy się trzymać, gdy prosi się kogoś o pomoc. Otworzyłem usta, by zrobić nieprzyjemną uwagę, lecz nagle przyszedł mi do głowy nowy pomysł.

– Och! – westchnąłem.

– Co takiego?

– Nie musisz szukać skradzionej łodzi.

– Doskonale wiem, że nie był na tyle głupi, by korzystać z własnej, ale dlaczego nie muszę jej szukać?

Spojrzałem na nią i pokręciłem głową.

– To oczywiste, Debs – rzuciłem. Przyznaję, że mogłem się lekko uśmiechnąć. – Jeśli sprawca ukradł łódź, po zabójstwie na pewno się jej pozbył. Więc nie należy szukać skradzionej łodzi, tylko...

– Odnalezionej łodzi! – zawołała i klasnęła w ręce. – Jasne! Porzuconej w jakimś miejscu z niewiadomego powodu.

– Prawdopodobnie zostawił gdzieś w pobliżu samochód – stwierdziłem.
– A może ukradł też jakiś wóz?

– Do licha, to można łatwo sprawdzić! W Miami nie może być wielu miejsc, gdzie tej samej nocy odnaleziono porzuconą łódź i skradziono samochód.

– Wystarczy szybko przeszukać komputerową bazę danych – odezwałem się i natychmiast pożałowałem swoich słów. Deborah bardzo kiepsko znała się na komputerach, ja natomiast jestem w tej dziedzinie prawdziwym ekspertem, toteż kiedy w naszych rozmowach pada słowo „komputer”, moja siostra automatycznie zrzuca problem na mnie. Natychmiast zerwała się z miejsca i uderzyła mnie przyjacielsko w ramię.

– Świetnie, Dex! – zawołała. – Ile czasu ci to zajmie? Rozejrzałem się szybko po pokoju, ale stała między mną a drzwiami – awaryjnego wyjścia nie było. Usiadłem przy komputerze i zabrałem się do pracy. Deborah kręciła się niespokojnie po pomieszczeniu, co sprawiało, że trudno mi było się skoncentrować.

– Proszę, Debs – odezwałem się w końcu. – Nie mogę pracować, gdy bez przerwy spacerujesz.

– Cholera! – zakląła, lecz przestała chodzić i przysiadła na oparciu fotela. Trzy sekundy później zaczęła szybko stukać w podłogę czubkiem buta. Nie

potrafiła usiedzieć na miejscu; mogłem wyrzucić ją za drzwi albo znaleźć to, czego potrzebowała. Miała pistolet, a ja nie byłem uzbrojony, toteż próba wyrzucenia jej wydawała się dość ryzykowna. Z ciężkim westchnieniem zabrałem się do pracy.

Po niespełna dziesięciu minutach znalazłem to, czego szukałem.

– Popatrz, proszę, na to – rzekłem i nim zdążyłem wypowiedzieć ostatnią sylabę, znalazła się obok mojego łokcia, patrząc z ciekawością w ekran. – Pastor kościoła Świętego Jana w Miami Beach zgłosił dziś rano kradzież samochodu. Ma sześciometrową łódź marki Sea Fox.

– Kościół?! – odezwała się ze zdumieniem. – W Miami Beach, na litość boską?! Skąd się tam wzięła łódź?!

Wyświetliłem na ekranie mapę.

– Popatrz, kościół jest tutaj, nad kanałem, a parking znajduje się tuż nad wodą. – Przesunąłem palcem wzdłuż kanału. – Dziesięć minut do Bayfront Park i Torch of Friendship; wystarczy przepłynąć zatokę.

Deborah wpatrywała się w monitor.

– To nie ma żadnego sensu – stwierdziła.

– Dla mordercy ma.

– Cóż, lepiej pojedę tam z Duartem – rzekła, po czym wstała i wybiegła przez drzwi bez słowa podziękowania za osiem minut ciężkiej pracy. Przyznaję, że byłem trochę zaskoczony – oczywiście nie tym, że nie okazała żadnej wdzięczności. W ogóle się tego nie spodziewałem. Ale normalnie zabrałaby mnie ze sobą jako wsparcie, pozostawiając swojego partnera w komendzie, by się zajmował sprawami administracyjnymi. Tym razem na miejscu pozostał Dexter, a Debs poszła po swojego nowego, francuskojęzycznego partnera, Duarteego. Domyśliłem się, że lubi z nim pracować, a może po prostu stała się ostrożniejsza? Jej dwaj ostatni partnerzy zginęli na służbie w czasie prowadzonych wraz nią śledstw

i słyszałem policjantów, którzy mówili, że praca z sierżant Morgan przynosi pecha, bo jest czymś w rodzaju czarnej wdowy.

Tak czy inaczej, nie miałem powodów do skarg. Debs przynajmniej raz postępowała zgodnie z regulaminem, współpracując ze swoim partnerem, a nie bratem. Bardzo mnie to cieszyło, ponieważ udzielanie jej pomocy mogło być naprawdę niebezpieczne – miałem blizny, które tego dowodziły. Poza tym nie uśmiechało mi się bieganie po Miami i polowanie na szaleńca z młotem; nie potrzebowałem dodatkowych zastrzyków adrenaliny, miałem prawdziwą pracę do wykonania. Przez kilka minut czułem się niedoceniony, po czym wróciłem do swoich zajęć.

Tuż po lunchu siedziałem w laboratorium z Vince'em Masuoką, gdy nagle weszła Deborah i rzuciła na stół duży młot. Z głośnego łoskotu wywnioskowałem, że waży około trzech kilogramów. Znajdował się w plastikowej torbie na dowody rzeczowe, w której wewnątrz skropliła się para wodna, jednak widziałem, że nie jest to normalny młot ciesielski ani kowalski. Obuch był nieco zaokrąglony z obu stron, a żółte drewniane stylisko wytarte i poobijane.

– W porządku – rzekł Vince, zaglądając Debs przez ramię. – Kiedy cię widzę, zawsze myślę o waleniu.

– Odpieprz się! – warknęła Deborah. Była to jedna z łagodniejszych form przywoływania Vince'a do porządku, ale powiedziała to z ogromnym przekonaniem. Masuoka szybko odszedł do kąta laboratorium, gdzie na stole stał jego laptop. – Znalazł go Alex – ciągnęła, kiwając głową w stronę Duarte'go, który wszedł za nią do pomieszczenia. – Leżał na parkingu przy kościele Świętego Jana w Miami Beach.

– Dlaczego morderca miałby zostawić tam młot? – spytałem, dotykając plastikowej torby, by lepiej widzieć.

– Popatrz tutaj – odezwała się Debs, a w jej głosie zabrzmiało ledwo skrywane podniecenie. Wskazała jedno z miejsc na stylisku, gdzie żółta farba była częściowo wytarta. – Widać spękania.

Pochyliłem się i spojrzałem. Na odrapanym drewnianym trzonku znajdowała się mikroskopijna drzazga.

– Cudownie! – powiedziałem. – Może się zranił?

– Dlaczego to takie cudowne? – spytał Duarte. – Nie miałbym nic przeciwko temu, by się zranił, ale co z tego?

Spojrzałem na niego i zastanawiałem się przez chwilę, dlaczego jakiś złośliwy komputer w dziale personalnym zawsze przydziela Debs partnerów o najniższym ilorazie inteligencji.

– Jeżeli się zranił w rękę, na trzonku mogło zostać trochę krwi – oznajmiłem, starannie dobierając jak najprostsze słowa. – Może uda się nam zidentyfikować DNA.

– Ach, jasne – odrzekł.

– Bierz się do roboty, Dexter – rzuciła Deborah. – Zobaczymy, czy coś znajdziesz.

Włożyłem rękawiczki, wyjąłem młot z torby i położyłem na stole.

– Nietypowy rodzaj narzędzia, prawda? – zauważyłem.

– To tak zwany młot kamieniarski – odezwał się Vince.

Popatrzyłem na niego. Ciągle siedział na końcu pomieszczenia, pochylony nad swoim laptopem. – Młot kamieniarski – powtórzył. – Wyszukałem to w Google.

– Bardzo trafna nazwa – zauważyłem. Pochyliłem się nad trzonkiem i ostrożnie spryskałem go sprayem Bluestar, który ujawniłby każdy, nawet najdrobniejszy ślad krwi. Przy odrobinie szczęścia można by dzięki temu określić grupę lub wyodrębnić DNA.

– Takie młoty są używane do prac wyburzeniowych – ciągnął Vince. – Rozwalanie ścian i tak dalej.

– Wiem, co oznacza słowo „wyburzenie” – odezwałem się.

– Skończcie z tymi idiotyzmami! – syknęła Deborah przez zaciśnięte zęby. – Znalazłeś coś czy nie?

Apodyktyczne zachowanie Debs było wyjątkowo irytujące i przyszło mi do głowy kilka sarkastycznych uwag, którymi mógłbym przywołać ją do porządku. Zanim zdążyłem wybrać najodpowiedniejszą, zauważyłem na trzonku niewyraźną smugę powstałą pod działaniem sprayu.

– Jest! – powiedziałem.

– Co takiego? – rzuciła Deborah i nagle znalazła się tak blisko mnie, że słyszałem zgrzytanie jej zębów.

– Pokażę ci, jeśli się trochę odsuniesz. – Syknęła ze złością, ale cofnęła się pół kroku. – Spójrz – powiedziałem, wskazując smugę. – To ślad krwi, a poza tym widać stary odcisk palca.

– Macie szczęście – odezwał się Vince ze swojego stołka po drugiej stronie laboratorium.

– Doprawdy? – spytałem. – A dlaczego ty nic nie znalazłeś?

– Co z DNA? – rzuciła niecierpliwie Deborah.

– Spróbuję – odpowiedziałem, kręcąc głową. – Ale prawdopodobnie jest zbyt zniszczone.

– Sprawdźcie odcisk w bazie danych – poleciała Debs. – Potrzebuję nazwiska.

– I czego jeszcze? Może odczytu GPS? – spytał Vince.

Deborah spojrzała na niego z wściekłością, jakby chciała go rozszarpać na kawałki. Po chwili popatrzyła na mnie i powiedziała:

– Sprawdź odcisk, Dexter.

Odwróciła się i prędko wyszła z laboratorium. Alex Duarte wstał.

– *Au 'voir* – pożegnałem go uprzejmie.

– *Mange merde* – odparł, kiwając głową, po czym podążył za Deborah. Jego francuski akcent był znacznie lepszy niż mój.

Popatrzyłem na Vince'a, który zamknął laptop i wstał.

– Sprawdźmy odcisk – rzekł.

Przystąpiliśmy do pracy. Jak się spodziewałem, smuga krwi była zbyt zniszczona, by wyodrębnić próbkę DNA, ale udało się nam wykonać fotografię odcisku palca. Po poprawieniu jakości zdjęcia na komputerze wysłaliśmy je do bazy danych IAFIS w nadziei, że uda się je zidentyfikować. Była to krajowa baza danych odcisków palców przestępców; jeśli tylko odciski właściciela młota się tam znajdują, powinno się pojawić nazwisko i Deborah będzie mogła aresztować podejrzanego.

Po wysłaniu fotografii nie pozostało już nic do roboty; mogliśmy tylko czekać na wyniki. Vince wyszedł, by załatwić jakąś sprawę, a ja przez kilka minut siedziałem beczynnym. Deborah wydawała się podniecona, wręcz szczęśliwa. Kiedy uważała, że jest blisko schwytania przestępcy, zawsze wpadała w optymistyczny nastrój. Przez chwilę prawie żałowałem, że nie mogę odczuwać emocji – zazdrościłem jej tych przypływów energii. Praca nigdy nie dawała mi szczęścia, tylko coś w rodzaju ponurej satysfakcji, gdy wszystko szło dobrze. Jedynym źródłem prawdziwego zadowolenia jest dla mnie moje hobby, lecz w tej chwili starałem się o nim nie myśleć. Cienka teczka przechowywana w moim gabinecie w domu zawierała trzy nazwiska. Trzech intrygujących kandydatów do zabawy w stylu Dextera. Kiedy zajmę się jednym z nich, prawie na pewno pozbędę się poczucia niskiej wartości, a na mojej twarzy znów pojawi się promienny, sztuczny uśmiech.

Nie mogłem jednak się teraz tym zająć, nie w chwili, gdy tropił mnie anonimowy Świadek i gdy cała policja zajmowała się zabójstwem Kleina, a potem Gunthera. Każdy funkcjonariusz w rejonie Miami zachowywał szczególną czujność w nadziei, że zostanie bohaterem dnia, człowiekiem, który schwytał mordercę. Ta postawa policjantów sprawiała, że bezpieczeństwo większości mieszkańców znacznie wzrosło, ale zwiększyło się również ryzyko dla Dextera.

Nie, hobbyistyczna wyprawa na polowanie nie była dobrym pomysłem, nie w okresie podwyższonej aktywności policji. Musiałem znaleźć Świadka, a do tego czasu pogodzić się z tym, że jestem paranoidalny, zrzędlivy, nieszczęśliwy i niespełniony.

Ale jeśli się nad tym zastanowić – to co z tego? Obserwując innych mieszkańców tego padolu łez, zauważyłem, że większość z nich prawie zawsze jest nieszczęśliwa. Czy mam być wyjątkiem tylko dlatego, że jestem bez serca? Chociaż Lily Anne sprawiła, że człowieczeństwo nabrało dla mnie pewnej wartości, miało ono również mniej przyjemne aspekty – sprawiedliwość wymagała, bym jakoś je zniósł. Oczywiście nigdy szczególnie nie wierzyłem w sprawiedliwość, ale w tej chwili musiałem się pogodzić z losem.

Jednak moja siostra nie chciała tego zrobić. Kiedy doszedłem do wniosku, że życie jest okropne i że zasługuję na to, co mnie spotyka, Deborah wpadła jak burza do mojego gabinetu.

– Masz już coś? – spytała.

– Przed chwilą wysłaliśmy prośbę o sprawdzenie odcisku w bazie danych, Debs – odpowiedziałem. – To zajmie trochę czasu.

– Ile?

Westchnąłem.

– Mamy jeden częściowy odcisk, siostró. Kilka dni, może nawet tydzień.

– Nonsens! Nie mogę czekać cały tydzień! – odparła.

– To ogromna baza. Otrzymują prośby z całego kraju. Musimy czekać na swoją kolej.

Deborah zazgrzytała zębami z taką siłą, że prawie usłyszałem, jak odpadają kawałki szkliwa.

– Muszę mieć wyniki natychmiast! – warknęła przez zaciśnięte zęby.

– Cóż, jeśli potrafisz jakoś przyspieszyć procedurę, wszyscy będziemy bardzo szczęśliwi – odpowiedziałem miłym tonem.

– Cholera, za mało się staracie! – burknęła.

Szczerze przyznaję, że normalnie miałbym więcej cierpliwości w stosunku do niemożliwych do spełnienia próśb Debs i jej złego humoru. Ale w obecnej sytuacji nie chciałem bić przed nią pokłonów i potulnie się na wszystko godzić. Odetchnąłem głęboko i odezwałem się ze stalowym opanowaniem:

– Deborah, wykonuję swoją pracę najlepiej, jak potrafię. Jeśli uważasz, że umiesz zrobić coś lepiej, proszę, zajmij się tym sama.

Zacisnęła zęby jeszcze mocniej i przez chwilę myślałem, że je połamię, na szczęście jednak tak się nie stało. Popatrzyła na mnie ze złością, a potem dwukrotnie skinęła zdecydowanie głową.

– W porządku – rzekła. Odwróciła się i wyszła szybko z mojego gabinetu, nawet nie odwracając się, by po raz ostatni na mnie warknąć.

Westchnąłem. Może powinienem zostać w łóżku, a przynajmniej sprawdzić swój horoskop? Nic mi się dziś nie udawało. Cały świat wydawał się nieco zwichrowany, przechylony pod nienormalnym kątem. Było w nim coś dziwnego i podłego, jakby wyczuł mój zły nastrój i szukał słabych punktów.

Ach, gdybym tylko miał matkę, na pewno by mnie uprzedziła, że czekają mnie również takie dni. Matka, która powiedziałaby na serio coś takiego,

prawdopodobnie by dodała: „Bezczyność to zaproszenie dla diabła”. Nie chciałem denerwować swojej hipotetycznej matki ani nawiązywać kontaktów z Szatanem, toteż wstałem z krzesła i zacząłem sprzątać laboratorium.

Po minucie w drzwiach pojawiła się głowa Vince’a, który patrzył ze zdziwieniem, jak czyszczę stoły papierowymi ręcznikami. Pokręcił głową.

– Ależ się starasz! – zauważył. – Gdybym nie wiedział, że jesteś żonaty, zacząłbym się zastanawiać, gdzie się tego nauczyłeś.

Wziąłem ze stołu niewielki stos akt.

– Trzeba to wszystko odnieść do archiwum – powiedziałem.

Uniósł dłoń i zrobił krok do tyłu.

– Moje plecy tego nie zniosą – rzekł. – Nie wolno mi niczego dźwigać, lekarz mi zabronił.

Odszedł korytarzem. Samotny Dexter: pasowało to do ogólnego trendu i byłem pewien, że prędzej czy później się do tego przyzwyczaję. Dokończyłem sprzątanie, nie zalewając się łzami. W obecnej sytuacji prawdopodobnie nie mogłem liczyć na nic lepszego.

11

Zabierałem się do kolacji, gdy zadzwoniła moja komórka. Był właśnie wieczór, gdy jedliśmy resztki potraw przygotowanych w ciągu tygodnia, co miało swoje zalety, ponieważ mogłem skosztować kilku arcydzieł kulinarnych Rity w czasie jednego posiłku. Patrzyłem przez kilka sekund na komórkę, myśląc o ostatniej porcji kurczaka w sosie tropikalnym leżącej na półmisku, po czym wreszcie odebrałem telefon.

– To ja – rozległ się głos Deborah. – Mam do ciebie prośbę.

– To normalne – odrzekłem, spoglądając na Cody’ego, który nakładał sobie dużą porcję tajskich klusek. – Ale czy muszę ją spełniać akurat w tej chwili?

Debs wydała z siebie coś w rodzaju syknięcia. A może po prostu odchrząknęła?

– Niestety, tak. Mógłbyś odebrać Nicholasa ze żłobka? – spytała. Zapisła swojego syna do centrum opieki dziennej Montessori w Gables, chociaż moim zdaniem był jeszcze za mały. Zastanawiałem się, czy nie wysłać tam Lily Anne, lecz Rita wyśmiała ten pomysł. Stwierdziła, że to strata pieniędzy, dopóki dziecko nie ma dwóch lub trzech lat.

Jednak Deborah niczego chłopcu nie żałowała i chętnie płaciła słone czesne. Nigdy się po niego nie spóźniała, nawet gdy miała pilne zajęcia – lecz oto dochodziła siódma wieczór i Nicholas ciągle czekał na mamę.

Najwyraźniej działo się coś niezwykłego; w głosie Debs brzmiało napięcie, nie złość jak wcześniej, lecz zmęczenie i niepokój.

– Jasne, mogę go odebrać – odpowiedziałem. – Co się stało?

Znów wydała dziwny, syczący dźwięk.

– Cholera! – mruknęła cicho, po czym odezwała się normalnym tonem: – Dziękuję, Dex. Jestem w szpitalu.

– Co takiego?! – spytałem. – Dlaczego?! – Przed oczami stanęło mi wspomnienie ostatniego pobytu Deborah w szpitalu, gdy przez kilka dni leżała na oddziale intensywnej terapii po zranieniu nożem.

– To nic poważnego – odparła ze znużeniem. – Po prostu mam złamaną rękę. Muszę tu zostać przez pewien czas i nie mogę odebrać Nicholasasa.

– W jaki sposób złamałaś rękę?

– Od uderzenia młotem. Muszę skończyć. Możesz go odebrać, Dexter?

Proszę!

– Oczywiście, że go odbiorę – odpowiedziałem. – Ale co się właściwie...

– Dziękuję. Jestem ci naprawdę bardzo wdzięczna. Cześć!

Rozłączyła się. Wyłączyłem telefon i zobaczyłem, że patrzą na mnie wszyscy członkowie rodziny.

– Przygotujcie jeszcze jedno krzeselko dla dziecka na kolację – poprosiłem. – I zostawcie mi pierś z kurczaka.

□□□

Zostawili mi pierś z kurczaka, ale gdy wróciłem do domu z Nicholasem, była już zimna, a kluski po tajsku zniknęły. Rita natychmiast wzięła ode mnie chłopca i poszła z nim na przewijak, a Astor podążyła za nią, by popatrzeć. Deborah więcej do mnie nie telefonowała i dalej nie miałem pojęcia, jak złamała sobie rękę. Mimo to miałem bardzo poważne

podejrzenia, że schwytała maniakalnego mordercę posługującego się młotem rozbiórkowym.

Wydawało się to trochę dziwne. Odcisku palca na pewno jeszcze nie zidentyfikowano, gdyż biurowe procedury musiały zająć więcej niż kilka godzin, a był to nasz jedyny ślad. Poza tym nigdy nie zrobiłaby czegoś szaleńczo ryzykownego, nie prosząc, bym ją osłaniał, a próba aresztowania psychopatycznego mordercy posługującego się młotem z pewnością należała do kategorii ryzykownych.

Oczywiście nigdy wcześniej nie miała partnera, któremu mogłaby ufać, i dobrze się dogadywała z Alexem Duarte, prawdopodobnie po francusku. Nie miałem nic przeciwko temu, by współpracowała ze swoim nowym partnerem. Było to najnaturalniejsze na świecie, zgodne z regulaminem i w niczym mi nie przeszkadzało. Niech Duarte naraża się na niebezpieczeństwo. Szczerze mówiąc, byłem już trochę zmęczony pomaganiem Debs w każdej ryzykownej akcji; uważałem, że najwyższy czas, by stanęła na własnych nogach i przestała na mnie polegać.

Kiedy Rita położyła dzieci spać, siedziała ze mną przez pewien czas, aż zaczęła ziewać. Wkrótce cmoknęła mnie w policzek i też się położyła. Zostałem z Nicholasem, czekając na przyjazd Debs. Nie był brzydkim chłopcem, choć nie był tak mądry jak Lily Anne. Jego błękitne oczy nie miały tego samego inteligentnego błysku; w moim odczuciu był mniej rozwinięty motorycznie niż moja córka. Może system edukacyjny Montessori nie zawsze się sprawdza? A może po prostu Nicholas uczył się powoli? Tak naprawdę nie było w tym nic złego. Doskonałość nie jest cechą uniwersalną – mogła istnieć tylko jedna Lily Anne. Należy wybaczać mniej utalentowanym dzieciom, a Nicholas to w końcu mój siostrzeniec.

Wszyscy poszli spać, a ja siedziałem z nim na kanapie. Nakarmiłem go mlekiem z butelki i przewinałem. Kiedy zdjąłem mokrą pieluchę,

natychmiast zaczął siusiać w powietrze i zdołałem powstrzymać potop tylko dzięki wyjątkowej zręczności. W końcu założyłem mu czystą pieluchę, zanieśliem z powrotem na kanapę i włączyłem telewizor w nadziei, że uspią go monotonne dźwięki dobiegające z odbiornika.

Nagle na ekranie telewizora pojawiła się Deborah; wokół błyskały niebieskie światła wozów policyjnych, a w tle rozlegał się poważny głos spikera podającego najświeższe wiadomości. Moja siostra leżała na noszach, trzymając się za lewe ramię, a ratownicy medyczni zakładali jej na rękę tymczasowy opatrunek gipsowy. Przez cały czas mówiła do Duarte'go, najwyraźniej wydając mu rozkazy, a on kiwał głową i klepał ją w zdrowe ramię.

Kiedy spiker skończył okropnie długie zdanie o wielkiej odwadze i heroizmie Deborah (nawet wymówił poprawnie jej imię), kamera pokazała dwóch umundurowanych policjantów idących w stronę karetki pogotowia za noszami, na których leżał potężnie zbudowany mężczyzna o kwadratowej twarzy, szarpiąc się w więzach. Ramię i brzuch miał pokryte krwią; krzyczał coś, co brzmiało wulgarnie nawet bez dźwięku. Później na ekranie pojawiły się fotografie przedstawiające Gunthera i Kleina. Głos dziennikarza stał się bardzo poważny; obiecał przekazywać najświeższe informacje na temat rozgrywających się wydarzeń. Chociaż niespecjalnie przepadam za wiadomościami telewizyjnymi, musiałem przyznać, że tym razem dowiedziałem się z nich czegoś o Debs.

Oczywiście nie musiała sama mnie informować. Nie jestem jej opiekunem i dobrze, że wreszcie zaczęła zdawać sobie z tego sprawę. Toteż kiedy wreszcie przyjechała odebrać dziecko, nie miałem do niej pretensji. Dochodziła północ; wcześniej Nicholas i ja obejrzeliśmy kilka serwisów informacyjnych oraz streszczenie całej historii. Bohaterska funkcjonariuszka ranna w chwili aresztowania mordercy policjantów.

Cudownie. Nicholas nie rozpoznawał matki w telewizji. Byłem zupełnie pewien, że Lily Anne by mnie poznała, co oczywiście nie znaczyło, że z chłopcem jest coś nie w porządku.

Tak czy inaczej, ucieszył się na widok matki, gdy otworzyłem frontowe drzwi i wpuściłem ją do domu. Biedne dziecko nie wiedziało jeszcze, że nie potrafi latać, i usiłowało przeskoczyć na Debs. O mało go nie upuściłem. Deborah niezręcznie chwyciła syna prawą ręką; lewą, w gipsie, nosiła na temblaku.

– Cóż, stałaś się osobą publiczną – stwierdziłem. – Chyba powinnaś znaleźć sobie agenta.

Pochyliła się nad Nicholasem i zaczęła coś do niego gruchać, a on śmiał się i szczypał ją w nos. Po chwili spojrzała na mnie, ciągle się uśmiechając.

– O czym ty mówisz, do licha?! – spytała.

– Pokazują cię wszystkie stacje telewizyjne – odpowiedziałem. – Zostałaś gwiazdą. „Bohaterska policjantka aresztuje szaleńca mordującego jej kolegów”.

Zrobiła niezadowoloną minę.

– O kurwa! – zaklęła, nie przejmując się obecnością Nicholasa. – Ci przekłęci dziennikarze prosili o wywiady, fotografie, życiorys. Nie mogłam się od nich odczepić.

– To duża sensacja – stwierdziłem. – Te morderstwa wywołały zaniepokojenie opinii publicznej. Jesteś pewna, że aresztowałaś właściwą osobę?

– Tak – powiedziała z zadowoleniem. – Nazywa się Richard Kovasik. Nie ma żadnych wątpliwości. – Znów przytuliła Nicholasa.

– Jak go namierzyłaś? – spytałem.

– Znaleźliśmy odcisk jego palca w bazie IAFIS – odparła, nie unosząc oczu.

Zamrugalem i przez chwile nie mialem pojecia, co powiedziec: doslownie mnie zatkało. Jej slowa wydawaly sie zupełnie nieprawdopodobne.

– Niemożliwe! – wykrztusilem wreszcie. – W ciagu sześciu godzin nie da sie zidentyfikowac czesciowego odcisku palca.

– Cóż, wykorzystalam stare znajomosci.

– To krajowa baza danych, Deborah. Tam nic nie mozna zalatwic przez znajomosci.

Wzruszyla ramionami, wciagz usmiechajac sie do Nicholasa.

– Mimo to sie udalo. Zatelefonowalam do jednego z przyjaciol Chutsky'ego w Waszyngtonie. Pomogl zalatwic sprawe w ekspresowym tempie.

– Aha... – westchnalem. Przyznaje, ze nie byla to szczegolnie dowcipna odpowiedz, lecz w tych okolicznosciach nie moglem sie zdobyć na nic lepszego. Wszystko stalo sie jasne: Chutsky, dawny chlopak Debs, mial wielu przyjaciol w instytucjach rzadowych w stolicy, ktore oznaczano trzyliterowymi skrotami. – I jest absolutnie pewne, ze to Kovasik?

– O tak, na sto procent – odpowiedziala. – Odcisk byl czesciowy, wiec pasowalo kilka osob, ale Kovasik to jedyna osoba chora psychicznie, ktora wczesniej dokonywala aktow przemocy, wiec sprawa jest oczywista. Pracuje w firmie zajmujacej sie wyburzaniem budynkow w Opa-locka, wiec nawet mlot sie zgadza.

– Zwinelas go w pracy? – spytalem.

Usmiechnela sie, czesciowo na wspomnienie aresztowania, a czesciowo do Nicholasa patrzacego na nia z podziwem.

– Tak – odpowiedziala, dotykajac palcem noska chlopca. – Naprzeciwko baru Benny'ego.

– Co robilas u Benny'ego?

Nie spojrzała na mnie.

– Och, dochodziła piąta, zidentyfikowaliśmy odcisk palca, ale podejrzany nie miał stałego adresu, więc nie wiedzieliśmy, gdzie go szukać. Niejaki Kovasik – dodała na wypadek, gdybym zapomniał nazwisko.

– Rozumiem – stwierdziłem, błyskotliwie ukrywając zniecierpliwienie.

– Duarte powiedział: „Jest piąta, więc wpadnijmy na piwo”. – Skrzywiła się. – Nie przepadam za piwem, ale to pierwszy partner, z którym mogę wytrzymać.

– Zauważyłem. Wygląda bardzo sympatycznie.

Prychnęła. Nicholas wzdrygnął się na ten dźwięk i przez chwilę go uspokajała.

– Nie jest sympatyczny, ale mogę z nim pracować. Zgodziłam się i wstąpiliśmy do Benny’ego na piwo.

– To wszystko wyjaśnia – zauważyłem. Benny był jednym z barów, gdzie zbierają się wyłącznie funkcjonariusze policji; zwykli ludzie czują się tam niezręcznie. Wielu policjantów wpadało tam w drodze do domu, a niektórzy nawet w godzinach służby, czego oczywiście nigdzie nie odnotowywano. Jeśli Klein i Gunther odwiedzili bar Benny’ego tuż przed morderstwem, tłumaczyło to brak informacji o tym, gdzie zostali zamordowani.

– Zatrzymaliśmy się przed barem, a po przeciwnej stronie ulicy znajdowała się budka z tacos. I nagle usłyszałam piekielny łoskot dobiegający ze starego budynku biurowego stojącego w pobliżu. Popatrzyłam jeszcze raz, zobaczyłam napis: „Tacos” i pomyślałam: Niemożliwe.

Ogarnęła mnie lekka irytacja. Zrobiło się bardzo późno i albo byłam zbyt zmęczony, by śledzić tok opowieści Debs, albo nie miała ona żadnego sensu.

– Do czego właściwie zmierzasz, Debs? – spytałem, starając się mówić spokojnym tonem.

– Łoskot, Dexter! – powiedziała triumfalnym tonem. – Jakby uderzenia młotem w ścianę. – Uniosła brwi. – Wyburzano akurat wewnątrz budynku naprzeciwko baru Benny’ego. Robiono to młotami kamieniarskimi, a niedaleko stała budka z tacos.

Wreszcie zacząłem rozumieć.

– Niemożliwe! – powiedziałem.

– Właśnie, że możliwe! – zaprzeczyła, zdecydowanie kiwając głową. – Absolutnie możliwe! Kilku robotników pracowało w środku, rozwalając ściany wielkimi młotami.

– Młotami kamieniarskimi – wtrąciłem, przypomniawszy sobie nazwę wyszukaną w internecie przez Vince’a.

– Nieważne – odparła Deborah. – Duarte i ja postanowiliśmy sprawdzić budynek, choć tak naprawdę nie wierzyliśmy, że znajdziemy coś ciekawego. Ledwo pokazałam odznakę, Kovasik rzucił się na mnie z młotem. Poczęstowałam go dwiema kulami, ale mimo to złamał mi rękę. – Zamknęła oczy i oparła się o framugę drzwi. – Gdyby Duarte go nie trafił, zamachnąłby się jeszcze raz i roztrzaskał mi głowę.

Nicholas powiedział: „Blab-blab”, a Deborah wyprostowała się i niezręcznie go przytuliła.

Patrzyłem na siostrę, zmęczoną i szczęśliwą, i przyznaję, że poczułem ukłucie zazdrości. Wszystko w dalszym ciągu wydawało się nierealne i niekompletne – nie mogłem uwierzyć, że nie uczestniczyłem w tych wydarzeniach. Czułem się jak człowiek, który wpisał do krzyżówki jedno słowo, a potem zastał ją rozwiązaną przez kogoś innego. Poza tym miałem wyrzuty sumienia, że nie towarzyszyłem Debs, choć mnie o to nie poprosiła. Znalazła się w niebezpieczeństwie; wytrąciło mnie to

z równowagi. Targały mną głupie, irracjonalne uczucia, co było zupełnie nie w moim stylu.

– Przeżyje? – spytałem, mając nadzieję, że odpowiedź okaże się negatywna.

– Tak, musieli mu nawet dać środki uspokajające, cholera! – rzekła Deborah. – Niewiarygodnie silny facet, zupełnie nie czuje bólu. Gdyby Alex go nie skuł, znów by mnie zaatakował. Kompletny psychopata. – Z zadowolonym uśmiechem przytuliła mocniej Nicholasa, przyciskając jego twarz do swojej szyi. – Ale teraz siedzi w areszcie, sprawa jest zakończona. Schwytałam mordercę i odniosłam sukces. – Zaczęła delikatnie kołysać chłopca. – Mama złapała złego człowieka – powtórzyła melodyjnym głosem, jakby śpiewała Nicholasowi kołysankę.

– No cóż – powiedziałem i zdałem sobie sprawę, że od początku rozmowy wypowiadam te słowa przynajmniej trzeci raz. Czy cała ta sprawa wytrąciła mnie z równowagi do tego stopnia, że przestałem być zdolny do normalnej konwersacji? – Złapałaś Młociarza, siostró. Gratuluję!

– Dzięki – odpowiedziała, po czym zmarszczyła brwi i pokręciła głową. – Teraz powinnam po prostu przetrzymać kilka najbliższych dni.

Nie wiedziałem, co ma na myśli. Może miała zaburzenia świadomości od środków przeciwbólowych?

– Boli cię ręka? – spytałem.

– Bywało gorzej – odpowiedziała, unosząc gips. – Tak naprawdę chodzi o Matthewsą. – Wzruszyła ramionami i wykrzywiła twarz. – Dziennikarze bardzo się interesują tą sprawą. Matthews każe mi z nimi współpracować, bo zależy mu na reklamie. – Westchnęła ciężko, a Nicholas powiedział: „Blat!” i uderzył ją w nos. Przytuliła go i dodała: –Nienawidzę tego gówna!

– Ach, oczywiście – odparłem. Wszystko stało się jasne. Deborah nie miała talentu do public relations i rozgrywek personalnych. Nie umiała się

podlizywać; potrafiła dobrze strzelać i tropić przestępców. Gdyby posiadała trochę więcej zdolności dyplomatycznych, prawdopodobnie byłaby już przynajmniej szefem wydziału. A teraz znalazła się w sytuacji, gdy musiała się sztucznie uśmiechać i opowiadać bzdury, co zupełnie nie leżało w jej naturze. Potrzebowała rady kogoś, kto jest w tym dobry. Ponieważ Nicholas nie potrafił nawet wymówić swojego imienia, pozostawałem ja.

– Cóż, wygląda na to, że przez kilka najbliższych dni będziesz gwiazdą mediów – stwierdziłem ostrożnie.

– Tak, wiem – odpowiedziała. – Szczęściara ze mnie.

– Nie zaszkodziłoby ładnie tego rozegrać, Debs – oznajmiłem. Przyznaję, że zacząłem się trochę niepokoić. – Znasz właściwe słowa: „Cała policja hrabstwa Miami-Dade wykonała wspaniałą pracę, by doprowadzić do ujęcia podejrzanego”.

– Daj spokój, Dex! – warknęła. – Wiesz, że nie umiem gadać takich rzeczy. Chcą, żebym się uśmiechała do kamery i opowiadała całemu pieprzonemu światu, jaka jestem fantastyczna. Dobrze wiesz, że nie potrafię tego robić.

Wiedziałem, lecz zdawałem sobie również sprawę, że nie zdoła uniknąć kontaktów z mediami, co oznaczało, że czeka ją kilka trudnych dni. Ale nim zdołałem wymyślić jakąś naprawdę zgrabną odpowiedź, Nicholas zaczął podskakiwać i wołać: „Ba, ba, ba, ba!”. Deborah popatrzyła nań ze zmęczonym uśmiechem, a potem znów przeniosła wzrok na mnie.

– Może lepiej położę małego spać. Dzięki, że go odebrałeś, Dex.

– Całodobowe usługi opiekuńcze Dextera – odpowiedziałem.

– Zobaczymy się w pracy – rzuciła. – Jeszcze raz dziękuję. – Ruszyła w stronę drzwi. Musiałem je otworzyć, bo miała tylko jedną sprawną rękę, na której zresztą trzymała Nicholasa. – Dzięki – powtórzyła po raz trzeci w ciągu niespełna minuty, co było niewątpliwie jednym z jej rekordów.

Poszła do samochodu. Wyglądała na wyjątkowo zmęczoną. Obserwowałem, jak Duarte wysiada i otwiera jej drzwi. Umieściła synka w foteliku i wgramoliła się do auta. Duarte przytrzymał drzwi, zamknął je, skinął mi głową i usiadł za kierownicą.

Patrzyłem, jak odjeżdżają. Wszyscy podziwiali Debs, ponieważ schwytała niebezpiecznego mordercę; teraz pragnęła łapać następnych. Żałowałem, że nie potrafi wykorzystywać takich momentów, i wiedziałem, że nigdy się tego nie nauczy. Była twarda, inteligentna i skuteczna, lecz nigdy nie opanuje umiejętności łgania z pokerową twarzą, co bardzo szkodziło jej karierze.

Miałem również poczucie, że w ciągu kilku najbliższych dni Debs może potrzebować trochę umiejętności z zakresu PR, a ponieważ nie miała ich w ogóle, będzie się tym musiała zająć agencja reklamowa Dexter i Dexter, gwiazdni spin doktorzy.

Naturalnie – wszystko zawsze w końcu stawało się moim problemem, choć nie miało ze mną nic wspólnego. Westchnąłem. Odprowadziłem wzrokiem samochód Debs znikający za rogiem, zamknąłem drzwi na klucz i poszedłem do łóżka.

12

Nikt się nie spodziewał, że aresztowanie dokonane przez Deborah wywoła tak ogromne zainteresowanie mediów, i przez kilka następnych tygodni moją siostrę traktowano niemal jak gwiazdę rocka. Zasypany ją prośbami o wywiady i sesje zdjęciowe; nie była bezpieczna nawet w komendzie policji, ponieważ ciągle podchodzili do niej policjanci, by ją poinformować, jaka jest fantastyczna. Naturalnie cała ta wrzawa nie sprawiała jej przyjemności. Odrzuciła wszystkie zaproszenia stacji telewizyjnych i starała się delikatnie spławiać gratulujących kolegów, nie okazując im niechęci. Nie zawsze jej się udawało, ale nie miało to większego znaczenia. Wszyscy doszli do wniosku, że jest świetnym detektywem, skromnym, szorstkim, konkretnym, nienawidzącym autoreklamy. W gruncie rzeczy było to zgodne z prawdą i dodało jeszcze większego blasku rodzącej się legendzie Deborah Morgan.

W jakiś sposób ja również na tym skorzystałem. Wiele razy pomagałem Debs rozwiązywać zagadki kryminalne, zwykle dzięki szczególnej umiejętności widzenia rzeczy takimi, jakimi naprawdę są – łajdactwa nikczemne, ale szczęśliwe – i wiele razy spotykały mnie nieprzyjemne konsekwencje. Ani razu mnie nie pochwalono, choćby nieoficjalnie, a teraz, choć nie zrobiłem absolutnie nic, zaczęto mi przypisywać udział w sukcesie. Otrzymałem trzy prośby o wywiady od dziennikarzy, którzy nagle uznali, że analiza rozbryzgów krwi to fascynująca dziedzina,

i zaproszono mnie do napisania artykułu do czasopisma „Forensics Examiner”.

Naturalnie odrzuciłem prośby o wywiady – bardzo się starałem nie występować publicznie i nie widziałem powodów, by to zmieniać. Wciąż jednak byłem w centrum zainteresowania; ludzie podchodzili do mnie, gratulowali, ściskali mi dłoń i mówili, jaką doskonałą robotę wykonałem. To prawda, zwykle wykonuję świetną robotę – lecz tym razem nic nie zrobiłem. Mimo to nagle zaczęto się mną interesować. Wytrącało mnie to z równowagi i irytowało; wzdrygałem się na dźwięk telefonu, pochylałem głowę, gdy ktoś otwierał drzwi, i powtarzałem klasyczną mantrę ludzi, którzy niczego nie rozumieją: „Dlaczego ja?”.

Tragiczne było to, że odpowiedzi na to pytanie udzielił w końcu Vince Masuoka.

– Kiedy biją dzwony świątynne, żurawie muszą odlecieć, konikowi polny – rzekł, potrząsając mądrze głową, gdy pewnego ranka podsłuchiwał, jak po raz trzeci odrzucam prośbę o wywiad dla „Miami Hoy”.

– Tak, a jedzenie jabłek jest zdrowe – odparłem. – I co z tego?

– A czego się spodziewasz? – spytał z chytrym uśmieszkiem.

Popatrzyłem na Vince’a; wydawało się, że ma na myśli coś konkretnego, więc odpowiedziałem poważnie.

– Spodziewam się, że nikt mnie nie doceni i że będę pracować w samotności, osiągając szczyty profesjonalizmu.

– Wobec tego powinienesz zmienić agenta – rzekł, kręcąc głową. – Twoje fotografie są w całej blogosferze.

– Co takiego? Gdzie?

– Popatrz – powiedział. Przez chwilę stukał w klawiaturę laptopa, a później odwrócił ekran w moją stronę. – To ty, Dexter. Świetne zdjęcie. Bardzo męskie.

Spojrzałem na ekran i przez chwilę byłem kompletnie dezorientowany; miałem wrażenie, że to halucynacja. Na ekranie widać było czerwony, ociekający krwią nagłówek: *Morderstwa w Miami*. Pod spodem znajdowała się fotografia mężczyzny stojącego pod Torch of Friendship – w miejscu, gdzie znaleziono zwłoki policjanta Gunthera. Wyglądał władczo, błyskotliwie i seksownie – a także bardzo mnie przypominał. Ku mojemu zdumieniu okazało się, że to naprawdę ja. Stałem obok Deborah i wskazywałem brzeg zatoki, a na twarzy mojej siostry malował się wyraz potulnej zgody. Nie rozumiałem, jak ktoś zdołał zrobić zdjęcie, na którym mieliśmy takie nietypowe miny; dzięki temu rzeczywiście wyglądałem bardzo męsko. Co gorsza, podpis pod fotografią głosił: „Dexter Morgan: prawdziwy mózg śledztwa w sprawie Młociarza!”.

– To bardzo popularny blog – stwierdził Vince. – Nie wierzę, że nie widziałeś tej fotografii, bo znają ją absolutnie wszyscy.

– I to dlatego zacząłem budzić takie zainteresowanie?

Skinął głową.

– Chyba że masz jeszcze inne talenty, o których nic nie wiem.

Zamrugalem i znów zerknąłem na zdjęcie. Miałem nadzieję, że zniknie, jednak tak się nie stało. Nagle poczułem coś podobnego do paniki. W internecie opublikowano podobiznę mojej twarzy, nazwisko i miejsce pracy; to, że wyglądam męsko, nie wzbudziło mojego entuzjazmu. Zamiast tego ogarnął mnie głęboki niepokój.

A jeśli nieznanemu Świadek widział moje fotografie? – pomyślałem. Nawet jeśli nie zidentyfikował mnie na podstawie numerów rejestracyjnych samochodu, otrzymał wszystkie niezbędne informacje. Nie musiał niczego sprawdzać – dostał wszystko na tacy. Przełknąłem ślinę, co okazało się trudne, bo nagle zaschło mi w ustach, i zdałem sobie sprawę, że Vince

spogląda na mnie z dziwnym wyrazem twarzy. Chciałem wygłosić jakąś dowcipną, inteligentną uwagę, lecz w końcu wykrztusiłem:

– Och... eee... o kurwa.

Vince pokręcił głową i popatrzył na mnie poważnie.

– Szkoda, że jesteś już żonaty – rzekł. – Mógłbyś łatwo dzięki temu znaleźć dziewczynę.

Wydawało się bardziej prawdopodobne, że zostanę aresztowany i skazany na karę śmierci. Zawsze starałem się nie zwracać na siebie uwagi; ludzie z moim hobby powinni pozostawać w cieniu i jak dotychczas zawsze mi się to udawało. Niestety, nagle znalazłem swoje zdjęcia w internecie i mogłem tylko mieć nadzieję, że Świadek nie zna bloga o zbrodniach w Miami. Jeśli moja fotografia rzeczywiście jest tak powszechnie znana, jak twierdził Vince, nieznajomy musiał się na nią natknąć w sieci. Nie miałem żadnej możliwości ochrony swojej tożsamości; była to nagość w miejscu publicznym. Co gorsza, nie mogłem nic zrobić; musiałem po prostu czekać, aż zainteresowanie moją osobą osłabnie i sytuacja się uspokoi.

Na początku nic się jednak nie uspokoiło, choć na szczęście trochę o mnie zapomniano. O sprawie Młociarza zaczęły pisać krajowe media. W internecie pojawiło się kilka fotografii zwłok – na początku oczywiście na blogu *Morderstwa wMiami*, lecz dziennikarzom udało się je zdobyć; opublikowano również bardzo sugestywne opisy obrażeń Gunthera i Kleina. Narastające zainteresowanie opinii publicznej spowodowało, że gazety i stacje telewizyjne po prostu nie mogły zignorować tego tematu. W prasie pojawiły się krzyczące nagłówki: *Policjantka schwytała psychopatycznego mordercę!*, a dziennikarze nagle zaczęli traktować Deborah jak celebrytkę.

Debs nadawała się na temat artykułów znacznie lepiej ode mnie, lecz jej oczywiście nie zależało na rozgłosie. Dziennikarze podejrzewali, że nie chce z nimi rozmawiać, bo liczy na honoraria, co jeszcze bardziej zniechęciło ją do kontaktów z nimi. Kapitan Matthews kazał jej udzielić kilku wywiadów ogólnokrajowym mediom; bardzo zależało mu na reklamie, a wywiady w stacjach telewizyjnych o zasięgu krajowym to rzadkie dobro. Jednak Deborah niezbyt dobrze wypadła przed kamerą – była napięta, zmieszana, mówiła krótkimi zdaniami. Dlatego kapitan Matthews szybko doszedł do wniosku, że wysyłanie Debs do telewizji to kiepski pomysł, i starał się zająć jej miejsce. Telewizja nie wydawała się szczególnie zainteresowana, chociaż prezentował się naprawdę imponująco; po jakimś tygodniu zaproszenia dla Debs przestały przychodzić i nasz szczęśliwy kraj zainteresował się kolejną niewiarygodnie fascynującą historią – chodziło o ośmioletnią dziewczynkę, która wspięła się zupełnie sama do połowy wysokości Mount Everestu, po czym straciła nogę wskutek odmrożeń. Najciekawsze były wywiady z jej dumnymi rodzicami – zwłaszcza lamenty matki, która skarżyła się, że dziewczynka rośnie i trzeba jej wymieniać protezy raz na pół roku, co wiąże się z ogromnymi kosztami. Postanowiłem obserwować jesienią dalszy ciąg tego reality show.

Kiedy media zajęły się innymi tematami, policjanci zmęczeni się chwaleńcami Deborah, zwłaszcza że dziękowała coraz bardziej jadowitym tonem. Kilku inspektorów zaczęło nawet robić sarkastyczne uwagi, w których dawało się wyczuć zazdrość. Tak czy inaczej, gratulacje i komplementy nagle się skończyły, po czym wszyscy zajęli się codzienną pracą. Wśród elity wymiaru sprawiedliwości Miami zapanowała normalna atmosfera rywalizacji, życie potoczyło się swoją drogą, a Debs mogła spokojnie pracować nad rutynowymi wypadkami zasztyletowania lub

dekapitacji. Jej złamana ręka nie rzucała się w oczy i zawsze towarzyszył jej Alex Duarte, udzielając niezbędnej pomocy.

Jeśli chodzi o mnie, wykreśliłem z listy hond kilka nazwisk, ale moje poszukiwania stały się koszmarne powolne. Wiedziałem, że wkrótce zdarzy się coś strasznego i że dotknie mnie to w bolesny sposób. Świadek na pewno wiedział już, kim jestem. W sieci opublikowano moje nazwisko i fotografię; wydawało się oczywiste, że prędzej czy później musi na nie natrafić. Przez cały czas dręczyło mnie koszmarne, nieprzyjemne uczucie, że śledzą mnie wrogie oczy. Nie byłem w stanie ich dostrzec, choć uważnie się rozglądałem, nie mogłem jednak się pozbyć tego wrażenia. Niby nikt nie przyglądał mi się w miejscach publicznych, a ja bez przerwy czułem na sobie czyjś wzrok. Nie widziałem wokół siebie niczego nadzwyczajnego, a jednak to wyczuwałem. Coś się zbliżało i byłem pewien, że okaże się nieprzyjemne.

Mroczny Pasażer również wydawał się wytrącony z równowagi. Krążył bez przerwy tam i z powrotem niczym tygrys w klatce, ale nie udzielał mi pomocy ani niczego nie sugerował – targała nim niepewność. Przez kilka następných dni ogarniała mnie coraz większa trwoga. W domu prawie nie potrafiłem udawać wesołego taty. Rita nie wspominała o nowym domu, lecz mogło to być związane z kryzysem finansowym dotyczącym euro lub długoterminowych obligacji, z którym musiała sobie radzić w pracy. Była bardzo zajęta skomplikowanymi obliczeniami, choć często obrzucała mnie dziwnymi, pełnymi dezaprobaty spojrzeniami. W dalszym ciągu nie miałem pojęcia, co złego zrobiłem lub czego nie zrobiłem.

Musiałem pojechać z Astor do ortodonty, by zamówić stały aparat, co nie sprawiło nam przyjemności. Perspektywa noszenia stałego aparatu wydawała jej się czymś w rodzaju prywatnej apokalipsy, która miała

zniszczyć jej życie towarzyskie, i przez całą drogę robiła nadąsane miny. W ogóle się nie odzywała, co było zupełnie nie w jej stylu.

Wracając do domu ze srebrzystymi drutami na zębach, również milczała, lecz w sposób bardziej agresywny. Spoglądała ze złością na miasto i mijające nas samochody, a moje niezręczne próby pocieszania sprawiły, że wypowiedziała dwa proste zdania: „Wyglądam jak cyborg” i „Moje życie jest skończone”. Następnie odwróciła głowę i umilkła.

Astor była nadąsana, Rita zajmowała się obliczeniami, a Cody jak zwykle nic nie mówił. Tylko Lily Anne wiedziała, że coś jest nie w porządku. Starła się mnie rozweselić, nucąc *Old MacDonald* i *Frog Went A-Courtin'*, ale nawet jej ogromny talent muzyczny łagodził mój niepokój tylko na krótko.

Coś się zbliżało – wiedziałem o tym i nie mogłem tego powstrzymać. Czuję się jak człowiek, który obserwuje fortepian spadający z wysokiego budynku i wie, że za chwilę roztrzaska się on na bruku, lecz może tylko czekać na katastrofę. Fortepian znajdował się w mojej głowie, ale nie mogłem się uwolnić od myśli, że za chwilę rozlegnie się straszliwy trzask na chodniku.

Pewnego ranka, gdy przyjechałem do pracy, okazało się, że fortepian nie jest tylko metaforą.

Usiadłem w fotelu w swoim gabinecie z kubeczkim toksycznej brei zwanej kawą. Nikogo innego jeszcze nie było, toteż włączyłem komputer, by sprawdzić pocztę. W skrzynce znajdowały się śmieci – oficjalne zawiadomienie, że zgodnie z nowymi zasadami ubierania się nie wolno nosić koszul *guayabera*, e-mail od drużynowego Cody'ego, że w przyszłym tygodniu na zbiórkę zuchów należy przynieść kanapki, trzy oferty kanadyjskich aptek internetowych, dwie wiadomości sugerujące bardzo niestosowne, intymne czynności, list od adwokata w Nigerii

zawiadamiający o ogromnym spadku oraz zaproszenie, bym napisał artykuł na temat rozbryzgów krwi dla witryny internetowej prowadzonej przez fanów kryminalistyki. Przez moment wyobrażałem sobie, że piszę coś takiego do internetu – wydawało się to tak absurdalne, zdumiewające i dziwacznie atrakcyjne, że nie mogłem się powstrzymać od zerknięcia na prośbę. Otworzyłem e-maila.

Przez chwilę ekran był pusty i ogarnęła mnie panika – czyżby jakiś wirus? Później zaczęła się ładować grafika we flashu i na ekranie ukazała się wielka kropla krwi. Opadła na dół – wydawała się tak realistyczna, że poczułem się nieswojo. Na czerwonym tle pojawiły się ciemne litery i powoli uformowały moje imię. Ogarnęło mnie przerażenie; nagle ekran przecięła oślepiająca błyskawica i ukazał się wielki czarny napis: MAM CIE!

Wpatrywałem się w osłupieniu w komputer. Litery zaczęły znikać i miałem wrażenie, że całe moje życie znika razem z nimi. Zostałem zdemaskowany. Wszystko skończone. Nie miało już znaczenia, kto napisał wiadomość ani co zamierzał zrobić. Dexter był załatwiony.

Później pojawił się paragraf tekstu i zacząłem go czytać, czując ogarniające mnie mdłości.

Na początku znajdowało się zdanie: „Jeśli jesteś taki jak ja, lubisz zbrodnie!”.

W porządku, jestem taki jak ty; o co chodzi?

Dalszy ciąg brzmiał następująco:

Nie ma w tym nic złego – wielu innych ludzi czuje to samo! Tak samo jak ty uwielbiają życie w Miami, gdzie codziennie zdarzają się nowe zbrodnie. Do dziś trudno było zdobyć najświeższe wiadomości o tym, jakie śledztwa prowadzi miejscowy wydział zabójstw. Ale teraz jest prosty sposób, by się tego dowiedzieć! „Tropical Blood”

to nowy magazyn internetowy, który dostarcza fachowych informacji o morderstwach, jakie ostatnio popełniono w Miami! Zaledwie cztery dolary dziewięćdziesiąt dziewięć centów miesięcznie!

**To specjalna stawka dla naszych pierwszych subskrybentów!
Zapisz się natychmiast, nim cena pójdzie w górę!**

Było tego więcej, lecz już nie czytałem. Poczułem ulgę, że to tylko spam, a jednocześnie złość, że tak się zdenerwowałem. Skasowałem e-maila, a gdy to zrobiłem, mój laptop wydał przytłumiony dźwięk oznaczający nadejście kolejnej wiadomości. Jej temat brzmiał: *Tożsamość*.

Poruszyłem myślą, by skasować również i ten e-mail, ale się zawahałem. Nie miało to żadnego sensu, jednak zbieżność czasowa wydawała się wręcz magiczna – druga wiadomość przyszła natychmiast po usunięciu pierwszej. Oczywiście e-maile nie mogły być ze sobą związane, mimo to dostrzegłem w tym jakąś cudowną symetrię. Otworzyłem nową wiadomość. Spodziewałem się reklamy produktu, który zabezpieczy mnie przed kradzieżą tożsamości, a może ubarwi moje życie seksualne. Słowo „tożsamość” pojawiało się w moich myślach, gdy rozważałem problem Świadka. Zastanawiałem się nad jego tożsamością i nad tym, czy zna moją; temat e-maila wywołał głupie, luźne skojarzenie. Nie mogłem się powstrzymać, by nie zajrzeć do wiadomości, i dlatego ją otworzyłem.

Na ekranie pojawiła się strona wypełniona zdaniem z dużym stylizowanym nagłówkiem: *Blog Cienia*. Litery nagłówka miały szarą, półprzezroczystą barwę, a pod spodem znajdowało się ich zwierciadlane odbicie w bladoczerwonym kolorze. Na dole strony nie było podpisu, tylko adres URL: <http://www.blogalodeon.com/shadowblog>.

Ach, jak cudownie! Znalazłem się na liście e-mailingowej jakiegoś anonimowego blogera. Czy to cena sławy, którą niedawno zdobyłem? Czy będzie mi teraz zawracał głowę każdy półanalfabeta z dostępem do

internetu? Nie interesowało mnie to i znów poruszyłem myszą, by skasować e-mail – a potem zobaczyłem pierwsze zdanie i poczułem lodowaty chłód.

„A teraz znam twoje nazwisko”.

Wpatrywałem się w nie przez bardzo długi czas. Było to całkowicie irracjonalne, ale z jakiegoś powodu nie miałem wątpliwości, że odnosi się do mnie i że zostało napisane przez Świadka. Patrzyłem, mrugnąłem kilka razy, lecz poza tym nie robiłem nic. W końcu usłyszałem dalekie uderzenia i zdałem sobie sprawę, że to moje serce przypominające mi o oddychaniu. Zamknąłem oczy i czekałem, aż do mojego mózgu dotrze tlen i odzyskam zdolność logicznego rozumowania. Najpierw nakazałem sobie spokój, a później pomyślałem, że to tylko spam, który nie może mnie dotyczyć ani pochodzić od Świadka.

Jeszcze raz odetchnąłem i popatrzyłem na ekran. Znów zobaczyłem zdanie: „A teraz znam twoje nazwisko”, pod którym znajdowała się zapisana strona. Doszedłem do wniosku, że jej przejrzanie powinno szybko udowodnić, iż ten blog nie ma ze mną nic wspólnego. Wystarczy przeczytać dwa lub trzy kolejne zdania, by się przekonać, że jestem paranoidalnym idiotą; później mogę znów zacząć pić paskudną kawę. Popatrzyłem na drugi wiersz tekstu i zacząłem czytać:

**Odkąd cię zobaczyłem tamtej nocy w pustym domu, stale
widzę twoją twarz. Widzę ją wszędzie, na jawie i we śnie
– nie mogę zapomnieć, jak stałeś nad kupą czerwonego
mięsa, która kilka minut wcześniej była człowiekiem.
Nawet ty musisz wiedzieć, że to cholernie złe!
Zastanawiam się: kim jesteś, do licha?
Czy w ogóle jesteś człowiekiem? Czy można robić takie
rzeczy, a potem normalnie żyć, robić zakupy w sklepach
i rozmawiać o pogodzie?**

Uciekłem przed tobą. Uciekłem przed widokiem tego, co robiłeś. Ale obraz pozostał we mnie; wiedziałem, że powinienem być coś zrobić, lecz nic nie zrobiłem. I nie mogę o tym zapomnieć.

Uciekłem przed tobą, a potem zaczęło mi się wydawać, że wszędzie cię widzę. Przez całe życie nigdy cię nie spotkałem, a teraz pojawiaasz się za każdym razem, gdy wychodzę z domu. Widzę cię z twoimi dziećmi, w czasie pracy i nie mogę tego dłużej znieść.

Nie jestem głupi. Wiem, że to nie przypadek, bo taki zbieg okoliczności jest po prostu niemożliwy. Ale na początku nie chciałem myśleć, co to znaczy, bo gdybym to zrobił, musiałbym coś zrobić. Nie byłem do tego gotowy – absorbowałem mnie rozwód i masa codziennych idiotyzmów. Postanowiłem zapomnieć, że powinienem się tobą zająć.

A potem zobaczyłem twoją fotografię, nazwisko i zawód. Pomyślałem: Chryste Panie, to gliniarz?! Co za tupet! Jak mu się udaje uniknąć odpowiedzialności?! I od razu zrozumiałem, że nie mogę oficjalnie oskarżyć człowieka pracującego w policji.

Ale nie potrafiłem przestać o tym myśleć, chociaż bardzo się starałem, bo i tak mam zbyt wiele problemów z takimi gównami jak ty. Prześladowało mnie to, stale brzęczało w mojej głowie, aż zacząłem myśleć, że wariuję. Chciałem uciec, nie miałem jednak dokąd. Teraz, gdy wiedziałem, kim jesteś i gdzie pracujesz, nie mogłem się tobą nie zająć; nie istniały żadne wymówki, wszystko wirowało i gromadziło się w moim mózgu, doprowadzając mnie do szaleństwa...

I nagle odniosłem wrażenie, jakby w mojej głowie naciśnięto włącznik. Pstryk! Usłyszałem głos, który

powiedział: „Źle do tego podchodzisz. Ksiądz mówił, że każdy kamień, o który się potykamy, jest tak naprawdę stopniem pozwalającym się wspiąć wyżej”. I wtedy pomyślałem: To prawda.

To nie kolejny problem, tylko rozwiązanie.

Sposób, aby bzdury nabrały znaczenia, by wszystko ułożyło się w całość. Jeszcze nie mam pojęcia, jak to zrobię, ale wiem, że podjąłem słuszną decyzję i że dam sobie radę.

Zrobię to. Wkrótce.

Bo teraz znam twoje nazwisko.

Z korytarza dobiegł trzask zamykanych drzwi. Słyszałem rozmowę dwóch osób, lecz nie rozumiałem słów; nawet gdybym je słyszał, nie zwróciłbym na nie uwagi, bo na świecie pozostała tylko jedna ważna rzecz.

Znał moje nazwisko.

Znalazł w internecie moje zdjęcie i obserwował to, co robiłem z Valentinem. Znał moją tożsamość. Wiedział, kim jestem i gdzie pracuję. Próbowałem się uspokoić i opracować plan działania, lecz nie potrafiłem się uwolnić od jednej druzgocącej myśli. Znał moje nazwisko. Mógł mnie w każdej chwili zniszczyć. Jego tożsamość była dla mnie całkowitą tajemnicą, a on mógł mnie zdemaskować, kiedy chciał, i ja nie byłem temu w stanie przeciwdziałać.

Co miał na myśli, gdy pisał, że widzi mnie z dziećmi – czy to groźba wobec Lily Anne? Nie mogłem tego tolerować, musiałem go odnaleźć i powstrzymać. Ale jak to zrobić, skoro moje dwutygodniowe poszukiwania nie dały żadnych rezultatów?

Znów popatrzyłem na bloga, szukając wskazówki, która mogłaby podpowiedzieć mi, kim jest ten człowiek, pomóc wydostać się z koszmaru, lecz słowa się nie zmieniły. W czasie drugiej lektury zauważyłem, że nie

napisał niczego, co mogłoby ujawnić moją tożsamość. Na razie nie zostałem zdemaskowany. Więc co tak naprawdę mi groziło? Atak na mnie lub moją rodzinę? Pisał, że powinien się mną „zająć”; nie miałem pojęcia, co to znaczy, lecz nie podobało mi się to sformułowanie. Na końcu stwierdził, że nie wie dokładnie, co robić – mogło to oznaczać wszystko, nie dawało się wykluczyć niczego.

Rozpaczliwie poszukiwałem jakiejś wskazówki, a miałem tylko jedną stronę napisaną bełkotliwym językiem. Ale chwileczkę: z technicznego punktu widzenia był to blog. To sugerowało, że istnieją inne wpisy, jeden z nich mógł zawierać użyteczne informacje.

Skopiowałem ze szczytu strony adres URL, wkleiłem do przeglądarki i przeszedłem do strony głównej. Był to jeden z serwisów internetowych pozwalających prowadzić darmowego bloga – *Blog Cienia* był jednym z tysięcy innych. Ale znalazłem inne wpisy, dodawane co kilka dni, i szybko je przejrzałem. Pierwszy zaczynał się następująco: „Dlaczego wszystko zawsze zmienia się w gówno?”. Było to rozsądne pytanie i świadczyło o lepszej znajomości życia, niż się spodziewałem. Ciągle jednak nie wiedziałem nic o Cieniu.

Czytałem więc dalej. Większość tekstu składała się z płaczliwych skarg, że nikt go nie docenia; zaczął prowadzić bloga, by zrozumieć przyczynę. Ostatnie zdanie brzmiało: „Nie rozumiem tego. Wchodzę do pokoju i wydaje się, że nikt mnie nie widzi, jakbym nie był normalnym człowiekiem, tylko jakimś pieprzonym cieniem. Dlatego nazywam to Blogiem Cienia...”. Bardzo wzruszające, egzystencjalne wołanie o kontakt z innymi ludźmi. Chętnie nawiązałbym z nim kontakt, ale najpierw musiałem się dowiedzieć kto to taki.

Przeczytałem inne wpisy. Umieszczano je przez rok, emanowała z nich coraz większa złość, lecz wszystkie były anonimowe, nawet te, które

wspominały o rozwodzie z kobietą określaną jako „A”. Pisał z goryczą, że nie chciała iść do pracy, więc musi ją utrzymywać i płacić alimenty. Nie stać go było na dwa domy i chociaż się rozwiedli, musiał mieszkać z nią pod jednym dachem. Był to bardzo wzruszający portret problemów życiowych niższej klasy średniej – na pewno chwyciłby mnie za serce, gdybym je miał.

Odmowa podjęcia pracy przez „A” wydawała się szczególnie go złościć; pisał z pasją o odpowiedzialności i o tym, że uchylanie się od obowiązków to zło. Później następowała seria uwag na temat społeczeństwa i „dupków”, którzy „nie chcą przestrzegać zasad, jakie obowiązują wszystkich”. Długo i nużąco rozpisywał się o sprawiedliwości, o ludziach, których spotyka to, na co zasługują, o swojej wierze, że świat byłby znacznie lepszy, gdyby inni stali się podobni do niego. W sumie był to portret człowieka mającego problemy z kontrolowaniem swojej złości, odznaczającego się niską samooceną i coraz bardziej sfrustrowanego, że nikt nie chce docenić jego wspaniałych cech.

Czytałem dalej. Natrafiłem na kilka wpisów, w których relacjonował narastające problemy z „A” – naprawdę mu współczułem, ale czy nie mógł się posługiwać pełnymi imionami? Znacznie uprościłoby to sprawę. Ale, oczywiście, wtedy użyłby również mojego nazwiska, co nie byłoby dla mnie korzystne. Przeglądałem wpisy wypełnione zrzędliwymi biadoleniami nad sobą, aż wreszcie dotarłem do nagłówka, który brzmiał: *Trzask!* Popatrzyłem na datę na górze – wpis opublikowano nazajutrz po moim rendez-vous z Valentinem. Zatrzymałem się i zacząłem czytać:

Pokłóciłem się z „A”. Kolejna awantura o to, że nie potrafię dobrze zarabiać, co jest śmiechu warte, bo ona w ogóle nic nie zarabia. Powtarza w kółko: jesteś mężczyzną, to twój obowiązek. Siedzi beczynnym w domu, a ja płacę rachunki i robię zakupy! Nawet porządnie nie

sprząta! Kiedy na nią patrzyłem, nie widziałem już leniwej suki, tylko Zło pisane wielką literą, i czułem, że dłużej tego nie zniosę, że zaraz się nią zajmę, więc wyszedłem z domu, by tego uniknąć.

Wziąłem jej hondę, by ją wkurzyć, i przez pewien czas jeździłem bez celu, zgrzytając zębami i próbując myśleć. Może po godzinie znalazłem się w Grove; rozboleła mnie szczeka i kończyła mi się benzyna. Miałem ochotę gdzieś usiąść i się zastanowić, co robić dalej, może w Peacock Park, ale padało, więc pojechałem na południe. W miarę zbliżania się do domu byłem coraz bardziej wściekły, a kiedy skręciłem w Old Cutler Road, zajechał mi drogę jakiś dupek w nowym bmw. Pomyślałem: Cholera, dopadnę cię!, i nagle usłyszałem trzask, jakby coś we mnie pękło. Nacisnąłem pedał gazu i popędziłem za nim. Obudź się, palancie: jedziesz nowym bmw, a ja starą hondą. Po trzech sekundach zniknął mi z oczu i wpadłem w jeszcze większą wściekłość. Skręciłem w jakąś ulicę, ale już go zgubiłem. Przez kilka minut jeździłem w kółko, myśląc: A niech tam, może dopisze mi szczęście?, jednak nikogo nie zauważyłem. Zniknął.

Nagle zobaczyłem ten dom. Kompletna ruina, jeszcze jeden pustostan. Jakiś dureń musiał go zwrócić bankowi, który potem zwiększa oprocentowanie innym klientom. Zwolniłem, by mu się przyjrzeć, bo w pobliżu stał stary chevrolet, jakby dawny właściciel ciągle tam mieszkał za darmo, choć ja haruję jak osioł, by płacić raty.

Zatrzymałem samochód, minąłem chevroleta, podszedłem do frontowych drzwi i wślizgnąłem się do środka. Nie miałem pojęcia, co mógłbym zrobić, ale wiem, że byłem wkurzony. Usłyszałem szelest w sąsiednim pokoju, podkradłem się do drzwi i zajrzałem.

Stół. Leżała na nim ludzka dłoń.

Niepołączona z ciałem. To było bez sensu.

Obok zobaczyłem stopę, również luzem. I inne części ciała, a potem, o kurwa, głowę z otwartymi oczami, które na mnie patrzyły. Spoglądałem jak zahipnotyzowany.

Coś się poruszyło i zobaczyłem stojącego obok człowieka. Był całkowicie spokojny, sprzątał, wyglądał jak ktoś zajęty rutynową pracą w biurze. Zaczął się obracać w moją stronę i... zobaczyłem twarz...

Ksiądz usiłował nas straszyć obrazkami przedstawiającymi diabła. Rogi, czerwona twarz, złe spojrzenie, ale ten człowiek wydawał się jeszcze okropniejszy, bo wyglądał tak zwyczajnie, normalnie, a jednocześnie był ucieleśnieniem zła i odczuwał prawdziwe szczęście z powodu tego, co robi z porąbanym ciałem.

Zaczął odwracać głowę, by na mnie popatrzeć...

Nie wytrzymałem. Coś się we mnie załamało: pobiegłem do samochodu i odjechałem, nim się zorientowałem, że tam jestem. Wracając do domu, przez cały czas myślałem: Dlaczego nic nie zrobiłem? Dlaczego nie wezwałem policji? Wściekałem się na myśl, że zachowałem się jak mięczak, że może wszyscy mają rację, traktując mnie jak pieprzony cień. Powinienem być coś zrobić. Ciągle muszę coś zrobić. Tylko co?

Czytanie opisu nocnej zabawy Mrocznego Dextera było w dziwny sposób fascynujące. Tekst robił trochę niesamowite wrażenie i nie brzmiał zbyt pochlebnie: „Wyglądał tak zwyczajnie”? *Moi*? Na pewno nie. Niestety, nie znalazłem żadnych wskazówek na temat tożsamości blogera.

Przeszedłem do późniejszych notatek. Jedna z nich opisywała spotkanie ze mną w sklepie spożywczym w pobliżu mojego domu – nieznajomy wymknął się na ulicę jak cień i obserwował mnie ze swojego samochodu, gdy wychodziłem z zakupami. Dwa wpisy dalej znajdowała się bełkotliwa relacja ze spotkania ze mną na wjeździe na autostradę Palmetto:

Tego ranka jechałem powoli do swojej pieprzonej tymczasowej pracy, korzystając z wozu A, by zaoszczędzić na benzynie. Spoglądałem na mijające mnie samochody i nagle, bum! – zobaczyłem znajomy profil. To on, bez dwóch zdań, na pewno. Siedział w swoim nędznym małym wozie jak inni wyrobnicy jadący do pracy: wyglądał zupełnie normalnie. Nic z tego nie rozumiałem, bo wszystko dokoła było takie cholernie zwyczajne, codzienne, a w samochodzie obok ujrzałem twarz człowieka, którego wcześniej widziałem otoczonego przez porąbane kawałki ludzkiego ciała, i czekaliśmy razem na wjazd na autostradę Palmetto...

Mój mózg zamarł, kręciło mi się w głowie, patrzyłem na niego i zastanawiałem się: Czy coś się stanie? Może spodziewałem się, że nagle wystrzelą w niebo płomienie albo nadleci stado nietoperzy? Nagle zauważyłem, że poczuł mój wzrok, jego głowa zaczęła się obracać w moją stronę i sytuacja się powtórzyła – ogarnęła mnie totalna panika, nacisnąłem pedał gazu i odjechałem, nim zdążył na mnie popatrzeć. Myślałem o tym później i byłem naprawdę wkurzony, że uciekłem w taki sposób – nie jestem przecież jakimś pieprzonym zerem i wiem, że powinienem coś zrobić, mimo to jednak uciekłem stamtąd, nim zdążyłem zebrać myśli, co jest zupełnie nie w moim stylu.

Pomyślałem: W porządku, więc czym naprawdę jestem?, i zdałem sobie sprawę, że nie mam pojęcia. Bardzo długo

odsuwałem od siebie to pytanie, udając kogoś innego, by sprawiać przyjemność różnym ludziom. Księdzu, nauczycielom, „A”, a nawet swojemu kretyńskiemu szefowi w tymczasowej pracy, który nie odróżnia algorytmu od arbuza i bredzi o mapowaniu danych, dureń. Starałem się sprawiać im przyjemność bardziej niż być sobą. Długo się zastanawiałem, kim naprawdę jestem, przez całą jazdę do pracy.

W porządku, więc kim jestem? Zróbmy listę. Po pierwsze: przyznaję, że większość ludzi mnie nie zauważa. Po drugie, wierzę w zasady i bardzo mnie wkurza, gdy ktoś je łamie. Świetnie się znam na komputerach. Zdrowo się odżywiam, jestem w dobrej formie fizycznej. Hm...

Czy to wszystko?

Czy nie powinno być czegoś więcej? Z pozoru jestem tylko kolejnym wyrobnikiem, na dodatek tak głupim, że płacę podatki.

Myślę o nim. O człowieku z nożem.

Wygląda na to, że wie, kim jest. I jest tym, czym chce być.

Uderzyła mnie kolejna myśl i zacząłem się zastanawiać:
Czy uciekam przed Nim, bo się go boję?

A może bardziej przeraża mnie to, o czym On każe mi myśleć?

Tekst wydawał się na swój sposób fascynujący, ale Cień nie był tak sprytny, jak sądził. Naprawdę powinien był przede mną uciekać. Nie przypominam sobie, bym bardziej pragnął zobaczyć kogoś przymocowanego do stołu taśmą klejącą.

Wpisy powtarzały się co kilka dni. Nie zdążyłem przeczytać nic więcej, gdyż usłyszałem za plecami stukot. Odruchowo wyłączyłem przeglądarkę, kiedy do laboratorium wszedł Vince Masuoka, po czym zaczęliśmy rutynową, monotonną pracę. Ale przez cały dzień myślałem tylko o pierwszym, okropnym zdaniu bloga w swojej skrzynce pocztowej: „A teraz znam twoje nazwisko”. Ktoś wiedział, kim i czym jestem, i z pewnością nie była to sympatyczna, dobroduszna osoba pragnąca mnie nagrodzić kwiatami za anonimowe zasługi dla społeczeństwa. Mógł w każdej chwili mnie zaatakować albo zdemaskować, a wtedy całe moje starannie zbudowane życie, tak piękne i spełnione, zawali się z trzaskiem, spłonie – i do diabła z Dexterem!

Kimkolwiek był, znał moje nazwisko. A ja nie miałem pojęcia, kim jest ani co zamierza z tą wiedzą zrobić.

13

Myślałem o tym przez cały dzień, a później w drodze do domu. Była to w końcu dość ważna kwestia, przynajmniej dla mnie – nieuchronny koniec Dextera i moja bezsilność. Prawie nie zwracałem uwagi na samochody jadące ulicami w godzinie szczytu i sam nie wiem, jak dotarłem do domu – mam wrażenie, że moim wozem kierował autopilot. Jestem pewien, że po przybyciu do domu wydarzyło się wiele rzeczy – prawdopodobnie rozmawiałem z rodziną, jadłem kolację, a potem siedziałem przez godzinę na kanapie, oglądając telewizję. Zupełnie nic z tego nie pamiętam; nie zwróciłem nawet uwagi na Lily Anne. Cały mój umysł skupił się na jednej myśli – Dexter był skazany na zagładę, nie było żadnego pola manewru.

Położyłem się do łóżka, wciąż gorączkowo myśląc, i w jakiś sposób udało mi się przespać kilka godzin. Ale następnego dnia w pracy coraz trudniej przychodziło mi udawać kompetentnego analityka policyjnego będącego ciągle w dobrym humorze. Nie wydarzyło się nic szczególnego – nikt do mnie nie strzelał ani nie próbował mnie zakuć w kajdany, mimo to czułem na karku chłodny oddech. Cień mógł w każdej chwili dojść do wniosku, że pora zakończyć zabawę – i koniec z Dexterem. Przebywając w pracy, znajdowałem się w jaskini lwa: komenda policji była miejscem, gdzie zakucie mnie w kajdanki byłoby najprostszą rzeczą na świecie, po czym natychmiast trafiłbym na krzesło elektryczne.

Ale czas powoli mijał i nikt mnie nie aresztował. A później nadchodził następny dzień, taki jak zwykle, i w dali nie rozlegało się wycie psów gończych, nikt nie walił w drzwi, na korytarzu nie szczękały łańcuchy. Wszystko było idealnie normalne, niezależnie od tego, jak bardzo się denerwowałem.

Można by się spodziewać, że sierżant Doakes podejmie jakieś działania przeciwko mnie, ale wydawał się mną nie interesować i groźne spotkanie przy moim komputerze się nie powtórzyło. Kilka razy zauważyłem, jak z daleka spogląda na mnie złym wzrokiem, i chwilami ogarniała mnie paranoidalna pewność, że wszystko wie – ale jak zawsze tylko mnie obserwował; przywodziło to na myśl promieniowanie tła. Nawet Camilla Figg nie oblewała mnie kawą. W istocie przez kilka długich, męczących dni w ogóle jej nie spotkałem. Przypadkiem usłyszałem, jak Vince żartuje, że znalazła sobie nowego narzeczonego – zarumieniła się po same uszy, co sugerowało, że to prawda. Niezbyt mnie to interesowało, ale przynajmniej nie podkradała się już do mnie z groźnymi płynami.

Ktoś jednak skradał się wokół mnie, krążył, ustawiał się pod wiatr, cały czas się zbliżał. Jednak nikogo nie widziałem, niczego nie słyszałem, nie spostrzegłem żadnych oznak, że ktoś się mną interesuje w domu lub w pracy. Jak zwykle nikt nie zwracał na mnie większej uwagi; nikt nie zauważał mojego głębokiego lęku. Wszyscy członkowie mojej rodziny i koledzy z pracy wydawali się irytująco zadowoleni. Wszędzie wokół rozkwitało szczęście, lecz ja nie odczuwałem radości. Wiedziałem, że w każdej chwili mogę paść ofiarą ataku. Słyszałem za plecami ciężkie kroki skradającego się przeciwnika mogącego mi zadać cios w plecy, po którym wszystko się skończy.

Niezależnie od tego, jak bardzo cierpimy, nikogo to nie obchodzi – najczęściej nikt tego nawet nie zauważa; jest to truizm. Chociaż przez cały

czas oczekiwałem nagłego końca świata, życie wokół mnie toczyło się swoim torem i okazywało się dziwnie radosne dla każdego oprócz mnie, jakby chciało mi utrzyć nosa. Wszyscy mieszkańcy Miami niespodziewanie wpadli w doskonały humor. Straszliwa beztroska panująca w mieście udzieliła się nawet mojemu bratu Brianowi. Wiem o tym, bo kiedy wróciłem do domu trzeciego dnia po przeczytaniu bloga Cienia, zauważyłem na ulicy samochód Briana, a on sam siedział na kanapie w salonie.

– Hej, brachu! – odezwał się, posyłając mi swój straszliwy uśmiech.

Przez chwilę obecność brata wydawała się zupełnie bezsensowna, ponieważ zawsze wpadał do nas na kolację w piątek wieczorem, a był czwartek. Nie mogłem się uwolnić od myśli o Cieniu, toteż przez chwilę nie docierało do mnie, że Brian jest w domu, i przez kilka sekund spoglądałem nań głupkowato.

– Dziś nie jest piątek – stwierdziłem w końcu. Moja logiczna uwaga wyraźnie go rozbawiła, bo uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– To prawda – odpowiedział. W tej samej chwili do pokoju weszła Rita z Lily Anne w jednej ręce i torbą z zakupami w drugiej.

– Ach, jesteś w domu – powiedziała, co moim zdaniem było jeszcze oczywistsze niż moja uwaga skierowana do Briana. Rita postawiła torbę koło kanapy i ku mojemu wielkiemu rozczarowaniu okazało się, że w środku znajdują się stosy papierów, a nie kolacja. – Brian przywiózł listę – rzekła, uśmiechając się przyjaźnie do mojego brata.

Zanim zdołałem się dowiedzieć, co to za lista i dlaczego powinienem się nią interesować, w holu rozległ się straszliwy krzyk Astora, od którego zabrzęczały szyby w oknach:

– Mamo! Nie mogę znaleźć butów!

– Nie bądź śmieszna... Przed chwilą miałaś je na nogach... Weź dziecko, Dexter – odparła Rita, podając mi Lily Anne. Wyszła na korytarz, prawdopodobnie chcąc powstrzymać Astor od dalszych krzyków, które mogłyby uszkodzić ściany budynku.

Usiadłem z Lily Anne na fotelu i spojrzałem pytająco na Briana.

– Oczywiście zawsze miło cię widzieć – rzekłem, kiwając głową. – Ale dlaczego przyszedłeś do nas dzisiaj zamiast w piątek?

– Och, wpadnę również jutro.

– To świetnie – stwierdziłem. – Ale co się stało?

– Twoja śliczna żona poprosiła mnie o pomoc w znalezieniu nowego domu – odparł, kiwając głową w stronę kuchni, bym nie miał wątpliwości, że ma na myśli Ritę, a nie inną z moich ślicznych żon.

Westchnąłem, przypomniawszy sobie, że niedawno o tym wspominała, choć oczywiście wyleciało mi to z głowy, gdyż zajmowałem się swoimi problemami.

– No cóż... – mruknąłem, by wypełnić milczenie.

– Tak – stwierdził Brian. – Dziś obejrzymy pierwsze nieruchomości.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, do pokoju wpadła Rita, ciągle mówiąc przez ramię do Astor:

– Tak, mogą być trampki, po prostu włóż! Chodź, Cody! – Wzięła ze stolika torebkę. – Idziemy!

Podążyliśmy za nią.

W gruncie rzeczy nie miałem ochoty szukać nowego domu, nie teraz, gdy cały mój świat mógł się lada chwila rozpaść. Wolałbym tropić Świadka, co nie było możliwe z tylnego siedzenia SUV-a Briana. Ale nie miałem wyboru. Musiałem towarzyszyć Ricie i udawać, że jestem zainteresowany oglądanymi nieruchomościami, ich ogrodami

i wyposażeniem, choć przez cały czas myślałem tylko o narastającym zagrożeniu, które przybierało coraz realniejszy kształt.

Całe następne popołudnie, a potem weekend i pierwszą połowę tygodnia spędziliśmy, jeżdżąc samochodem Briana i oglądając posesje w naszej okolicy. Narastały we mnie frustracja i lęk, a oglądane domy wydawały się złowrogimi symbolami zbliżającej się tragedii. Wszystkie stały puste, miały zaniedbane ogrody i trawniki porośnięte chwastami. We wszystkich panowała ciemność z powodu odcięcia elektryczności; ich posępne kontury widoczne na tle nieba wywoływały złe wspomnienia. Ale można je było kupić tanio dzięki kontaktom Briana, a Rita oglądała je z zapalem, który wydawał się uspokajać mojego brata. Szczerze mówiąc, zaangażowanie Rity sprawiło, że nawet ja od czasu do czasu zapomniałem na chwilę o Cieniu, choć myśl o nim nieustannie mnie prześladowała.

Cody i Astor zainteresowali się poszukiwaniami. Krążyli po opustoszałych domach, oglądając z podziwem obszerne pokoje i dziwiąc się, że te wszystkie wielkie przestrzenie mogą wkrótce należeć do nich. Astor stała w środku jasnoniebieskiej sypialni z dziurami w ścianach, patrzyła w sufit i mruzczała: „Mój pokój, mój pokój...”. A potem do środka wpadała Rita i zabierała nas z powrotem do samochodu, wygłaszając długi monolog, z którego wynikało, że w tym rejonie szkoły mają niski poziom, że podatek od nieruchomości jest za wysoki, że trwa postępowanie odwoławcze w sprawie zagospodarowania przestrzennego i że dom wymaga wymiany instalacji wodnej i elektrycznej. Później Brian uśmiechał się sztucznie i wiózł nas do następnej posesji z listy.

Rita wynajdywała nowe, coraz bardziej absurdalne wady każdej odwiedzanej przez nas nieruchomości i wreszcie zaczęliśmy się nużyć. Uśmiech Briana stawał się stopniowo coraz mniej entuzjastyczny i coraz bardziej nienaturalny. Kiedy wsiadaliśmy do samochodu, by pojechać do

kolejnego domu, odczuwałem narastającą irytację. Również Cody i Astor uznali, że nasze poszukiwania zanadto odciągają ich od gry na Wii. Czy nie moglibyśmy po prostu kupić ładnego, dużego domu z basenem i zakończyć sprawę?

Jednak Rita była nieubłagana. Zawsze istniał jakiś nowy dom, który chciała zobaczyć i który wreszcie mógł się okazać wymarzoną, idealną miejscem dla Absolutnego Szczęścia Rodzinnego. Jechaliśmy obejrzeć kolejną, zupełnie normalną nieruchomość, po czym odkrywaliśmy, że w ogrodzie doszło do awarii zraszacza, która prawie na pewno sprawia, że woda zalewa fundamenty, że hipoteka jest w zastawie i że zaledwie dwie ulice dalej widziano gniazdo śmiertelnie groźnych szerszeni. Zawsze pojawiały się jakieś przeszkody, a Rita nie zdawała sobie sprawy, że reaguje w sposób neurotyczny.

Spędzaliśmy na poszukiwaniach wieczory, soboty i niedziele, więc nie jedliśmy kolacji przygotowanych przez Ritę, co okazało się wyjątkowo przykre. Mógłbym się pogodzić z poszukiwaniami nowego domu, pod warunkiem że od czasu do czasu zjadłbym na kolację dobrą pieczeń wieprzową, lecz w tej chwili smaczne dania – kluski tajske, paella z mango, pieczone kurczaki – należały do przeszłości. Moje kolacje składały się z hamburgerów i pizzy; pochłaniałem je w dzikim pośpiechu między oględzinami kolejnych domów, które się dla nas nie nadawały. Kiedy wreszcie stanowczo zażądałem od Rity normalnego jedzenia, otrzymałem pieczonego kurczaka z sieci restauracji Pollo Tropical. A potem znów oglądaliśmy nieruchomości i odrzucaliśmy następne wspaniałe okazje tylko dlatego, że trzecia łazienka miała ściany pokryte winylem, nie kafelkami, a duża wanna uniemożliwiała zainstalowanie brodzika.

Rita wydawała się bardzo zadowolona, dyskwalifikując kolejne domy, mnie zaś ogarniała coraz większa bezradność – wiedziałem, że zbliża się

katastrofa i że nie jestem w stanie jej zapobiec. Oglądałem kolejne nieruchomości, głodny i odrętwiały; tak samo czułem się w pracy. Udało mi się wyeliminować zaledwie trzech właścicieli hond; mogłem tylko zgrzytać zębami i udawać, że wszystko jest w porządku, choć odczuwałem coraz silniejszą frustrację.

Rankiem w środę sytuacja jeszcze bardziej się pogorszyła. Usiadłem przy biurku i szykowałem się do spędzenia ośmiu godzin w cudownym świetle rozbryzgów krwi; tak naprawdę czułem ulgę, że wreszcie mogę chwilę odpocząć od gorączkowych poszukiwań idealnego domu. Dlaczego nieszczęścia zawsze przychodzą parami? Może sobie pochlebiam, ale uważam, że dobrze sobie radzę w krytycznych sytuacjach – jeśli pojawiają się pojedynczo. W tej chwili musiałem szukać domu, żywić się okropnym jedzeniem z fast foodów, zajmować się aparatem ortodontycznym Astor i dziesiątkami innych rzeczy, a jednocześnie czekać, aż zaatakuje mnie Cień. Nie byłem w stanie poradzić sobie z tyloma sprawami naraz. Dlaczego nagle tak trudno jest mi być sobą, skoro zwykle świetnie sobie radzę?

Mogłem pozostać tylko Dexterem, nikt nie proponował mi lepszego rozwiązania. Postanowiłem przestać się martwić i spojrzeć na sytuację z właściwej perspektywy. W porządku – nałożyło się zbyt wiele spraw. Ale zawsze udaje mi się wybrnąć z kłopotów, prawda? Oczywiście! Czy nie znaczy to, że stanie się tak i tym razem? Naturalnie! Jestem urodzonym zwycięzcą i zawsze wygrywam!

Chociaż czułem się jak kibic dopingujący drużynę sportową, która nie uczestniczy w grze, uśmiechnąłem się z fałszywym optymizmem i przystąpiłem do pracy. Zacząłem od przeglądania poczty.

Niestety, nie był to najlepszy sposób na podtrzymanie dobrego nastroju. Pierwszy e-mail nosił tytuł: **Czas próby** i nie było żadnych wątpliwości,

kto go napisał.

Moja dłoń nie drżała, gdy go otwierałem, może tylko z powodu wyczerpania nerwowego. Była to kolejna wiadomość od mojego ulubionego korespondenta. Tym razem krótka i osobista, zupełnie inna niż rozwlekłe, pełne dygresji wpisy w blogu Cienia. Tylko kilka linijek, jednak to wystarczyło:

W końcu doszedłem do wniosku, że jesteśmy bardziej podobni, niż ci się wydaje, i nie jest to dla ciebie dobra wiadomość. Wiem, co zamierzam zrobić, i zrobię to tak jak ty, co jest dla ciebie jeszcze gorszą wiadomością. Bo teraz możesz się domyślić, co to będzie, ale nie wiesz, kiedy to nastąpi. Nadszedł czas próby.

Wpatrywałem się w te kilka linijek, aż rozboleły mnie oczy, i nagle przypomniałem sobie, że wciąż sztucznie się uśmiecham. Spowaźniałem i skasowałem e-mail.

Nie wiem, jak przetrwałem ten dzień; nie mam pojęcia, co robiłem w pracy aż do piątej, gdy wsiadłem do samochodu i powoli ruszyłem w stronę domu, zatrzymując się w korkach.

Stupor utrzymywał się w czasie oglądania kolejnych nieruchomości, aż wreszcie, gdy Rita zdyskwalifikowała trzy bardzo ładne domy, wyrząłem z okna samochodu Briana i zdałem sobie z przerażeniem sprawę, że jedziemy w stronę miejsca, które wydaje mi się znajome. Szybko zrozumiałem przyczynę – zdążaliśmy ku domowi, gdzie pozbyłem się Valentine'a, a potem zostałem przyłapany na gorącym uczynku. To tu rozpoczęły się moje nieszczęścia. W końcu Brian zatrzymał wóz.

Myszę, że miało to jakiś chory sens. Wybrałem ten dom, gdyż był pustostanem znajdującym się w naszej dzielnicy. Tak czy inaczej, los znów

mnie prześladował. W gruncie rzeczy powinienem się spodziewać, że kiedyś tu trafimy, lecz wcześniej o tym nie pomyślałem, i oto stałem na ulicy, mrugając głupkowato i nie mogąc nic zrobić – bo co tak naprawdę miałem powiedzieć? Że dom mi się nie podoba, bo pokroiłem w nim na kawałki kłowna?

Dlatego, milcząc, wysiadłem z samochodu i wszedłem wraz z resztą rodziny do środka. Wkrótce znalazłem się w kuchni koło stołu, gdzie odbył się ostatni występ Valentine'a. Jednak zamiast noża trzymałem Lily Anne i słuchałem paplaniny Rity mówiącej o wysokich kosztach usuwania pleśni z więźby dachowej. Tymczasem Cody i Astor usiedli na podłodze i oparli się plecami o ścianę pomieszczenia, w którym wyzionął ducha Valentine. W oczach Briana pojawił się zamyślony wyraz i z jego twarzy zniknął fałszywy uśmiech; zaburczało mi w brzuchu, od tygodni pozbawionym normalnego pożywienia, i zrozumiałem, że oto znalazłem się w miejscu, gdzie za nic w świecie nie chciałbym przebywać. Wkrótce umrę lub znajdę się w więzieniu, a tymczasem stałem w kuchni, gdzie wszystko się zaczęło, i nie byłem w stanie normalnie myśleć. Znowu zaburczało mi w brzuchu; nie dostawałem przyzwoitych posiłków nawet przed śmiercią. Życie nie było już okrutnym szyderstwem, lecz zmieniło się w torturę. Nagle Rita zaczęła stukać w podłogę czubkiem buta, a gdy spojrzałem na jej stopę, spostrzegłem niewielką ciemną plamę – czy to możliwe?! Czy sprzątając w pośpiechu, przeoczyłem plamę krwi kłowna? Czy Rita stukała butem w resztkę lepkiej, ohydnej krwi?

Świat skurczył się do jednego punktu i miarowego stukania Rity. Przez chwilę miałem wrażenie, że nie istnieje nic innego; poczułem, że oblewam się potem, usłyszałem zgrzytanie własnych zębów – i nagle nie mogłem już wytrzymać, nie byłem w stanie znieść tej powtarzającej się

w nieskończoność melodramatycznej pętli, w moim mózgu wyrósł jakiś ciemny kształt, zatrzepotał skrzydłami i zaczął ryczeć.

Kiedy szyby moich wewnętrznych okien zadźwięczały od dzikiego krzyku, zgoda, którą udawałem przez kilka ostatnich nocy, rozpadła się i runęła z trzaskiem na ziemię, zmieniając się w stos kruchych odłamków. Przedarłem się przez gruzowisko na scenę i stanąłem na jej środku. Dexter Wyzwolony.

– W porządku – rzekłem, przecinając potok sprzeciwów Rity. Umilkła i spojrzała na mnie ze zdziwieniem. Cody i Astor zeszywnieli, rozpoznając w moim głosie ton Mrocznego Rozkazu. Lily Anne poruszyła się niespokojnie w moich rękach; pogłaskałem ją po plecach, nie odrywając wzroku od Rity. – Jedziemy do domu! – rzuciłem ostro, z całkowitą pewnością, która narastała w głębi mojego mrocznego ja.

– Do naszego za małego domu.

Rita zatrzepotała powiekami.

– Dziś wieczorem Brian ma nam pokazać jeszcze jedną nieruchomość – powiedziała.

– To bez sensu – odparłem. – Trzeba wymienić rynny na dachu, a kuchnia nie spełnia norm. Jedziemy do domu.

Nie spojrzałem na twarz Rity, na której malowało się kompletne zdumienie. Odwróciłem się, wyszedłem z pokoju i podążyłem do samochodu Briana. Usłyszałem, jak Cody i Astor wstają i idą za mną; dogonili mnie koło auta i zaczęli się sprzeczać, w jaką grę zagrają na Wii po powrocie. Po chwili pojawiła się Rita z Brianem, który starał się ją uspokoić. Na jego twarzy widniał sztuczny uśmiech.

Rita miała bardzo zdziwioną minę, siadając na przednim siedzeniu. Nim zdążyła zapiąć pas, Brian usiadł za kierownicą, zapalił silnik i zabrał nas do domu.

14

W drodze powrotnej do naszego starego i niedużego domu Rita milczała, co było trochę nie w jej stylu. Kiedy Brian wysadził nas na ulicy i z rykiem odjechał w ciemność, poszła powoli do drzwi frontowych, a na jej twarzy malowały się troska i niepokój. Umieściłem Lily Anne w kojcu; Cody i Astor usiedli do Wii, a Rita zniknęła w kuchni. Mimo woli się ucieszyłem – może przygotuje późną kolację, która pozwoli zapomnieć o posiłkach w fast foodach? Ale kiedy poszedłem za nią, zobaczyłem, że nie stoi przy kuchence, tylko znowu naląła sobie duży kieliszek wina.

Po wejściu zastałem ją siedzącą przy stole. Zerknęła na mnie, po czym odwróciła wzrok i wypła duży łyk. Na jej policzkach pojawiły się ciemnoczerwone rumieńce; wypła drugi łyk i odstawiła do połowy opróżniony kieliszek. Popatrzyłem na nią, czując, że powinienem jakoś skomentować to, co się niedawno wydarzyło, jednak nie miałem pojęcia, jak to zrobić – oczywiście nie mogłem powiedzieć całej prawdy. Znowu wypła łyk wina, a ja usiłowałem wymyślić sposób, by jej przekazać, że jej poszukiwania nowego domu znalazły się w kompletnym impasie. Lecz zamiast tego znowu ogarnęła mnie głęboka irytacja i usłyszałem powolny, ostrożny szelest ukrytych skrzydeł – drżały one z niecierpliwości, by się rozwinąć i wzbić w ciepłe, mroczne niebo...

– Musi być porządny – rzekła Rita, marszcząc czoło i wciąż na mnie nie patrząc.

– Tak. – Skinąłem głową, nie wiedząc, na co się zgadzam.

– To nie może być nora, gdzie ktoś srał do beczki, a nędzna instalacja elektryczna grozi pożarem.

– Jasne, że nie – odpowiedziałem, czując się znacznie pewniej: rozmawialiśmy o hipotetycznym nowym domu. – Ale prędzej czy później musimy coś wybrać, prawda?

– Jak? – spytała. – Bo to po prostu... To znaczy dzieci... – Popatrzyła na mnie i jej oczy zwilgotniały. – A ty... – dodała, odwracając wzrok. – Nawet nie wiem, czy ty...

Pokręciła głową i wypila kolejny duży łyk wina. Odstawiła kieliszek na stół i odgarnęła kosmyk włosów, który opadł jej na czoło.

– Dlaczego to wszystko jest takie... – odezwała się. – Dlaczego wszyscy ze mną walczą?

Nabrałem powietrza w płuca i poczułem przypływ zadowolenia. Wreszcie nadeszła okazja, by jasno i wyraźnie powiedzieć Ricie, że prowadzi nas do krainy frustracji i szaleństwa, że zapuszczamy się na nieznany teren, gdzie wszystko może się zdarzyć. Może tym razem nie będzie nieustannie przerywać, mówiąc o dziesięciu rzeczach jednocześnie. W mojej głowie zaczęły się formować pierwsze słowa, chłodne i logiczne; miałem nadzieję, że przedyskutujemy wszystko w sposób spokojny i rzeczowy. Mogliśmy znów zacząć jeść normalne posiłki, a później znaleźć dom, który okaże się możliwy do zaakceptowania. Kiedy otworzyłem usta, by rozpocząć starannie przygotowaną przemowę, z salonu dobiegł straszliwy krzyk.

– Mamo! – wrzasnęła gniewnie Astor. W jej głosie zabrzmiała panika. – Lily Anne zwymiotowała na pilota!

– O kurwa! – zaklęła Rita, co zdarzało się bardzo rzadko. Dopiła wino, zerwała się z miejsca, chwyciła rolkę papierowych ręczników i pobiegła

posprzątać. Usłyszałem, jak zrzędliwie pyta Astor, po co dała Lily Anne pilota Wii, a Astor odpowiada, że siostra ma już ponad rok, więc chcieli zobaczyć, czy potrafi zabić smoka; poza tym po prostu razem się bawią, więc co w tym złego? Cody wyraźnie powiedział: „Fuj!”, a Rita zaczęła wydawać półgłosem rozkazy, mrużąc od czasu do czasu: „Och, na litość boską!” albo „Doprawdy, Astor, jak mogłaś...”. Tymczasem głos Astor stawał się coraz wyższy, gdy się usprawiedliwiała i obwiniwała innych.

Spokojna rozmowa zmieniała się stopniowo w absurdalną, idiotyczną awanturę, a ja słuchałem, oddychałem i wreszcie zacząłem się irytować – czy rzeczywiście tak mam spędzać czas, jeśli nie zostanę zdemaskowany i nie trafię do więzienia? Sprzeczki, piski, kłótnie, kwaśne wymiociny niekończącej się przemocy emocjonalnej? To miała być dobra strona życia? Tego miało mi brakować, gdy nadejdzie koniec i odejdę w wieczną ciemność? To było nie do wytrzymania; samo słuchanie tego, co się dzieje w sąsiednim pokoju, sprawiało, że miałem ochotę ryczeć, pluć ogniem, roztrzaskiwać czaszki – lecz oczywiście tego rodzaju szczera ekspresja emocji tylko zagwarantowałyby mi miejsce w więzieniu. I dlatego, zamiast wpaść do salonu i zacząć walić wszystkich pałką, odetchnąłem głęboko i poszedłem do swojego gabinetu.

Lista hond leżała w teczce, zaniedbana od kilku dni. Tego wieczoru mogłem jeszcze sprawdzić kilka adresów; napisałem dwa następne na karteczce. Poszedłem do sypialni, przebrałem się w strój sportowy i ruszyłem w stronę wyjścia z domu. Po drodze musiałem minąć Ritę i Astor kłócące się w salonie. Warczały na siebie, wycierając wszystko papierowymi ręcznikami.

Myślałem, że przejdę obok nich bez słowa, lecz znowu się pomyliłem. Kiedy wkroczyłem do pokoju, Rita szybko uniosła głowę i kątem oka

zauważyłem, że jej twarz stała się napięta, zła. Gdy dotarłem do frontowych drzwi, wstała.

– Dokąd idziesz? – spytała i w jej głosie zabrzmiało rozdrażnienie wywołane kłótnią z Astor.

– Na dwór – odpowiedziałem. – Potrzebuję trochę ruchu.

– Tak to teraz nazywasz? – spytała. Nie zrozumiałem, co ma na myśli, ale ton jej głosu zabrzmiał bardzo nieprzyjemnie.

Odwróciłem się i spojrzałem na nią. Stała z zaciśniętymi pięściami obok kanapy, trzymając w ręku kłęb brudnych papierowych ręczników. Miała bladą, prawie zielonkawą twarz, choć na policzkach płonęły czerwone rumieńce. Wyglądała tak dziwnie, tak inaczej niż zwykle, że patrzyłem na nią w milczeniu przez dłuższą chwilę. Chyba jej to nie uspokoiło; jeszcze bardziej zmrużyła oczy i zaczęła postukiwać w podłogę czubkiem buta, aż zdałem sobie sprawę, że nie odpowiedziałem na pytanie.

– A jak mam to nazywać? – spytałem.

Syknęła. Było to tak zaskakujące, że otworzyłem usta ze zdumienia. Później rzuciła we mnie papierowymi ręcznikami. Rozwinęły się w locie i upadły na ziemię o metr przede mną.

– Nie obchodzi mnie, jak to nazywasz, do cholery! – powiedziała i wyszła z kuchni. Po chwili wróciła z nowym zapasem ręczników, ostentacyjnie mnie ignorując.

Obserwowałem ją, licząc na jakąś wskazówkę, ale zupełnie nie zwracała na mnie uwagi. Lubię skomplikowane łamigłówki, lecz ta wydawała się zbyt abstrakcyjna, a ja miałem ważniejsze problemy do rozwiązania. Doszedłem do wniosku, że to kolejna sytuacja, kiedy nie jestem w stanie zrozumieć ludzkich zachowań, po czym otworzyłem drzwi i wyszedłem na dwór, gdzie panował popołudniowy upał.

Na końcu podjazdu skręciłem w lewo i zacząłem biec ulicą. Pierwsze nazwisko skopiowane z listy brzmiało Alissa Elan. Było dość nietypowe, ale uznałem to za szczęśliwy omen. *Elan* znaczy po francusku „rozmach”. Właśnie tego mi ostatnio brakowało – rozmachu, dynamiki, energii. Może zdołam ją odzyskać dziś wieczorem, gdy zobaczę hondę Alissy Elan. I nagle poczułem się tak, jakby uderzyło mnie w głowę coś dużego, ciężkiego i mokrego. Stałem jak wryty na środku jezdni; gdyby po ulicy jechały samochody, nawet nie pomyślałbym, że trzeba się odsunąć. Uświadomiłem sobie, że imię Alissa zaczyna się na A.

Cień nieustannie pisał na swoim blogu o „wściekłej suce”, którą oznaczał inicjałem A, a jak dotąd nie sprawdziłem imion zaczynających się na literę A. Chyba oglądałem za dużo telewizji – zbyt wiele moich szarych komórek obumarło i mój niegdyś błyskotliwy umysł przestał prawidłowo funkcjonować. Nie zajmowałem się jednak rozpamiętywaniem własnej głupoty. Lepiej późno niż wcale, wreszcie znalazłem to, czego szukałem. Ogarnęła mnie nierozsądna radość i pobiegłem truchtem ulicą, by sprawdzić, czy się nie mylę.

Dom znajdował się w odległości półtora kilometra, po drugiej stronie autostrady U.S. 1. Dotychczas oglądałem tylko budynki znajdujące się po tej stronie autostrady; wieczorem przechodzenie przez nią było ryzykowne. Gdybym zdołał się przez nią przedostać, mógłbym skręcić na północ, obejrzeć hondę Alissy Elan i wrócić do domu w niespełna godzinę.

Biegłem przez kwadrans po zachodniej stronie autostrady, poruszając się po obszarze, który nigdy się nie podniósł po huraganie „Andrew”. Domy były małe i zaniedbane, nawet jeśli ktoś w nich mieszkał, a większość numerów nie dawała się odczytać. Były zatarte, zasłonięte przez roślinność lub zupełnie ich brakowało. Wzdłuż ulicy stały stare, odrapane samochody; często wraki. Bawiło się wokół nich kilkanaścioro brudnych dzieci. Inne

grały w piłkę nożną na parkingu odrapanego, dwukondygnacyjnego bloku mieszkalnego. Obserwowałem dzieci, zastanawiając się, czy zabawa wśród starych samochodów nie jest groźna, i prawie minąłem właściwy adres.

Usłyszałem odgłos kopnięcia i obróciłem głowę. Nad parkingiem leciała piłka i rozległy się okrzyki: *Julio! Aqui!* Podziwiałem w duchu zręczność chłopca i nagle zauważyłem numer nad drzwiami jednego z domów: 8834. Szukałem numeru 8837 i prawie przebiegłem obok niego.

Zwolniłem, zatrzymałem się przed blokiem mieszkalnym i oparłem nogę na rozpadającym się betonowym murku, jakbym chciał zawiązać sznurowadło. Poprawiając węzeł, zerknąłem na drugą stronę ulicy i zobaczyłem dom otoczony wielkim żywopłotem, którego dawno nie strzyżono.

Był tak niewielki, że przypominał wiejską chatę; okna były zasłonięte krzewami, a ściany porastała splątana winorośl, która przelewała się przez dach, zdając się go podtrzymywać. Od strony ulicy znajdowało się maleńkie podwórko, na którym stał zaparkowany samochód; na tyłach zauważyłem zardzewiałe ogrodzenie z drucianej siatki. Najbliższa latarnia uliczna znajdowała się przecnicę dalej, a wzdłuż ulicy rosły drzewa, toteż po zmroku mały dom był prawie niewidoczny. Auto stało za wielką bugenwillą, która zajmowała połowę podwórka i stykała się z dachem; widziałem jedynie część karoserii. Ale gdy przyjrzałem się dokładniej, uznałem, że tamtej nocy mogłem spotkać właśnie ten wóz.

Niegdyś była to prawdopodobnie ładna mała honda z metaliczną błękitną karoserią i srebrnymi pasami po bokach, lecz teraz samochód wyglądał okropnie: odrapany, poobijany, przechylony na bok, o nieokreślonej barwie w różnych odcieniach szarości, błękitu i czerwieni lakieru antykorozyjnego.

Na bagażniku znajdowała się duża plama rdzy, która przypominała znamię. Poczulem, że serce bije mi szybciej, i usłyszałem w mózgu szelest

czarnych skrzydeł.

Jednak o niczym to nie świadczyło – wiele samochodów ma rdzawe plamy. Stłumiłem narastające podniecenie i postanowiłem się upewnić. Wyprostowałem się powoli, położyłem dłonie na karku i przeciągnąłem się, jakbym chciał rozluźnić zmęczone mięśnie, a potem zerknąłem na tylną część wozu. Nic nie widziałem, ponieważ wszystko zasłaniała bugenwilla.

Muszę podejść bliżej. Potrzebuję jakiegoś głupiego pretekstu, by wejść na podwórko, zerknąć przez liście i sprawdzić, czy tylne światło jest w charakterystyczny sposób przekrzywione. Nic lepszego nie przychodziło mi do głowy. W przeszłości często udawałem inkasentów lub monterów, by się zbliżyć do różnych miejsc, ale dziś wieczorem jestem po prostu facetem, który uprawia jogging – nie mogę zmienić kostiumu i coraz trudniej znaleźć wytłumaczenie, że tu stoję. Znów opieram stopę na murku, rozciągając mięśnie, i wściekle odrzucam serię naprawdę głupich pomysłów mających uzasadnić wejście na podwórko i zajrzenie za okropną, wielką bugenwillę. Niewiele brakowało, bym zrobił najbardziej idiotyczną rzecz na świecie: zbliżył się do hondy, obejrzał ją i odszedł. Śmieszne, niebezpieczne i zupełnie niezgodne z moimi wyobrażeniami o własnym sprycie, lecz nie miałem czasu ani lepszego pomysłu...

Gdzieś daleko, może w jednej z chmur, musi się kryć jakieś kapryśne, mroczne bóstwo, które szczerze mnie lubi, ponieważ nim zdążyłem zrobić coś głupiego, usłyszałem głosy chłopców grających w piłkę, który zawołali w trzech językach: „Niech pan uważa, proszę pana!”. I zanim zdążyłem zdać sobie sprawę, że słowa te są skierowane do mnie, trafiła mnie w głowę piłka, odbiła się i wypadła na jezdnię.

Patrzę na podskakującą piłkę, oszołomiony nie tyle uderzeniem w głowę, ile szczęśliwym, nieprawdopodobnym, idiotycznym zbiegiem okoliczności.

Piłka toczy się po ulicy, wpada na podwórko brudnego małego domu i zatrzymuje się przy tylnym kole hondy.

– Przepraszamy, proszę pana! – woła jeden z chłopców.

Spoglądam na parking. Dzieci stoją z niepewnymi minami i patrzą na mnie, jakby się zastanawiały, czy zabiorę piłkę i ucieknę, a może nawet zaczną do nich strzelać. Uśmiecham się uspokajająco i mówię:

– Nic się nie stało. Zaraz ją przyniosę.

Przekraczam jezdnię i wchodzę na podwórko, gdzie zatrzymała się cudowna piłka. Zbliżając się do hondy, skręcam nieco w lewo i staram się udawać, że nie patrzę na samochód pożądlwym wzrokiem. Trzy kroki, pięć, sześć – i oto stoję koło auta.

Spoglądam na nie przez kilka długich, rozkosznych sekund, czując ogarniające mnie podniecenie. Widzę przekrzywione tylne światło, które zauważyłem tamtego wieczoru, gdy pędziłem autostradą Palmetto. Nie ma żadnych wątpliwości. W głębi Czarnej Wieży Dextera rozlega się syk satysfakcji; czuję przeszywający dreszcz, który wznosi się powoli do góry wzdłuż kręgosłupa, dociera do mojej twarzy i osiada na niej niczym maska.

Odnaleźliśmy Świadka.

Zaczyna się polowanie.

Z wnętrza zbutwiałego domu pokrytego winoroślą dobiegają odgłosy awantury, a potem słyhać trzaśnięcie drzwi. Odrywam wzrok od pięknego przekrzywionego reflektora, zerkam w bok i widzę plecy mężczyzny, który odwraca się i wchodzi z powrotem do domu. Ogarnia mnie lęk. Musiał mnie dostrzec, lecz zatraskują się za nim frontowe drzwi. Nadal mam szczęście. W domu słyhać podniesiony głos mężczyzny i krzyki kobiety. Znalazłem Świadka, a on o tym nie wie; zbliża się jego koniec. Idę szybko po trawie w stronę hondy, klepię ją czule i podnoszę piłkę.

Chłopcy ciągle patrzą na mnie niepewnym wzrokiem. Pokazuję im piłkę i się uśmiecham. Mają takie miny, jakbym trzymał bombę domowej roboty, i ani drgną. Obserwują mnie z wielką uwagą, gdy rzucam piłkę. Odbija się dwa razy od jezdni, po czym łapie ją jeden z chłopców i cała grupa wznawia przerwana grę.

Spoglądam z zadowoleniem na brudny mały dom i zastanawiam się nad swoim szczęściem. Zarośnięte podwórko, ulica bez latarni – sceneria jest idealna, jakbyśmy sami ją zaprojektowali na noc mrocznych rozrywek. Wszystko jest zasłonięte, pogrążone w cieniu – najbardziej kapryśny potwór nie mógłby prosić o lepszy plac zabaw.

Maszty flagowe Zamku Dextera drżą z niecierpliwości. Szukaliśmy, znaleźliśmy – nagle mamy mnóstwo roboty i bardzo mało czasu. Wszystko musi zostać wykonane porządnie, jak zawsze. Wrócimy tu dziś w nocy – dziś w nocy! – skradając się w mroku, a potem wytniemy ten nieprzyjemny, brzydki wrzód, który zagraża naszemu bezpieczeństwu. Wyobrażamy sobie Świadka przywiązanego do stołu taśmą klejącą; już wkrótce wszystko się zmieni w szczęście lśniące na czubku noża. Raz, dwa, trzy – ciach-ciach! – i życie Dextera znajdzie się z powrotem w barwnym, plastikowym futerale, z pozoru szczęśliwe i ludzkie. Najpierw jednak trzeba wszystko starannie przygotować, a później słuchać ostrych rozkazów dobiegających z ciemności.

Głęboki oddech, by zatrzymać przyływ Potrzeby i odzyskać mroczną równowagę. Trzeba to zrobić porządnie. Powoli, ostrożnie odwracamy się od hondy na podwórku i biegniemy w przeciwną stronę. Na razie musimy wracać do domu, ale już wkrótce, jak tylko się ściemni, znowu się tu pojawimy.

Nadchodzi Mrok przez duże M.

Kiedy dotarłem do swojej ulicy, byłem spocony, lecz bardzo zadowolony. Przestałem biec i wszedłem do domu. Zadowolenie zmieniło się prawie w szczęście, gdy przestąpiłem drzwi frontowe i zobaczyłem swoje dzieci siedzące na kanapie i radośnie zabijające potwory na ekranie. Astor spojrzała na mnie (była właśnie kolejka Cody'ego) i rzuciła:

– Mama chce z tobą porozmawiać. Jest w kuchni.

– Cudownie – odpowiedziałem. Mówiłem szczerze. Odnalazłem swój Ciebie, przez godzinę biegałem dla zdrowia, a teraz Rita znajdowała się w kuchni: może wreszcie zaczęła coś gotować i szykuje na przykład duszoną wieprzowinę? Czyż życie nie jest wspaniałe?

Jednak szczęście bywa ulotne, a najczęściej stanowi wskazówkę, że nie rozumiemy, co się naprawdę dzieje. Kiedy wszedłem do kuchni, optymizm natychmiast mnie opuścił, bo Rita wcale nie gotowała. Siedziała nad dużym stosem papierów i ksiąg pokrywających większą część blatu stołu i bazgrała coś w notatniku. Zatrzymałem się w progu rozczarowany.

– Jesteś cały spocony – odezwała się, patrząc na mnie.

– Biegałem – odparłem. W jej spojrzeniu pojawił się dziwny błysk, którego nie rozumiałem, a także lekka ulga, równie niespodziewana.

– Och – rzekła. – Naprawdę biegałeś?

Otarłem dłonią twarz i wyciągnąłem rękę, by pokazać, jaki jestem spocony.

– Oczywiście. A co myślałaś?

Pokręciła głową i wskazała papiery leżące na stole.

– Nie mogę... Mam pracę – powiedziała. – To jest zupełnie... A teraz muszę... – Zacisnęła usta i spojrzała na mnie, marszcząc brwi. – Mój Boże, jesteś cały zlany... Nie siadaj nigdzie, dopóki się nie umyjesz... Do licha! – Nagle na stole zadzwoniła komórka Rity. Podniosła ją i odezwała się do mnie: – Mógłbyś zamówić pizzę? Tak, to ja – rzekła do telefonu.

Obserwowałem ją przez chwilę, gdy podawała przez telefon długą listę cyfr, a następnie poszedłem do łazienki, zapominając o nadziei na normalny posiłek. Miałem wielką ochotę na coś przygotowanego w domu i konieczność zjedzenia pizzy bardzo mnie rozczarowała. Ale kiedy brałem prysznic, zacząłem odzyskiwać dobry humor. Dziś w nocy czekało mnie coś wielkiego, coś przy czym nawet gulasz wieprzowy Rity wydawał się trywialną przyjemnością. Puściłem bardzo gorącą wodę, zmyłem pot, a potem włączyłem zimną wodę. Przez minutę polewałem nią szyję, aż poczułem, jak wypełnia mnie lodowata radość. Wybierałem się na wyprawę, podczas której dojdzie do rzadkiego połączenia prawdziwej przyjemności z koniecznością; było to warte tygodnia odżywiania się jedzeniem z fast foodów.

Wytarłem się ręcznikiem, ubrałem i zamówiłem pizzę. Kiedy czekałem na jej dostarczenie, poszedłem do swojego gabinetu i przygotowałem się do tego, co zamierzałem zrobić. Niezbędne akcesoria z łatwością mieściły się w niewielkiej nylonowej torbie na ramię; kiedy po półgodzinie pojawił się dostawca pizzy, wszystko było spakowane. Rita zajmowała się swoją pracą, a na stole w kuchni leżały jej papiery. Toteż ku radości dzieci podałem pizzę na stoliku do kawy przed telewizorem. Cody i Astor lubili jedzenie z fast foodów, a ich nastrój udzielił się Lily Anne. Podskakiwała radośnie w wysokim krzeselku i z wigorem ciskała w ściany papką z marchewek, okazując doskonałą celność.

Zacząłem jeść kawałek pizzy. Na szczęście prawie nie czułem jej smaku, ponieważ w ciemnych zakamarkach swojego mózgu znajdowałem się już bardzo daleko, w małym domu na obskurnej ulicy. Przykładałem czubek noża do jednego miejsca, a ostrze do drugiego – powoli i ostrożnie zbliżałem się do radosnego finału. Świadek szamotał się w więzach,

obserwowałem, jak w jego oczach gaśnie nadzieja, rozpaczliwe ruchy stawały się coraz słabsze, aż w końcu, nareszcie...

Wyobrażałem to sobie w sposób bardzo realistyczny, wręcz słyszałem szelest szarpanej taśmy klejącej. I nagle przestałem odczuwać głód, pizza wydała mi się niesmaczna jak tektura, a wesołe rozmowy dzieci zmieniły się w irytujący hałas. Nie mogłem już dłużej czekać, by wrócić do rzeczywistości czekającej na mnie w małym domu. Wstałem i włożyłem resztkę pizzy z powrotem do pudełka.

– Muszę iść – powiedzieliśmy i lodowaty dźwięk naszego głosu sprawił, że Cody obrócił gwałtownie głowę w naszą stronę, a Astor zastygła z otwartymi ustami.

– Dokąd? – spytała cicho. W jej szeroko otwartych oczach pojawił się wyraz entuzjazmu, bo chociaż nie wiedziała, gdzie się wybieram, lodowaty ton naszego głosu pozwolił jej zrozumieć przyczynę.

Obnażyliśmy zęby i Astor zatrzepotała powiekami.

– Powiedzcie mamie, że mam pracę – odrzekliśmy. Astor i Cody spoglądali na nas wybałuszonymi oczyma, w których płonęła ich własna tęsknota, a Lily Anne krótko i ostro zawołała: „Da!”, pociągając przez chwilę za rogi mojej czarnej peleryny. Lecz w oddali narastała muzyka, wzywając dyrygenta, i nie było wyboru: musieliśmy wziąć batutę i stanąć na podium.

– Opiekuj się siostrą – powiedziałem.

– Dobrze – odrzekła Astor, kiwając głową. – Ale, Dexter.

– Wróć – stwierdziliśmy. Wzięliśmy niewielką torbę z narzędziami i wyszliśmy z domu.

15

Było już zupełnie ciemno. Pierwszy podmuch nocnego wiatru wpadł z rykiem do moich płuc i przeleciał przez żyły, wypowiadając grzmiącym szeptem moje imię i prosząc, bym podążył w mrok. Pośpieszyliśmy do samochodu, by odjechać do krainy szczęścia. Ale kiedy otworzyliśmy drzwi i zaczęliśmy wchodzić do środka, ogarnął nas dziwny niepokój. Zatrzymaliśmy się nagle – coś było nie tak. Opuściła nas radość, zsuwając się na chodnik niczym wylinka węża.

Coś było nie tak.

Rozejrzałem się w gorącym, wilgotnym mroku. Okolica wyglądała tak samo jak zawsze – rząd parterowych domów z podwórkami, na których leżały rozrzucone zabawki dziecięce. Nigdzie nie pojawiło się niebezpieczeństwo. Na ulicy nic się nie poruszało, nikt nie czał się w mroku koło żywopłotu, a na niebie nie wisiał helikopter, który zamierzał mnie ostrzelać. Mimo to ciągle miałem wątpliwości.

Wciągnąłem głęboko powietrze przez nos. Poczułem tylko zmieszane zapachy kuchenne, woń dalekiego deszczu, odór gnijących roślin zawsze wyczuwalny nocą na południu Florydy.

Więc co się stało? Co włączyło dzwonki alarmowe, gdy wyszedłem z domu i stałem się wolny? Niczego nie zobaczyłem, nie usłyszałem, nie poczułem – lecz wiedziałem, że powinienem wierzyć irytującym szeptom

zapowiadającym niebezpieczeństwo, toteż stałem bez ruchu, wstrzymując oddech i szukając odpowiedzi.

Nagle na niebie rozstąpiły się ławice niskich, ciemnych chmur i pojawił się srebrzysty sierp księżyc – mały, słaby księżyc, pozbawiony znaczenia. Na jego widok pozbyliśmy się wątpliwości. Oczywiście – przyzwyczailiśmy się wyruszać na wyprawy przy złowrogim blasku Księżycy w pełni, ciąć i kroić przy akompaniamencie chóru śpiewającego na niebie. Tego wieczoru brakowało światła przewodniego i źródła radości, ale dziś miała się odbyć specjalna sesja, improwizacja w bezksiężycowy wieczór. Musieliśmy to zrobić – miała to być solowa kantata, kaskada pojedynczych nut bez akompaniamentu solisty. Księżyc w nowiu był zbyt mały i słaby, by śpiewać pełnym głosem, ale potrafimy dać sobie radę bez niego, przynajmniej raz.

Znów poczuliśmy chłodną determinację; w pobliżu nie czaiło się niebezpieczeństwo, tylko brakowało księżycy. Nie istniał powód, by zrezygnować lub czekać; należało wyruszyć w aksamitny mrok.

Siadamy za kierownicą i zapalamy silnik. Jazda do miejsca, gdzie stoi odrapany blok mieszkalny i niewielki, brudny dom, zajmuje zaledwie pięć minut. Przejeżdżamy powoli obok niego, szukając oznak, że coś jest nie tak, i niczego nie zauważamy. Ulica jest pusta. Jedyne latarnia uliczna, położona przecznice dalej, miarowo zapala się i gaśnie, rzucając na jezdnię przyćmione błękitne światło. Poza tym w oknach bloku widać niebieskawy blask włączonych telewizorów – mieszkańcy oglądają ten sam absurdalny, pusty, idiotyczny reality show, patrząc na niego z pustymi twarzami, gdy tymczasem prawdziwa rzeczywistość krąży dokoła, oblizując zęby.

W niewielkim brudnym domu pali się jedno słabe światło w oknie częściowo zasłoniętym przez winorośl. Honda ciągle stoi ukryta w cieniu. Przejeżdżamy obok, okrążamy kwartał ulic i zatrzymujemy się w mroku

pod dużym figowcem. Wsiadamy, zamykamy samochód i stoimy przez chwilę nieruchomo, czując zapach mrocznej, cudownej nocy. Lekki wiatr porusza liśćmi, a na horyzoncie, w ogromnej ławicy czarnych chmur pojawia się światło błyskawicy. W dali rozlega się dźwięk syreny, nieco bliżej szczeka pies, lecz wokół nic się nie porusza. Głęboko oddychamy chłodnym, nocnym powietrzem i rozglądamy się, szukając niebezpieczeństw czających się w mroku. Wszystko jest w porządku, wszystko jest gotowe, takie, jakie powinno być, więc nie możemy dłużej zwlekać.

Już czas.

Powoli, ostrożnie zrzucamy na ramię niewielką torbę sportową i idziemy w stronę zapyziałego domu niczym przypadkowy przechodzień wracający z przystanku autobusowego.

Nagle z bocznej uliczki wyjeżdża samochód i pada na nas blask reflektorów. Mamy wrażenie, że kierowca waha się przez pół sekundy; zatrzymujemy się, oślepieni jaskrawym światłem. Później auto wydaje dziwny dźwięk, rozlega się wystrzał z rury wydechowej i szczęknięcie obluzowanego błotnika. Samochód przyśpiesza, przejeżdża obok nas i znika za rogiem. Znow zapada cisza i nie widać żadnych oznak życia.

Idziemy dalej. Nikt nas nie obserwuje, wszyscy oglądają telewizję, każdy krok zbliża nas do radości. Czujemy wzbierające pragnienie, potrzebę, i wiemy, że wkrótce ją zaspokoimy. Bardzo się staramy, by nasze kroki nie zdradzały podniecenia. Zbliżamy się do domu, mijamy go i skręcamy w ciemność koło wielkiego żywopłotu, który zasłania hondę.

Zatrzymujemy się koło zardzewiałego samochodu i zaczynamy myśleć. Bardzo tego pragnęliśmy, jesteśmy tutaj i nic nie może nas powstrzymać, jednak sytuacja jest szczególna. To nie brak księżyca sprawia, że się wahamy, stoimy w cieniu i patrzymy w zamyśleniu na brzydki mały dom.

Nasze plany się nie zmieniły, nie czujemy wyrzutów sumienia ani wątpliwości; jesteśmy całkowicie zdecydowani. Nie. Chodzi o to, że w środku są dwie osoby, a chcemy zabić tylko jedną. Musimy skrepować Świadka taśmą klejącą, a potem zrobić mu wiele cudownych rzeczy, o których od tak dawna marzymy...

Druga osoba. „A”. Była żona.

Jak ją potraktować?

Nie możemy pozwolić jej patrzeć, bo opowie o wszystkim policji. Ale zabicie jej jest sprzeczne z Kodeksem Harry’ego, sprzeczne z zasadami, których zawsze przestrzegaliśmy. Nie wolno nam pozbawiać życia przypadkowych, niewinnych osób. To coś złego, nie możemy tego robić, lecz tym razem nie ma innego wyjścia. Oddychamy głęboko, by się uspokoić. To nieuniknione. Powiemy jej, że jest nam przykro, i zabijemy ją szybko, bezboleśnie. Musimy to zrobić, to niestety absolutnie konieczne.

Podejmujemy decyzję, że ją zabijemy, a potem spoglądamy ostrożnie na dom, sprawdzając, czy wszystko jest w porządku. Jedna minuta, później dwie, po prostu stoimy, patrząc na ulicę i niewielkie podwórko. Czekamy na najmniejszy znak, że ktoś nas obserwuje, lecz niczego nie zauważamy. Jesteśmy sami w świecie mrocznych pragnień, które wkrótce zmienią się w upojenie, aż wreszcie nadejdzie szczęśliwy finał i ta piękna noc się zakończy.

Trzy minuty, pięć – nie ma oznak niebezpieczeństwa i nie możemy dłużej czekać. Jeszcze raz oddychamy chłodnym powietrzem, by się uspokoić, a potem idziemy wzdłuż żywopłotu w stronę ogrodzenia. Szybki, cichy skok na drugą stronę, chwila bez ruchu, by uzyskać absolutną pewność, że nikt nas nie zauważył, a potem skradamy się wzdłuż bocznej ściany domu. Nikt nas nie obserwuje. W pobliżu są dwa niewielkie okna, pierwsze wysoko na ścianie, wykonane z matowego szkła – łazienka. Drugie,

niewielkie, jest uchylone na piętnaście centymetrów; zatrzymujemy się obok niego, by zajrzeć do środka.

W oknie widać przyćmione światło w jednym z pomieszczeń wewnątrz domu. Żadnego śladu ruchu ani obecności żywej osoby. Otwieramy torbę, wyjmujemy rękawiczki i wkładamy je. Jesteśmy gotowi, mijamy okno i wkraczamy na podwórko.

Z tyłu widać płot, koło którego rosną młode bambusy. Łodygi są cienkie, lecz mają ponad trzy metry wysokości, więc całkowicie zasłaniają widok. Oddychamy z ulgą. Na tyłach domu znajduje się niewielkie ceglane patio ze szklanymi rozsuwanymi drzwiami. Między cegłami rośnie wysoka trawa, a na skraju stoi zardzewiały, okrągły grill; jest przechylony i nie ma jednego kółka. Znów się zatrzymujemy i zaglądamy przez szklane drzwi. W środku nic się nie porusza i czujemy pierwsze wątpliwości. Czy ktoś jest w domu? Czy przyjechaliśmy na próżno?

Powoli, ostrożnie wchodzimy na ceglane patio i zbliżamy się do szklanych drzwi. Czekamy, patrzymy, słuchamy i węszymy – lecz niczego nie zauważamy.

Kładziemy dłoń na metalowej framudze drzwi i pchamy ją ostrożnie, stopniowo zwiększając nacisk. Drzwi się otwierają najpierw na trzy centymetry, później dwanaście i sześćdziesiąt – trwa to pół minuty, bo chcemy się upewnić, że w domu nie rozlegnie się żaden dźwięk i nikt się nie pojawi. Teraz są uchylone na dziewięćdziesiąt centymetrów; czekamy jeszcze przez chwilę i gdy niczego nie słyszymy, wślizgujemy się do środka i zamykamy je za sobą.

Jesteśmy w kuchni; zardzewiała lodówka w rogu, stara kuchenka, popękana lada Formica z szafką, poplamiony, brudny zlew z ciekącym kranem. Pomieszczenie nie jest oświetlone, ale przez znajdujące się na końcu drzwi wpada światło. Zaczynamy czuć niepokój i wiemy, że coś jest

w pomieszczeniu, w którym pali się lampa. Skupiamy uwagę na nylonowej pętli w naszym ręku, idziemy powoli w kierunku światła pełni oczekiwania i ogarnia nas radość, gdy myślimy, co się za chwilę stanie. Podchodzimy cicho do progu i zaglądamy ostrożnie do sąsiedniego pomieszczenia, patrząc na to, co na nas czeka w niewielkim kręgu światła...

Nagle czas się zatrzymuje.

Nie oddychamy, nie myślimy, nie poruszamy się. Nie wierzymy własnym oczom.

To niemożliwe. Po prostu niemożliwe. Wykluczone, nie tutaj, nie teraz – nie widzimy tego, nie możemy tego widzieć, to jakaś pomyłka, tego nie ma w scenariuszu...

Ale to prawda. To istnieje, nie zmienia się i jest tym, czym jest.

Widzimy stół oświetlony nagą żarówką wiszącą na drucie. Stary, niczym niewyróżniający się metalowy stół z popękany białym blatem, kupiony w komisie z używanymi meblami. Leżą na nim kawałki czegoś, co niegdyś było istotą ludzką. Ciało pocięto, rozczłonkowano i starannie ułożono w stosy. Wszystko wygląda idealnie, dokładnie tak, jak powinno wyglądać. Jest w tym coś nierealnego, a jednocześnie znajomego – wiem, że to niemożliwe, lecz jednak rzeczywiste i w jakiś sposób przyjemne.

Widzimy ciało przygotowane do usunięcia po długiej, wspaniałej sesji z nożem. Widok jest znajomy i przyjemny z najprostszego z możliwych powodów – tnę i układam ludzkie ciała dokładnie w taki sam sposób. Ja tego nie zrobiłem, a nikt inny na świecie nie posługuje się taką samą techniką, nawet mój brat Brian. Mimo to szczątki ludzkie leżące przede mną są rzeczywiste.

Widok jest tak nierealny i koszmarnie perfekcyjny, tak podobny do tego, co zamierzałem zrobić, że przekraczam próg i podchodzę bliżej, jakby przyciągał mnie gigantyczny magnes. Idę, wstrzymując oddech, i robię

krok w stronę tego, co nie może istnieć, choć przecież istnieje, jeden krok, dwa kroki...

Po drugiej stronie stołu coś się porusza w mroku. Natychmiast wyciągam nóż i skaczę w stronę przeciwnika...

On także skacze w moją stronę z nożem w ręku.

Kulę się, nieruchomieję i unoszę ostrze...

On również się kuli, nieruchomieje i unosi ostrze.

Wpadam w panikę, szczerzę zęby, mrugam zdezorientowany i widzę, że przeciwnik także mruga...

Prostuję się powoli, unoszę oczy, a on robi dokładnie to samo.

Nie może zrobić nic innego...

To moje odbicie w dużym lustrze wielkości człowieka. Stoję i patrzę na samego siebie, stoję i patrzę na samego siebie...

Zastygam w bezruchu, nie mogąc zebrać myśli. Wpatruję się w obraz w lustrze – to nie może być przypadek, podobnie jak nie jest przypadkiem idealnie ułożone ciało na stole. Lustro umieszczono w tym miejscu, bym zobaczył swoje własne odbicie. Stoję, patrząc na siebie nad kawałkami ciała, które tylko ja mogłem ułożyć w taki sposób. Jestem prawie pewien, że to nie moje dzieło, ale rozczłonkowane zwłoki naprawdę istnieją. Nie wiem, co to znaczy.

Znalazłem się w krainie niemożliwości i patrzę na to, co ktoś przygotował specjalnie dla mnie – chciał, bym to odnalazł i zareagował tak, jak zareagowałem, czyli gapił się bezmyślnie, nie wierząc własnym oczom.

W końcu w moim mózgu pojawia się myśl, która krzyczy tak głośno, że ją słyszę. Mrugam, niepewnie wciągam powietrze i pozwalam jej przemówić.

Kto to zrobił?

Ta dobry początek, by odzyskać zdolność logicznego rozumowania. Tylko jedna osoba zna moje techniki na tyle dobrze, by stworzyć taki obraz – mój brat Brian. Zastanawiam się przez chwilę, czy chce mnie w ten sposób zaprosić do wspólnej zabawy. Czy nie jest to po prostu zachęta?

Od razu rozumiem, że to niemożliwe. Brian prosiłby, namawiał, pochlebiał – lecz nigdy nie zrobiłby czegoś takiego. A poza Brianem nie ma nikogo na świecie, kto widział moje dzieła i żyje...

Naturalnie z wyjątkiem Świadka. Nieznanego Cienia, który widział mnie z Valentinem i dzięki swojemu blogowi znalazł się na pierwszym miejscu mojej listy. Dlatego przybyłem tutaj, by zmienić go w coś bardzo podobnego do tego, co widzę. Chociaż nie ma to sensu, musiał to zrobić właśnie Świadek. Ułożył zwłoki w sposób charakterystyczny dla mnie, ustawił lustro naprzeciwko drzwi. Nie istniało inne wytłumaczenie, lecz prowadziło do bardzo ważnego pytania.

Dlaczego?

Nie znam odpowiedzi. Wiem, że to niemożliwe, a jednak równie rzeczywiste jak nóż w moim ręku. Robię kolejny krok w stronę ciała, jakbym miał nadzieję, że dzięki temu zniknie – po drugiej stronie stołu zbliża się moje odbicie. Staję i patrzę na siebie.

Oto ja, Dexter. Unoszę rękę do twarzy, lecz trzymam nóż i dłoń zastyga w połowie drogi. Spoglądam na siebie tępym wzrokiem. Martwa natura z nożem i durniem. Moje dwa oblicza – Dexter Demon i Dexter Dureń. Własna twarz wydaje mi się obca, jakby należała do kogoś innego, ale to moja twarz, maska noszona przez te wszystkie lata. Patrzę przez dłuższą chwilę, wstrząśnięty widokiem swojego prawdziwego oblicza, jakbym liczył na to, że potrafię sprawić, iż dwa fikcyjne obrazy zleją się w jeden rzeczywisty.

Oczywiście to wykluczone. Opuszczam dłoń trzymającą nóż i spoglądam na stół, głupio wierząc, że poćwiartowane ciało zniknie. Ale ciągle tam jest, realne, niemożliwe. Jeszcze jeden mechaniczny krok naprzód i stoję nad nim, patrząc na to, co chciałem zrobić, a co zostało zrobione za mnie. Spoglądam na poszatki i przez jeden idiotyczny moment dostrzegam promyk nadziei. Czy to możliwe, że ta kupa mięsa to mój Cień? Czy ktoś mnie wyręczył i go zabił?

Szukam jakiejś wskazówki i z bliskiej odległości widzę drobne błędy, których nigdy bym nie popełnił. A potem zauważam pierś i rozumiem, że to kobieta, a Cień jest mężczyzną. Promyk nadziei gaśnie. To nie Cień, tylko ktoś inny, prawdopodobnie jego była żona. Podchodzę bliżej. Z tej odległości widzę, że nie jest to praca dobrej jakości; lewy nadgarstek nosi ślady pośpiechu, jest raczej odrąbany niż odcięty w perfekcyjnym stylu Dextera. Dotykam tego miejsca czubkiem noża, by sprawdzić, czy to prawda, i nagle zastygam w bezruchu.

W ciągu ostatniej minuty słyszę znajomy dźwięk, który staje się coraz głośniejszy. Nie mogę go dłużej ignorować, bo znam go aż za dobrze i nie chcę go teraz słyszeć.

To dźwięk syreny, coraz bliższy.

Znów ogarnia mnie stupor. Zbliżająca się syrena. Samochód policyjny. Jadący do tego brudnego, małego domu. Gdzie stoję nad poćwiartowanymi zwłokami. Z nożem w ręku.

I w końcu na murach Zamku Dextera rozlega się przeraźliwe wycie syreny alarmowej. Ogarnia nas panika i odwracamy się gwałtownie od absurdalnych kawałków ciała leżących na stole, w mgnieniu oka wybiegamy przez rozsuwane drzwi i wypadamy w mrok. Natychmiast rzucamy się w stronę ogrodzenia na tyłach, przedzieramy się przez bambusy, potykamy się, padamy na twarz, a następnie przeskakujemy na

podwórko sąsiedniego domu. Przebiegamy przez nie sprintem i wypadamy na ulicę, gdy tymczasem w domu zapala się światło.

Oddaliliśmy się, jesteśmy bezpieczni, idziemy ciemną ulicą porośniętą drzewami, w naszym mózgu rozlegają się paniczne krzyki, a my zmuszamy nogi, by służyły chłodnego, uspokajającego głosu, który mówi: Zwolnij. Zachowuj się normalnie. Udało się nam uciec.

Zwalniamy, próbujemy się zachowywać normalnie, lecz na sąsiedniej ulicy rozlega się wycie syreny, a potem nagle cichnie, co oznacza, że policjanci są na miejscu. Dlatego pomimo mądrych rad wewnętrznego głosu idziemy trochę szybciej, niż powinniśmy, aż wreszcie skręcamy za róg i docieramy do naszego samochodu, który czeka pod figowcem.

Siadamy z ulgą za kierownicą, zapalamy silnik i powoli, ostrożnie oddalamy się od małego, zrujnowanego domu grozy, by wrócić do spokojnego, normalnego życia. Jednak nie jedziemy prosto do domu; najpierw musimy się zastanowić, odczekać, aż ręce przestaną drżeć, a usta opuści okropna suchość. Napięcie stopniowo opada i znów przekształcamy się w istotę podobną do człowieka, która może przebywać w towarzystwie autentycznych ludzi. Jedziemy na południe autostradą U.S. 1 aż do Old Card Sound Road, próbując analizować znaczenie surrealistycznej katastrofy, jaka się wydarzyła tego wieczoru – jednak nasze próby kończą się niepowodzeniem. Powoli opuszcza nas mdląca, wilgotna panika, ale dalej nic nie rozumiemy. W czasie całej jazdy do domu w moim odrętwiałym, zdruzgotanym mózgu rozlega się w kółko jedno pytanie, odbijając się echem w mrocznych, kamiennych komnatach Pałacu Dextera. Nie potrafię na nie odpowiedzieć i powtarzam je w nieskończoność. Kiedy w końcu parkuję samochód przed domem, moje wargi się poruszają i wypowiadam jedno głupie zdanie:

– Co się przed chwilą stało?

16

Nie spałem dobrze tej nocy, co nie było wielkim zaskoczeniem. Nieustannie myślałem o ciele znalezionym w niewielkim domu, podobnym do prawdziwych ofiar Dextera. Stałem nad nim, gapiąc się tępo w swoje odbicie, a syreny rozlegały się coraz bliżej i bliżej...

To był podstęp, po mistrzowsku zaplanowana pułapka, w którą o mało nie wpadłem. Przynętę wybrano idealnie – chwyciłem ją bez wahania, a potem natrafiłem na zwłoki pocięte w sposób, jaki sam stosowałem – widziałem wiele takich ciał i zawsze przynosiły mi zadowolenie, toteż wydawało się niesprawiedliwe, że właśnie to odbierze mi sen, wzbudzi przerażenie, wypełni moje myśli prawie ludzką trwogą. Czy to tak się czuje człowiek posiadający sumienie? Przewraca się przez całą noc w łóżku, myśląc, że zrobił coś bardzo złego i że jego życie lada chwila się rozpadnie? Bardzo nie podobało mi się to uczucie i jeszcze mniej podobała mi się myśl, że Cień zastawił na mnie tak doskonałą pułapkę i prawie mnie dopadł.

Co powinienem zrobić? W jaki sposób odnaleźć i wyeliminować źródło tego straszliwego zagrożenia? Identyfikacja hondy była moim najlepszym posunięciem, wykonanym perfekcyjnie, a jednak przekonałem się, że Cień jest trzy kroki przede mną i spogląda za siebie z szyderczym uśmiechem. Co mi zostało prócz oczekiwania na jego następny ruch? Musiał go wykonać – ani przez chwilę w to nie wątpiłem. Nie miałem pojęcia, co to

będzie ani gdzie i kiedy nastąpi; zdawałem sobie tylko sprawę, że skoro pierwsza próba była bardzo dobra, druga okaże się jeszcze lepsza.

Przez całą noc przewracałem się w łóżku, martwiąc się i zgrzytając zębami, targany bezsilnym niepokojem, aż w końcu około piątej trzydzieści zapadłem w ciężki, kamienny sen, z którego wyrwał mnie o siódmej budzik. Leżałem przez kilka minut, zeszywniały i odrętwiały; próbowałem sobie wmówić, że wszystko było tylko koszmarnym snem, lecz poniosłem klęskę. To się naprawdę stało, wydarzyło się w rzeczywistości i nie miałem zielonego pojęcia, co robić dalej.

Wziąłem prysznic, ubrałem się i powlokłem do kuchni, mając nadzieję, że po śniadaniu poczuję się lepiej. Rita świetnie się spisała. Na stole stał boczek i naleśniki z borówkami. Usiadłem ciężko na krześle, a Rita postawiła przede mną parujący dzbanek z kawą, po czym znieruchomiała, spoglądając na mnie z lekką dezaprobatą. Uniosłem na nią oczy.

– Wczoraj wyszedłeś z domu późnym wieczorem – rzekła ponuro i zacząłem się zastanawiać, dlaczego jest w takim złym humorze.

– Tak, przepraszam – odpowiedziałem. – Musiałem... eee... przeprowadzić kilka testów w laboratorium.

– Ach, testów. W laboratorium... – odezwała się z przekąsem. W tej samej chwili do kuchni weszła Astor i usiadła na krześle.

– Dlaczego musimy ciągle jeść naleśniki? – spytała.

– Bo ci szkodzą i chcę, żebyś cierpiała! – warknęła Rita i odwróciła się w stronę kuchenki. Astor obserwowała ją z niemal komicznym wyrazem zdumienia na twarzy, które natychmiast znikło, gdy spostrzegła, że na nią patrzę.

– Borówki szkodzą mi na żołądek – mruknęła zrzędliwie. Do kuchni wszedł Cody, gdy wtem Lily Anne rzuciła łyżeczką i trafiła Astor w tył głowy.

– Ha, ha, ha! – roześmiał się Cody, po czym znikły wszelkie pozory spokoju i godnego zachowania. Astor zerwała się z krzesła, strącając talerz na podłogę, gdzie rozbił się na trzy duże kawałki. Zignorowała rozrzucone jedzenie i zaczęła krzyczeć, użalając się nad swoim losem. Rita posprzątała, dała jej drugi talerz i wygłosiła kilka karcących uwag. Lily Anne się rozplakała, a Cody siedział w milczeniu i krzywo się uśmiechał, po czym podkradł Astor kawałek boczku, myśląc, że nikt nie widzi.

Wyjąłem Lily Anne z wysokiego krzeselka, częściowo, by ją uspokoić, a częściowo chronić przed Astor. Posadziłem ją sobie na kolanach i popijałem kawę, trzymając kubek wolną ręką. Minęło kilka minut, nim Astor przestała grozić bratu i siostrze, po czym awantura się skończyła i ranek potoczył się względnie normalnie. Zjadłem naleśniki i wypłem drugi kubek kawy; nie przywróciło mi to niestety zdolności myślenia, za to przynajmniej mogłem już prowadzić samochód. Nie miałem innego planu niż wykonywanie codziennych, rutynowych czynności, toteż wstawiłem kubek do zlewu i pojechałem do pracy.

W czasie jazdy trochę się odprężyłem. Nie dlatego, że wpadłem na jakiś pomysł lub zdałem sobie sprawę, że sytuacja nie jest taka zła, na jaką wygląda – była doprawdy koszmarna. Ale, jak zawsze, uspokoił mnie ruch uliczny Miami. Kierowcy zachowywali się tak złośliwie i wulgarnie, że wywoływało to rozbawienie, a poza tym lubię rutynowe czynności. Kiedy przyjechałem do pracy i usiadłem za biurkiem, przestałem się garbić i zaciskać zęby. Nie miało to żadnego sensu, ale tak właśnie zareagowałem. Wydaje się, że podświadomie traktowałem swój gabinet jako bezpieczną kryjówkę. Znajdowałem się w komendzie policji, otoczony przez setki uzbrojonych funkcjonariuszy, którzy złożyli przysięgę, że będą strzec prawa i porządku. Ale tego ranka, gdy szczególnie zależało mi na tym, by moje miejsce pracy stało się bezpiecznym azylem, zmieniło się ono w piekło.

Powinienem był to przewidzieć. Dobrze wiedziałem, że moja praca polega na badaniu śladów na miejscu zbrodni, i zdawałem sobie sprawę, że zeszłej nocy popełniono morderstwo. Był to prosty związek przyczynowo-skutkowy, toteż nie powinienem przeżyć wstrząsu, gdy znalazłem się z powrotem w brudnym, małym pokoju, z którego tak niedawno uciekłem, i gdy patrzyłem na stosy kawałków ciała ułożone w stylu Dextera.

Mimo to przeżyłem nieprzyjemny szok i w miarę upływu czasu, gdy zajmowaliśmy się normalną pracą kryminalistyczną, sytuacja stale się pogarszała. Każda standardowa czynność wywoływała we mnie panikę. Angel Batista zaczął szukać odcisków palców i przez kilka minut usiłowałem sobie przypomnieć, czy przez cały czas nosiłem rękawiczki. Kiedy w końcu uznałem, że na pewno tak, Camilla Figg wyszła na podwórze z aparatem fotograficznym i zaczęła robić zdjęcia odcisków stóp – moich stóp! Spędziłem następne koszmarne pięć minut, powtarzając sobie w duchu, że dziś rano włożyłem do pracy inne buty i że po powrocie do domu mogę się pozbyć tych noszonych zeszłej nocy. A potem, jakby na dowód, że kompletnie skretyniałem, zacząłem się zastanawiać, czy stać mnie na wyrzucenie pary zupełnie dobrych butów.

Skończyłem swoją pracę dość szybko – na stole, gdzie leżały zwłoki, znalazłem zaledwie kilka kropli krwi, a poza tym niewielkie ślady na podłodze. Spryskałem kilka podejrzanych miejsc płynem Bluestar, by stworzyć wrażenie, że badam wszystko starannie, choć w tym stanie ducha prawdopodobnie zauważyłbym dopiero ogromną kałużę. Cała moja uwaga skupiała się na innych osobach pracujących na miejscu zbrodni. Każda ich rutynowa czynność wywoływała we mnie przyпіływy paniki; straszliwie się pociłem i koszula lepiła mi się do pleców.

Nigdy wcześniej nie miałem takiego powodu do lęku, więc przez cały czas wszystko wydawało mi się nieco nierealne – zaledwie kilka godzin

wcześniej przebywałem w tym samym obskurnym pokoju i przeżyłem jeden z największych wstrząsów w swoim nikczemnym życiu. Teraz znalazłem się tu znowu jako członek ekipy dochodzeniowej, która starała się znaleźć ślady mojej własnej obecności, i obserwowałem jej działania z lękiem, że to się uda. Był to niemal surrealistyczny konflikt między Mrocznym Dexterem a Dexterem na Służbie i po raz pierwszy w życiu nie byłem pewien, czy potrafię oddzielić te role.

W pewnej chwili ujrzałem siebie w lustrze prawie w tej samej pozycji jak poprzedniej nocy – tym razem trzymałem pojemnik płynu Bluestar zamiast noża – i dwie niepowiązane rzeczywistości weszły ze sobą w konflikt. Na kilka minut przestałem słyszeć odgłosy krzątania ekipy kryminalistycznej i zostałem sam ze sobą. Nie było to pocieszające – patrzyłem na swoje odbicie, usiłując dostrzec sens w czymś, co wydawało się zupełnie sensu pozbawione.

Kim jestem? Co tutaj robię? I, co najważniejsze, dlaczego nie uciekam, by się ratować? W mojej głowie rozbrzmiewały idiotyczne, absurdalne pytania, powtarzane w kółko; w końcu te zwyczajne słowa zaczęły brzmieć dziwnie, a moja twarz wydała mi się obca.

Prawdopodobnie stałbym tak jeszcze bardzo długo, gdyby Vince nie wyrwał mnie ze snu na jawie.

– Ładnie wyglądasz, bardzo męsko – rzekł. – A teraz weź się do roboty.

Zobaczyłem w lustrze odbicie jego twarzy, która nagle pojawiła się obok mojej, i usłyszałem otaczający mnie gwar. Znowu zdałem sobie sprawę, gdzie jestem, choć nie dotarły do mnie słowa Masuoki. Odwróciłem głowę i spojrzałem na niego.

– Przepraszam, co mówisz? – spytałem.

– Patrzysz na siebie w lustrze od pięciu minut – rzekł z uśmiechem.

– Eee... zamyśliłem się – odparłem.

Pokręcił głową i zrobił namaszczonej minę.

– Umysł powinien być zawsze jasny i czysty, młody Luke’u Skywalkerze – stwierdził i przeszedł na drugą stronę pokoju. Otrząsnąłem się z zamyślenia i zacząłem udawać, że pracuję. Przez resztę poranka tkwiłem w obłoku adrenaliny i alienacji; miałem wrażenie, że lada chwila rozlecę się w szwach.

Nie rozpadłem się jednak ani nie zapaliłem. Wytrzymałem. Doskonale wiem, jak delikatne jest ludzkie ciało, ale Dexter musi być wykonany z bardzo odpornego materiału, ponieważ przeżył ten straszliwy poranek, nie doznając wylewu ani ataku serca. Nie wybiegłem na ulicę, wyznając swoje zbrodnie i błagając o litość. Mimo starannej, pełnej poświęcenia pracy całej ekipy kryminalistycznej nie udało się odnaleźć najmniejszego dowodu, że byłem tam poprzedniej nocy. Dexter przeżył, mimo wszelkich przeciwności, i udało mu się wrócić cało do biura.

Usiadłem w fotelu, czując autentyczną ulgę, i przez pewien czas starałem się normalnie oddychać, co trochę pomogło. Nie świadczy to dobrze o mojej inteligencji, lecz siedząc przy biurku w komendzie, w dalszym ciągu czułem się bezpiecznie, choć pojawiało się coraz więcej dowodów, że to tylko złudzenie. Zamknąłem oczy i spróbowałem się odprężyć, myśleć spokojnie i racjonalnie. W porządku – znalazłem się w sytuacji, gdy musiałem podjąć próbę schwytania samego siebie. O mało mnie nie aresztowano, na szczęście udało mi się uciec. Powrót do koszmarnego miejsca zbrodni w roli Normalnego Dextera nie był zabawny, ale jakoś wytrzymałem; nie wydawało się prawdopodobne, by ktokolwiek znalazł dowody łączące mnie ze zwłokami leżącymi na stole.

Zacząłem sobie wmawiać, że sytuacja nie jest taka zła, na jaką wygląda, i dzięki oślemu uporowi prawie się przekonałem, że tak właśnie jest. A potem popełniłem poważny błąd – odetchnąłem głęboko, uśmiechnąłem

się fałszywie i zabrałem do pracy, którą rozpocząłem od sprawdzenia poczty.

Po chwili mój starannie skonstruowany sztuczny spokój rozpadł się na milion drobnych kawałków, jakby nigdy wcześniej nie istniał. Zobaczyłem anonimowy e-mail, którego tematem było jedno słowo:

Blżej.

Nie wiedziałem, co to znaczy, lecz natychmiast odgadłem, kto napisał e-mail i wysłał go do mnie. Chwila, gdy wpatrywałem się w to słowo, przedłużała się w nieskończoność. Poczulem ogarniającą mnie panikę i miałem wrażenie, że za chwilę zacznę krzyczeć...

Odetchnąłem głęboko i próbowałem walczyć z duszącym mnie strachem, jednak nie zdołałem go pokonać i drżącą ręką otworzyłem e-mail kliknięciem myszy. Kiedy zacząłem czytać, w moim mózgu rozległ się dziki syk i świat zawirował.

Tak jak poprzednio e-mail zaczynał się od nagłówka:

Blog Cienia.

Ale tym razem była jedna zaskakująca różnica. Cień tytułu, który poprzednio miał czerwony kolor, zmienił się w ogromną kałużę krwi. Od nagłówka do tematu e-maila, słowa „Blżej”, biegły krwawe ślady. Z chorym uczuciem trwogi spojrzałem na tekst i zacząłem czytać.

Dużo się uczę o sobie – i nawet więcej o tobie. Na przykład nie wiedziałem, że tak szybko biegasz.

A musisz szybko biegać, bo w jakiś sposób udało ci się uciec. Kiedy pędziłeś z podwiniętym ogonem przez ciemne miasto, na pewno wyglądałeś bardzo zabawnie. Szkoda, że nie miałem kamery.

Dowiedziałem się o tobie także wielu innych rzeczy. Obserwowałem cię w chwilach, gdy nie miałeś pojęcia, że ktoś na ciebie patrzy – z torbami na zakupy na siedzeniu

samochoodu, gdy używałeś sprayu, gdy usiłowałeś udawać, że jesteś taki jak inni ludzie. Świetnie udajesz, umiem to rozpoznawać. Udaję przez całe życie. A co mam na myśli, mówiąc, że dowiedziałem się czegoś o sobie? Domyśl się, co mogę zrobić.

Wiem, że czytasz mojego bloga. Potrafię łatwo sprawdzić, kto wchodzi na moją stronę. Jestem dobry w obsłudze komputera. Przekonasz się o tym. Czytasz mojego bloga, więc wiesz, że jestem rozwiedziony i że mi się to nie podoba. Wychowałem się w rodzinie, gdzie rozwody nie są akceptowane, a moja żona? Ona tak nie myśli, a może w ogóle nie myśli. Usiłowałem się z nią pogodzić: przekonać, że rozwód to coś złego, ale ona po prostu stawała się coraz złośliwsza. Co gorsza, zacząłem sobie zdawać sprawę, że to nie jest po prostu złośliwość, tylko lenistwo – okazała się amoralna, równie zła, jakby kogoś zamordowała. Jej przypadek jest nieuleczalny, to psychopatka wysysająca życie z innych ludzi, dająca im tylko ból i cierpienie. Nie może się zmienić, więc trzeba ją powstrzymać.

Niektórzy ludzie po prostu nie mają poczucia dobra i zła. Tacy się urodzili. Jak ty, na przykład, albo moja była żona. Kiedy wrzeszczała na mnie, żebym sobie poszedł, nigdy więcej nie wracał i przesyłał alimenty pocztą – zauważyłem ciebie stojącego na podwórku... Hej, ja też szybko biegam. Nie widziałeś mnie; może mignęły ci moje plecy. Kiedy wszedłem z powrotem do środka i popatrzyłem na nią, stojącą z otwartymi ustami, pomyślałem o tobie tam na zewnątrz. Wiedziałem, że zamierzasz wrócić, by mnie załatwić, i nagle poszczególne elementy układanki połączyły się w całość, zrozumiałem, kim jestem i co mam zrobić. Dawniej uciekłbym na twój widok, ale teraz rozumiem, że jest w tym coś doskonałego. Wszystko

sprowadza się tak naprawdę do wzięcia odpowiedzialności, i po raz pierwszy pojąłem, o co chodzi i co powinienem zrobić, czyli... Pozbyć się ciebie i jej jednocześnie. Zniszczyć za jednym zamachem dwoje złych ludzi. Wszystko układa się w całość. Oto kim jestem. Moje zadanie to rozprawić się z tymi, którzy łamią zasady, którzy posunęli się za daleko i nie mogą się wycofać. Jak ty, moja była żona. Nikt nie wie kto jeszcze? Jest mnóstwo takich ludzi.

Widuję ich codziennie.

W pewien sposób staję się do ciebie podobny, prawda? Ogromna różnica polega na tym, że moim celem jest powstrzymanie takich jak ty. Działam w imię Dobra. Dziękuję, że stałeś się doskonałym wzorcem. Może nawet powinienem ci podziękować za moją nową dziewczynę, choć pewnie szybko się rozstaniemy.

Mam nadzieję, że nie uważasz się za bezpiecznego. To nie koniec. Wiem, kim jesteś i czym jesteś, a ty nie wiesz o mnie absolutnie nic. Zastanów się nad tym.

Uczę się od ciebie.

Uczę się robić dokładnie to, co ty, i zamierzam zrobić to tobie. Nigdy się nie dowiesz kiedy i gdzie. Wiesz tylko, że istnieję i jestem coraz bliżej.

Słyszysz coś za plecami?

A kuku! To ja...

Jestem bliżej, niż ci się wydaje...

Nie wiem, jak długo siedziałem bez ruchu, nie myśląc i nie oddychając. Prawdopodobnie nie tak długo, jak sądziłem, ponieważ budynek, w którym się znajdowałem, nie obrócił się w proch, a słońce nie wystygło i nie spadło z nieba. Mimo to upłynęło bardzo dużo czasu, nim w chłodnych, pustych

kazamatach mojego umysłu pojawiły się pierwsze myśli. Odetchnąłem głęboko i zacząłem się zastanawiać.

Bliżej...?

Po raz drugi przeczytałem straszliwy tekst, rozpaczliwie szukając wskazówki, że to kiepski żart – szukając przeoczonego słowa lub wyrażenia, które świadczyłyby o tym, że coś źle zrozumiałem. Niezależnie od tego, ile razy czytałem napuszone zdania, nic się nie zmieniało. Nie znajdowałem ukrytych znaczeń ani niewidzialnego numeru telefonu, ani linka do Facebooka. Ciągłe te same zwariowane, denerwujące zwroty, powtarzane w kółko, z których wynikał jeden złowrogi wniosek.

Był coraz bliżej i uważał się za takiego samego jak ja. Doskonale wiedziałem, co to znaczy, co spróbuje zrobić. Skradał się w moją stronę pod wiatr, ostrzył zęby, wtapiał się w scenerię mojego życia. W każdej chwili – teraz, jutro, w przyszłym tygodniu – mógł nagle zaatakować i nie istniał absolutnie żaden sposób, by temu przeszkodzić. Walczyłem z cieniem w ciemnym pokoju. Ale ten cień miał rzeczywiste ręce trzymające prawdziwą broń. Widział w mroku, czego ja nie potrafiłem, zbliżał się, z przodu lub z tyłu, z góry lub z dołu. Wiedziałem tylko, że chce ze mną zrobić to, co ja robię innym, i że jest coraz bliżej.

Bliżej...

17

– Była rozwiedziona, mieszkała samotnie i nazywała się Melissa... Zaczekajcie chwilę, do cholery! – rzucił inspektor Laredo. Otworzył teczkę i dotknął grubym palcem jednej z kartek. – Tak naprawdę Alissa, na A. Alissa Elan. – Zmarszczył brwi. – Zabawne nazwisko – dodał.

Wiedziałem o tym od samego początku, gdyż poprzedniego dnia zanotowałem je na żółtej samoprzylepnej karteczce, lecz oficjalnie nie powinienem go znać, dopóki Laredo nas nie poinformuje, toteż milczałem. Z tego, co o nim słyszałem, wynikało, że nie lubi, gdy ktoś go poprawia, zwłaszcza jajogłowi technicy z wydziału kryminologii. Kierował śledztwem w sprawie poćwiartowanych zwłok kobiety znalezionej w obskurnym małym domu i prowadził odprawę zorganizowaną dwadzieścia cztery godziny po wszczęciu śledztwa – takie odprawy były zasadą w przypadku zabójstw. Uczestniczyłem w niej jako członek ekipy dochodzeniowej.

Prawdopodobnie i tak znalazłbym powód, by przyjść na odprawę, ponieważ bardzo chciałem się dowiedzieć, kto mógł popełnić tę okropną zbrodnię. Chciałem odnaleźć zabójcę Alissy i postawić go przed obliczem sprawiedliwości. Zależało mi na tym bardziej niż wszystkim innym funkcjonariuszom policji w Miami, bardziej niż całej policji na świecie. Ale nie chciałem, by zajęły się nim powolne i głupie sądy karne stanu Floryda. Pragnąłem sam go wytropić i zaprosić do Świątyni Mrocznej i Ostatecznej

Sprawiedliwości Dextera. Wierciłem się niecierpliwie na krześle, gdy inspektor Laredo przedstawiał aktualny stan śledztwa, które utknęło w martwym punkcie.

Na miejscu zbrodni nie odnaleziono żadnych śladów z wyjątkiem kilku odcisków butów sportowych marki New Balance o pospolitym rozmiarze i fasonie. Nie wykryto odcisków palców, włókien ani czegokolwiek, co mogłoby nas doprowadzić do sprawcy – moje stare buty spoczywały na dnie morza i Laredo musiałby wynająć bardzo dobrego pletwonurka, by je wyłowić.

Pokrótcie opisałem negatywne wyniki poszukiwań śladów krwi i niecierpliwie czekałem na dalszy ciąg.

– Była rozwiedziona, prawda? – spytał ktoś. Laredo skinął głową.

– Kazałem jednemu z funkcjonariuszy zebrać informacje o byłym mężu, facecie o nazwisku Bernard Elan – odpowiedział. Wyprostowałem się i nadstawiłem uszu, Laredo jednak wzruszył ramionami i dodał: –Niestety, zmarł dwa lata temu.

Mógł powiedzieć coś jeszcze, lecz nie słyszałem dalszego ciągu, bo wstrząsnęła mną informacja, że mąż Alissy nie żyje od dwóch lat. Z całego serca żałowałem, że to nieprawda; doskonale wiedziałem, że nie jest martwy i że chce mnie zabić. Jednak Laredo był dobrym detektywem i musiał mieć bardzo solidne podstawy, by uważać go za zmarłego.

Przestałem słuchać banalnych uwag wygłaszanych przez innych członków ekipy dochodzeniowej i zacząłem się zastanawiać, co to znaczy. Przyszły mi do głowy dwie hipotezy. Albo Świadek nie był mężem Alissy, albo zdołał upozorować własną śmierć.

Nie istniał racjonalny powód, by tworzyć fikcyjny życiorys, prowadzić fałszywy blog poświęcony kobiecie o imieniu zaczynającym się na A i rozwodowi. Było oczywiste, że Cień widział mnie na podwórku

swojego domu, gdy oglądałem hondę Alissy – słyszałem jego gniewny głos we wnętrzu domu i widziałem jego plecy, gdy zatrzasnął frontowe drzwi. Musiałem przyjąć, że naprawdę jest mężem Alissy i że naprawdę ją zabił.

To znaczy, że udało mu się wprowadzić policjantów w błąd. Przekonał ich, że nie żyje.

Jeśli ktoś chce sfingować własną śmierć, najtrudniej sfalszować fizyczny materiał dowodowy. Trzeba opracować realistyczny scenariusz, przygotować wiarygodne miejsce zbrodni, dostarczyć autentyczne zwłoki. Bardzo trudno nie popełnić przy tym żadnych błędów i tylko niewielu ludziom się to udaje.

Ale:

Po zakończeniu pierwszego etapu, gdy odbędzie się pogrzeb, wszystko staje się znacznie prostsze. Cofając swoją śmierć o dwa lata, Bernard sprowadził wszystko do kwestii odpowiednich dokumentów. W dwudziestym pierwszym wieku oznacza to komputery. Istniało kilka głównych baz danych, gdzie należało się włamać i wprowadzić fałszywą informację o swojej śmierci – niektóre były bardzo dobrze zabezpieczone, choć wolałbym nie tłumaczyć, skąd to wiem. Ale ktoś potrafiący obejść skomplikowane zabezpieczenia mógł wprowadzić nowe informacje i skasować dotychczasowe wpisy...

Zadanie było wykonalne, choć trudne i ryzykowne; chyba dałbym sobie z tym radę. Moja opinia o umiejętnościach komputerowych Cienia nieco wzrosła, co nie poprawiło mi humoru.

Kiedy opuściłem salę odpraw, ciągle byłem nieszczęśliwy. Przyszedłem na spotkanie z nadzieją, że dowiem się czegoś, co pozwoli mi wpaść na trop prowadzący do Świadka, a teraz nadzieja rozpadła się w gruzy. Znów nie miałem absolutnie nic. Nadzieja zawsze jest iluzją.

Mimo to czegoś się dowiedziałem, toteż natychmiast sprawdziłem w komputerze informacje na temat Berniego Elana. Większość danych starannie wykasowano, zastępując je zwrotem: „Nie żyje”. Cień wykonał bardzo dokładną pracę, niezależnie od tego, jak się teraz nazywał.

Znalazłem kilka starych artykułów o Bernardzie Elanie, który grał w baseball w drugoligowej drużynie Chiefs w Syracuse. Miał bardzo mocne uderzenie, lecz nie potrafił dobrze podkręcać piłki; nigdy nie wszedł do stałego składu zespołu i zniknął po dwóch sezonach. Było nawet zdjęcie. Fotografia, ziarnista i rozmazana, przedstawiała mężczyznę w kostiumie zawodnika, który wykonywał zamach. Twarz mężczyzny była słabo widoczna z profilu; nie dawało się go zidentyfikować. W internecie nie było innych zdjęć Berniego.

To wszystko; nie udało mi się znaleźć nic więcej. Wiedziałem teraz, że Cień gra w baseball i że dobrze sobie radzi z komputerem. Zawężało to krąg podejrzanych do kilku milionów osób.

Następne dni zlały się w jedno. Przez cały czas straszliwie się pociełem, nie tylko dlatego, że rozpoczęły się letnie upały. Byłem bliski paniki, zdenerwowany, wytrącony z równowagi. Nie mogłem się na niczym skupić; myślałem tylko o tym, że ktoś, kogo nie znam, zamierza zrobić coś, czemu nie mogę przeciwdziałać. Powinienem się mieć na baczności, być gotowy na wszystko – ale jak? Co mogło się stać? Kiedy i gdzie?

Skąd miałem wiedzieć, co robić, skoro nie potrafiłem przewidzieć, co się wydarzy za chwilę?

Musiałem być przez cały czas w pogotowiu, na jawie i we śnie. Było to wyjątkowo trudne zadanie i pochłaniało ogromne ilości energii, wzmagając prześladowającą mnie panikę. Ogarnęła mnie paranoja; miałem wrażenie, że wszędzie słyszę kroki Cienia skradającego się za mną z kijem baseballowym w ręku.

Zauważył to nawet Vince Masuoka; trudno zresztą się temu dziwić, gdyż wzdrygałem się za każdym razem, gdy odchrząkiwał.

– Stałeś się bardzo nerwowy, mój chłopcze – rzekł w końcu, spoglądając na mnie znad ekranu swojego laptopa.

– Zbyt ciężko pracuję – odpowiedziałem.

– Powinieneś się zabawić – stwierdził, kiwając głową.

– Jestem żonaty, mam troje dzieci i odpowiedzialną pracę – odparłem. – Nie mogę się zabawić.

– Posłuchaj mądrości, która przychodzi z wiekiem – zaczął, naśladując głos chińskiego detektywa Charliego Chana. – Życie jest zbyt krótkie, by od czasu do czasu nie upić się i nie rozebrać.

– Twoja rada jest dobra, mistrzu – rzuciłem. – Może spróbuję dziś wieczorem na zbiórce zuchów.

Pokiwał głową z poważnym wyrazem twarzy.

– Doskonale. Młódzież trzeba jak najwcześniej uczyć mądrości – powiedział.

Tego wieczoru rzeczywiście odbywała się zbiórka zuchów. Cody należał do drużyny od roku, choć za tym nie przepadał. Rita i ja uznaliśmy, że będzie to dla niego dobre, i mieliśmy nadzieję, że stanie się dzięki temu mniej skryty. Naturalnie wiedziałem, że jedyny sposób, by naprawdę się otworzył, to dać mu nóż i żywe zwierzę, by trochę poeksperymentował, lecz wolałem nie poruszać tego tematu w rozmowach z Ritą, więc drużyna zuchowa wydawała się najlepszym rozwiązaniem. Uważałem, że nauczy się dzięki temu zachowywać jak normalny chłopiec.

Tego wieczoru po powrocie z pracy szybko zjadłem kolację złożoną z resztek kurczaka z restauracji Pollo Tropical, podczas gdy Rita pracowała przy kuchennym stole. Następnie zaprowadziłem Cody'ego do samochodu; miał na sobie zuchowy mundurek, który wkładał co tydzień z ledwo

skrywaną nienawiścią. Uważał, że noszenie krótkich spodni jest nie tylko nieestetyczne, lecz również upokarzające. Zdołałem go przekonać, że przynależność do drużyny zuchowej to cenne doświadczenie ułatwiające udawanie normalnego człowieka i że ta część szkolenia jest równie ważna, jak sztuka pozbywania się zwłok, od roku zatem uczestniczył w zajęciach bez oznak otwartego buntu.

Pojechaliśmy do szkoły podstawowej, w której odbywały się zbiórki. Przybyliśmy na miejsce kilka minut przed czasem i siedzieliśmy w milczeniu w samochodzie. Cody lubił wchodzić do budynku punktualnie w chwili rozpoczęcia zajęć, prawdopodobnie dlatego, że kontakt z normalnymi dziećmi był dla niego ciągle bardzo niemiły. Najczęściej czekaliśmy razem w aucie, prawie nie rozmawiając. Cody nie mówił zbyt wiele, ale wypowiedane przez niego zdania złożone z dwóch lub trzech słów były zawsze ciekawe. Nie lubię banalnych sformułowań, dlatego uważam, że znaleźliśmy wspólny język. Jednak tego wieczoru zajmowałem się wypatrywaniem złowrogich postaci kryjących się w cieniu i nie zwracałem uwagi na Cody'ego.

Na szczęście nie był w gadatliwym nastroju i po prostu obserwował innych chłopców wysiadających z samochodów i wchodzących do szkoły, niekiedy z rodzicami. Naturalnie ja także bacznie ich obserwowałem.

– Steve Binder – rzekł nagle i mimo woli się wzdrygnąłem. Popatrzył na mnie z czymś w rodzaju rozbawienia i skinął głową w stronę dużego chłopca wchodzącego do budynku. Uniosłem pytająco brew, a Cody wzruszył ramionami. – Bije słabszych – wyjaśnił.

– Masz z nim kłopoty? – spytałem, po czym znów wzruszył ramionami. Ale zanim zdążył odpowiedzieć, poczułem delikatne mrowienie na karku i niepokój w głębi ciała; obróciłem się i spojrzałem do tyłu. W tej samej chwili na parking wjechało kilka aut. Nie zauważyłem niczego groźnego

ani podejrzanego, co mogłoby wywołać niepokój Mrocznego Pasażera. Po prostu kilka typowych samochodów osobowych i jeden odrapany, co najmniej piętnastoletni cadillac.

Zastanawiałem się przez chwilę, czy w jednym z aut znajduje się Cień, który próbuje się do mnie zbliżyć – ponieważ przeszył mnie elektryczny dreszcz. Choć wydało mi się to niemożliwe, uważnie obserwowałem każdy zatrzymujący się wóz. W większości były to te same samochody, które widywaliśmy co tydzień. Tylko cadillac wydawał się nieznamy. Kiedy stanął, wysiedli z niego tęgi mężczyzna i pulchny chłopiec. Zupełnie normalny widok, absolutnie typowy. Nie wyglądali dziwnie ani groźnie; spokojnie weszli do budynku. Przyglądałem im się uważnie, lecz tęgi mężczyzna na mnie nie spojrzał; położył dłoń na plecach chłopca i wprowadził go do środka.

To nie Cień, tylko normalny ojciec, który przywiózł syna na zbiórkę. Byłoby szaleństwem podejrzewać, iż Cień w jakiś sposób się dowiedział, że przyjadę tu dziś wieczorem, a potem znalazł chłopca, by się do mnie zbliżyć. Odetchnąłem głęboko i starałem się zapomnieć o głupiej myśli. Nic się tutaj nie stanie. Nie dziś wieczorem.

Odepchnąłem od siebie przecucie, które mnie na chwilę ogarnęło, po czym odwróciłem się z powrotem w stronę Cody'ego i zobaczyłem, że mi się przygląda.

– Co takiego? – spytał.

– Nic – odpowiedziałem. Prawie na pewno nie miało to żadnego znaczenia: krótki błysk na tarczy radarowej wywołany przez zakłócenia atmosferyczne. Może po prostu wyczułem czyjąś złość wywołaną zajęciem ulubionego miejsca na parkingu?

Ale Cody tak nie myślał; odwrócił się i zaczął się rozglądać, podobnie jak wcześniej ja.

– Coś – rzekł z przekonaniem.

Popatrzyłem nań z ciekawością.

– Ciemny Człowiek? – spytałem. Tak nazywaliśmy Mrocznego Pasażera Cody'ego, który pojawił się w nim wskutek powtarzających się traumatycznych przeżyć, jakich dostarczył mu biologiczny ojciec obecnie przebywający w więzieniu. Jeśli Cody i Ciemny Człowiek usłyszeli ten sam dzwonek alarmowy, warto było się tym zainteresować. Ale Cody po prostu wzruszył ramionami.

– Nie jestem pewien – stwierdził, co pokrywało się i z moimi odczuciami. Rozglądaliśmy się przez chwilę po parkingu. Żaden z nas nie zauważył niczego niezwykłego. A później opiekun drużyny zuchowej, tęgi, entuzjastyczny mężczyzna o imieniu Frank, wystawił głowę z drzwi szkoły i krzyknął, że pora zaczynać, toteż wysiedliśmy z samochodu i weszliśmy do budynku. Po raz ostatni zerknąłem przez ramię i zauważyłem z ojcowską dumą, że Cody zrobił dokładnie to samo w tym samym momencie. Żaden z nas nie dostrzegł niczego niepokojącego: za nami szli tylko chłopcy w krótkich spodenkach. Wzruszyłem ramionami i przekroczyłem próg.

Zbiórka okazała się podobna do większości poprzednich – niezbyt ciekawa, a nawet nieco nudna. Jediną rzeczą, która odbiegała od rutyny, była prezentacja nowego pomocnika drużynowego, tęgiego mężczyzny, którego widziałem wysiadającego z cadillaca. Nazywał się Doug Crowley. Obserwowałem go uważnie, ciągle nieco zdenerwowany fałszywym alarmem na parkingu, ale nie wyglądał interesująco, a tym bardziej groźnie. Miał około trzydziestu pięciu lat; wydawał się nudny, uczciwy i szczery. Przywiózł ze sobą dziesięcioletniego chłopca z Dominikany o imieniu Fidel. Nie był to jego syn; Crowley zgłosił się wraz z nim do programu „Starsi bracia” i zaproponował pomoc w prowadzeniu drużyny. Frank

przedstawił Crowleya, podziękował mu i zaczął opowiadać o zbliżającej się wycieczce na bagna Everglades. Dwóch chłopców chcących zdobyć sprawność przyrodnika przedstawiło referat na temat ekologii tego obszaru, a później Frank mówił o bezpiecznym obchodzeniu się z ogniem podczas biwaków. Cody znosił to wszystko z ponurą cierpliwością i po zakończeniu zbiórki nie pobiegł natychmiast do drzwi. Wróciliśmy do swojego za małego domu, gdzie w kuchni znajdowały się papiery Rity zamiast jedzenia; najgroźniejszym obiektem napotkanym w drodze powrotnej okazał się jasnożółty hummer, którego kierowca słuchał głośnej muzyki.

Następny dzień w pracy ciągnął się w nieskończoność. Czekałem, aż spotka mnie coś strasznego, lecz nic się nie wydarzyło. Drugi dzień okazał się taki sam, podobnie jak trzeci. Nic się nie działo; z mroku nie wyłonił się groźny nieznajomy, nie wpadłem w diabelską pułapkę. W szufladzie mojego biurka nie ukrywał się jadowity wąż, nikt nie cisnął we mnie nożem z przejeżdżającego samochodu, nic. Nawet Deborah przestała na pewien czas bić mnie w ramię. Oczywiście widziałem ją i nawet z nią rozmawiałem. Ciągle miała rękę w gipsie i spodziewałem się, że będzie mnie stale prosić o pomoc, jednak tego nie robiła. Najwyraźniej pomagał jej Duarte, a Debs wydawała się pogodzona z tym, że spotykamy się rzadziej.

Życie płynęło monotonnym rytmem, spokojnie mijały godziny i nie pojawiała się żadne zagrożenie. Nic nie odbiegało od normy, w pracy i w domu nic się nie zmieniało, wszystko było ciągle takie samo. Wiedziałem, że coś się wydarzy, ale z każdym dniem, gdy to nie następowało, wydawało się to coraz mniej prawdopodobne. Wiem, że rozumowałem głupio, w sposób czysto ludzki. Nikt nie jest w stanie zachowywać absolutnej czujności w nieskończoność, każdego dnia. Nawet Mroczny Zwiadowca Dexter. Nie, gdy zwykła plastikowa rzeczywistość jest taka uwodzicielska.

W końcu trochę się odprężyłem. Normalne życie jest przyjemne dlatego, że jest nudne i bezsensowne – kołysze nas powoli do snu na jawie. Skupiamy uwagę na głupich, pozbawionych sensu sprawach jak brak pasty do zębów albo przerwane sznurowadło, jakby miały one jakiegokolwiek znaczenie – a jednocześnie ignorujemy to, co naprawdę ważne, co ostrzy sobie zęby i zakrada się od tyłu. W kilku krótkich momentach prawdziwej świadomości, jakie zdarzają się w naszym życiu, zdajemy sobie sprawę, że zostaliśmy zahipnotyzowani przez trywialne drobnostki; możemy nawet pragnąć, by zdarzyło się coś nowego i podniecającego, co pomoże nam się skupić i zapomnieć o irytujących idiotyzmach. Nikt nie potrafi żyć w nieustannej gotowości, nawet ja. Im bardziej nic się nie dzieje, tym bardziej nieprawdopodobne wydaje się, że coś się stanie. W końcu wręcz chciałem, by coś się wydarzyło, byle tylko było po wszystkim.

Jedna z wielkich prawd zachodniej cywilizacji brzmi: „Bądź ostrożny w tym, czego pragniesz, bo twoje pragnienia mogą się spełnić”.

I tak się stało.

18

Było upalne, wilgotne popołudnie. Około trzeciej wróciłem do swojego gabinetu po rutynowej pracy na dość nieciekawym miejscu przestępstwa. Jakiś mężczyzna zastrzelił psa sąsiada, za co sąsiad pozbawił go życia. Rezultatem był straszliwy bałagan wynikający ze współczesnego zamiłowania do broni dużego kalibru. Usiłowałem oddzielać krew psią od ludzkiej, ale były tak pomieszane, że w końcu zrezygnowałem. Sprawca zabójstwa przyznał się do winy, toteż jego tożsamość była znana i nie było sensu bardzo dokładnie wszystkiego analizować. Inni technicy pracujący na miejscu przestępstwa również nie mogli się skupić. Zarówno funkcjonariusze policji, jak i pracownicy wydziału kryminologii widzieli już wiele podobnych zabójstw, a po niedawnych zbrodniach normalna strzelanina w ogrodzie wydawała się nieważna i trochę nudna.

Dlatego zakończyłem pracę dość szybko. Kiedy wszedłem do swojego gabinetu i usiadłem w fotelu, nie myślałem o właścicielu psa, który siedział teraz w areszcie komendy, ani o biednym, zmasakrowanym pitbulu pomszczonym w taki sposób. Zapomniałem nawet o Cieniu, otoczony przez potężną, nieustraszoną policję hrabstwa Miami-Dade, ponieważ zaprzętała mnie znacznie ważniejsza kwestia. Jak przekonać Ritę, by spędziła jeden z wieczorów w domu i przygotowała prawdziwą kolację. Był to trudny problem wymagający zastosowania pochlebstw, a zarazem okazania

stanowczości; prawidłowy dobór środków wyrazu wymagał użycia wszystkich moich talentów aktorskich.

Ćwiczyłem kilka wyrazów twarzy, które w wiarygodny sposób łączyły odpowiednie emocje, do chwili gdy uznałem, że wszystko jest w porządku, aż nagle nadeszła chwila refleksji. Oto walczyłem z nieubłaganym przeciwnikiem, który chciał mnie zniszczyć, lecz zamiast przygotowywać się do walki, ćwiczyłem wzruszające miny w nadziei, że przekonam Ritę, by ugotowała mi przyzwoity ostatni posiłek. Czy miało to jakikolwiek sens? Czy to najlepszy sposób szykowania się na to, co mnie czeka? Musiałem przyznać, że odpowiedź brzmi: Prawdopodobnie nie.

Jak zatem się przygotować? Zastanawiałem się nad tym, co wiem (było tego bardzo niewiele), i po chwili zdałem sobie sprawę, że nie robię tego, w czym jestem najlepszy. Nie powinienem biernie czekać na atak, lecz podjąć energiczne działania: zintensyfikować poszukiwania, dowiedzieć się czegoś o Cieniu, wytropić go i zabić. Kiedy analizowałem sytuację w sposób chłodny i racjonalny, wiedziałem, że nie ma ze mną szans. Przez całe życie polowałem na ludzi takich jak on: był tylko amatorem, owcą udającą wilka, biednym, żalonym pajacem usiłującym rzucić wyzwanie wspaniałemu Dexterowi. Mogłem mu łatwo uświadomić tę przytłaczającą prawdę – należało go tylko znaleźć.

Ale jak? Nie wiedziałem, jakim samochodem w tej chwili się porusza. Nie byłem nawet pewien, czy ciągle mieszka w tej samej okolicy, w południowym Miami w pobliżu mojego domu. Wydawało się prawdopodobne, że się przeprowadził, tylko dokąd? Nie wiedziałem o nim dostatecznie wiele, by odgadnąć, gdzie się obecnie znajduje. Dobry myśliwy powinien rozumieć zwierzynę. Należało lepiej poznać jego sposób myślenia, dowiedzieć się, co go denerwuje, nawet jeśli byłyby to tylko informacje uzupełniające. Jedyнным źródłem wiedzy na jego temat był *Blog*

Cienia. Przeczytałem ten męczący, napuszony bełkot już kilkanaście razy i nie dowiedziałem się niczego ciekawego. Jednak podjąłem trud kolejnej lektury, tym razem próbując stworzyć profil psychologiczny autora.

Najbardziej rzucały się w oczy frustracja i złość. W tej chwili jego gniew skupiał się przede wszystkim na mnie, lecz Cień skarżył się również na wiele innych rzeczy. Narzekał, że gra w baseball jest niesprawiedliwa, bo nigdy nie miał szans na wystąpienie w pierwszej lidze, choć robił wszystko, co mu kazano, i zawsze przestrzegał przepisów. Pisał o ludziach, którzy chodzą na skróty, oszukują, bezkarnie popełniają przestępstwa, włamują się na strony internetowe, traktując to jako dobrą zabawę. Na pewno nie był szczęśliwy z byłą żoną o inicjale A i nie lubił typowych kierowców z Miami.

Jedną z przyczyn frustracji wydawało się sztywne, surowe poczucie moralności; kipiała w nim agresja, która szukała ujścia i możliwości skupienia się na czymś konkretnym. Wściekał się na ludzi, którzy nie przestrzegają zasad, wspominał księdza i jego nauki. Doskonała wskazówka – oznaczało to, że szukam katolika, co zawężyło liczbę podejrzanych do około siedemdziesięciu pięciu procent mieszkańców Miami. Zamknąłem oczy i próbowałem się skupić; bez skutku. Mogłem myśleć tylko o tym, jak bardzo chcę go skrepować taśmą klejącą i nauczyć znaczenia prawdziwej pokuty, która pojawia się w Mrocznym Konfesjonale Katedry Matki Bożej Noża Dextera. Wyobrażałem sobie, jak się szarpie, walcząc z krępującą go taśmą, i smakowałem ten obraz, gdy do laboratorium wpadł roztrzęsiony Vince Masuoka.

– O kurwa! – zawołał. – O Boże, kurwa!

– W kulturze zachodniej nie łączymy Boga z prostytutką – odpowiedziałem kwaśnym tonem, gdyż przerwał mi przyjemne rozmyślanie.

Zatrzymał się gwałtownie i popatrzył na mnie.

– Kurwa mać! – powtórzył z irytującym uporem.

– W porządku, niech będzie kurwa mać – odrzekłem. – Czy możesz powiedzieć, o co chodzi?

– Camilla! – rzekł. – Camilla Figg!

– Znam nazwisko Camilli – odparłem, ciągle zirytowany, a potem usłyszałem odległy szelest czarnych skrzydeł i wyprostowałem się w fotelu. Poczułem w kręgosłupie lekki dreszcz świadczący o zainteresowaniu Mrocznego Pasażera.

– Nie żyje – odpowiedział Vince. Przełknął ślinę i pokiwał głową. – Camilla nie żyje i... Jezu! Znowu to samo, zabójstwo młotem!

Poczułem, że moja głowa mimo woli wykonuje przeczący ruch.

– Przecież wszyscy wiedzą, że Deborah złapała Młociarza, prawda?

– Mylisz się – rzekł Vince. – Twoja siostra wszystko spieprzyła i aresztowała niewłaściwego człowieka. Teraz odsuną ją od śledztwa. – Pokręcił głową. – Camillę zamordowano tak samo jak poprzednie ofiary. – Zamrugał i przełknął ślinę, a potem spojrzał na mnie z tak poważnym i przestraszonym wyrazem twarzy, jakiego jeszcze u niego nie widziałem. – Tłuczono ją młotem, aż umarła, Dexter. Tak samo jak Kleina i Gunthera.

Zaschło mi w ustach i poczułem w kręgosłupie elektryczny dreszcz. Chociaż nie świadczyło to o mnie dobrze, nie myślałem o Debs i o jej kłopotach w pracy. Siedziałem, prawie nie oddychając, czując na twarzy powiewy ciepłego wiatru i słysząc szelest suchych liści w rynsztokach Zamku Dextera. W moim mózgu rozlegał się syk Mrocznego Pasażera i nie zwracałem uwagi na głupią paplaninę Vince'a, który powtarzał, jakie to okropne i jak strasznie wszyscy się czują.

Jestem pewien, że gdybym potrafił odczuwać emocje, ja także czułbym się koszmarnie, ponieważ Camilla była moją koleżanką i współpracowałem

z nią od wielu lat. Nie utrzymywaliśmy ze sobą bliższych kontaktów i często zachowywała się w dziwny sposób, lecz wiedziałem, że po śmierci kolegi lub koleżanki należy okazywać smutek i żal. Była to jedna z elementarnych zasad ludzkiego zachowania; nie ulegało wątpliwości, że w końcu odegram swoją rolę, demonstrując właściwy mi talent aktorski. Ale nie teraz, jeszcze nie. W tej chwili musiałem się zastanowić nad zbyt wieloma rzeczami.

Na początku przyszło mi do głowy, że mordercą jest Cień – napisał na blogu, że zamierza coś zrobić, a teraz znaleziono zmasakrowaną Camillę. Ale jaki to miało związek ze mną? Musiałem nadawać twarzy smutny wyraz i wypowiadać stereotypowe zwroty na temat tragicznej śmierci koleżanki, jednak w ogóle tego nie czułem.

A zatem chodziło o coś innego, pozbawionego związku ze mną, co jednak zwróciło uwagę Mrocznego Pasażera i było znacznie ważniejsze od udawanego żalu. Oznaczało to, że w całej sprawie jest coś dziwnego, co Mroczny Osobnik uznał za wyjątkowo prowokacyjne. Cokolwiek się stało, śmierć Camilli nie była tym, czym się wydawała – a to z kolei sugerowało, że z jakichś chwilowo nieznanых powodów Dexter powinien się nią interesować.

Tylko dlaczego? Camilla była moją koleżanką, a Deborah wpadła w tarapaty, jednak czemu nagle zwróciło to uwagę Mrocznego Pasażera?

Usiłowałem nie słuchać irytującej paplaniny Vince'a i przez chwilę skupić się na faktach. Deborah nie miała wątpliwości, że aresztowała sprawcę zabójstw Kleina i Gunthera. Deborah była bardzo dobrym detektywem. Wynikało z tego, że albo straszliwie się pomyliła, albo...

– To morderstwo popełnione przez naśladowcę – stwierdziłem, przerywając potok bezsensownych dźwięków wydawanych przez Vince'a.

Zamrugnął i spojrzał na mnie, a jego oczy wydały się nagle duże i wilgotne.

– Jeszcze nie było mordercy, który zabija młotem w taki sposób, Dexter. Chcesz powiedzieć, że jest ich dwóch?

– Tak – odparłem. – Nie ma innej możliwości.

Pokręcił energicznie głową.

– Nie, to wykluczone. Wiem, że chodzi o twoją siostrę, że musisz jej bronić, ale trzeba zachować rozsądek – dodał.

Jednak wiedziałem, że mam rację. Świadczyła o tym nieubłagana logika szeptów Mrocznego Pasażera, który czaił się jak gad w ciemnych komnatach mojego mózgu. Ciągle nie wiedziałem, dlaczego w mojej głowie rozlegają się dzwonki alarmowe i na czym polega zagrożenie. Ale Mroczny Pasażer prawie nigdy się nie mylił i ostrzeżenie było jasne. Ktoś naśladował technikę Młociarza; było w tym coś głęboko niepokojącego. Pojawiła się nowa groźba, zbyt bliska, by ją lekceważyć; coś się zbliżało do murów Czarnej Twierdzy i nagle ogarnął mnie lęk, choć tak naprawdę była to tylko rutynowa okazja, by zademonstrować wspaniałą pokaz udawanego żalu. Czy sprzysiągł się przeciwko mnie cały świat? Czy to nowy model rzeczywistości?

Wydarzenia następnych godzin nie uśmierzyły mojego niepokoju. Zwłoki Camilli znaleziono w samochodzie stojącym na parkingu wielkiego supermarketu w pobliżu komendy policji. Wielu funkcjonariuszy zatrzymywało się tam w drodze do domu; prawdopodobnie robiła to również Camilla. Na podłodze auta leżały trzy plastikowe torby na zakupy z logo supermarketu; ciało Camilli ułożono na siedzeniu. Podobnie jak poprzednie ofiary zginęła od uderzeń młotem; połamano jej wszystkie kości i zmiądzono stawy.

Samochód nie należał do policji ani nawet do Camilli. Był to pięcioletni chevrolet impala będący własnością niejakiej Natalie Blomberg, pracownicy supermarketu. Pani Blomberg jak dotąd nie złożyła zeznań, ponieważ po odnalezieniu w swoim aucie zwłok Camilli wpadła w histerię i w końcu podano jej zastrzyk uspokajający.

Vince i ja powoli badaliśmy teren wokół chevroleta oraz wnętrze samochodu; miałem coraz silniejsze wrażenie, że to robota innego sprawcy. Zwłoki Camilli leżały częściowo na siedzeniu, częściowo na podłodze, a poprzednie ofiary ułożono staranniej. Drobnny szczegół, jednak nie pasował do schematu, toteż zacząłem oglądać wszystko dokładnie.

Nie jestem specjalistą od urazów zadanych tępymi narzędziami, lecz ślady na ciele Camilli wyglądały inaczej niż u Gunthera i Kleina, których uderzano płaską częścią obucha młota. Tym razem ślady ciosów zadanych przez mordercę miały niewyraźny wklęsły zarys, jakby narzędzie zbrodni było zaokrąglone, a nie płaskie. Camillę zmasakrowano czymś w rodzaju drewnianej pałki, a może kija baseballowego. Kojarzyło się to z dawnym graczem w baseball, który mógł zachować taki kij na pamiątkę.

Zastanawiałem się nad tym i wszystko z pozoru się zgadzało, z wyjątkiem jednego drobnego szczegółu: dlaczego Bernie Elan miałby zabić Camillę Figg? A jeśli z jakiegoś powodu chciał ją zamordować, czemu wybrał taki trudny, odrażający sposób? Coś się w tym nie zgadzało, zbyt pochopnie wyciągałem paranoidalne wnioski. To, że ktoś na mnie poluje, nie musi oznaczać, że zabił Camillę Figg. To śmiechu warte.

Pracowałem wokół samochodu, spryskując ziemię płynem Bluestar w nadziei, że znajdę ślady krwi. Na białej linii oddzielającej miejsce parkingowe, gdzie stał chevrolet, odkryłem bardzo niewyraźny odcisk buta sportowego. W samochodzie nie było opakowania po tacos, ale nic z tego nie wynikało. Na tylnym siedzeniu znajdowała się duża plama krwi z rany

na głowie Camilli. Rany głowy zwykle krwawią bardzo obficie, tym razem jednak krew ciekła drobnym strumyczkiem, co oznaczało, że Camillę zabito gdzie indziej, a później zwłoki podrzucono na parkingu. Morderca prawdopodobnie zaparkował obok chevroleta i szybko przeniósł do niego ciało ze swojego samochodu; domyślałem się, że pozostawił wtedy na ziemi częściowy odcisk buta.

Na ramieniu Camilli znajdowała się inna, mniejsza rana; ze skóry sterczał fragment złamanej kości. Rana nie krwawiła tak bardzo jak ta na głowie, lecz wydała mi się ważna. Gunther i Klein w ogóle nie mieli uszkodzonej skóry, a w tym wypadku zabójca pozostawił dwie otwarte rany. Nie był to wystarczający materiał dowodowy, by kogoś aresztować, mimo to uznałem to za ważną kwestię i jako odpowiedzialny pracownik wymiaru sprawiedliwości natychmiast zwróciłem na nią uwagę inspektora Hooda, który kierował śledztwem.

Inspektor Hood był potężnie zbudowanym mężczyzną o niskim czole i jeszcze niższym ilorazie inteligencji. Uśmiechał się lubieżnie, lubił poniżać innych, robić seksualne aluzje i bić podejrzanych, by skłonić ich do mówienia. Stał w pobliżu właścicielki impali i niecierpliwie czekał, aż środek uspokajający zacznie działać, by mogła zrozumieć pytania.

Skrzyżował ramiona na piersi i obserwował ją z groźnym wyrazem twarzy – gdyby pani Blomberg uniosła oczy i zauważyła jego spojrzenie, mogłaby potrzebować drugiego zastrzyku uspokajającego.

Znałem trochę Hooda, ponieważ współpracowałem z nim w przeszłości, toteż podszedłem do niego.

– Cześć, Richard! – pozdrowiłem go przyjaźnie. Głowa Hooda obróciła się w moją stronę i jego twarz wyraźnie sposepniała.

– Czego chcesz? – spytał. Nie próbował mówić miłym tonem; w jego głosie zabrzmiała niemal wrogość.

Od czasu do czasu zauważam, że źle oceniłem sytuację i użyłem niewłaściwego wyrażenia; najwyraźniej stało się to przed chwilą. Przystosowanie się zawsze trwa kilka sekund, zwłaszcza jeśli nie wiem, na czym polegał błąd. Nie chciałem spoglądać na Hooda pustym wzrokiem i milczeć, toteż wypełniłem lukę najlepiej, jak umiałem.

– Eeee... – powiedziałem. – Po prostu... no wiesz...

– Wiem? – zaczął mnie przedrzeźniać. – Interesuje cię, co wiem, kutasie?

Oczywiście wcale mnie to nie ciekawiło; Hood mógł mieć wiedzę ogólną na poziomie trzeciej klasy szkoły podstawowej, chyba że na temat pornografii, a takie rzeczy zupełnie mnie nie obchodzą. Ale nie chciałem go obrażać, a po za tym wcale nie czekał na moją odpowiedź.

– Wiem, że twoja pieprzona hollywoodzka siostra zesrała się w majtki! – rzekł i, kompletnie nie przejmując się tym, że metafora jest całkowicie bezsensowna, powtórzył: – Zesrała się w majtki!

– Cóż, może – odpowiedziałem grzecznym, lecz zdecydowanym tonem.

– Ale są dowody, że to morderstwo popełnione przez naśladowcę.

Spojrzał na mnie wściekle, poruszając potężnymi mięśniami szczęk. Wyglądał jak buldog mający ochotę wygryźć mi kawałek ciała.

– Dowody... – powtórzył szyderczo, jakby to słowo miało nieprzyjemny smak. – Na przykład jakie?

– Eee... rany – odpowiedziałem. – Krwawią w dwóch miejscach. Poprzednio skóra była nienaruszona.

Obrócił głowę o ułamek centymetra i splunął.

– Nie wciskaj mi tych gówien! – warknął, po czym odwrócił się w stronę pani Blomberg. Skrzyżował ramiona na piersi i zadrgała mu nerwowo górna warga. – Gadasz jak twoja pieprzona siostrunia!

Popatrzyłem na swoje buty, by sprawdzić, czy nie trafiła w nie grudka śliny, i z ulgą spostrzegłem, że są czyste. Było jasne, że Hood potrafi tylko

pluć i robić skatologiczne uwagi, toteż postanowiłem go zostawić i wrócić do badania szczątków Camilli Figg.

Kiedy zacząłem się odwracać, w mojej głowie rozległ się nagle suchy, groźny okrzyk Mrocznego Pasażera, który ostrzegał, że ktoś mnie obserwuje przez urządzenie optyczne. Czas zwolnił; zastygłem w bezruchu i zacząłem się rozglądać, szukając źródła niebezpieczeństwa. Spojrzałem w bok, w stronę żółtej taśmy odgradzającej parking, i zobaczyłem oślepiający błysk. Jednocześnie usłyszałem syk Mrocznego Pasażera.

Mrugnąłem, czekając na uderzenie kuli, lecz nie rozległ się strzał. Jeden z gapiów zrobił mi fotografię z fleszem i zobaczyłem tylko rozmazaną sylwetkę tęgiego mężczyzny w T-shircie, który opuścił aparat, odwrócił się i wmieszał z powrotem w tłum. Zniknął, nim zdążyłem zobaczyć jego twarz. Nie był snajperem ani terrorystą z ładunkiem wybuchowym; nie mógł stanowić prawdziwego zagrożenia; wydawał się zwykłym ciekawskim niezdrowo zainteresowanym śmiercią. Nie rozumiałem, dlaczego Mroczny Pasażer się zaniepokoił. Poczuję się głupio, że wszędzie dostrzegam Cienie, nawet gdy nie ma to żadnego sensu. Czyżbym tracił rozsądek i stawał się paranoikiem?

Spoglądałem przez chwilę na miejsce, gdzie zniknął mężczyzna, który zrobił mi zdjęcie. Więcej się nie pojawił, nic mi nie groziło. To po prostu nerwy, przewrażliwienie, a nie Świadek. Postanowiłem wrócić do pracy.

Poszedłem w stronę chevroleta, w którym leżały zmasakrowane zwłoki Camilli, lecz nie mogłem się pozbyć myśli, że przez cały czas ktoś mnie obserwuje, oblizuje wargi i zastanawia się, jak mnie zabić.

19

Kiedy wróciłem do domu, było bardzo późno – dochodziła północ. Z przyzwyczajenia poszedłem do kuchni sprawdzić, czy Rita zostawiła mi coś do zjedzenia. Mimo starannych poszukiwań niczego nie znalazłem, nawet kawałka pizzy. Na stole nie stało żaroodporne naczynie, nie było garnka na kuchence, rondla w lodówce ani nawet torebki z fast foodu. Przeszukałem całą kuchnię, lecz nie znalazłem niczego jadalnego.

Nie była to wielka tragedia. Codziennie zdarzają się gorsze rzeczy; jedna z nich przytrafiła się niedawno Camilli Figg, którą znałem od wielu lat. Jednak byłem głodny, a to, że Rita niczego mi nie zostawiła, wydało mi się bardzo smutne, gdyż oznaczało kres wielkiej, ważnej tradycji, złamanie milcząco przyjmowanej zasady, która pomogła mi w wielu trudnych chwilach. Nie ma jedzenia dla Dextera; wszystko stracone.

W kuchni zauważyłem krzesło odsunięte od stołu; stały obok niego buty Rity rzucone w pośpiechu na podłogę. Na stole leżał stos papierów, a na oparciu krzesła wisiała bluzka. Spostrzegłem żółtą karteczkę przyklejoną do lodówki i poszedłem ją przeczytać. Prawdopodobnie zostawiła ją Rita, choć nagryzmolone słowa nie przypominały jej normalnego charakteru pisma. Na karteczce, umieszczonej na drzwiach lodówki, znajdowało się pytanie: „Dzwonił Brian – gdzie byłś???”. Napisanie litery B w imieniu „Brian” wymagało dwóch prób, a ostatnie słowo krzywo podkreślono trzy razy; czubek długopisu przebił papier i znajdowała się w nim niewielka dziura.

Była to tylko mała, żółta karteczka, lecz coś zwróciło moją uwagę. Stałem przez chwilę obok lodówki, zastanawiając się, co mnie zaniepokoiło. Na pewno nie niestaranny charakter pisma; niewątpliwie Rita była po prostu zdenerwowana, zmęczona po powrocie z pracy, gdzie walczyła z kryzysem finansowym; później musiała iść z trojgiem dzieci do zatłoczonego fast foodu, gdzie podawano hamburgery. Każdy mógłby być napięty, wyczerpany...

I stracić umiejętność prawidłowego napisania litery B?

Nie miało to żadnego sensu. Rita była osobą niezwykle dokładną, neurotycznie schludną i metodyczną. Podziwiałem ją za to. Mimo zmęczenia i frustracji nigdy nie traciła zamiłowania do porządku. W koszmarnym małżeństwie ze skłonny do przemocy fizycznej narkomanem doświadczyła wielu ciężkich chwil i zawsze radziła sobie z chaosem życia w prosty sposób – myła zęby o wyznaczonej godzinie i chowała rzeczy do prania w koszu na brudną bieliznę. Napisanie niewyraźnej notatki, rozrzucanie butów i zostawienie bluzki na krześle zupełnie do niej nie pasowało i było wyraźną oznaką, hm, czego?

Poprzednio rozlała kieliszek wina – czy dlatego, że wypila ich kilka? Może dziś zrobiła to samo?

Wróciłem do stołu w kuchni, gdzie Rita zostawiła buty, po czym popatrzyłem na nie wyćwiczonym wzrokiem technika kryminalistycznego. Kąt, pod jakim leżał lewy but, wskazywał na brak kontroli motorycznej, a niestarannie wisząca bluzka była oczywistym świadectwem utraty zahamowań. Aby naukowo potwierdzić swoje podejrzenia, poszedłem do dużego pojemnika na śmieci przy wyjściu na podwórko. W środku, pod papierowymi ręcznikami i reklamami przysyłanymi pocztą, leżała pusta butelka po czerwonym winie.

Rita była entuzjastką recyklingu – i oto znalazłem w śmietniku pustą butelkę przykrytą papierami. Nie przypomniałem sobie, bym widział w domu butelkę wina, a zwykle dobrze wiem, co się znajduje w kuchni. Była to duża butelka po merlocie i powinienem był ją zauważyć. Mimo to jej nie dostrzegłem. Oznaczało to, że albo Rita specjalnie ją schowała, albo kupiła tego wieczoru, wypić w czasie jednego posiedzenia i zapomniała wyrzucić do pojemnika na szkło.

Nie był to kieliszek wina wypity podczas pracy, gdy zamawiałem pizzę, tylko cała butelka – i co gorsza wypić ją pod moją nieobecność, pozostawiając dzieci bez opieki.

Piła stanowczo za dużo i za często. Dotąd przyjmowałem, że od czasu do czasu wypija odrobinę wina, by sobie poradzić ze stresem – lecz chodziło o coś więcej. Czy jakiś nieznany czynnik nagle sprawił, że Rita zaczęła się uzależniać od alkoholu? A jeśli tak, czy powinienem coś zrobić? A może zaczekać, aż przestanie chodzić do pracy i zacznie zaniedbywać dzieci?

Nagle usłyszałem płacz Lily Anne i podszedłem do jej łóżeczka w sypialni. Wierzgała nogami i machała rękami, a gdy ją uniosłem, natychmiast zrozumiałem przyczynę. Miała pełną pieluchę, która wybrzuszała się w kroku. Zerknąłem na Ritę – leżała na brzuchu na łóżku i pochrapywała; jedną rękę miała wyciągniętą przed siebie, a drugą podłożoną pod głowę.

Najwyraźniej płacz Lily Anne nie wyrwał jej ze snu; poza tym zapomniała zmienić dziecku pieluszkę przed pójściem spać. Było to zupełnie nie w jej stylu, podobnie jak picie wina w tajemnicy.

Lily Anne zaczęła wierzgać jeszcze gwałtowniej i płakać głośniej. Wyjąłem ją z łóżeczka i zaniósłem na przewijak. Z tym problemem mogłem sobie poradzić natychmiast i w prosty sposób. Sprawa Rity wymagała pewnego namysłu, a tego wieczoru było już na to za późno. Zmieniłem Lily

Anne pieluszkę, aż przestała płakać i zasnęła. Włożyłem ją z powrotem do łóżeczka i poszedłem spać.

Rita leżała dokładnie w tej samej pozycji, zajmując dwie trzecie łóżka. O tym, że żyje, świadczyło tylko pochrapywanie. Spojrzałem na nią i zacząłem się zastanawiać, co się dzieje w jej ładnej, jasnowłosej główce. Zawsze była całkowicie godna zaufania, przewidywalna i solidna; nigdy nie robiła niczego wykraczającego poza rutynowy schemat codziennych czynności. Była to jedna z przyczyn, które skłoniły mnie do małżeństwa z nią – prawie zawsze dokładnie wiedziałem, jak postąpi. Przypominała idealnie funkcjonującą kolejkę elektryczną na podłodze pokoju dziecięcego – dzień po dniu jeździła w kółko po tym samym torze, mijając te same miejsca.

Aż do teraz – wyglądało na to, że z jakiegoś powodu się wykołała. Przyszła mi do głowy nieprzyjemna myśl, że powinienem się tym zająć. Czy umówić ją z psychologiem? Zmusić do pójścia na spotkanie Anonimowych Alkoholików? Zagrozić rozwodem, odebraniem praw rodzicielskich? Wszystko to było dla mnie nowe, wchodziło w skład zaawansowanego kursu zachowań małżeńskich, zajęć dla doktorantów specjalizujących się w ludzkiej psychice, i prawie nic o tym nie wiedziałem.

Tego wieczoru nie miałem żadnych szans na wymyślenie rozwiązania. Po długim dniu pracy, zajmowaniu się *Blogiem Cienia* i skomlącymi współpracownikami inspektora Bęcwała byłem śmiertelnie zmęczony. Mój mózg przestał funkcjonować i przede wszystkim musiałem się przespać.

Przetoczyłem bezwładne ciało Rity na drugą stronę łóżka i wślizgnąłem się pod kołdrę. Potrzebowałem snu, i to natychmiast. Kiedy dotknąłem głową poduszki, straciłem przytomność.

Budzik wyrwał mnie ze snu o siódmej, a gdy go wyłączyłem, ogarnęło mnie nierozsądne uczucie, że wszystko będzie dobrze. Położyłem się spać zmartwiony – niepokoiła mnie Rita, *Blog Cienia* i Camilla Figg – lecz w ciągu nocy troski zniknęły. Owszem, miałem problemy. Ale jakoś sobie z nimi poradzę, zawsze mi się to udawało i teraz też tak się stanie. Wiem, że to zupełnie nielogiczne, ale odczuwałem spokojną pewność siebie, zupełnie inną niż lęk i zmęczenie poprzedniego wieczoru. Nie mam pojęcia, co się stało; może był to skutek głębokiego snu. Tak czy inaczej, obudziłem się w świecie, gdzie panował nierozsądny optymizm. Nie twierdzę, że słyszałem śpiew ptaków w złocistych promieniach porannego słońca, lecz czułem zapach kawy i boczku dolatujące z kuchni, co było znacznie przyjemniejsze od śpiewu jakiegokolwiek ptaka, jakiego w życiu słyszałem. Wziąłem prysznic i włożyłem ubranie, a kiedy usiadłem przy stole w kuchni, czekał na mnie talerz z jajkami sadzonymi i trzema pląkami smażonego boczku; obok stał kubek z gorącą, mocną kawą.

– Strasznie późno wyszedłeś wczoraj z domu – rzekła Rita. Zabrzmiało to tak, jakby mnie o coś oskarżała, ale ponieważ nie miało to żadnego sensu, przypisałem ton jej głosu zbyt wielkiej ilości wypitego wina.

– Zamordowano Camillę Figg – odpowiedziałem. – Moją koleżankę z pracy, pamiętasz?

Rita odwróciła się od kuchenki, trzymając w ręku łyżkę, i popatrzyła na mnie.

– Więc byłeś w pracy? – zdziwiła się i w jej głosie znów odezwał się kąśliwy ton wywołany nadużyciem alkoholu.

– Tak – odpowiedziałem. – Zwłoki znaleziono dopiero późnym wieczorem.

Obserwowała mnie przez kilka sekund i w końcu pokręciła głową.

– To wszystko wyjaśnia, prawda? – rzekła, lecz spoglądała na mnie takim wzrokiem, jakby nic nie zostało wyjaśnione.

Poczułem się trochę niezręcznie; dlaczego tak na mnie patrzyła? Zerknąłem w dół, by sprawdzić, czy mam na sobie spodnie, lecz wszystko było w porządku. Kiedy znów uniosłem wzrok, ciągle mnie obserwowała.

– Czy coś się stało? – spytałem.

Znów pokręciła głową.

– Stało?! – powtórzyła. Zerknęła na sufit. – Pyta, czy coś się stało... – Spojrzała na mnie, podpierając się pod boki, i zaczęła niecierpliwie postukiwać w podłogę czubkiem buta. – Może ty mi powiedz, czy coś się nie stało, Dexter?

Popatrzyłem na nią zaskoczony.

– Eee... nic – odparłem, zastanawiając się, czy to właściwa odpowiedź. – Nic nadzwyczajnego. – Miałem wrażenie, że moje słowa brzmią nieprzekonująco, a Rita najwyraźniej podzielała ten pogląd.

– To dobrze, nic się nie stało – rzekła. W dalszym ciągu mnie obserwowała, stukając butem w podłogę, jakby na coś czekała.

Zerknąłem do tyłu na kuchenkę; z patelni unosił się dym zamiast wonnej pary.

– Czy coś się nie pali, Rito? – spytałem ostrożnie.

Spojrzała na mnie, mrugając oczami, a kiedy zrozumiała, co powiedziałem, obróciła się gwałtownie w stronę kuchenki.

– O cholera, popatrz! – zawołała, biegnąc do niej z uniesioną łyżką. – Nie! Zobaczcie, która godzina! – dodała z frustracją w głosie. – Do licha, dlaczego... Nigdy nie ma... Cody? Astor? Chodźcie na śniadanie! Natychmiast! – Opróżniła patelnię, położyła na niej kawałek masła, po czym błyskawicznie rozbiła dwa następne jajka. – Dzieci! Chodźcie! – Znów zerknęła na mnie, a potem zawahała się na moment. – Po prostu...

Musimy... – Potrząsnęła głową, jakby nie mogła znaleźć właściwych słów.
– Nie słyszałam, jak wróciłeś wczoraj w nocy... – rzuciła niepewnie.

Mogłem powiedzieć, że wczoraj w nocy nie usłyszałyby nawet Królewskiego Regimentu Górali Szkockich, gdyby przemaszerował przez dom przy dźwięku kobz, ale po co rujnować śliczny poranek, mówiąc złośliwości? Poza tym jadłem jajecznicę i niegrzecznie byłoby się odzywać z pełnymi ustami. Toteż po prostu się uśmiechnąłem i mruknąłem coś na odczepnego. Rita spoglądała na mnie wyczekująco jeszcze przez chwilę, po czym do kuchni weszły dzieci i zajęła się podawaniem śniadania. Ranek przebiegł zupełnie normalnie, a gdy pojechałem do pracy, w mojej głowie znów zaświtał promyk głupawej nadziei.

Nawet wczesnym rankiem ruch uliczny w Miami ma w sobie dziką nerwowość, której nie spotyka się w innych miastach. Kierowcy z Miami budzą się szybciej i są w gorszym nastroju. Może przyczynajest jaskrawe, bezlitosne słońce, które sprawia, że wszyscy zdają sobie sprawę, iż mogliby łowić ryby albo siedzieć na plaży, zamiast jechać w ślimaczym tempie autostradą do śmiertelnie nudnej, beznadziejnej pracy, za którą otrzymują marne pieniądze? A może to po prostu efekt działania wyjątkowo mocnej kawy?

Niezależnie od przyczyn poranna jazda ulicami Miami jest zawsze bardzo denerwująca, a ten poranek nie był wyjątkiem. Kierowcy trąbili, wykrzykiwali groźby, pokazywali sobie środkowe palce, a na zjeździe na autostradę Palmetto stary buick uderzył z tyłu w nowe bmw. Na poboczu doszło do bójki i wszyscy zwalniali, by popatrzeć. Minięcie miejsca wypadku zajęło mi dodatkowe dziesięć minut i o tyle spóźniłem się do pracy. Nie zmartwiło mnie to, gdyż wiedziałem, co mnie tam czeka.

Ponieważ ciągle byłem w idiotycznie wesołym nastroju, nie zatrzymałem się na kubek śmiercionośnej kawy, która mogłaby popsuć mi humor,

a nawet mnie zabić. Poszedłem bezpośrednio do swojego gabinetu, gdzie czekała na mnie Deborah. Lewą rękę miała ciągle w gipsie, który stracił już jasny kolor. Siedziała rozwalona na krześle z wyjątkowo ponurą miną, oparła łokcie na podkładce do pisania i przewróciła pojemnik na ołówki. Ale nie ma ludzi doskonałych i był taki piękny poranek, że pominąłem to milczeniem.

– Dzień dobry, sestro – rzekłem pogodnie. Wydawała się obrażona tonem mojego głosu; skrzywiła się i z irytacją pokręciła głową, jakby to, czy dzień jest dobry lub zły, nie miało żadnego znaczenia.

– Co się stało wczoraj w nocy? – spytała ostro. – Czy wszystko wyglądało tak samo?

– Masz na myśli Camillę Figg? – spytałem.

– A co jeszcze mogłabym mieć na myśli, do cholery?! – warknęła. – Do licha, Dex, chcę wiedzieć: czy obrażenia były takie same!

Zająłem miejsce na składanym krześle naprzeciwko swojego biurka. Szlachetny gest z mojej strony, ponieważ Debs siedziała w moim własnym fotelu, a krzesło było niezbyt wygodne.

– Moim zdaniem nie – odpowiedziałem.

– Wiedziałam, kurwa! – syknęła Deborah, po czym wyprostowała się i spojrzała na mnie z błyskiem w oku. – Na czym polegają różnice?

Uniosłem rękę, by ją ostudzić.

– Nie jest to zupełnie oczywiste – stwierdziłem. – Przynajmniej inspektor Hood tak nie uważa.

– Ten kretyn do niczego się nie nadaje! – rzuciła ostro.

– Co zauważyłeś?

– W dwóch miejscach uszkodzono skórę, więc pojawiło się trochę krwi. Ciało ułożono niezupełnie prawidłowo.

– Popatrzyła na mnie wyczekująco, więc dodałem: – Moim zdaniem obrażenia mają inny charakter.

– Na czym polegają różnice? – spytała.

– Moim zdaniem narzędzie zbrodni było inne – odrzekłem. – Tym razem sprawca nie użył młota.

– A czego? – spytała. – Kija golfowego? Pałki?

– Trudno powiedzieć – odparłem. – Prawdopodobnie przedmiotu o zaokrąglonej powierzchni. Może... – Zawahałem się na pół sekundy; nawet wypowiedzenie tych słów sprawiało, że czułem się jak paranoik. Ale Debs spoglądała na mnie z wyrazem oczekiwania, toteż dokończyłem: – Może kija baseballowego?

– Rozumiem – stwierdziła, spoglądając na mnie badawczo.

– Ciało nie leżało w identycznej pozycji – dodałem. Dalej mi się przyglądała. Kiedy nic nie powiedziałem, zmarszczyła brwi.

– To wszystko? – spytała.

– Prawie – odrzekłem. – Oczywiście musimy poczekać na wyniki sekcji zwłok, ale jedna z ran znajdowała się na głowie, toteż sędzę, że Camilla była nieprzytomna, a nawet martwa, gdy sprawca zadał jej większość obrażeń.

– To nic nie znaczy.

– Deborah, na innych ciałach w ogóle nie znaleziono krwi. Morderca bardzo dbał, by ofiary przez cały czas były przytomne; nawet nie uszkodził skóry.

– Nigdy nie uda ci się tego wcisnąć kapitanowi – rzekła.

– Cały pieprzony wydział chce mojej głowy. Jeśli nie udowodnię, że aresztowałam właściwego człowieka, jestem skończona.

– Nie mogę niczego dowieść – powiedziałem. – Ale wiem, że mam rację. Przekrzywiła głowę i spojrzała na mnie ironicznie.

– Dowiedziałaś się o tym od jednego ze swoich głosów? – spytała ostrożnie. – Nie możesz poprosić, by ci powiedział coś jeszcze?

Kiedy Deborah w końcu odkryła, czym naprawdę jestem, wspomniałem jej o Mrocznym Pasażerze. Stwierdziłem, że moje intuicje na temat seryjnych zabójców pochodzą od bratniej duszy mieszkającej w głębi mojego mózgu. Chyba opisałem to wszystko bardzo niedokładnie, ponieważ Deborah uznała, że wpadam w coś w rodzaju transu i komunikuję się z istotami z zaświatów.

– To nie Ouija – stwierdziłem.

– Nie obchodzi mnie, co to takiego; mogą być nawet fusy po kawie. Niech nam po prostu powie coś użytecznego.

Nim zdążyłem otworzyć usta i wypowiedzieć zwariowaną uwagę, która znajdowała się na końcu mojego języka, w drzwiach pojawiła się ogromna stopa, a na resztki miłego poranka padł wielki, mroczny cień. Obejrzałem się i ujrzałem znienawidzoną postać.

O framugę opierał się inspektor Hood i uśmiechał złośliwie.

– Popatrzcie tylko: zebranie nieudaczników! – odezwał się ironicznie.

– Popatrzcie tylko: mówiąca dupa! – rzuciła ostro Debroah.

Hood nie wyglądał na obrażonego.

– Dupa, która jest twoim szefem, kochanie – odpowiedział. – Dupa, która znajdzie prawdziwego mordercę policjanta, zamiast się mizdrzyć w *Good Morning America*.

Deborah oblała się rumieńcem; uwaga była niesprawiedliwa, ale celna. Trzeba przyznać, że natychmiast się odcięła.

– Pilnuj swojego małego fiuta, Hood!

– Jeśli coś takiego w ogóle istnieje – dodałem wesoło. Rodzina musi się trzymać razem.

Hood popatrzył na mnie nienawistnym wzrokiem, a potem uśmiechnął się jeszcze złośliwiej.

– Ach, ty... – warknął. – Od tej chwili jesteś wyłączony ze sprawy. Podobnie jak twoja hollywoodzka siostra.

– Doprawdy? – spytałem. – Bo mogę udowodnić, że się mylisz?

– Nie – odpowiedział. – Ponieważ w naszym śledztwie... – umilkł, po czym dodał z wyraźną rozkoszą – ...interesujemy się również tobą.

Szykowałem się do wypowiedzenia kolejnej dowcipnej, złośliwej uwagi pod jego adresem, ale słowa Hooda kompletnie mnie zaskoczyły. W języku policyjnym określenie „interesujemy się tobą” oznacza: „Uważamy, że jesteś winny, i zamierzamy tego dowieść”. Spoglądałem na niego z przerażeniem, rozumiejąc, że jestem podejrzany o morderstwo, którego nie popełniłem; trudno było na to żartobliwie odpowiedzieć. Moje usta kilkakrotnie otworzyły się i zamknęły, jakbym był strzępielem wyjętym z wody, lecz nie wydałem żadnego dźwięku. Na szczęście wyręczyła mnie Deborah.

– Co to za kretynizmy, Richard?! – spytała. – Nie możesz go szykanować za to, że uważa cię za durnia.

– Ach, nie martw się, mam naprawdę dobre powody, by się nim interesować – odparł z uszczęśliwioną miną.

Nagle do mojego gabinetu wszedł mężczyzna, który wydawał się jeszcze bardziej zadowolony. Przez całe życie czekał na odpowiedni moment, by w dramatyczny sposób wkroczyć na scenę. Słowa Hooda ciągle wisiały w powietrzu, gdy usłyszałem na korytarzu rytmiczne stukanie, po czym w drzwiach ukazał się najszczęśliwszy człowiek na świecie.

Używam określenia „człowiek”, lecz w gruncie rzeczy tylko trzy czwarte należało do gatunku *Homo sapiens*. Stukot protez na schodach świadczył o braku stóp, a zamiast dłoni znajdowały się pary metalowych szczyptic.

Ale zęby były ciągle ludzkie i obnażył je w szerokim uśmiechu. Wszedł do gabinetu i podał Hoodowi szarą kopertę.

– Dziękuję – rzekł Hood. Sierżant Doakes skinął w milczeniu głową i spojrzał na mnie badawczo. Jego ekstatyczny uśmiech wzbudził moją trwogę.

– Co to za idiotyzmy? – spytała Deborah. Hood w milczeniu pokręcił głową i otworzył kopertę. Wyjął dużą kolorową fotografię formatu A4 i rzucił na biurko.

– Możesz nam wyjaśnić, co to takiego? – zwrócił się do mnie.

Wyciągnąłem rękę i wziąłem zdjęcie. Nie widziałem go wcześniej, ale kiedy na nie popatrzyłem, w mojej głowie pojawiła się niespokojna myśl: Ten człowiek jest do mnie podobny! Odetchnąłem, by się uspokoić, znów spojrzałem i pomyślałem: To ja! Nie miało to żadnego sensu i stopniowo zacząłem dochodzić do siebie.

Na fotografii znajdował się Dexter, bez koszuli, odwrócony tyłem do kamery, oddalający się od ciała leżącego na chodniku. Najpierw pojawiła się myśl: Nie pamiętam, bym kiedyś zostawił zwłoki na ulicy... Może nie świadczy to o mnie najlepiej, lecz gdy spojrzałem na swój nagi tors, przysłała mi do głowy druga myśl: Nieźle wyglądam! Sprężyste mięśnie, płaski brzuch, ani śladu tłuszczu, jaki niedawno pojawił się wokół mojej talii. Oznaczało to, że zdjęcie zrobiono prawdopodobnie rok albo dwa lata temu. Jednak dalej nie rozumiałem, dlaczego Doakes jest taki zachwycony.

Odepchnąłem swoje narcystyczne myśli i starałem się skupić na samej fotografii, ponieważ wyglądało na to, że może być dla mnie groźna. Nic nie przychodziło mi do głowy, nie miałem pojęcia, kto ją zrobił, gdzie ani kiedy.

– Skąd to wzięłeś? – spytałem, patrząc na Hooda.

– Poznajesz to zdjęcie?

– Nigdy go wcześniej nie widziałem – odrzekłem. – Ale myślę, że to ja.

Doakes wydał gulgocący odgłos, który mógł być śmiechem, a Hood skinął głową, jakby coś zaświtało w jego tępym mózgu.

– Myślisz... – mruknął.

– Tak – odpowiedziałem. – Tobie także by to nie zaszkodziło.

Wyjął z koperty następne zdjęcie i rzucił je na biurko.

– A to? – spytał. – Też myślisz, że to ty?

Popatrzyłem na fotografię. Wykonano ją w tym samym miejscu, ale teraz znajdowałem się nieco dalej od zwłok i wkładałem koszulę. W kadrze pojawiło się coś nowego i po chwili rozpoznałem tył głowy Angela Batisty. Pochylał się nad ciałem leżącym na ziemi i nagle mnie olśniło.

– Och – westchnąłem z ulgą. Nie była to fotografia Dextera pozbawiającego kogoś życia, tylko Dextera na służbie, w trakcie rutynowych czynności śledczych. Mogłem to łatwo wyjaśnić, a nawet poprzeć dowodami. Nic mi nie groziło.

– Teraz sobie przypominam. To było dwa lata temu, po zabójstwie w Liberty City. Ofiary zastrzelono z przejeżdżającego samochodu, trzy osoby, wszędzie było mnóstwo krwi. Poplamiałem sobie koszulę.

– Aha – rzekł Hood, a Doakes pokiwał głową, wciąż uśmiechając się z zadowoleniem.

– To się czasami zdarza – ciągnąłem. – Na wszelki wypadek noszę w torbie czystą koszulę. – Hood w dalszym ciągu na mnie patrzył. Wzruszyłem ramionami. – Dlatego się przebrałem – dodałem w nadziei, że wreszcie zrozumie.

– Dobry pomysł – rzekł, kiwając głową, jakby wyrażał aprobatę dla mojego zdrowego rozsądku, i rzucił na biurko jeszcze jedną fotografię. – A to?

Wziąłem zdjęcie do ręki. Tym razem przedstawiało mój profil w zbliżeniu. Spoglądałem w dal z wyrazem szlachetnej tęsknoty w oczach, co prawdopodobnie oznaczało, że zbliża się pora lunchu. Na policzkach miałem kilkudniowy zarost, którego nie było na poprzednich fotografiach, co znaczyło, że zdjęcie wykonano w innym dniu. Widać było wyłącznie moją twarz, więc nie mogłem się zorientować, gdzie i kiedy je zrobiono. Zaletą było to, że nie dałoby się go wykorzystać jako materiału dowodowego przeciwko mnie.

Pokręciłem głową i odłożyłem fotografię z powrotem na biurko.

– Bardzo ładne zdjęcie – powiedziałem. – Powiedz mi, Hood, czy naprawdę uważasz, że mężczyzna może być zbyt przystojny?

– Tak – odpowiedział. – Może też być zbyt dowcipny. – Rzucił na biurko kolejne zdjęcie. – Z tego będziesz żartować, chłopcze?

Podniosłem fotografię. Przedstawiała mnie stojącego naprzeciwko Camilli Figg. Na jej twarzy malował się wyraz uwielbienia i czułości, który musiał zrozumieć nawet taki idiota jak Hood. Szukałem jakichś wskazówek i w końcu rozpoznałem tło. Zdjęcie zrobiono obok Torch of Friendship, po odnalezieniu zwłok Gunthera. Ale co z tego? Dlaczego ten kretyń pokazuje mi fotografie, na których dobrze wypadłem? Rzuciłem zdjęcie na biurko.

– Nie wiedziałem, że jestem taki fotogeniczny – rzekłem. – Mogę zatrzymać te zdjęcia?

– Nie – odpowiedział Hood. Pochylił się nade mną nad biurkiem i poczułem wstrętny odór niemytego ciała i taniej wody kolońskiej, aż ogarnęły mnie mdłości. Zebrał fotografie, wyprostował się i schował je z powrotem do koperty.

Kiedy się ode mnie odsunął, znów mogłem oddychać. Byłem coraz bardziej zaciekawiony.

– Ładne zdjęcia, ale co z nich wynika? – spytałem.

– Co z nich wynika? – powtórzył Hood, a Doakes wydał wesóły, nieartykułowany dźwięk. Zniekształcone sylaby przypominały zwrot: „Mamy cię!”, co bardzo mi się nie spodobało. – Nie masz nic więcej do powiedzenia na temat fotografii kolekcjonowanych przez swoją dziewczynę?

– Jestem żonaty – odpowiedziałem. – Nie mam dziewczyny.

– Teraz już nie masz – stwierdził Hood. – Nie żyje. – Hood i Doakes obnażyli białe zęby w drapieżnym uśmiechu; zrobili to jednocześnie, jak na komendę. – Te zdjęcia znaleziono w mieszkaniu Camilli Figg. Były ich setki. – Wszystkie przedstawiały ciebie – dodał, wyciągając w moją stronę gruby paluch wielkości banana.

20

Gdzieś na tym świecie mogły śmiać się i bawić beztrosko dzieci. Gdzieś wiał łagodny wiatr, poruszając źdźbłami trawy na łące, a niewinni młodzi kochankowie trzymali się za ręce i spacerowali w świetle słońca. Jest nawet możliwe, choć mało prawdopodobne, że gdzieś na tej brudnej, małej planecie w sercach i umysłach uczciwych ludzi panował pokój, miłość i szczęście. Ale w tym miejscu, w tej chwili, Dexter znalazł się na samym dnie, a szczęście wydawało się tylko szyderczą bajką – chyba że dla Hooda albo Doakesa, którzy z pewnością sądzili, że żyją w najlepszym z możliwych światów. Widzicie tego śmiesznego Dextera? Popatrzcie, jak się wierci! Cały się spocił! Ha! Ha! Ha! Cóż za zabawny facet! Ach, spójrzcie – porusza ustami, ale wydobywają się z nich tylko niezrozumiałe dźwięki! Męcz się, Dexter! Męcz się i jąkaj! Ha! Ha! Ha! Ale ubaw!

W dalszym ciągu usiłowałem coś wykrztusić, gdy odezwała się moja siostra:

– Co za gówna tu pieprzycie, do cholery?! – spytała i zdałem sobie sprawę, że właśnie tych słów szukałem, toteż zamknąłem usta i skinąłem głową.

Hood uniósł brwi tak wysoko, że prawie połączyły się z włosami.

– Pieprzycie? – powtórzył z udawanym zdziwieniem. – Niczego nie pieprzymy. Prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa i analizujemy materiał dowodowy.

– Kilka kretyńskich fotografii? – W głosie Debs zabrzmiała bezbrzeżna pogarda.

Hood pochylił się w jej stronę.

– Kilka?! – prychnął. – Mówiłem, że są ich setki. – Znów skierował w moim kierunku gruby paluch. – I wszystkie przedstawiają tego kochasia!

– Nic z tego nie wynika! – stwierdziła Deborah.

– Ładnie oprawione, porozwieszane na ścianach – ciągnął bezlitośnie Hood. – Przyklejone do lodówki. Ich stosy leżały na stoliku przy łóżku. Pudełka w garderobie. Skoroszyt w toalecie! – Uśmiechnął się lubieżnie. – Setki zdjęć twojego braciszka, słodziutka. – Zrobił pół kroku w stronę Debs i mrugnął. – Nie zamierzam z tym iść do telewizji jak niektórzy nieudacznicy, którzy aresztują niewłaściwe osoby, ale to ja kieruję śledztwem i uważam, że te fotografie mają bardzo duże znaczenie. Myślę, że twój braciszek spał z Camillą, a ona zamierzała o tym powiedzieć jego ładnej żonce, więc się jej pozbył. Dlatego muszę zadać oficjalne pytanie. – Odsunął się od Debs, zrobił krok w moim kierunku, pochylił się nade mną i zapach jego potu zmieszany z cuchnącym oddechem sprawił, że zaczęły mi łzawić oczy. – Chcesz coś powiedzieć na temat tych fotografii, Dexter? A może coś o swoim związku z Camillą Figg?

– Nic nie wiem o tych zdjęciach – odrzekłem. – Nie miałem żadnych prywatnych kontaktów z Camillą. Po prostu z nią pracowałem. Prawie jej nie znałem.

– Aha – mruknął Hood, wciąż pochylając się nade mną. – To wszystko? Masz coś do dodania? – To, że powinieneś umyć zęby.

Nie poruszał się przez kilka długich sekund, które wydawały się jeszcze dłuższe, bo czułem na twarzy jego oddech. W końcu skinął głową, wyprostował się powoli i rzekł:

– Widzę, że czeka nas niezła zabawa. – Skinął głową w moją stronę i jego złośliwy uśmiech stał się jeszcze szerszy. – Od godziny piątej jesteś zawieszony w czynnościach aż do zakończenia śledztwa. Jeśli chcesz się odwołać od tej decyzji, skontaktuj się z koordynatorem spraw personalnych. – Odwrócił się w stronę sierżanta Doakesa i skinął radośnie głową, a ja poczułem ściskanie w żołądku, po czym usłyszałem nieuniknione słowa: – Jest nim sierżant Doakes.

– Oczywiście, że to zrobię – odpowiedziałem. Rozegrali to idealnie. Na twarzach Hooda i Doakesa malowało się autentyczne szczęście, a kiedy Hood nie był już w stanie dłużej się uśmiechać, bo groziłoby to trwałym zniekształceniem twarzy, ruszył w stronę drzwi. W progu odwrócił się, wyciągnął palec w stronę Deborah i udał, że strzela z pistoletu.

– Jeszcze się zobaczymy, mała! – powiedział, po czym wyszedł z gabinetu. Był tak rozpromieniony, że wyglądał, jakby podążał na własne przyjęcie urodzinowe.

Sierżant Doakes przez cały czas nie odrywał ode mnie oczu i nie zrobił tego także teraz. Uśmiechał się w milczeniu; wydawało się, że od dawna tak świetnie się nie bawił. W końcu, gdy już zamierzałem rąbnąć go w głowę krzesłem, wydał straszliwy, nieartykułowany dźwięk, który miał być śmiechem, po czym wyszedł za Hoodem na korytarz.

W moim gabinecie przez długi czas panowało milczenie. Nie była to spokojna cisza sprzyjająca kontemplacji, lecz spokój, jaki następuje po wybuchu, gdy ci, co ocaleli, spoglądają na martwe ciała i zastanawiają się, czy za chwilę eksploduje następna bomba. W końcu Deborah pokręciła głową i rzekła:

– Jezu Chryste!...

Wydawało się, że dobrze podsumowała sytuację, więc nie odezwałem się ani słowem, za to Debs powtórzyła:

– Jezu Chryste! – I po chwili dodała. – Muszę wiedzieć, Dexter.

Popatrzyłem na nią zaskoczony. Mówiła bardzo poważnym tonem, jednak nie potrafiłem odgadnąć, o co chodzi.

– Co chcesz wiedzieć, Debs?

– Czy spałeś z Camillą.

– Jezu Chryste, Debs! – odparłem autentycznie wstrząśnięty. – Ty też myślisz, że ją zabiłem?!

Wahała się pół sekundy za długo.

– Nie – odpowiedziała, lecz nie zabrzmiało to przekonująco. – Ale musisz rozumieć, jak to wygląda.

– Dla mnie wygląda to tak, jakbyś nie ufała własnemu bratu. To szaleństwo. Przez całe życie zamieniłem z Camillą dwadzieścia słów.

– Tak, ale te wszystkie cholerne fotografie...

– I co z tego? Nie ja je zrobiłem i nie rozumiem, co twoim zdaniem oznaczają.

– Kretyni tacy jak Hood przywiązują wielką wagę do podobnych spraw. Pójdzie tym tropem i skonstruuje oskarżenie oparte na poszlakach – ciągnęła. – Uważa to za idealny schemat: żonaty facet śpi z koleżanką z pracy, a potem ją morduje, by żona się niczego nie dowiedziała.

– Ty też tak uważasz? – spytałem.

– Mówię teoretycznie – odparła. – Musisz rozumieć, jak wygląda sytuacja. Niestety, brzmi to wiarygodnie.

– Ale jest zupełnie niewiarygodne dla każdego, kto mnie zna! – stwierdziłem. – Kompletny idiotyzm! Jak mogłaś coś takiego pomyśleć?! – Przez moment targały mną autentyczne ludzkie emocje: czułem się zraniony, zdradzony i wściekły. Raz w życiu byłem absolutnie niewinny i nie wierzyła w to nawet moja własna siostra.

– Zrozum: mówię teoretycznie – powtórzyła.

– Ale tak naprawdę wynika z tego, że wdepnąłem w gówna i nie możesz mi pomóc, prawda?

– Daj spokój! – rzuciła i muszę zapisać na jej korzyść, że poruszyła się niespokojnie.

– Sugerujesz, że twój brat może być człowiekiem, który morduje koleżanki z pracy za pomocą młota? – Ciągnąłem, ponieważ potrafię być nieubłagany. – Poważnie rozważasz taką hipotezę, prawda?

– Kurwa mać, Dexter! – zaklęła. – Przepraszam, w porządku?

Patrzyłem na nią jeszcze przez sekundę i wyglądało na to, że naprawdę jest jej przykro. Nie sięgała po kajdanki, więc w końcu powiedziałem:

– W porządku.

Przełknęła ślinę, przez chwilę spoglądała w bok i znów popatrzyła na mnie.

– Więc nigdy nie spałeś z Camillą – rzekła i z nieco większym przekonaniem dodała: – I nigdy nie zabiłeś nikogo za pomocą młota.

– Na razie – odparłem ostrzegawczo.

– Świetnie – stwierdziła, unosząc zdrową rękę, jakby chciała mi dać do zrozumienia, że sobie poradzi, jeśli kiedykolwiek rzucę się na nią z młotem w rękę.

– Mówiąc poważnie: po co ktoś miałby przechowywać choćby jedno moje zdjęcie? – spytałem.

Otworzyła usta, zamknęła je, a potem zrobiła minę, jakby przyszło jej do głowy coś zabawnego.

– Naprawdę nie wiesz? – spytała.

– Co miałbym wiedzieć? O co chodzi?

Ciągle coś ją śmieszyło.

– W porządku, więc nie wiesz, cholera! – rzekła, kręcąc głową, i uśmiechnęła się. – To nie ja powinnam ci to mówić, bo jestem twoją

siostrą, ale nie ma innej rady. – Wzruszyła ramionami. – Jesteś przystojnym facetem, Dexter.

– Dziękuję, ty też nieźle wyglądasz – odpowiedziałem. – Jakie to ma znaczenie?

– Dexter, na litość boską, nie zachowuj się jak kretyn! Camilla się w tobie podkochiwała, dupku!

– We mnie?! Podkochiwała?! – zdziwiłem się. – Masz na myśli romantyczne zauroczenie?

– Tak, kurwa, od lat. Wszyscy o tym wiedzieli.

– Wszyscy oprócz mnie.

– Tak. – Wzruszyła ramionami. – Sądząc po tych zdjęciach, była to kompletna obsesja.

Potrząsnąłem głową, jakbym chciał odpędzić tę myśl. Nie udaję, że rozumiem szalone postęпки istot ludzkich, ale to już była przesada.

– To jakieś wariactwo – stwierdziłem. – Jestem żonaty. Najwyraźniej Debs uznała to za zabawne, bo parsknęła śmiechem.

– Cóż, małżeństwo nie sprawiło, że stałeś się brzydki – zauważyła. – Przynajmniej na razie.

Pomyślałem o Camilli i jej zachowaniu w stosunku do mnie w ciągu ostatnich lat. Niedawno, gdy pracowaliśmy w miejscu, gdzie znaleziono zwłoki Gunthera, nagle pstryknęła mi zdjęcie, a potem, kiedy na nią spojrzałem, zaczęła coś mamrotać na temat flesza. Nigdy nie mówiła pełnymi zdaniami, ale może tylko przy mnie? Kiedy mnie spotykała, oblewała się rumieńcem, a raz, podczas przyjęcia, gdy była pijana, usiłowała mnie pocałować i w końcu upadła na podłogę u moich stóp. Czy to wszystko świadczyło o ukrytej obsesji na moim punkcie? A jeśli tak, to w jaki sposób przyczyniła się ona do jej śmierci?

Zawsze cenilem w sobie zdolność widzenia rzeczy takimi, jakimi naprawdę są, bez emocjonalnych filtrów, którymi ludzie odgradzają się od rzeczywistości. Dlatego podjąłem świadomą próbę oczyszczenia złej atmosfery, którą dosłownie i w przenośni pozostawił po sobie Hood. Fakt pierwszy: Camilla nie żyje. Fakt drugi: zabito ją w niezwykle sposób, co było jeszcze ważniejsze, ponieważ sprawca naśladował sposób zamordowania Gunthera i Kleina. Po co miałyby to robić?

Przede wszystkim stawiało to Deborah w złym świetle. Istnieli ludzie, którym na tym zależało, lecz przebywali w więzieniu bądź prowadzili śledztwo w sprawie morderstwa. Ale stawiało to w złym świetle również mnie – i to było bardziej istotne. Cień zaczął mi grozić, po czym zamordowano Camillę, a ja stałem się głównym podejrzanym.

Skąd miałem wiedzieć, że Camilla ma te wszystkie fotografie? Coś mi się nagle przypomniało, jakiś strzęp biurowych plotek...

Popatrzyłem na Deborah. Obserwowała mnie z uniesioną brwią, jakby się spodziewała, że za chwilę spadnę z krzesła.

– Słyszałaś, że Camilla znalazła sobie narzeczonego? – spytałem.

– Tak. Myślisz, że to on?

– Owszem – odrzekłem.

– Dlaczego?

– Bo zobaczył galerię moich fotografii.

Na twarzy Debs pojawiło się powątpiewanie. Pokręciła głową.

– I zamordował ją z zazdrości?

– Nie. Żeby mnie zrobić.

Deborah spoglądała na mnie przez kilka sekund. Wyraz jej twarzy sugerował, że nie wie, czy mnie uderzyć, czy wezwać pomoc medyczną. W końcu zamrugała i głęboko odetchnęła.

– W porządku, Dexter – rzekła z udawanym spokojem. – Nowy narzeczony Camilli zamordował ją, by cię wrobić. Jasne, dlaczego nie? Skoro to kompletny wariat...

– Oczywiście, że to wariat, Debs. Właśnie dlatego to wszystko ma sens.

– Aha – mruknęła. – Bardzo logiczne, Dex. Ale dlaczego jakiś psychopata miałby zabić Camillę tylko po to, by cię wrobić?

Było to kłopotliwe pytanie. Wiedziałem, kto mógłby to zrobić. Mój Cięć oznajmił, że jest coraz bliżej; to on obserwował mnie na miejscu zbrodni i robił zdjęcia. Zamordował Camillę Figg, by mi dokuczyć. Był to doprawdy szczyt łajdactwa – zabić niewinną osobę, by postawić mnie w trudnej sytuacji. Warto byłoby się zastanowić nad głębią perfidii, jaką okazał w ten sposób, lecz w tej chwili nie miałem na to czasu, a zresztą rozważanie zagadnień moralnych lepiej pozostawić ludziom, którzy wiedzą, co to moralność.

W tym momencie stanąłem wobec bardzo trudnego dylematu: musiałem zdecydować, czy powiedzieć Deborah, że przyczyną ostatnich wydarzeń jest to, iż ktoś mnie widział *in flagrante delicto*. Debs pogodziła się z tym, że jestem potworem, ale siedzenie w komendzie policji i słuchanie opowieści o moim hobby to jednak zupełnie coś innego. Poza tym czuję się niezręcznie, opisując swoje mroczne przygody, nawet Debs. Nie miałem jednak innego wyjścia.

A zatem, nie podając zbyt wielu wstydliwych szczegółów, opowiedziałem siostrze, jak ktoś mnie obserwował w trakcie zabawy – zwariowany bloger, który postanowił mnie zniszczyć. Deborah siedziała z kamienną twarzą, słuchając mojej niezgrabnej relacji, i przez cały czas milczała. Kiedy skończyłem, popatrzyła na mnie wyczekująco, jakby się spodziewała, że nastąpi dalszy ciąg.

– Kto to był? – spytała w końcu. Było to bardziej stwierdzenie niż pytanie i źle ją zrozumiałem.

– Nie wiem, Debs – odrzekłem. – Inaczej mógłbym go dopaść.

Pokręciła niecierpliwie głową.

– Mam na myśli twoją ofiarę – rzekła. – Kim był człowiek, którego zabiłeś?

Przez chwilę po prostu mrugałem; nie rozumiałem, dlaczego interesuje się takim nieistotnym szczegółem, gdy na mojej szyi zaciska się pętla. Sformułowała pytanie w banalny sposób, wypowiadając słowa „ofiarą” i „zabiłeś” beznamiętnym tonem funkcjonariuszki policji. Nie lubiłem myśleć w ten sposób o swoim hobby. Ciągle na mnie patrzyła i zdałem sobie sprawę, że wytłumaczenie, że nie o to chodzi, byłoby znacznie trudniejsze od udzielenia prostej odpowiedzi.

– Steve Valentine, pedofil – odpowiedziałem. – Gwałcił i dusił małych chłopców. – Nie spuszczała ze mnie wzroku, toteż dodałem: – Co najmniej trzech.

Skinęła głową.

– Pamiętam go – rzekła. – Zatrzymaliśmy go dwa razy, ale nie mogliśmy niczego udowodnić.

Z jej czoła znikła część zmarszczek i zdałem sobie ze zdumieniem sprawę, że chciała się tylko dowiedzieć, kto był moim towarzyszem zabaw. Musiała mieć pewność, że przestrzegam zasad wyznaczonych przez Harry’ego, swojego ojca półboga, i była usatysfakcjonowana. Wiedziała, że Valentine jest mordercą, i akceptowała niezwykłą formę wymierzenia mu sprawiedliwości. Popatrzyłem na siostrę z prawdziwą czułością. Bardzo się zmieniła od czasu, gdy po raz pierwszy odkryła, czym jestem, i stłumiła w sobie chęć wsadzenia mnie za kratki.

– W porządku – powiedziała, wyrywając mnie z zamyślenia. – Więc cię widział, a teraz chce cię załatwić?

– Zgadza się – odparłem. Deborah skinęła głową i w dalszym ciągu przyglądała mi się badawczo. Zacisnęła wargi i pokręciła głową, jakby patrzyła na zepsutą maszynę, której naprawa była dla niej za trudna.

– Co możemy z tym zrobić? – spytałem w końcu, zmęczony jej uważnym spojrzeniem.

– Bardzo niewiele, przynajmniej oficjalnie – odpowiedziała. – Jeśli podejmę jakieś działania, natychmiast mnie zawieszą. Nie mogę nawet zwrócić się do kogoś prywatnie, bo śledztwo dotyczy mojego brata...

– To nie moja wina – przerwałem, lekko zirytowany jej tonem.

– Jeśli naprawdę jesteś niewinny... – szepnęła i machnęła lekceważąco ręką.

– Deborah!

– Przepraszam, chciałam powiedzieć, że skoro jesteś niewinny, Hood nie ma żadnych szans na znalezienie czegokolwiek. To kompletny idiota; zawaliłby śledztwo, nawet gdybyś rzeczywiście to zrobił, prawda?

– Czy mają jakiś inny trop? – spytałem. – Coś, co nie ma ze mną związku?

– Posłuchaj: chcę po prostu powiedzieć, że za kilka dni, gdy niczego nie wykryją, możemy zacząć szukać tego gościa. Nie przejmuj się Hoodem i tymi wszystkimi bzdurami. Nie ma się czym martwić. Nie dysponują żadnymi dowodami.

– Doprawdy...

– Poczekajmy spokojnie parę dni – stwierdziła z absolutnym przekonaniem. – Sytuacja nie może się pogorszyć.

21

Jeśli w życiu możemy się w ogóle czegokolwiek nauczyć, szybko odkrywamy, że kiedy ktoś jest czegoś absolutnie pewny, zwykle całkowicie się myli. Obecny przypadek nie był wyjątkiem. Moja siostra jest znakomitym detektywem, świetnie strzela z pistoletu i z pewnością posiada inne godne podziwu zalety – ale gdyby kiedykolwiek usiłowała zarabiać na utrzymanie jako wróżka, umarłaby z głodu. Jej pocieszające słowa: „Sytuacja nie może się pogorszyć”, ciągle brzmiały w moich uszach, gdy odkryłem, że sytuacja może się znacznie pogorszyć i że to się już stało.

Już początek nie był przyjemny: w pracy przez cały dzień wszyscy mnie unikali, co prowadziło do sytuacji o komediowym charakterze – ludzie w panice uciekali na mój widok, udając, że mnie nie widzą. Z jakiegoś powodu trudno mi było docenić efekty komiczne i za sześć piąta czułem się straszliwie zmęczony. Usiadłem ciężko w swoim fotelu i patrzyłem na powoli pełznące wskazówki zegara, które odmierzały ostatnie minuty mojej kariery, a może również wolności.

Usłyszałem kroki w laboratorium, odwróciłem się i zobaczyłem Vince’a Masuokę, który wszedł do pomieszczenia, zauważył mnie i stanął jak wryty.

– Och, zapomniałem o czymś! – powiedział, odwrócił się gwałtownie i wybiegł. Najwyraźniej zapomniał, że ciągle mogę się znajdować w laboratorium i że będzie musiał zamienić kilka słów z kolegą z pracy

podejrzewanym o zamordowanie koleżanki. Czułby się w tej sytuacji zbyt niezręcznie.

Westchnąłem głęboko i zacząłem się zastanawiać, czy wszystko ma się skończyć właśnie w ten sposób: zrobił mnie kompletny kretyn, odsunęli się ode mnie koledzy, tropił mnie maniak komputerowy, który nie dał sobie rady nawet w drugoligowej drużynie baseballowej. Było to bardzo smutne – a na początku wszystko szło tak znakomicie.

Tykał zegar; za dwie piąta. Mogłem zebrać rzeczy i wracać do domu. Sięgnąłem po laptop, ale gdy zamierzałem go zamknąć, przyszła mi do głowy nieprzyjemna myśl i kliknąłem w folder zawierający pocztę przychodzącą. Nie było to nawet przeczucie, tylko cichy głos, który szeptał, że po znalezieniu zwłok w małym, brudnym domu Cień wysłał mi e-maila. Teraz zginęła Camilla, więc może, może...

Kiedy otworzyłem skrzynkę, przypuszczenie zmieniło się w pewność. Temat ostatniego otrzymanego przeze mnie e-maila brzmiał: *Jeśli to czytasz, nie jesteś w więzieniu!*

Nie miałem wątpliwości, kto napisał wiadomość, i zacząłem czytać:

Przynajmniej jeszcze nie. Ale nie martw się – jeśli dalej będziesz miał szczęście, niedługo tam trafisz. Byłoby to lepsze niż to, co dla ciebie szykuję. Nie chcę cię po prostu zabić. Ludzie muszą się dowiedzieć, czym jesteś. A potem... Cóż, widziałeś, co potrafię.

Jestem coraz lepszy, przygotowuję się na ciebie. Naprawdę cię lubiła – te wszystkie fotografie, prawda? Były wszędzie! Coś chorobliwego, obsesja. Wpuściła mnie do swojego mieszkania po drugiej randce, czego nigdy by nie zrobiła, gdyby było w niej Dobro. Kiedy zobaczyłem twoją twarz na wszystkich ścianach, wiedziałem, co powinienem zrobić.

Może działałem zbyt pośpiesznie? A może po prostu zaczynam to lubić? Sam nie wiem. Zabawne, prawda? Starając się ciebie pozbyć, coraz bardziej się do ciebie upodabnam. Tak czy inaczej, nie mógł to być przypadek i nie jest mi przykro. Dopiero zaczynam.

Jeśli sądzisz, że zdołasz mnie powstrzymać, dobrze się nad tym zastanów. Nic o mnie nie wiesz oprócz tego, że potrafię robić to samo co ty, i że zamierzam zrobić to tobie. Nie wiesz nawet kiedy, ale już wkrótce.

Miłego dnia!

Plusem wydawało się to, że nie miałem urojeń prześladowczych. Mój Cień naprawdę zamordował Camillę, by mi zaszkodzić. Minusem było to, że Camilla nie żyła i że wpadłem w poważne tarapaty.

Sytuacja stale się pogarszała, choć Deborah uważała to za niemożliwe.

Wracałem do domu odrętwiały i przygnębiony, licząc na spędzenie spokojnego wieczoru wśród kochającej rodziny. Kiedy przyjechałem, przy drzwiach frontowych czekała na mnie Rita. Nie wydawała się zadowolona.

– Wiedziałaś, ty sukinsynu! – syknęła na powitanie. Ogarnęło mnie takie zdumienie, jakby rzuciła we mnie krzesłem.

A to był dopiero początek. – Jak mogłeś, Dexter, do cholery?! – zawołała. Zaciskała pięści, a na jej twarzy malował się gniew. Wiem, że można mi wiele zarzucić, czasem nie jestem w porządku nawet wobec Rity, ale ostatnio nieustannie oskarżano mnie o zbrodnie, których nie popełniłem i o których nie mam zielonego pojęcia.

Zwykle potrafię szybko znaleźć trafną, ciętą ripostę; jestem z tego znany. Ale tym razem byłem zbyt zaskoczony, by coś powiedzieć. Popatrzyłem na Ritę wybałuszonymi oczyma i wyjąkałem:

– Jak mogłem...? O co ci chodzi?

Moje słowa zabrzmiały słabo i Rita natychmiast to wykorzystała. Uderzyła mnie w ramię we wrażliwe miejsce, które było ulubionym celem Debs.

– Ty cholerny sukinsynu! Wiedziałam!

Zerknąłem w stronę kanapy. Cody i Astor wpatrywali się jak zahipnotyzowani w ekran, pochłonięci grą na Wii, a Lily Anne siedziała w kojcu i z zadowoloną miną obserwowała, jak zabijają potwory. Na razie nie słyszeli słów Rity, ale gdyby doszło do awantury, musieliby coś zauważyć. Chwyciłem dłoń Rity, zanim zdążyła mnie znów uderzyć, i powiedziałem:

– Rito, na litość boską, co zrobiłem?!

Wyrwała rękę.

– Sukinsyn! – powtórzyła. – Doskonale wiesz, co zrobiłeś! Spaleś z tą tłustą suką, niech cię cholera!

Od czasu do czasu przeżywamy chwile, które wydają się zupełnie bezsensowne. Odnosimy wtedy wrażenie, że jakiś wszechpotężny montażysta wyciął fragment naszego życia z normalnej rzeczywistości, a następnie przeniósł do innego filmu, całkowicie przypadkowego, przedstawiającego inną epokę i kraj, częściowo animowanego – rozglądamy się nagle i widzimy, że wszyscy mówią w obcym języku, a to, co się dzieje, nie ma żadnego związku z rzeczywistością.

Był to jeden z takich momentów. Rita, spokojna, oddana żona Dextera, która nigdy nie wpadała we wściekłość i nigdy, przenigdy nie klęła, nagle wpadła w furję i zaczęła przeklinać, obrzucając wyzwiskami swojego niewinnego męża.

Ale chociaż nie wiedziałem, w jakim filmie uczestniczę, rozumiałem, że teraz pora na moją kwestię i że muszę szybko opanować sytuację.

– Rito – powiedziałem. – To, co mówisz, nie ma żadnego sensu...

– Pieprzę sens i pieprzę ciebie! – zawołała, tupiąc nogą i unosząc pięść, by znów mnie uderzyć. Astor spojrzała na nas (w tej chwili grał Cody), a ja wziąłem Ritę za rękę i odciągnąłem od frontowych drzwi.

– Chodź – powiedziałem. – Porozmawiajmy o tym w kuchni.

– Nie zamierzam... – zaczęła.

– Dzieci nie muszą tego słuchać! – przerwałem, podnosząc głos. Rita popatrzyła na Cody'ego i Astor; na jej twarzy pojawiło się poczucie winy. Wyszła wraz ze mną do kuchni. – W porządku – stwierdziłem, odsuwając krzesło i siadając przy stole jadalnym. – Czy mogłabyś mi powiedzieć, o co ci właściwie chodzi, posługując się prostymi, jasnymi słowami, które nie są zakazane w stanie Kentucky?

Rita stała u szczytu stołu i spoglądała na mnie z wściekłością. Skrzyżowała ramiona na piersiach.

– Jesteś taki cholernie ułożony! – powiedziała przez zęby. – Nawet teraz! Niewiele brakuje, bym ci uwierzyła! Sukinsyn!

Rzeczywiście jestem ułożony, zimny jak lód i potrafię znakomicie się kontrolować, zawsze odnosiłem z tego same korzyści. Ale w tej chwili czułem, że temperatura się podnosi, i zaczęła mnie ogarniać frustracja. Zamknąłem oczy i odetchnąłem głęboko, by odzyskać panowanie nad sobą.

– Proszę cię, udawajmy przez minutę, że nie mam pojęcia, o czym mówisz... – zacząłem, spoglądając na Ritę z bardzo autentycznym wyrazem cierpienia.

– Ty sukinsynu, nie próbuj...

Uniosłem rękę.

– Nie musisz mi przypominać, że jestem sukinsynem; pamiętam o tym. Problem polega na tym, że nie wiem, dlaczego nim jestem, rozumiesz?

Przez chwilę spoglądała na mnie z wściekłością i zaczęła nerwowo stukać butem w podłogę. Później zdjęła ręce z piersi i odetchnęła głęboko.

– W porządku – rzekła. – Wszystko ci powiem, draniu! Miałeś romans z koleżanką z pracy: mówił mi o tym inspektor! – Oskarżycielsko wyciągnęła palec w moją stronę, a w jej głosie zabrzmiało całkowite przekonanie, jakby to, że mówił jej o tym inspektor policji, stanowiło niepodważalny dowód. – Spytał, czy wiem o twoim romansie i o fotografiach! A potem opisywali to w telewizji! Jezu Chryste, Dexter, czy naprawdę ją zabiłeś, żebym się o niczym nie dowiedziała?!

Jestem pewien, że jakaś część mojego mózgu wciąż funkcjonowała, bo dalej oddychałem. Ale utraciłem zdolność logicznego myślenia; w mojej głowie wirowały słowa i fragmenty obrazów, a ja wciąż nie mogłem ich ułożyć w sensowną całość. W końcu zdałem sobie sprawę, że upłynęło trochę czasu i że milczenie staje się niepokojąco długie, lecz mimo to ciągle nie byłem w stanie zebrać myśli i wykrztusić sensownego zdania. Powoli dotarły do mnie poszczególne słowa: „sukinsyn”, „zabiłeś”, „inspektor”... i w końcu ujrzałem w wyobraźni twarz człowieka podobnego do małpy, o niskim czole i złośliwym uśmiechu.

– Hood? – spytałem wstrząśnięty. – Rozmawiał z tobą Hood?!

– Chyba mam prawo wiedzieć, czy mój mąż kogoś zamordował – stwierdziła Rita. – I czy mnie zdradza! – dodała, jakby zabójstwo było rzeczą wybaczalną, a zdrada czymś godnym najwyższej pogardy. W naszym społeczeństwie hierarchia wartości jest zupełnie odwrotna, lecz nie był to czas na rozważanie problemów etycznych.

– Ledwo znałem Camillę, Rito – odezwałem się ze spokojną pewnością siebie.

– Gówno prawda! – odrzekła. – Richard... to znaczy inspektor Hood twierdzi, że w jej mieszkaniu wszędzie wisiły twoje fotografie!

– Tak, a Astor ma zdjęcia Jonas Brothers – powiedziałem, uznając to za trafny argument, lecz Rita z jakiegoś powodu nie chciała go przyjąć.

– Astor to jedenastolatka – odparła jadowitym tonem, jakby użycie przeze mnie tego porównania było łąjdactwem, którego nie wolno puścić płazem. – I nie spędza całych nocy z Jonas Brothers!

– Camilla i ja pracowaliśmy razem, niekiedy do późna – odpowiedziałem, usiłując rozproszyć nonsensowne podejrzenia. – W miejscu publicznym. Wokół nas było wielu policjantów.

– I wszyscy mają setki twoich zdjęć?! – spytała ostro. – Wieszają je na ścianie toalety?! Proszę, nie obrażaj mojej inteligencji!

Bardzo chciałem powiedzieć, że aby obrazić jej inteligencję, musiałbym najpierw zauważyć istnienie jej przejawów, lecz czasem trzeba zrezygnować z celnej riposty w imię wyższego celu i prawie na pewno była to jedna z takich chwil.

– Posłuchaj, Rito, Camilla rzeczywiście zrobiła mi dużo zdjęć – powiedziałem, unosząc dłonie na znak, że jestem gotów się przyznać do kłopotliwych faktów. – Deborah twierdzi, że się we mnie podkochiwała. Nie miałem nad tym kontroli. – Westchnąłem i pokręciłem głową, dając do zrozumienia, że dźwigam na swoich barkach ciężkie brzemię niesprawiedliwych zarzutów. – Ale nigdy cię nie zdradzałem. Ani z Camillą, ani z kimkolwiek innym.

Zauważyłem na jej twarzy pierwszy błysk wątpliwości – jestem bardzo dobry w imitowaniu ludzkich zachowań i tym razem mogłem powiedzieć coś bardzo zbliżonego do prawdy. Rita wyczuła, że mówię szczerze.

– Gówno prawda! – rzuciła, ale już z mniejszym przekonaniem. – A te wszystkie noce, gdy cię nie ma w domu?! Głupie wymówki na temat pracy? Miałabym w to uwierzyć? – Pokręciła głową i znów zaczęła w niej wzbierać złość. – Do licha, wiedziałam, że właśnie o to chodzi! Po prostu wiedziałam... A teraz ją zabiłeś!

Czułem się niezręcznie, nawet jeszcze bardziej niż w chwili, gdy pierwszy raz mnie oskarżyła. W dniach, o których mówiła, rzeczywiście czymś się zajmowałem; nie zdradzałem Rity – na pewno nie z Camillą – jednak po prostu spokojnie oddawałem się swojemu względnie nieszkodliwemu hobby. Nie mogłem niestety jej tego powiedzieć ani dostarczyć dowodów swojej niewinności. Miałem zresztą nadzieję, że takie dowody w ogóle nie istnieją; zawsze bardzo dokładnie sprzątam. Co najgorsze, błędnie przyjąłem, że Rita nie zauważa, jak się wymykam z domu, co wydało mi się teraz niewiarygodnie głupie.

Życie to nieustanna walka. Aby przeżyć, trzeba umieć stawić czoła trudnym sytuacjom, a jeśli wymaga to pewnej dozy kreatywności, zwykle daję sobie z tym radę, zwłaszcza że nie przeszkadza mi przymus mówienia prawdy. Nabrałem powietrza w płuca i zacząłem ją przekonywać.

– Rito – powiedziałem. – Praca jest dla mnie bardzo ważna. Pomagam tropić naprawdę groźnych przestępców. Nawet nie ludzi: prawdziwe bestie. Są one ogromnym zagrożeniem dla nas wszystkich, nawet... – Bezwstydnie umilkłem, by zwiększyć efekt dramatyczny. – Nawet dla Lily Anne.

– I dlatego wychodzisz w nocy z domu? – spytała. – By tropić przestępców?

– Ja, eee... – Zająknąłem się, udając zawstydzonego. – Czasami miewam różne pomysły. Przychodzą mi do głowy sposoby rozwiązania zagadek kryminalnych.

– Och, daj spokój! – rzekła. – To zupełnie niewiarygodne... Nie jestem taka naiwna, na litość boską!

– Rito, do licha, jesteś taka sama jak ja. Masz obsesję na punkcie swojej pracy! Pracujesz wieczorami i sądziłem, że powinnaś mnie rozumieć!

– Nie wymykam się po nocy z domu, by iść do firmy – odpowiedziała.

– Nie musisz – stwierdziłem, nabierając rozpędu. – Możesz obliczać wszystko w głowie albo na kawałku papieru. A ja potrzebuję wyposażenia znajdującego się w laboratorium.

– Cóż, ale... – odezwała się i zauważyłem, że w jej oczach pojawiły się wątpliwości. – Po prostu przyjąłem... To znacznie bardziej prawdopodobne...

– Uważasz za prawdopodobne, że zdradzałbym kogoś tak pięknego jak ty? – spytałem. – Z taką brzydulą jak Camilla Figg?

Wiem, że jeśli ktoś źle mówi o zmarłych, Bóg może go ukarać. Zacząłem obmawiać drogą, martwą Camillę, jakbym chciał dowieść, że Bóg nie istnieje, gdyż z sufitu nie wyleciał piorun i nie trafił w moją głowę, a wyraz twarzy Rity jeszcze bardziej złagodniał.

– Ale przecież – rzekła i z ulgą zauważyłam, że znów zaczyna mówić niekompletnymi zdaniem, jak to miała w zwyczaju. – Richard powiedział... A ty nigdy, gdy wracałeś późno do domu... – Zatrzepotała rękami i uniosła dłoń. – A te wszystkie fotografie?

– Wiem, że dziwnie to wygląda – stwierdziłem. Nagle przyszedł mi do głowy fantastyczny pomysł, na który mogła wpaść tylko taka całkowicie pusta, zła do szpiku kości imitacja człowieka jak ja. To była idealna odpowiedź. – Dziwnie to wygląda dla inspektora Hooda, przepraszam, Richarda. – Pokręciłem głową z gorzkim uśmiechem, by okazać żal, że Rita jest po imieniu z moim wrogiem. – Mam z tego powodu poważne kłopoty. Ale, szczerze mówiąc, myślałem, że staniesz po mojej stronie i mnie wesprzesz. Sądziłem, że mogę na ciebie liczyć w trudnej sytuacji.

Było to doskonałe zagranie, druzgocący cios. Rita opadła na fotel jak nadmuchiwana lalka, z której uszło powietrze.

– Ale to tylko... – wyjąkała. – Przecież nawet... Powiedział... Jest inspektorem policji...

– To niedobry człowiek – powiedziałem. – Bije podejrzanych, by się przyznali. I nie lubi mnie.

– Ale skoro nie zrobiłeś nic złego... – rzekła, po raz ostatni próbując się przekonać, że jestem winny.

– Zdarzały się już przypadki wrabiania ludzi – odpowiedziałem ze znużeniem. – Jesteśmy w Miami.

Pokręciła powoli głową.

– Ale on był zupełnie pewny... Jak mógłby... Gdybyś nie miał nic na sumieniu...

W niektórych chwilach powtarzanie argumentów brzmi jak próba usprawiedliwiania się. Przekonałem się o tym na podstawie wieloletniej obserwacji codziennych ludzkich zachowań i czułem, że powinienem zmienić taktykę. Na szczęście wiele razy widziałem podobne sytuacje w telewizji i dobrze wiedziałem, co należy zrobić. Położyłem dłonie na stole i wstałem.

– Rito – rzekłem z godnością. – Jestem twoim mężem i nigdy cię nie zdradziłem. Jeśli nie możesz mi uwierzyć w chwili, gdy naprawdę cię potrzebuję, myślę, że inspektor Hood powinien mnie zabrać do więzienia. – Powiedziałem to tak szczerze, z takim przekonaniem i patosem, że prawie sam w to uwierzyłem.

Była to moja ostatnia sztuka amunicji, lecz strzał był celny. Rita przygryzła wargi, potrząsnęła głową i powiedziała:

– Ale te wszystkie noce, kiedy... A fotografie... Teraz ona nie żyje... – Przez sekundę na jej twarzy znów pojawiło się powątpiewanie i już myślałem, że przegrałem, jednak po chwili zacisnęła powieki, przygryzła wargę i zrozumiałem, że wygrałem. – Och, Dexter, a jeśli mu uwierzą? – Otworzyła oczy i po policzku pociekł jej łza; wytarła ją palcem i zacisnęła usta. – Sukinsyn! – rzuciła i zdałem sobie z ulgą sprawę, że tym razem nie

mówi o mnie. – Ale przecież... Nie może tak po prostu... – Uderzyła dłonią w blat stołu. – Nie pozwolimy mu! – Wstała, podeszła do mnie i objęła mnie. – Ach, Dexter! – rzekła, przytulając twarz do mojego ramienia. – Przykro mi... Musisz być taki...

Pociągnęła nosem, po czym odsunęła się ode mnie na długość ramienia.

– Ale powinieneś rozumieć... – szepnęła. – To nie dopiero teraz... Od pewnego czasu byłeś taki... zachowywałeś się... – Pokręciła powoli głową. – Sam rozumiesz... – W rzeczywistości niczego nie rozumiałem. – To brzmiało sensownie, bo od pewnego czasu... Sama nie wiem... Nie chodzi po prostu o dom, o hipotekę... Liczy się całość... – Bez przerwy potrząsała głową, tym razem nieco szybciej. – Tyle nocy, kiedy... Właśnie tak robią mężczyźni, kiedy mają... A ja tu siedzę z dziećmi i mogę tylko...

Odwróciła się ode mnie i znów skrzyżowała ramiona na piersi. Włożyła do ust palec, przygryzła i po jej policzku potoczyła się łza.

– Boże, Dexter, czuję się taka...

Może z czasem staję się stopniowo coraz bardziej ludzki, ale patrząc na zgarbione plecy Rity i łzy kapiące na podłogę, nagle coś zrozumiałem.

– Właśnie dlatego pijesz za dużo wina – rzekłem. Gwałtownie obróciła głowę w moją stronę i zauważyłem, że mocniej przygryzła palec. – Myślałaś, że się wymykam z domu, bo mam romans.

– Nie potrafiłam nawet... – Zdała sobie sprawę, że wciąż gryzie palec i wyjęła go z ust. – Po prostu... Co jeszcze mogłam zrobić? Kiedy jesteś taki... to znaczy, czasem... – Odetchnęła głęboko i zrobiła krok w moją stronę. – Nie wiedziałam, co robić, i czułam się taka... taka bezradna... Naprawdę... A potem pomyślałam, że to prawdopodobnie moja wina... Zaraz po urodzeniu dziecka? A ty nigdy... – Pokręciła gwałtownie głową. – Byłam taką idiotką! Och, Dexter, bardzo cię przepraszam!

Oparła czoło na mojej piersi i pociągnęła nosem. Zrozumiałem, że teraz moja kolej.

– Ja też cię przepraszam – powiedziałem i objąłem ją. Uniosła głowę i spojrzała mi głęboko w oczy.

– Jestem idiotką – powtórzyła. – Powinnam była się domyślić... Liczymy się tylko my, Dexter. Tak myślałam. Aż nagle wszystko wydało się takie... – Wyprostowała się nagle i chwyciła mnie za ramiona. – Nie spałeś z nią? Naprawdę?

– Naprawdę z nią nie spałem. Słowo honoru – odrzekłem, ciesząc się, że w końcu słyszę kompletne zdanie, na które mogę udzielić jasnej odpowiedzi.

– O Boże! – westchnęła, oparła głowę na moim ramieniu i przez kilka minut płakała. Powinienem chyba odczuwać lekkie wyrzuty sumienia, że manipuluję Ritą w tak skuteczny sposób. A nawet lepiej: mógłbym się odwrócić do kamery i uśmiechnąć ze złośliwym zadowoleniem, ukazując swoją prawdziwą, łajdacką twarz. Ale kamery nie było, a poza tym manipulowałem Ritą za pomocą prawdy. Dlatego po prostu objąłem ją mocniej, a ona moczyła mi koszulę łzami, śluzem i Bóg wie czym jeszcze.

– O Boże! – powiedziała wreszcie, unosząc oczy. – Czasami jestem taka głupia... – Nie zaprzeczyłem, a ona pokręciła głową i otarła twarz rękawem. – Nigdy nie powinnam w ciebie wątpić – dodała, przyglądając mi się uważnie. – Czuję się taka... A ty musisz być całkowicie... O mój Boże, w ogóle nie jestem w stanie... Dexter, tak mi przykro... To po prostu... Ach, co za sukinsyn... Powinniśmy znaleźć ci adwokata...

– Co takiego? – spytałem, usiłując nadażyć za przeskokami myślowymi Rity i zastanawiając się nad nowym, zdumiewającym pomysłem. – Po co mi adwokat?!

– Nie bądź naiwny, Dexter – odpowiedziała, potrząsając głową. Pociągnęła nosem i zaczęła z roztargnieniem głaskać mój bark wilgotny od łez. – Jeśli Rich... to znaczy inspektor Hood... – umilkła, oblewając się rumieńcem – ...chce udowodnić, że ją zamordowałeś, powinieneś mieć dobrego prawnika. Carlene, moja koleżanka z pracy, mówiła, że jej szwagier. Pierwsza konsultacja jest prawie bezpłatna, więc nie będziemy musieli... Zresztą pieniądze nie grają roli... Spytałem ją jutro – zakończyła, uznając temat za wyczerpany.

Umilkła i znów popatrzyła na mnie badawczo, wodząc oczami w prawo i w lewo. Najwyraźniej nie dostrzegła tego, czego szukała, bo po chwili znów się odezwała: – Dexter.

– Tak?

– Musimy ze sobą więcej rozmawiać.

Zamrugalem, co z tak bliskiej odległości musiało jej się wydać dziwne, bo również zatrzepotała rzęsami.

– Jasne... O czym? – spytałem.

Dotknęła dłonią mojego policzka i przez chwilę przyciskała rękę tak mocno, jakby próbowała zatamować ciekącą krew. Później westchnęła, uśmiechnęła się, cofnęła rękę i rzekła:

– Czasami jesteś prawdziwym facetem...

Nie mogłem się z nią nie zgodzić, jednak nie miałem pojęcia, do czego zmierza.

– Dziękuję – stwierdziłem niepewnie.

– Po prostu powinniśmy rozmawiać. O różnych rzeczach. To się stało właśnie dlatego, że za mało ze sobą rozmawiamy. Myślę, że to moja wina. – Znów nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

– Cóż, uwielbiam z tobą rozmawiać – stwierdziłem, czując się bardzo niezręcznie.

– Gdybym tylko poruszyła ten temat... – ciągnęła smutnym tonem. – Powinnam była to zrobić wiele tygodni temu.

– Cóż, wreszcie wszystko się wyjaśniło, prawda? – stwierdziłem.

Pokręciła z irytacją głową.

– Nie o to chodzi – rzekła i poczułem przyływ ulgi, choć nie wiedziałem, co ma na myśli. – Po prostu... Powinnam... – Odetchnęła głęboko i potrząsnęła lekko moimi ramionami. – Byłeś bardzo... Powinnam wiedzieć, że jesteś okropnie zajęty i że ciężko pracujesz – ciągnęła. – Musisz też rozumieć, jak to odbierałam... Więc kiedy on przyszedł, wydawało mi się, że to ma sens. Jeśli po prostu zaczniemy częściej ze sobą rozmawiać...

– W porządku – odparłem. Wyrażenie zgody wydawało się trochę prostsze niż zrozumienie.

Najwyraźniej wypowiedziałem właściwe słowa, bo Rita uśmiechnęła się czule, pochyliła i mocno mnie objęła.

– Damy sobie z tym radę, obiecuję – rzekła. A potem odsunęła się nieco i dodała: – Nie zapomniawsz, że w ten weekend jest duży letni biwak drużyny zuchów Cody’ego?

Pamiętałem o tym, lecz nagła zmiana tematu w trakcie dramatycznej rozmowy o problemach małżeńskich zupełnie mnie zaskoczyła. Umilkłem, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

– Nie, nie zapomniałem – powiedziałem w końcu.

– To dobrze – stwierdziła Rita, opierając głowę na mojej piersi. – Cody nie może się doczekać tego wyjazdu... Tobie także dobrze to robi.

Z roztargnieniem głaskałem Ritę po plecach i bardzo się starałem cieszyć na myśl o wyjeździe. Dzięki tępemu policjantowi podobnemu do neandertalczyka i mordercy naśladowującemu cudze zabójstwa i tak miałem dużą szansę na zmianę miejsca pobytu.

22

Nazajutrz był piątek i z przyzwyczajenia obudziłem się o siódmej. Usiadłem na łóżku, lecz gdy doszedłem do siebie, przypomniałem sobie, że nie muszę jechać do pracy i nie mam żadnego powodu, by wstawać – zostałem zawieszony, a śledztwo w sprawie zabójstwa osoby, z którą nie spałem i której nawet nie zamordowałem, prowadzi mój osobisty wróg. Mógłbym poprosić o pomoc tylko człowieka, który śmiertelnie mnie nienawidził – sierżanta Doakesa. Była to prawie idealna pułapka. Wszyscy są zachwyceni, gdy w komiksie wpada w nią czarny charakter, lecz dlaczego miałyby to spotkać Demonicznego Dextera?! Wiem, że mam sporo wad, ale, doprawdy, dlaczego ja?!

Próbowałem szukać pozytywnych aspektów tej sytuacji. Dobrze, że Hood nie zdołał przekonać zwierzchników, by przestano mi wypłacać pobory. Mogło się to okazać ważne, gdyby Rita naprawdę znalazła nowy dom – potrzebowałbym wówczas każdego centa. Siedziałem w domu, oszczędzałem na benzynie i nie musiałem jeść lunchów na mieście – prawdziwy szczęściarz ze mnie! Tak naprawdę, gdyby się nad tym głębiej zastanowić, można by to uznać za coś w rodzaju dodatkowego urlopu – choć po jego zakończeniu mogłem trafić do więzienia albo zginąć. A nawet jedno i drugie.

Na razie byłem zawieszony i nie miałem żadnej możliwości działania, toteż nie musiałem natychmiast zrywać się z łóżka i zadręczać myślami. Gdybym był logiczną, racjonalną istotą, za jaką się uważam, powinienem dostrzec pozytywne strony tego, co się dzieje – nie musiałem wstawać! Postanowiłem z powrotem iść spać, ale okazało się to niemożliwe. Kiedy przypominałem sobie wydarzenia poprzedniego dnia, natychmiast opuściła mnie senność; leżałem przez kilka minut w łóżku, starając się znowu zasnąć, jednak nic z tego nie wyszło.

Przez cały czas słuchałem dźwięków porannej krzątania w domu. Nie zmieniły się, choć było lato i dzieci miały wakacje. Cody i Astor spędzali przedpołudnia w ośrodku dziennej opieki w parku miejskim, gdzie chodzili również w trakcie roku szkolnego, a Rita jeździła do pracy o normalnej porze, toteż poranki były takie same jak zawsze. Słyszałem Ritę w kuchni, a zapach dochodzący z korytarza świadczył, że przygotowuje jajecznicę z serem i grzanki z cynamonem. Dwukrotnie zawołała Cody'ego i Astor, by przyszli na śniadanie. W końcu uznałem, że nie zasnę, i zająłem miejsce na swoim krześle w kuchni w chwili, gdy Cody kończył jeść. Lily Anne siedziała na wysokim krześle, mażąc tacę i swoją buzię sosem jabłkowym. Astor skrzyżowała ręce na piersi i spoglądała z gniewną miną na jedzenie.

– Dzień dobry, Dexter! – rzekła Rita, stawiając przede mną filiżankę kawy. – Cody zjadł resztę jajecznicy, więc muszę przygotować... – Poszła szybko do kuchenki i zaczęła rozbijać jajka na patelnię.

– Nie mogę jeść! – syknęła Astor. – Jedzenie dostaje się pod aparat ortodontyczny! – Wypowiedziała dwa ostatnie słowa wyjątkowo jadowitym tonem i otworzyła usta, by wszyscy mogli zobaczyć, jak straszliwie szpecą ją srebrne druty na zębach.

– Cóż, musisz coś jeść – powiedziała Rita, mieszając jajecznicę. – Dam ci trochę jogurtu albo...

– Nienawidzę jogurtu! – prychnęła Astor.

– Wczoraj go lubiłaś – rzekła Rita.

– Ooooch! – westchnęła Astor przez zaciśnięte zęby. Oparła łokcie na stole z gniewnym wyrazem twarzy. – Zjem jajecznicę – powiedziała takim tonem, jakby się godziła na coś wstrętnego i niebezpiecznego.

– Cudownie! – odparła Rita, a Lily Anne zaczęła stukać łyżeczką w talerz, by wyrazić poparcie dla siostry.

Śniadanie się skończyło, po czym nastąpił codzienny rytuał krzyków, trzaskania drzwiami, tupania, mycia zębów, czesania, ubierania się, szukania skarpetek, przewijania Lily Anne i pakowania jej torby. W końcu rozległy się trzy odrębne trzaśnięcia drzwi frontowych i wszyscy poszli do samochodu. Rita i Astor w dalszym ciągu się sprzeczały, czy różowe skarpetki pasują do czerwonej koszuli. Głos Astor rozpląnął się w dali, usłyszałem trzask drzwi samochodu i nagle w domu zapadła nienaturalna cisza.

Wstałem, włączyłem ekspres i nalałem sobie kubek kawy. Siedziałem beczynnie, zastanawiając się, czemu w ogóle wstałem z łóżka. Mogłem robić, co mi się żywnie podobało – zostałem zawieszony i tropił mnie ktoś, kto uważał, że się do mnie upodabnia. Na dodatek byłem podejrzewany o morderstwo, którego nie popełniłem. Wydawało się to dość zabawne, biorąc pod uwagę to, ile zabójstw uszło mi dotąd bezkarnie. Zaśmiałem się szyderczo z samego siebie, lecz w ciszy pustego domu zabrzmiało to upiornie. Piłem kawę i przez pewien czas użalałem się nad sobą. Okazało się to zaskakująco łatwe – stałem się ofiarą pomyłki wymiaru sprawiedliwości i miałem prawo czuć się zraniony, skrzywdzony i oszukany przez system, któremu tak długo i wiernie służyłem.

Na szczęście nie doszedłem do stanu kompletnego ogłupienia; po chwili zacząłem się zastanawiać, jak wybrnąć z opresji. Ale chociaż tego ranka

wypiłem już trzy kubki kawy, ciągle nie mogłem się skoncentrować. Byłem pewien, że Hood nie znajdzie niczego, co mogłoby mnie obciążyć – nic takiego nie istniało. Ale wiedziałem również, że bardzo mu zależy na rozwiązaniu sprawy zabójstwa Camilli – chciał dobrze wypaść w mediach, a jednocześnie zaszkodzić Deborah. Jeśli dodać do tego nieprzyjemny fakt, że pomagał mu sierżant Doakes, który marzył, by mnie zniszczyć, musiałem dojść do wniosku, że perspektywy nie wyglądają różowo. Nie wierzyłem, że sfabrykują dowody, by mnie pogrążyć, lecz z drugiej strony – dlaczego nie? Takie wypadki już się zdarzały, robili to oficerowie śledczy mający znacznie mniej osobistych motywów.

Im dłużej o tym myślałem, tym bardziej się martwiłem. Hood miał własny scenariusz, a ja świetnie się nadawałem na gwiazdę przedstawienia. Doakes od dawna szukał czegoś, o co mógłby mnie oficjalnie oskarżyć – wszystko by się nadawało, bylebym tylko trafił za kratki. Żaden z nich nie zrezygnuje ze świetnej okazji wpakowania mnie do więzienia tylko dlatego, że zarzuty są fikcyjne. Mogłem sobie nawet wyobrazić ich sposób rozumowania: „Dexter popełnił przestępstwo; nie wiemy jakie, lecz jesteśmy tego pewni. Jeśli pójdziemy na skróty, możemy go oskarżyć o zabójstwo Camilli Figg i wsadzić do więzienia na długie lata. Nic złego się nie stanie, a społeczeństwo tylko na tym skorzysta, więc czemu tego nie zrobić?”.

Brzmiało to logicznie i jedyne pytanie polegało na tym, czy Hood i Doakes są na tyle nieuczciwi, by sfabrykować kilka dowodów, które przekonają sędziów przysięgłych o mojej winie. Czy są tak zdecydowani mnie zrobić, że się do tego posuną? Przypomniałem sobie ich złośliwą radość w moim gabinecie, gdy mnie poinformowali, że jestem zawieszony, i poczułem lodowaty chłód w żołądku. Oczywiście, że to zrobią, mruknąłem.

Spędziłem pierwszą część dnia, szwendając się po domu, siadając po kolei na wszystkich krzesłach i fotelach, by sprawdzić, czy znajdę miejsce, gdzie przyjdzie mi do głowy coś niosącego iskierkę nadziei. Niestety, bez rezultatu. Krzesła w kuchni i fotel przed telewizorem nie doprowadziły do aktywizacji moich procesów mózgowych. Nie pobudziła mnie do myślenia nawet kanapa. Nie mogłem się uwolnić od obrazu Hooda i Doakesa, którzy z radością zapowiadali mój upadek – mieli identyczne, drapieżne uśmiechy, które idealnie pasowały do tonacji ostatniej notatki Cienia. Wszyscy szczyrzyli do mnie zęby – nie miałem pojęcia, jak zamknąć im usta i uwolnić się od niebezpieczeństwa. Znalazłem się w pułapce i nie mógł mi pomóc żaden mebel na świecie.

Spędziłem resztę dnia na nerwowych rozmyślaniach, zastanawiając się, co powiem Ricie i Debs, gdy Hood i Doakes wreszcie po mnie przyjdą. Oczywiście będzie to przykre dla Rity, ale co z Deborah? Wiedziała, czym jestem; wiedziała, że zasługuję na karę. Czy pozwoli jej to łatwiej zaakceptować moje aresztowanie? I jak ono wpłynie na jej karierę? Policjantka pracująca w wydziale zabójstw może mieć kłopoty, jeśli jej brat siedzi w więzieniu za morderstwo. Z pewnością zaczną się plotki, i to niezbyt przyjemne.

A Lily Anne? Jakie straszliwe szkody odniesie ta inteligentna, wrażliwa dziewczynka, gdy się dowie, że jej ojcem jest słynny potwór? Czy przekroczy granicę i przejdzie na stronę ciemności wraz z Codym i Astor? Jak mógłbym żyć ze świadomością, że zniszczyłem taką piękną istotę?

Człowiek nie zniósłby takiego ciężaru i cieszyłem się, że nie jestem człowiekiem. Z trudem radziłem sobie z własną irytacją i frustracją – jestem pewien, że gdybym odczuwał normalne emocje, wyrzywałbym sobie włosy z głowy, lamentował i zgrzytał zębami, czyli wykonywał rzeczy zupełnie absurdalne.

Jednak przez cały dzień nie zrobiłem nic sensownego. Nie mogłem nawet wymyślić rozsądnej przemowy, którą wygłoszę na sali sądowej, gdy ława przysięgłych uzna mnie za winnego. Co mógłbym powiedzieć? „Moje zbrodnie były naprawdę mroczne – przez cały czas świetnie się bawiłem”.

Na lunch przygotowałem sobie kanapki, bo nie znalazłem w lodówce żadnych potraw do podgrzania. Nie było również chleba, z wyjątkiem dwóch czerstwych piątek, toteż zjadłem posiłek doskonale pasujący do mojego nastroju: kanapki z czerstwego chleba z masłem orzechowym. Popiłem je wodą z kranu, rozkoszując się bogatym bukietem chloru; uznałem ją za najodpowiedniejszy napój.

Po lunchu próbowałem oglądać telewizję, lecz okazało się, że nawet jeśli dwie trzecie mojego mózgu zajmuje się niewesołymi rozmyślaniami o czekającym mnie aresztowaniu, pozostała trzecia część jest zbyt inteligentna, by znieść kretynizmy nadawane na wszystkich kanałach. Wyłączyłem odbiornik i siedziałem na kanapie, zdenerwowany i pogrążony w ponurych myślach, aż wreszcie o wpół do szóstej otworzyły się frontowe drzwi i do domu wpadła Astor, rzuciła plecak na podłogę i popędziła do swojego pokoju. Wszedł za nią Cody, który zauważył mnie i skinął głową, a następnie Rita, niosąca Lily Anne.

– Och, tak się cieszę, że nie... – powiedziała. – Mógłbyś potrzymać małą? Muszę jej zmienić pieluszkę.

Wziąłem na ręce Lily Anne, zastanawiając się znowu, czy robię to po raz ostatni. Dziewczynka najwyraźniej wyczuła mój nastrój i starała się mnie rozweselić, próbując wydlubać mi palcem oko. Weszło przy tym gulgotała. Musiałem przyznać, że było to bardzo zabawne i o mało się nie uśmiechnąłem, gdy niosłem ją korytarzem do przewijaka, a z mojego zamkniętego oka ciekły łzy.

Ale nawet złośliwe dowcipy Lily Anne i jej wesołe psoty nie pozwoliły mi zapomnieć, że mam pętlę na szyi i ktoś bardzo pragnie ją zacisnąć.

23

Nazajutrz wczesnym rankiem stałem z Codym na parkingu szkoły podstawowej, gdzie odbywały się zbiórki zuchów. Był już tam Frank, opiekun drużyny, oraz stara furgonetka, która miała z tyłu hak do mocowania przyczepy. Towarzyszyli mu jego nowy pomocnik Doug Crowley i Fidel, chłopiec sponsorowany przez program „Starsi bracia”. Kiedy przybyłem wraz z Codym na miejsce, pchali przyczepę w stronę furgonetki. Zatrzymałem samochód, a w tym czasie matki przywiozły trzech innych chłopców, zaspanych i niekompletnie ubranych. Wysiedliśmy z auta i czekaliśmy w ciężkim, wilgotnym upale letniego poranka. Co chwila pojawiali się nowi członkowie drużyny; wysiadali ze swoim ekwipunkiem i przestępując z nogi na nogę, obserwowali matki, które szybko odjeżdżały, by spędzić upojny weekend bez synów.

Cody i ja staliśmy razem, czekając na przybycie pozostałych zuchów. Miałem w termosie kawę przygotowaną przez Ritę i zacząłem ją pić, zastanawiając się, dlaczego zawsze przyjeżdżam wszędzie punktualnie. Było oczywiste, że jestem jedynym człowiekiem w Miami rozumiejącym znaczenie liczb na tarczy zegara; marnowałem zbyt wiele krótkich chwil pozostałych na wolności na czekanie na ludzi, którzy nie są w stanie pojąć idei czasu. Powinienem przestać się tym przejmować już dawno temu – w końcu wychowałem się w Miami i dobrze znałem tak zwany czas

kubański, niezmiennie prawo natury, które głosiło, że do umówionej godziny spotkania należy dodać czterdzieści pięć minut.

Tego ranka zwłoka była szczególnie irytująca. Czułem, że ściga mnie przeznaczenie, że powinienem podjąć inteligentne, energiczne działania, a nie stać na parkingu szkoły podstawowej, popijać kawę i śledzić upływ czasu. Miałem nadzieję, że ludzie, którzy przyjdą mnie aresztować, będą pracować w kubańskim tempie – a może jeszcze wolniej. Zdążę uciec, gdy będą kończyć *cafecita*, grać w domino, a potem pójdą spacerkiem do mojego domu.

Wypiłem łyk kawy i zerknąłem na Cody'ego. Spoglądał w zamyśleniu na parking, poruszając nerwowo dolną wargą i obserwując Franka i Douga, którzy pchali przyczepę. Cody nigdy nie wyglądał na znudzonego ani zniecierpliwionego; zastanawiałem się, o czym myśli. Ponieważ dobrze wiedziałem, że jest podobny do mnie, że nosi w sobie Ciemnego Człowieka i Mroczne Tęsknoty, zdawałem sobie sprawę, w jakim kierunku mogą zmierzać jego fantazje. Liczyłem, że potrafię jakoś nad nimi zapanować, podobnie jak Harry zapanował nad moimi. W przeciwnym razie Cody spędzi swoje piętnaste urodziny w więzieniu.

Popatrzył na mnie i zmarszczył brwi, jakby czytał w moich myślach.

– Coś nie tak? – spytałem. Pokręcił w milczeniu głową, ciągle nachmurzony, i w dalszym ciągu spoglądał na Douga i Franka zmagających się z przyczepą. Siorbałem kawę i również ich obserwowałem, co okazało się jedynym zabawnym momentem poranka. Frank podnosił lewarem wysięgnik przyczepy, lecz w pewnej chwili lewar się przewrócił i uderzył z trzaskiem w asfalt.

Frank zapewne miał ochotę soczyście zakląć, ale otaczali go mali chłopcy, toteż zakrył dłońmi twarz i pokręcił głową. Nagle Crowley pochylił się, chwycił obiema rękami wysięgnik i wyprostował się

z głośnym stęknieniem, które słyhać było po drugiej stronie parkingu. Zrobił dwa kroki w stronę furgonetki, ciągnąc za sobą przyczepę, włożył wysięgnik na hak i otrzepał ręce.

Był to imponujący popis siły fizycznej. Przyczepa sprawiała wrażenie bardzo ciężkiej, jednak Crowley zdołał ją unieść i przeciągnąć z miejsca na miejsce. Może dlatego Frank mianował go pomocnikiem drużynowego?

Niestety, był to ostatni zabawny moment poranka. Czterdzieści minut po planowanej godzinie odjazdu ciągle czekaliśmy na przybycie trzech ostatnich zuchów. Dwóch przyjechało, gdy skończyłem kawę, a potem pojawił się ostatni chłopiec. Wysiadł z nowego jaguara, przywieziony przez ojca, który beztrosko pomachał mu ręką. Frank wezwał nas i stanęliśmy wokół niego.

– W porządku – rzekł. – Kto będzie prowadzić samochody?

Popatrzył z uniesionymi brwiami na całą grupę, może myśląc, że kilku chłopców ma prawo jazdy. Ale nikt się nie zgłosił; nawet w Miami trudno było tego oczekiwać po zuchach. Uniosłem rękę; to samo zrobił Doug Crowley i dwóch innych mężczyzn, których nie znałem.

– Dobrze – rzekł Frank. – Jedziemy do Parku Narodowego Fakahatchee. – Jeden z chłopców powtórzył nazwę i zachichotał, a Frank spojrzał na niego ze znużeniem. – To indiańskie słowo – powiedział, spoglądając groźnie na rozbawionego chłopca, który szybko spoważniał. – A zatem, do Parku Narodowego Fakahatchee. Gdybyśmy się rozdzielili w czasie jazdy, spotkamy się na posterunku strażników parku. Zostawimy tam samochody i przyczepę. Będą bezpieczne; stale są tam strażnicy. – Uniósł wzrok i popatrzył na dorosłych.

– Potem przejdziemy piechotą trzy kilometry do miejsca, gdzie rozbijemy obóz. – Uśmiechnął się wesoło. – Mamy do pokonania niezbyt wielką odległość i dużo czasu na przeniesienie plecaków. Strażnicy dadzą

nam książkę z opisem wszystkich cudów, które można zobaczyć w czasie marszu. Jeśli będziecie mieli otwarte oczy, na pewno zobaczycie mnóstwo ciekawych rzeczy. Przy odrobinie szczęścia możemy nawet spotkać... – dramatycznie umilkł i zalśniły mu oczy – ...widmową orchideę!

– Co to takiego? Kwiat, który jest duchem? – spytał chłopiec, który przyjechał ostatni.

– Idiota! – rzekł kolega stojący obok niego i szturchnął go łokciem, a Frank pokręcił głową.

– To jeden z najrzadszych kwiatów na świecie – stwierdził. – Jeśli go zobaczymy, musimy być bardzo ostrożni, by go nie dotknąć. Nie wolno nawet na niego chuchnąć. Jest tak delikatny i tak rzadki, że zniszczenie go byłoby prawdziwą zbrodnią. – Umilkł na chwilę, by jego słowa zapadły wszystkim w pamięć, po czym uśmiechnął się i ciągnął: – Pamiętajcie o orchidei i o tym, że znajdziemy się na terenach, które są dokładnie w takim stanie, w jakim pozostawili je Indianie z plemienia Kalusa. – Spojrzał na chłopców i kiwnął głową. – Już o tym rozmawialiśmy. Musimy szanować czystość tego obszaru, który zachował się w stanie nieskażonym przez cywilizację. Nie zostawiamy tam niczego oprócz śladów stóp, jasne? – Zerknął na wszystkich chłopców po kolei, by zobaczyć, czy są odpowiednio poważni, a później znów skinął głową i się uśmiechnął. – W porządku. Czeka nas świetna zabawa. Ruszajmy.

Kazał chłopcom wsiąść do poszczególnych samochodów. W moim jechał Cody i dwóch innych zuchów. Jednym z nich był Steve Binder; Cody twierdził, że terroryzuje inne dzieci. Steve odznaczał się masywną budową ciała, miał zrośnięte brwi i niskie czoło – mógłby być synem inspektora Hooda, gdyby ktoś zdołał uwierzyć, że jakakolwiek kobieta na świecie mogłaby przyjąć zaloty inspektora Hooda i wychowywać jego potomstwo.

Drugim pasażerem był wesoły chłopiec o imieniu Mario; miałem wrażenie, że zna wszystkie piosenki harcerskie, jakie kiedykolwiek powstały. Kiedy znaleźliśmy się w połowie drogi, odśpiewał każdą z nich co najmniej dwukrotnie. Trzymałem obie ręce na kierownicy, więc nie mogłem się odwrócić i udusić go, lecz nie zareagowałem, gdy Steve Binder nagle przerwał piosenkę o osiemdziesięciu dwóch antałkach wiszących na ścianie, mocno szturchnął Maria łokciem i kazał mu wreszcie się zamknąć.

Mario siedział nadąsany przez trzy minuty, po czym zaczął paplać o wysypiskach muszli pozostawionych przez Indian z plemienia Kalusa, ich szalasach z liści palmowych i o tym, jak rozpalić ogień na bagnach. Cody spoglądał prosto przed siebie z honorowego miejsca obok mnie, a Steve Binder wiercił się na tylnym siedzeniu, od czasu do czasu zerkając wściekle na Maria, który beztrąsko paplał dalej i nie zauważał, że wszyscy mają go dość. Był inteligentny, wesoły, oczytany i wydawał się ideałem zucha, jednak nie miałbym nic przeciwko temu, gdyby Steve Binder wyrzucił go przez okno.

Kiedy dotarliśmy do posterunku strażników parku, zgrzytałem zębami i ścisnąłem kierownicę tak mocno, że zbieleły mi palce. Zaparkowałem samochód koło wozu innego ojca, który przyjechał wcześniej, po czym wysiedliśmy i pozbyliśmy się Maria. Steve Binder odszedł, by znaleźć coś, co mógłby złamać, a ja i Cody stanęliśmy na parkingu, czekając na resztę zuchów.

Ponieważ nie miałem już kawy, zająłem się wyjmowaniem rzeczy z bagażnika i pakowaniem plecaków. W moim znalazł się namiot i większość jedzenia; wydawał się większy niż w domu, gdy po raz pierwszy go spakowałem.

Ostatni samochód przyjechał dopiero po półgodzinie – był to odrapany cadillac, w którym podróżował Doug Crowley i jego grupa. Zatrzymali się,

poszli do toalety i kupili trochę ciastek. Po dziesięciu minutach ruszyliśmy w drogę na spotkanie wielkiej przygody.

Podczas marszu nie napotkaliśmy widmowej orchidei. Większość chłopców wydawała się bardzo rozczarowana, a ja zapomniałem o rzadkim kwiatku, poprawiając paski plecaka Cody'ego, by mógł iść wyprostowany. Podczas jednej ze zbiórek nauczyliśmy się odpowiedniej techniki; należało utrzymywać ciężar plecaka za pomocą pasa na biodrze, a następnie dociągnąć pozostałe pasy, jednak nie na tyle mocno, by blokowały krążenie, wywołując drętwienie rąk. Wymagało to dokonania kilku poprawek podczas marszu, a kiedy Cody skinął głową, że wszystko w porządku, nagle zdałem sobie sprawę, że mnie zdrętwiały ramiona, toteż trzeba było wszystko zacząć od początku. Kiedy już poprawiłem paski i mogliśmy normalnie iść, poczułem, że but obciera mi stopę, i w połowie drogi pojawił się na niej duży pęcherz.

Mimo to dotarliśmy na miejsce w dobrej formie i względnie dobrym nastroju. Cody i ja rozbiliśmy namiot pod cienistym drzewem. Po pewnym czasie Frank zabrał chłopców na spacer po okolicy, a ja namówiłem Cody'ego, by poszedł razem z nimi. Chciał, żebym dołączył, ale odmówiłem. Zapisaliśmy go do zuchów, by nawiązał lepszy kontakt z rówieśnikami; nie powinien stale przebywać w moim towarzystwie, lecz radzić sobie sam. Poza tym bolała mnie noga, chciałem zdjąć buty, posiedzieć w cieniu i odpocząć, uzalając się nad sobą.

Usiadłem pod drzewem, oparty plecami o pień, i wyciągnąłem przed siebie boscie nogi. Głosy chłopców rozlegały się coraz dalej; słyszałem baryton Franka, który opisywał cuda natury, i Maria śpiewającego *There's A Hole In The Bucket*. Zastanawiałem się, czy podczas wycieczki koledzy rzucą go na pożarcie aligatorom.

Zrobiło się bardzo cicho. Przez kilka minut siedziałem pod drzewem, czując na twarzy chłodny wiatr. Obok przebiegła jaszczurka, wspięła się na pień i popatrzyła na mnie, nadymając czerwoną skórę na szyi, jakby wyzywała mnie na pojedynek. W górze leciała duża czapla, klekocząc cicho. Wyglądała niezgrabnie, lecz mógł to być celowy kamuflaż, by ofiary jej nie doceniały. Widziałem kiedyś czaple polujące na ryby – poruszały się błyskawicznie i były zabójczo niebezpieczne. Stały nieruchomo, wyglądając zupełnie niegroźnie, po czym nagle dawały nurka do wody i wynurzały się z rybą nadzianą na dziób. Wydawało się to w jakiś sposób piękne – czułem, że są podobne do mnie. Były zamaskowanymi drapieżnikami, tak samo jak ja.

Samotna czapla znikła nad bagnami, a po chwili usłyszałem szum skrzydeł klucza czapli nadobnych, który pojawił się na niebie. Wiatr nieco się wzmógł i poczułem miły chłód na twarzy i stopach. Pęcherz na nodze przestał boleć, zacząłem się odprężyć i zapominać o kłopotach z Hoodem, Doakesem i Cieniem. Znajdowałem się w dziewiczej puszczy; otaczała mnie cudowna przyroda; wokół latały ptaki. To miejsce nie zmieniło się od wieków i mogło takie pozostać jeszcze przez pięć lub sześć lat, dopóki ktoś nie postanowi wybudować tu osiedla mieszkaniowego. Wokół polowały na siebie piękne, dzikie zwierzęta; przebywanie tu miało w sobie coś uspokajającego. Czułem się, jakbym stał się częścią procesu, który trwa wiecznie. Może właśnie na tym polega istota natury?

Byłem w dobrym nastroju przez pięć minut, a potem znów zacząłem się martwić i zapomniałem o otaczającym mnie pięknie. Cóż z tego, że las jest wieczny? Dexter nie jest. Mój czas się kończył, pochłaniała go ciemność – jaki jest pożytek z drzewa rosnącego w świecie, w którym nie ma Dextera? Podziwiałem ptaki na pustkowiu, lecz mój los rozstrzygał się w realnym świecie. Przy odrobinie szczęścia i sprytu mogłem przetrwać atak Hooda

i Doakesa, ale gdyby mi ich zabrakło, byłbym skończony. Jeśli nie zdołam ich zneutralizować, spędzę resztę życia za kratami.

Nawet jeśli uniknę zagrożenia ze strony Hooda i Doakesa, ciągle tropił mnie Cień. Usiłowałem odzyskać spokojną pewność siebie, jaką odczuwałem wcześniej. Od tamtej pory wiele się wydarzyło; zamiast podejmować sprawne, energiczne działania, siedziałem pod drzewem na bagnach i obserwowałem ptaki, nie mając pojęcia, co robić. Brakowało mi planu. Powinno pocieszać mnie to, że znalazłem się na pustkowiu, gdzie drapieżniki są szanowane; miało to spore znaczenie.

Niestety, wcale mnie to nie pocieszało. Widziałem tylko ból i cierpienie, które w większości miało się stać moim udziałem.

– Pan też nie poszedł, prawda? – rozległ się z tyłu pogodny głos. Wzdrygnąłem się gwałtownie, po czym odwróciłem się, by zobaczyć, kto przerwał moje rozmyślenia.

O drzewo opierał się Doug Crowley. Jego swobodna poza i nonszalancki wyraz oczu widocznych za drucianymi okularami robiły nienaturalne wrażenie. Był barczystym mężczyzną mniej więcej w moim wieku; krótka broda bez powodzenia maskowała cofnięty podbródek. Mimo masywnej budowy ciała, które wydawało się nieprzyjemnie miękkie, podszedł do mnie od tyłu zupełnie bezszelestnie. To, że w ogóle go nie usłyszałem, wydało mi się równie irytujące, jak jego dobroduszość.

– Na spacer! – rzekł wesoło. – Nie wybrał się pan na spacer na łonie natury. – Na twarzy Crowleya pojawił się fałszywy uśmiech, dość kiepsko udawany. – Ja także nie – dodał zupełnie niepotrzebnie.

– Tak, widzę – odpowiedziałem szorstko. Prawdopodobnie nie zachowałem się szczególnie uprzejmie, lecz nie byłem w nastroju do nawiązywania znajomości. Poza tym sztuczność jego zachowania obrażała moje poczucie profesjonalizmu. Włożyłem wiele czasu i wysiłku

w nauczenie się udawania ludzkich zachowań. Dlaczego nie mógł zrobić tego samego?

Spoglądał przez chwilę prosto na mnie, aż poczułem się niezręcznie. Jego oczy były bardzo błękitne i wydawały się trochę za małe. Coś się w nich tliło, jednak nie wiedziałem, co to takiego, i, szczerze mówiąc, niewiele mnie to obchodziło.

– Cóż, chciałem się po prostu przedstawić. Nazywam się Doug Crowley.

– Odszedł od drzewa i wyciągnął do mnie rękę. Uścisnąłem ją z ociąganiem.

– Miło mi pana poznać – skłamałem. – Dexter Morgan.

– Tak, wiem – odrzekł. – Frank wspominał mi o panu. Ja także się cieszę, że mogę pana poznać. – Wyprostował się i przyglądał mi się przez dłuższy czas. – Pierwszy raz w Everglades?

– Nie, byłem tu na wielu wycieczkach.

– Ach, wycieczkach... – powiedział takim tonem, jakby podejrzewał mnie o kłamstwo.

– I polowaniach – dodałem z naciskiem.

Cofnął się krok do tyłu, zamrugnął i w końcu skinął głową.

– Jasne – rzekł. – Domyślam się. – Spojrzał na swoje buty, po czym rozejrzał się niepewnie dokoła, jakby się obawiał, że ktoś może na niego polować. – Nie przywiózł pan... Nie zamierza pan tego robić w czasie tego biwaku? Dokoła jest tyle dzieci...

Zrozumiałem, że pyta, czy planuję polowanie w samym środku obozowiska zuchów. Było to takie głupie, że przez chwilę spoglądałem na niego w milczeniu z przekrzywioną głową.

– Nie – odrzekłem w końcu, zirytowany jego tępotą. – Nie miałem takich planów. – Po chwili wzruszyłem ramionami i dodałem: – Ale nigdy nie wiadomo, kiedy człowiek poczuje chęć na polowanie, prawda? –

Uśmiechnąłem się radośnie, by zobaczyć, jak wygląda naprawdę dobry fałszywy uśmiech.

Znów zamrugał, skinął powoli głową i przestąpił z nogi na nogę.

– Owszem – odpowiedział, a na jego twarzy pojawił się sztuczny grymas wesołości. – Wiem, co pan ma na myśli.

– Na pewno – stwierdziłem uprzejmie, choć byłbym zachwycony, gdyby nagle padł trupem. Transport jego zwłok mógłby być ciekawym ćwiczeniem dla chłopców.

– Aha... – mruknął. Przestąpił z nogi na nogę i się rozejrzał. Znikąd nie nadciągała pomoc, więc znowu popatrzył na mnie. – Cóż, zobaczymy się później – rzekł.

– Prawie na pewno – odpowiedziałem. Zerknął na mnie z lekkim zdziwieniem, nieruchomiejąc na chwilę. Później skinął głową, posłał mi jeden ze swoich fałszywych uśmiechów, odwrócił się i ruszył w stronę obozu. Wyglądał niewiarygodnie niezgrabnie i zastanawiałem się, jak może pełnić funkcję pomocnika drużynowego. Można było się spodziewać, że chłopcy natychmiast go pobiją albo okradną z pieniędzy. Wydawał się całkowicie bezradny; nie miałem pojęcia, w jaki sposób może funkcjonować bez opiekuna.

Dobrze wiedziałem, że na świecie jest więcej jagniąt niż wilków, ale dlaczego jagnięta zawsze przychodzą, becząc do mnie? Wydawało się niesprawiedliwe, że tu, na dzikim pustkowiu, muszę mieć do czynienia z takimi starymi babami jak Crowley. Czy nie powinny istnieć przepisy zabraniające takim ludziom wstępu do rezerwatów przyrody? A może należałoby ustanowić sezon polowań na takich ludzi? Z pewnością nie są gatunkiem zagrożonym wymarciem.

Usiłowałem zapomnieć o irytacji, że mi przerwano, lecz byłem zdekoncentrowany. Jak mam się skupić na wymyśleniu sposobu wydostania

się z pułapki, skoro ktoś mi ciągle przerywa w bezsensowny sposób? Nie przychodziły mi do głowy żadne pomysły. Zastanawiałem się przez dwa dni i nic z tego nie wyszło. Westchnąłem i zamknąłem oczy. Znow zaczęło mnie boleć otarcie na pięcie, jakby na potwierdzenie, że rzeczywiście jestem głupi.

Usiłowałem myśleć o czymś przyjemnym i wyobrazić sobie, jak czapla przebija dziobem dużą rybę albo rozszarpuje Crowleya, ale to nie pomogło. Miałem przed oczyma tylko zadowolone gęby Hooda i Doakesa. Ogarnęła mnie czarna rozpacz, słyszałem obcy głos, który śmiał się szyderczo z moich prób wydostania się z pułapki. Nie istniała droga ucieczki, nie tym razem. Tropiło mnie dwóch zdeterminowanych, niebezpiecznych policjantów, którzy pragnęli mnie aresztować pod byle jakim pretekstem i potrzebowali tylko odrobiny lipnych dowodów, by na zawsze zamknąć mnie w więzieniu. Na domiar złego osaczał mnie kompletnie nieznan, prawdopodobnie bardzo niebezpieczny człowiek. Czy sądzę, że zdołam ich wszystkich pokonać, siedząc w namiocie zuchów i gapiąc się na czaple? Zachowuję się jak mały chłopiec, który bawi się w wojnę i krzyczy: „Trach! Trach! Mam cię!”, a potem podnosi oczy i widzi jadący prosto na niego prawdziwy czołg.

Wszystko wydawało się bezsensowne i beznadziejne. Nie miałem pojęcia, co robić.

Dexter był zgubiony. Siedzenie boso pod drzewem i wymienianie głupich uwag z idiotą nie mogło niczego zmienić.

Zamknąłem oczy i w wypełniającej mnie pustce rozległ się głośny chór, który zawodził: „Biada!”. Zapadłem w niespokojny sen.

24

Z ponurej drzemki wyrwał mnie tupot biegnących zuchów, którzy wpadli do obozu. Kilku chłopców zaczęło do siebie wołać, Frank wrzeszczał coś na temat lunchu i słychać było głos Maria, który wygłaszał bardzo pouczający wykład na temat tego, co robią ze swoimi ofiarami aligatory i dlaczego nie należy dawać im niczego do jedzenia, nawet jeśli jest to okropne mięso ze stołówki szkolnej, po którym dostałyby torsji.

Był to bardzo dziwny sposób powrotu do przytomności po ciężkim, narkotycznym śnie i z początku hałasy nie miały dla mnie żadnego sensu. Otworzyłem oczy i usiłowałem zrozumieć, co się wokół dzieje, jednak wciąż byłem jak odurzony. Leżałem otępiąły pod drzewem – marszczyłem brwi, przełykałem ślinę i przecierałem oczy, aż wreszcie wyrósł przede mną jakiś cień i zobaczyłem Cody'ego. Spoglądał na mnie bardzo poważnym wzrokiem, aż w końcu usiadłem, po raz ostatni przełknąłem ślinę i w jakiś sposób odzyskałem zdolność wydawania artykułowanych dźwięków.

– Eee... – mruknąłem i poczułem się głupio, lecz spytałem: – Jak tam spacer?

Cody zmarszczył brwi i pokręcił głową.

– Może być – odrzekł.

– Widzieliście coś ciekawego?

Przez chwilę myślałem, że może się uśmiechnąć.

– Aligatora – powiedział. W jego głosie zabrzmiał dziwny ton, bardzo podobny do podniecenia.

– Widzieliście aligatora? – spytałem, a Cody skinął głową. – Co robił?

– Patrzył na mnie – odrzekł z naciskiem. Sposób wypowiedzenia tych trzech słów świadczył, że było to niezwykle przeżycie.

– I co się potem stało?

Rozejrzał się i zniżył głos, by nikt nie mógł go usłyszeć.

– Ciemny Człowiek się do niego roześmiał – odrzekł.

Był tego dnia niezwykle rozmowny i, co najdziwniejsze, przez moment naprawdę się uśmiechał – na jego twarzy pojawił się błysk radości. Ciemny Człowiek, Mroczny Pasażer Cody’ego, nawiązał kontakt emocjonalny z duchem żywego drapieżnika i chłopiec był zachwycony.

Ja także się ucieszyłem.

– Czyż natura nie jest cudowna? – spytałem. Skinął głową z uszczęśliwioną miną. – Co teraz?

– Jestem głodny – odrzekł, więc otworzyłem nasz namiot i wyjąłem lunch. Znajdował się w plecaku Cody’ego, ponieważ chciałem, by po męczącej wycieczce dźwigał mniejszy ładunek w drodze do domu.

Jedzenie nie wymagało wielu przygotowań. Rita zapakowała gotowy posiłek złożony z kanapek z szynką, ciasteczek z miejscowego sklepu spożywczego oraz torby z marchewkami i winogronami. Podobno ruch na świeżym powietrzu sprawia, że jedzenie lepiej smakuje; wydaje się to prawdą. Zjedliśmy absolutnie wszystko.

Po lunchu Frank zwołał wszystkich uczestników obozu i podzielił chłopców na dwie drużyny, przydzielając każdej z nich ważne zadanie. Cody i ja mieliśmy zbierać chrust na ognisko. Frank wygłosił długi wykład, w którym ostrzegł nas, że wolno nam zbierać tylko suche patyki; musieliśmy pamiętać, że niektóre rośliny mogą się wydawać martwe,

a w rzeczywistości są żywe; niszczenie żywej roślinności na tym terenie stanowi przestępstwo. Powinniśmy również uważać na trujący dąb, trujący bluszcz i drzewo o nazwie mancinella.

Zdałem sobie sprawę, że trudno jest na coś uważać, jeśli się nie ma pojęcia, jak to wygląda, toteż popełniłem błąd i spytałem o mancinellę. Niestety, Frank tylko czekał na taki pretekst i zaczął wygłaszać długi wykład. Z uszczęśliwioną miną skinął głową w moją stronę.

– Mancinella jest śmiertelnie niebezpieczna. Strzeżcie się jej – rzekł pogodnym tonem. – Samo dotknięcie wywołuje oparzenia. Na skórze powstają pęcherze, które wymagają pomocy lekarskiej. Liście tego drzewa są owalne i lśniące, a owoce przypominają jabłka. Ale pod żadnym pozorem nie wolno ich jeść! Są śmiertelnie trujące, nawet dotknięcie jest niebezpieczne...

Wydawało się, że jest to temat bliski jego sercu, i zastanawiałem, czy nie oceniłem go fałszywie. Pasjonat śmiertelnie groźnych roślin musiał być ciekawym człowiekiem. Opowiadał nam o mancinelli przez pięć minut i okazało się, że to dopiero początek.

Temat był dość interesujący: pierwotne plemiona karaibskie wykorzystywały mancinellę jako truciznę, do zadawania tortur i kilku innych użytecznych celów. Siedzenie podczas burzy pod tym drzewem mogło się zakończyć śmiercią. Indianie z Karaibów przywiązywali jeńców do pni podczas deszczu, ponieważ woda spływająca z liści przeżerała ludzkie ciało. Strzały zatrute sokiem z mancinelli wywoływały śmierć w męczarniach. Rzeczywiście, roślina ta miała cudowne właściwości. Frank zakończył swój wykład kilkoma ostrzeżeniami przed trującym dębem, a później, gdy już miałem nadzieję, że będziemy mogli się rozejść, jeden z chłopców spytał:

– A co z węzami?

Frank uśmiechnął się z uszczęśliwioną miną; przyszła kolej na śmiertelnie groźne zwierzęta! Odetchnął głęboko i znowu zaczął mówić:

– Ach, węże! Rozmawialiśmy wcześniej o grzechotnikach, diamentowym i karłowatym, i koralówkach arlekinach! To absolutni zabójcy! Koralówki nie wolno mylić z wężem mlecznym, pamiętacie? *Żółte i czerwone?*

Uniósł brwi, a cała grupa grzecznie uzupełniła wierszyk, intonując:

– *Śmierć grozi ogonem!*

Frank uśmiechnął się i skinął głową.

– Zgadza się! – rzekł. – Tylko koralówki arlekiny mają żółte paski stykające się z czerwonymi paskami. Strzeżcie się ich i pamiętajcie także o mokasynie błotnym żyjącym nad wodą. Nie jest taki groźny jak koralówka, ale potrafi atakować ludzi. Jedno ugryzienie prawdopodobnie jeszcze nikogo nie zabije, ale mokasyny mieszkają gromadnie i rzucają się na ludzi jak rój pszczół. Pięć lub sześć ugryzień to śmierć, jasne?

Uważałem, że wszystko jest jasne, i już zamierzałem wstać, gdy rozległ się wesoły głos Maria:

– Hej, w przewodniku piszą, że na bagnach są także niedźwiedzie!

Frank skinął głową, wyciągnął palec w stronę Maria i kontynuował:

– Racja, Mario. Dobra uwaga. Na Florydzie żyją czarne niedźwiedzie, mniej agresywne niż niedźwiedzie brunatne i nie tak duże. Są dość niewielkie w porównaniu z niedźwiedziami grizzly, ważą zaledwie około dwustu kilogramów.

Jeśli Frank miał nadzieję, że wszyscy westchniemy z ulgą z powodu małych rozmiarów czarnych niedźwiedzi, to przeżył zawód; dwustukilogramowy niedźwiedź wydawał się niezwykle groźny. Sądząc po wybałuszonych oczach chłopców siedzących wokół mnie, nie ja jeden tak uważałem.

– Pamiętajcie, że chociaż są niewielkie, mogą być bardzo niebezpieczne, jeśli mają młode. Biegają bardzo szybko i potrafią się wspinać na drzewa. Podobnie jak pantery, które występują bardzo rzadko i są zagrożonym gatunkiem. Prawdopodobnie żadnej nie zobaczymy, ale gdybyśmy je spotkali, pamiętajcie o jednym, chłopcy: pantery są spokrewnione z lwami. Są piękne i powinniśmy je chronić, lecz mogą zaatakować człowieka, tak jak większość zwierząt żyjących na bagnach Everglades. Musimy pamiętać, że są dzikie, żyją w naturalnym środowisku, a my jesteśmy gośćmi na ich terytorium. Nawet szopy mogą być niebezpieczne, jasne? Chętnie zbliżają się do ludzi i wyglądają bardzo ładnie, ale czasem chorują na wściekliznę, którą można się zarazić od jednego zadrapania, więc trzymajcie się od nich z daleka.

Znów poruszyłem się niespokojnie, marząc o odejściu, lecz Frank wyciągnął rękę i wskazał mnie palcem z miną strażnika więziennego, który bierze na muszkę więźnia próbującego uciec.

– I nie zapominajcie o owadach, bo wiele z nich jest jadowitych – rzekł.
– Nie tylko czerwone mrówki, o których wszyscy słyszeliście, prawda? – Chłopcy skinęli z powagą głowami; wszyscy słyszeliśmy o czerwonych mrówkach. – Można spotkać gniazda os, zdarzają się także pszczoły afrykańskie i skorpiony... Uządlenie czarnego skorpiona jest bardzo groźne, a poza tym trzeba uważać na pająki, czarne wdowy, brązowe wdowy...

Zawsze uważałem Miami za niebezpieczne miejsce, ale gdy Frank opisywał zagrożenia czyhające na bagnach Everglades, Miami zbladło w porównaniu z krwiożerczą naturą. Wymieniał niezliczone rośliny i zwierzęta, które mogą nas zabić, a przynajmniej zadać wiele bólu, i chociaż myśl o morderczej naturze miała swoje uroki, przyszło mi do głowy, że przebywanie w tak potwornej okolicy nie jest dobrym pomysłem.

Zastanawiałem się również, czy skończy swój wykład przed zmrokiem; opowiadał o niebezpieczeństwach Everglades już od kwadransa i najwyraźniej potrafił szczegółowo opisywać każde groźne zwierzę lub roślinę. Rozejrzałem się, szukając drogi ucieczki, lecz wydawało się, że z każdej strony czai się niebezpieczeństwo – wokół roilo się od istot chcących nas zamordować, a przynajmniej doprowadzić do krwawych wymiotów.

Zakończył kilkoma ostrzeżeniami na temat aligatorów – nie zapominajcie o amerykańskich krokodylach! – i paradoksalnie stwierdził, że przyroda jest naszym przyjacielem. Zabrzmiało to nieco dziwnie po długich opisach zagrożeń, jakie czyhają na nas na bagnach. Cody tak się przejął wykładem Franka, że postanowił wrócić do namiotu i uzbroić się w scyzoryk. Stałem na ścieżce i czekałem na niego, obserwując grupki zuchów przystępujące do pracy. Doug Crowley i trzech chłopców obchodzili teren obozowiska w poszukiwaniu śmieci; w pewnej chwili Crowley wyprostował się, trzymając w ręku rozgniecioną, spłowiałą puszkę po napoju chłodzącym, po czym odwrócił się i popatrzył na mnie.

Spoglądał na mnie nieruchomo z rozchylonymi ustami. Wbiłem w niego wzrok, zaciskając wargi. Trwało to dłuższą chwilę i zastanawiałem się, dlaczego po prostu nie oderwiemy od siebie oczu. Nagle jeden z chłopców z jego grupy krzyknął coś na temat niebieskiego węża i Crowley szybko się odwrócił. Obserwowałem przez kilka sekund jego plecy, po czym również się odwróciłem. Crowley wydawał się nie tylko kompletnym zerem, ale również człowiekiem pozbawionym umiejętności nawiązywania kontaktów z ludźmi – jego niezręczne zachowanie sprawiło, że poczułem się trochę dziwnie. Powinienem unikać kontaktów z nim po zakończeniu wyprawy do świata horrorów natury, jeśli ją przeżyję. Po minucie Cody wrócił ze

scyzorykiem, po czym weszliśmy do morderczego lasu, by szukać nadających się na opał gałęzi, które nas nie zabiją.

Poruszaliśmy się powoli i ostrożnie. Frank przekonał nas, że możemy przeżyć tylko dzięki niezwykłemu zbiegowi okoliczności, i Cody dostrzegał wszędzie śmiertelne niebezpieczeństwa. Posuwał się ścieżką powoli z otwartym scyzorykiem w dłoni, patrząc na każdy liść i gałązkę w taki sposób, jakby mogła skoczyć na niego i poderżnąć mu gardło. Mimo to w ciągu około godziny zdołaliśmy zebrać spory stos chrustu i jakimś cudem ciągle żyliśmy. Zanieśliśmy drewno do ogniska i wróciliśmy do względnie bezpiecznego namiotu.

Okazał się otwarty, choć byłem pewien, że go zamknąłem. Najwyraźniej Cody zapomniał go zamknąć, gdy wrócił po scyzoryk. Ogarnęła mnie irytacja, ponieważ wiedzieliśmy już, że wszędzie się roi od straszliwych bestii, które marzą tylko o tym, by się wślizgnąć do naszych namiotów, a potem truć, kąsać i pożerać. Jednak robienie Cody'emu wymówek z powodu nieostrożności nie wydawało się najlepszym sposobem na miłe spędzanie czasu na biwaku, toteż po prostu westchnąłem i wpełzłem ostrożnie do namiotu.

Wieczorem zjedliśmy wspólnie kolację – wszyscy zebrali się wokół ogniska i szczęśliwie zjadali tradycyjne potrawy Indian z plemienia Kalusa, czyli fasolkę i wędzone kiełbaski. Później Frank wyciągnął niewielką, odrapaną gitarę i zaczął śpiewać piosenki harcerskie; pod koniec drugiej z nich chłopcy dołączyli chórem. Cody rozglądał się z wyrazem przerażonego niedowierzania, które jeszcze się zwiększyło, gdy i ja również zacząłem śpiewać *There's A Hole In The Bottom Of The Sea*. Szturchnąłem go łokciem, próbując zachęcić do śpiewu – w końcu chcieliśmy, by zachowywał się jak normalny chłopiec. Ale nie był w stanie tego znieść;

pokręcił w milczeniu głową i obserwował z dezaprobatą pozostałych zuchów.

Naturalnie dałem mu przykład, jak łatwo i bezboleśnie można udawać człowieka. Ponuro śpiewałem *Be Kind To Your Web-Footed Friends*, *Davy Crockett*, *Cannibal King* oraz harcerską wersję *Battle Hymn Of The Republic*, a także tuziny innych wzruszających i zabawnych dowodów na to, że Amerykanie to naród z pieśnią w sercu i dziurą w mózgu.

Cody siedział i rozglądał się, jakby świat nagle zwariował i wypełnił go potop oszalałej kociej muzyki. Był jedyną osobą, która zachowała jasny umysł i poczucie przyzwoitości. Kiedy Frank odłożył w końcu gitarę, zabawa wcale się nie skończyła. Następną atrakcją wieczoru stały się przerażające opowieści o duchach. Frank uwielbiał je opowiadać i miał talent do opisywania mrozących krew w żyłach szczegółów w taki sposób, że słuchaczom jeżyły się włosy na głowie. Z narastającą trwogą słuchaliśmy opowieści zatytułowanych *Hak*, *Straszliwa woń*, *Cichy dźwięk w sąsiednim pokoju*, *Mroczny intruz*, *Żmija* i wielu innych. Wreszcie ognisko przygasło i Frank pozwolił nam odejść. Oszołomieni i drżący wpełzliśmy do niewielkich śpiworów, a lęk przed nadprzyrodzonymi zjawami mieszał się z myślami o węzach, pajakach, niedźwiedziach i wściekłych szopach.

Kiedy w końcu zacząłem zapadać w sen, dałem sobie słowo, że jeśli przeżyję noc, nigdy więcej nie wybiorę się na biwak bez miotacza płomieni, torby dynamitu i odrobiny święconej wody.

Ach, pustkowie...

25

Może będę musiał ponownie rozważyć hipotezę, że dobry, opiekuńczy Bóg jednak istnieje, ponieważ udało mi się przeżyć noc. Miało to swoją cenę. Na długiej liście Franka znajdowały się dziesiątki śmiertelnie groźnych owadów, lecz pominął on najpospolitszy gatunek – komara. W naszym namiocie zgromadziły się hordy komarów, może zdenerwowanych tym, że nie figurują na liście, i przez całą noc dokładały wszelkich starań, byśmy ich nigdy nie zapomnieli. Obudziłem się bardzo wcześnie z twarzą i dłońmi pokrytymi ugryzieniami, a kiedy usiadłem, kręciło mi się w głowie z powodu upływu krwi.

Cody był w nieco lepszej formie. Tak się bał wściekłych aligatorów i zombie z metalowymi hakami, że schował się cały w śpiworze, wystawiając na zewnątrz tylko czubek nosa. Teraz pokrywały go czerwone kropki, jakby owady zorganizowały konkurs, jak wiele ugryzień może się zmieścić na niewielkim kawałku odsłoniętej skóry.

Wypęłziliśmy powoli z namiotu i zaczęliśmy się szaleńczo drapać. Frank rozpałił ognisko, a ja na widok kociołka z gotującą się wodą poczułem się nieco lepiej. Ale ponieważ wszystko się sprzysięgło, by karać Dextera za grzechy, prawdziwe lub wyimaginowane, nikt nie przyniósł mi filiżanki kawy, nawet rozpuszczalnej, a cały wrzątek wykorzystano do przygotowania czekolady.

Zjedliśmy śniadanie, po którym rozpoczęły się zajęcia drużyny. Frank zorganizował polowanie na bekasy – była to zabawa mająca na celu upokorzenie nowicjuszy, którzy wcześniej nie uczestniczyli w biwakach. Każdy z nich otrzymał dużą papierową torbę i kij; chłopcom kazano uderzać kijami w krzaki i krzyczeć, by ptaki wybiegły spomiędzy gałęzi i wskoczyły do toreb. Na szczęście Cody był zbyt podejrzliwy, by się nabrać na ten żart; stał obok mnie i obserwował absurdalne wysiłki nowicjuszy, aż wreszcie roześmiany Frank zakończył zabawę.

Później wzięliśmy przewodniki i udaliśmy się do lasu, by sprawdzić, ile śmiertelnie groźnych roślin i zwierząt uda się nam rozpoznać, nim jedno z nich nas zabije. Cody i ja nieźle sobie radziliśmy – zidentyfikowaliśmy wiele ptaków i prawie wszystkie rośliny. Udało mi się nawet odkryć trujący bluszcz. Niestety, zetknąłem się z nim bezpośrednio. Zauważyłem idącego po ziemi czarnego skorpiona i ostrożnie odsunąłem liście, by pokazać go Cody'emu. Wskazał roślinę, której dotknąłem, i uniósł przewodnik.

– Trujący bluszcz – powiedział i pokazał mi ilustrację. Skinąłem głową; rzeczywiście idealnie pasowała. Dotknąłem gołymi rękami trującego bluszczu. Ponieważ moje dłonie były już pokryte ugryzieniami komarów, wydawało się to bez znaczenia, jednak zaczęły straszliwie swędzieć. Aby moja przygoda z dziką naturą była kompletna, brakowało tylko zagrożonego gatunku orła, który wydziobałby mi oczy. Umyłem ręce i zażyłem nawet środek antyhistaminowy, mimo to kiedy wracaliśmy do samochodów, by pojechać do domu, moje pogryzione ręce były opuchnięte i okropnie bolały.

Wokół rozlegały się wesołe głosy uczestników obozu, którzy mieli mniej szczęścia w odnajdywaniu groźnych roślin i zwierząt. Czekałem na parkingu na powrót chłopców mających pojechać moim autem. Z jakiegoś powodu – może był to kolejny podły psikus spleatany mi przez los – grupa

Douga Crowleya wróciła dość szybko, po czym odjechała odrapanym cadillakiem, podczas gdy Cody i ja wciąż czekaliśmy na Maria. Samochód Crowleya minął mnie, opuścił parking i ruszył w stronę autostrady. W pewnym momencie wydał dziwny odgłos: rozległ się wystrzał z rury wydechowej, a jednocześnie szczęknął obłuzowany błotnik. Później stary cadillac przyśpieszył i zniknął, a ja odwróciłem głowę, oparłem się o swój wóz i zacząłem się rozglądać za Mariem.

Chłopca wciąż nie było. Wokół mojej głowy zaczęła obsesyjnie krążyć mucha. Nie wiedziałem, czego szuka, ale najwyraźniej wydawałem jej się wyjątkowo atrakcyjny. Latała, brzęczała, zbliżała się do mojej twarzy i nie chciała odfrunąć. Machałem rękami, lecz to jej nie odstraszało; nie mogłem też jej trafić. Zastanawiałem się, czy jest jadowita. Nawet jeśli nie, na pewno okażę się na nią uczulony. Znow machnąłem dłonią, bez powodzenia. Może moje ręce gorzej funkcjonowały, bo były opuchnięte od trującego bluszczu i ugryzień komarów, a może po prostu się starzałem i traciłem refleks? Prawdopodobnie to drugie, a w tej chwili potrzebowałem całej swojej zręczności, by bronić się przed grożącymi mi niebezpieczeństwami, znanymi i nieznanymi.

Pomyślałem o Hoodzie i Doakesie i zacząłem się zastanawiać, w jaki sposób próbują mnie zrobić, gdy tymczasem ja truję się jadami roślin i owadów. Miałem bardzo nieprzyjemne przeczucie, że adwokat Rity mi nie pomoże. Przez całe życie stykałem się z wymiarem sprawiedliwości i zawsze mi się wydawało, że kiedy człowiek potrzebuje prawnika, jest już za późno.

Zacząłem też rozmyślać o Cieniu i o tym, w jaki sposób i kiedy zaatakuje. Brzmiało to bardzo melodramatycznie, jak zdanie ze starego komiksu. Zaatakuje mnie Cień. Ha, ha, ha... Śmieszne, ale nie groźne, choć dźwięki mogą wprowadzać w błąd. Jak strzał z rury wydechowej

samochodu Crowleya – ktoś mógłby pomyśleć, że jego wóz się za chwilę rozleci, lecz w gruncie rzeczy nadawał się do jazdy. Byłem pewien, że słyszałem wcześniej ten dźwięk.

Zamrugalem. Skąd ta myśl?

Znów machnąłem ręką w stronę muchy i chybiłem. Tak, słyszałem niedawno ten charakterystyczny wystrzał z rury wydechowej, lecz nie mogłem sobie przypomnieć kiedy. I co z tego? Nieważne. Kolejny śmieć w mojej przeładowanej pamięci. Zabawny dźwięk, bardzo nietypowy, wystrzał z rury wydechowej, a jednocześnie szczęknięcie obłuzowanego błotnika. Miałem pustkę w głowie; może popadam w demencję? Nieunikniony skutek uboczny niebezpieczeństw, frustracji i utraty krwi z powodu ugryzień komarów. Nawet kiedy wymknąłem się z domu, by dostarczyć sobie trochę rozrywki, wszystko poszło źle – przypominałem sobie straszliwą niespodziankę w brudnym małym domu. A zaczęło się tak obiecująco, czułem się taki pewny siebie, dynamiczny, pełen optymizmu, gdy nagle padły na mnie światła przejeżdżającego samochodu...

Nie zdając sobie sprawy, co robię, wyprostowałem się i popatrzyłem w stronę autostrady. Nie było to mądre – samochód Crowleya dawno odjechał. Jednak i tak przez długi czas spoglądałem za nim, aż wreszcie zdałem sobie sprawę, że Cody szarpie mnie za rękaw i wypowiada moje imię. – Dexter, Dexter, przyszedł Mario! Jedźmy, Dexter! – Powtórzył te słowa kilka razy, lecz nie miało to żadnego znaczenia, bo zdałem sobie sprawę z czegoś znacznie ważniejszego.

Przypominałem sobie, kiedy usłyszałem ten dźwięk.

Wystrzał z rury wydechowej i szczęknięcie błotnika.

Dexter stoi na chodniku zalany światłem reflektorów, trzymając torbę sportową i mrugając, odziany w chłodny kokon potrzeby. Nagle zza rogu wyjeżdża samochód; czuję się niczym aktor śpiewający piosenkę na scenie

– człowiek siedzący za kierownicą widzi mnie wyraźnie jak w słoneczne, letnie popołudnie.

Chwila jasności, a potem auto przyśpiesza.

Wystrzał z rury wydechowej i szczęknięcie błotnika.

Odjeżdża, skręca za róg i znika w mroku, a ja zostaję koło brudnego domu w ciemnej uliczce, daleko od dzielnicy, gdzie znalazłem hondę Cienia.

Dexter nie zastanawia się nad tym, lecz wchodzi do domu i spogląda na to, co leży na stole, i nagle rozlegają się syreny nadjeżdżających wozów policyjnych...

Ktoś doskonale wiedział, gdzie wszedłem, i zatelefonował pod numer dziewięćset jedenaście...

Zauważył mnie na zewnątrz, włączył reflektory, a kiedy się upewnił, że to ja, nacisnął pedał gazu i odjechał, by zadzwonić...

Wystrzał z rury wydechowej i szczęknięcie błotnika.

Zniknął w ciemności, a Dexter wślizgnął się do domu, gdzie dostał nauczkę.

A potem napisał, że jest coraz bliżej, że chce mnie ukarać, stać się mną...

□□□

I naprawdę się zbliżył, na wyciągnięcie ręki.

Moim Cieniem jest Doug Crowley, czyli Bernie Elan.

Uznałem to za nonsens, majaki chorego umysłu, nie wierzyłem, że może mi zagrozić. A potem znaleziono martwą Camillę i zaczęto mnie podejrzewać o zabójstwo...

Cień spełnił swoją obietnicę: nagle znalazłem się w niebezpiecznej sytuacji...

Wszedł do mieszkania Camilli, obejrzał przestawiające mnie fotografie i zostawił jedną zrobioną przez siebie, na której byłem z Camillą stojącą naprzeciwko. Był to strzał w dziesiątkę, idealny sposób, by mnie ostatecznie pogрузić. Zabił Camillę, aby rzucić na mnie podejrzenie o morderstwo. Wyjątkowo sprytne posunięcie, a to, czy zostanę aresztowany, czy nie, nie miało żadnego znaczenia. Znalazłem się w centrum uwagi, pod nieustanną obserwacją, niezdolny do jakichkolwiek działań. Jakaś częśćka mojego umysłu podziwiała jego spryt, lecz szybko stłumiłem to uczucie i ogarnął mnie gniew. „Bliżej, niż myślisz”, napisał i spełnił obietnicę. Głupie, niezręczne próby nawiązania rozmowy, które wydały mi się takie irytujące; zastanawiałem się, dlaczego nie chce odejść i zostawić mnie w spokoju. Teraz znałem przyczynę. Chciał znienacka do mnie podejść i powiedzieć: „Mogłem cię zabić, jesteś zbyt powolny i głupi, by mnie powstrzymać”.

Buu!

Miał rację. Udowodnił to. Niczego nie podejrzewałem, czułem tylko irytację, gdy się na mnie gapił i opowiadał bzdury. A potem odszedł, niewątpliwie śmiejąc się w duchu. Zrozumiałem wszystko dopiero teraz.

Wystrzał z rury wydechowej i szcęknięcie błotnika.

Mam cię!

– Dexter? – powtórzył zmartwionym tonem Cody. Popatrzyłem na niego; marszczył brwi i szarpał mnie za rękaw. Z tyłu stali Mario i Steve Binder, spoglądając na mnie z niepewnymi minami.

– Przepraszam, chłopcy – powiedziałem. – Po prostu się zamyśliłem.

Dzięki wieloletnim ćwiczeniom udało mi się w dalszym ciągu udawać dobry humor, chociaż wszystko krzyczało we mnie, by rozpocząć walkę. Wsiadłem z trzema chłopcami do samochodu i ruszyłem w drogę, a nawet pamiętałem właściwą trasę.

Na szczęście Mario był teraz znacznie cichszy. Natrafił na gniazdo os i zanim uciekł, trzy lub cztery go użądliły, co dowodzi, że owady są znacznie inteligentniejsze, niż przypuszczamy. Drugi chłopiec, Steve Binder, siedział w milczeniu na tylnym siedzeniu obok Maria i marszczył brwi. Od czasu do czasu odwracał się, patrzył na ugryzienia na ręce kolegi, dotykał ich palcem i się uśmiechał, gdy Mario podskakiwał. Mimo przygnębienia poczułem, że zaczynam lubić Steve'a Bindera.

Poza tym jazda do domu upłynęła spokojnie. Wykorzystałem ciszę, by spokojnie pomyśleć, co było mi w tej chwili bardzo potrzebne. Po kilku minutach refleksji trochę się uspokoiłem i zacząłem analizować sytuację w sposób racjonalny. W porządku: dźwięk cadillaca był charakterystyczny, lecz nie stanowił ostatecznego dowodu. Takie odgłosy mógł wydawać każdy stary samochód. Hipoteza, że Crowley może być groźny, wydawała się dość karkołomna. Był taki niezgułowaty, niezgrabny, prawie nie wyczuwało się jego obecności...

Podkreślał to autor *Bloga Cienia*. *Wchodzę do pokoju i nikt mnie nie zauważa, jakbym był jakimś cholernym cieniem*. Doskonały opis Crowleya, jeśli cienie mogą być irytujące.

Ale uważać to za świadomy kamuflaż? Śmiechu warte – byłby zbyt dobry, nawet lepszy niż mój, w co nie potrafiłem uwierzyć. Niemożliwe, żebym się dał nabrać na coś takiego, podobnie jak Mroczny Pasażer. Nikt nie jest w stanie udawać w sposób tak perfekcyjny, a zwłaszcza ktoś, kto nie umie dobrze imitować zwykłego uśmiechu. Absurdem było myśleć, że taki niezguła i mięczak mógłby zmasakrować młotem Camillę Figg. Nie miało to żadnego sensu...

Nagle przypomniałem sobie swój podziw dla czapli na bagnach: wydawała się ładna i zupełnie niegroźna, a przecież dobrze wiedziałem, że była śmiertelnie niebezpieczna. Czy to możliwe, że Crowley nie jest wcale

niezdarą, tylko kolejnym cudem natury, czymś podobnym do czapli, która wyglądała na bardzo miłą i przyjemną, dopóki nie wbije dzioba w ofiarę?

Było to możliwe. Im dłużej o tym myślałem, tym bardziej wydawało mi się to prawdopodobne.

Moim Cieniem był Crowley.

Tropił mnie, wrobił w morderstwo, a potem przyszedł, by się tym napawać. Teraz zamierza mnie zabić, cisnąć w mroczną otchłań, gdzie posłałem tylu innych ludzi, którzy na to zasługiwali. Co chce potem zrobić? Zająć moje miejsce? Stać się nowym Mrocznym Mścicielem? Zmienić się w Dextera Numer Dwa, sobowtóra o pozornie nieszkodliwym wyglądzie? Czy będzie zwabiać ofiary w pułapkę, udając irytująco normalnego człowieka, a potem – trach! Przebity dziobem i połknięty niczym ryba upolowana przez czaplę.

Może powinienem być zadowolony, że ktoś pragnie kontynuować moje dzieło, lecz bynajmniej nie czułem radości. Lubię być sobą i robić to, co robię; nie wyczerpałem jeszcze swoich możliwości. Zamierzam być Dexterem przez bardzo długi czas, odnajdywać łajdaków i uwalniać od nich świat – i w tej chwili miałem na oku jednego kandydata. Była to sprawa osobista. Wiedziałem, że jest to sprzeczne z Kodeksem Harry’ego i ze wszystkimi zasadami, jakie uznawałem za słuszne, lecz chciałem zniszczyć Berniego Elana, Douga Crowleya, czy jak naprawdę się nazywał. Jeszcze nigdy nie miałem większej ochoty skępować kogoś taśmą klejącą – patrzeć, jak się szarpie, jak oczy wychodzą mu z orbit, jak wypełniają się przerażeniem, czuć zapach strachu, a potem powoli, bardzo powoli unieść niewielki, bardzo ostry nóż i obserwować, jak w jego wzroku pojawia się świadomość, że oto nadchodzi ostateczna męka. Uśmiechnę się i wyślę go w ostatnią podróż...

Uważał się za wielkiego spryciarza, podszedł do mnie i bełkotał głupoty, przez cały czas udawał, dotknął mnie, zamiast mnie zabić. Bawił się ze mną w podchody, starożytną grę Indian zamieszkujących równiny. Jeśli Indianin z plemienia Lakota został muśnięty przez przeciwnika, gdy był bezbronny, stanowiło to ostateczną zniewagę, tak ogromny wstyd, że w praktyce oznaczało śmierć wojownika. Crowley jednak nie miał do czynienia z Indianinem, tylko Dexterem, kimś niepowtarzalnym, i przeoczył jedną ważną rzecz.

Lakotowie przegrali.

Przeszli do historii, nie tracąc honoru, ale przegrali wojnę i zniknęli z powierzchni ziemi, bo walczyli z ludźmi, których interesowało zabijanie i którzy nawet nie zdawali sobie sprawy, że ich obrażono. Ten opis dobrze do mnie pasował. Nie interesują mnie dziecinne gry. Przybywam, wiąże taśmą klejącą, zwyciężam. Właśnie taki jestem.

Crowley ośmiela się myśleć, że może być mną? I zaczyna w taki partacki sposób? Nie ma zielonego pojęcia, co naprawdę oznacza bycie Mną – zupełnie tego nie rozumie. Dowie się, że Sens Dextera znajduje się na czubku noża, że nie ma nikogo, kto mógłby mi dorównać ani ze mną współzawodniczyć, że nikt nigdy nie zajmie mojego miejsca, a już zwłaszcza nędzny mięczak, który imituje moje metody, bo nie ma własnej osobowości. Dowie się z pierwszej ręki, dlaczego nie może istnieć Cień Dextera, i będzie to jego ostatnia, najbardziej bolesna lekcja. Zabierze ją ze sobą w czerwony mrok i gdy stwierdzi, że wszystko na zawsze się kończy, zrozumie, że ostatecznej lekcji udzielił mu stary mistrz.

Doug Crowley umrze. Odnajdę go jak najszybciej, obedrę ze skóry i wrzucę na dno oceanu w czterech elegancko zapakowanych workach na śmieci. Nie zdąży napisać kolejnego szyderczego tekstu na swoim blogu, próbując mnie znieważać. Skrępuję go taśmą klejącą i nauczę, co naprawdę

oznacza bycie mną, aż zaczniesz żałować, że nie stał się Cieniem kogoś innego. Pozostaje tylko ostatnie, proste pytanie.

Jak?

26

Jazda do domu trwała długo, mimo to i tak miałem za mało czasu, by wszystko przemyśleć. Musiałem odnaleźć Cienia, i to szybko, ale jak? Znałem jego twarz i wiedziałem, że posługuje się w tej chwili nazwiskiem Doug Crowley. Świetnie się znał na komputerach – inscenizacja własnej śmierci robiła imponujące wrażenie – co sugerowało, że używa nazwiska prawdziwej osoby, która figuruje w bazach danych. Był to słaby punkt zaczepienia, lecz miałem dostęp do kilku wyszukiwarek znacznie lepszych od Google, więc istniała szansa znalezienia jakichś informacji na jego temat i określenia miejsca jego pobytu. Mogłem zrobić coś konkretnego i kiedy wysadziłem Maria i Steve’a Bindera, a następnie ruszyłem do domu, poczułem się trochę lepiej.

Kiedy weszliśmy do salonu, żeńska połowa naszej rodziny siedziała na kanapie. Rita trzymała w ręku filiżankę kawy; popijała ją i oglądała telewizję. Spojrzała na nas, zmarszczyła brwi, a potem zerwała się na równe nogi i postawiła filiżankę na stole.

– O mój Boże, jak wy wyglądacie! – zawołała, podeszła do nas i zaczęła się przyglądać czerwonemu nosowi Cody’ego oraz mojej twarzy i rękom pokrytym ugryzieniami. – Co się, do licha, stało z waszymi... Cody, twój nos. Dlaczego nie zabrałeś sprayu przeciwko komarom, Dexter?!

– Wziąłem, ale zapomniałem użyć – przyznałem.

Pokręciła głową wstrząśnięta moją głupotą.

– Nie mam pojęcia, co sobie właściwie myślałeś... Spójrzcie tylko na siebie! Cody, przestań się drapać!

– Swędzi – odrzekł.

– Jak się będziesz drapał, zaczniesz swędzieć jeszcze bardziej... Co z twoimi rękami, Dexter?! To też komary?

– Nie – odpowiedziałem. – Trujący bluszcz.

– Szczerze mówiąc, bardzo się dziwię, że nie pogryzł was niedźwiedź – zauważyła zdeglustowana moja nieporadnością.

Nie miałem nic na swoją obronę, zwłaszcza że podzielałem opinię Rity, a zresztą nie dała mi szansy na powiedzenie czegokolwiek. Natychmiast przystąpiła do działania. Posmarowała mi twarz i ręce maścią z tlenkiem cynku, a Cody'emu kazała wziąć gorącą kąpiel. Lily Anne się rozplakała, a Astor usiadła na kanapie i zaczęła szczyrzyć do mnie zęby.

– Co w tym takiego zabawnego? – spytałem.

– Twoja twarz – odpowiedziała. – Wyglądasz, jakbyś miał trąd.

– Trujący bluszcz jest zaraźliwy – oznajmiłem, unosząc ręce i robiąc krok w jej kierunku.

Cofnęła się, chwyciła Lily Anne i uniosła niczym tarczę.

– Nie zbliżaj się! Trzymam dziecko! Spokojnie, spokojnie, Lily Anne! – rzuciła, sadzając siostrę na swoim ramieniu, po czym szybko poklepała ją po plecach. Dziewczynka prawie natychmiast przestała płakać, może wstrząśnięta siłą klepnięć Astor. Zostawiłem je w salonie i poszedłem też wziąć prysznic.

Gorąca woda spływająca po moich opuchniętych rękach dostarczyła mi niezwykłych przeżyć, niepodobnych do niczego, z czym miałem kiedykolwiek do czynienia. Szczerze mówiąc, nie mam ochoty znów tego doświadczyć. Połączenie gwałtownego pieczenia i ostrego bólu sprawiło, że o mało nie zacząłem krzyczeć. Wyszedłem spod prysznica, znów

posmarowałem dłonie maścią Rity, co trochę złagodziło ból. Moje ręce były jakby zdrewniałe, co bardzo utrudniało ubieranie. Ale nie prosiłem Rity, by pomogła mi zapiąć suwak i guziki koszuli – włożyłem ubranie samodzielnie i wkrótce siedziałem przy stole w kuchni, popijając kawę.

Trzymałem filiżankę w opuchniętych, obolałych rękach, czując jej ciepło. Moje dłonie pulsowały i zastanawiałem się, czy mógłbym się nimi sprawnie posługiwać. Miałem wrażenie, że coś jest ze mną nie w porządku. Bez przerwy się spóźniałem, jakby Crowley czytał w moich myślach. Wiedziałem już o nim dostatecznie dużo i nie wierzyłem, że jest tak zdumiewająco inteligentny. Przyczyną porażki byłem ja. Popełniałem błędy, zachowywałem się jak przeciętniak, choć normalnie byłem perfekcyjny. Zastanawiałem się, co się ze mną dzieje.

Czy nie jestem już taki bystry i radośnie złowrogi jak dawniej? Zdałem sobie sprawę, że w tej chwili Crowley może być równym przeciwnikiem. Stałem się miękki, w swojej nowej roli Taty Dextera zanadto się upodobiłem do człowieka. Jeden drobny problem sprawił, że zupełnie się rozkleiłem. Ściśle rzecz biorąc, chodziło o dwa problemy i żaden z nich nie był drobny, lecz nie zmieniało to sytuacji.

Myślałem o innym Dexterze, który pasował do mojego wyobrażenia na własny temat: Dexterze Zwycięzcy. Inteligentnym, sprytnym, wysportowanym, gotowym na wszystko, zawsze chętnym do wyruszenia na łowy i potrafiącym wyczuć niebezpieczeństwo. Porównując ten obraz z tym, co widziałem w lustrze, odczuwałem zawód i wstyd. Jak to się stało, że idealny Dexter moich marzeń przestał istnieć? Czy do tak głębokiego upadku doprowadziło łatwe życie?

Najwyraźniej tak. Radośnie odrzuciłem swoje naturalne cechy, chcąc się zmienić w kogoś, kim nigdy nie mogłem być. A teraz, gdy bardziej niż kiedykolwiek chciałem pozostać sobą, stałem się miękki. To moja wina –

zacząłem żyć zbyt wygodnie i zaczęło mi się to podobać. Przyjemności małżeństwa, uspokajający wpływ Lily Anne, rutyna życia domowego i pracy w policji – wszystko to mnie rozmiękczyło. Ogarnęło mnie samozadowolenie, zasnąłem, ukołysany wygodnym stylem życia i łatwą dostępnością zwierzyny, na którą od tak dawna polowałem. I kiedy pojawiło się pierwsze prawdziwe wyzwanie, zachowałem się jak bezbronna owca. Nie wierzyłem, że coś może grozić właśnie mnie, i pozostawałem bierny, licząc, że niebezpieczeństwo zniknie samoistnie.

Czy rzeczywiście tak się zmieniłem? Czy naprawdę straciłem kły i pazury? Czy przesiąknąłem człowieczeństwem i zmieniłem się w rozlazłego hobbystę, potwora na pół etatu, zbyt leniwego i tępego, by zrobić coś więcej, niż obserwować topór opadający na własną głowę i wołać: „Biedny Dexter?”.

Popijałem kawę, czując ból w rękach. Do niczego to nie prowadziło. Popadałem w coraz większą rozpacz, choć już i tak za bardzo się w niej pograżyłem. Przyszedł czas, by wziąć się w garść, stanąć prosto i zająć należną mi pozycję władcy. Byłem tygrysem, a z jakiegoś powodu zachowywałem się jak domowy kocur. To musiało się skończyć, natychmiast; w końcu pojawił się sposób, by powstrzymać degrengoladę. Powinienem wyszukać w internecie konkretne nazwisko; należało po prostu to zrobić.

Wypiłem kawę, wstałem i poszedłem korytarzem do niewielkiego pokoju nazywanego przez Ritę moim gabinetem. Usiadłem i włączyłem laptop, po czym zamknąłem oczy, odetchnąłem głęboko i spróbowałem nawiązać kontakt ze swoim wewnętrznym tygrysem. Prawie natychmiast usłyszałem mruczenie; zwierzę się przeciągnęło i nadstawiło grzbiet, by je pogłaskać. Miły kotek, pomyślałem z wdzięcznością, a tygrys pokazał kły

w szczęśliwie łądackim uśmiechu. Odwzajemniłem uśmiech, otworzyłem oczy i zabraliśmy się do pracy.

Najpierw sprawdziłem dane na temat kart kredytowych i ku swojej nieskończonej radości uzyskałem natychmiastowe wyniki. W sobotę rano, w dniu, gdy pojechaliśmy na biwak, Doug Crowley zapłacił kartą kredytową Visa za paliwo na stacji benzynowej przy autostradzie Tamiami Trail między Miami a Parkiem Narodowym Fakahatchee.

Jeśli posługiwał się kartą kredytową, musiał mieć stały adres. W jakiś sposób zdołał się zmienić w Douga Crowleya, solidnego obywatela z wiarygodną historią kredytową i domem; skoro posługiwał się kartą, musiał być pewien, że jej właściciel się nie poskarży. Prawdopodobnie oznaczało to, że mieszkał w domu Douga Crowleya. Wiedziałem, jak Cień lubił rozwiązywać swoje osobiste problemy, toteż domyśliłem się, że prawdziwy Doug Crowley nie żyje. Co najdziwniejsze, adres znajdował się dość blisko, na Sto Czterdziestej Ósmej Alei, zaledwie trzy kilometry od miejsca, gdzie się znajdowałem.

Spoglądałem podejrzliwie na komputer – czy po tym wszystkim, co się zdarzyło, miało się to okazać takie proste? Znaleźć dom, wybrać się na spacer i spędzić kilka rozkosznych godzin z wielbicielem, który poprzednio zachowywał anonimowość? Nie wydawało się to skomplikowane i przez kilka sekund patrzyłem z niedowierzaniem na adres.

Mroczny Pasażer poruszył się niecierpliwie i skinąłem głową. Oczywiście, że to proste. Nie wiedziałem, jakim nazwiskiem posługiwał się wcześniej Crowley; starannie je ukrywał. Teraz, gdy je ustaliłem, nie ulegało wątpliwości, że znalazłem jego kryjówkę. Moje podejrzania to efekt cynizmu i paranoi – lecz czy można mi się dziwić? Z roztargnieniem potarłem opuchnięte dłonie i stopniowo poczułem, że jestem całkowicie

przekonany. To on, na pewno. Mroczny Pasażer zamruczał z zadowoleniem, jakby wyrażał aprobatę.

Doskonale: odnalazłem go. Teraz musiałem się tylko zastanowić, jak się go pozbyć, nie posługując się rękami poparzonymi przez trujący bluszcz.

Postanowiłem nie zwracać uwagi na stan moich dłoni; nie mogłem czekać. Zbliżał się finał i szybkość miała kluczowe znaczenie. Crowley zbyt łatwo mi się wymykał, więc nie należało dawać mu czasu, by się przygotował. Zrobię to dziś w nocy, gdy tylko się ściemni, choćby ze spuchniętymi rękoma. Kiedy podjąłem decyzję, natychmiast poczułem się znacznie lepiej niż w ciągu ostatnich dni – w najciemniejszych zakamarkach Lochów Dextera zapanowało pełne oczekiwania podniecenie. Znów zamierzałem wyruszyć na nocne łowy.

Reszta dnia upłynęła dość przyjemnie. Dlaczego nie? Miałem plan i przebywałem na łonie szczęśliwej rodziny. Siedziałem z Lily Anne na kolanach i obserwowałem, jak Cody i Astor mordują na ekranie swoich animowanych przyjaciół.

Rita zniknęła w kuchni; podejrzewałem, że przedziera się przez kolejny przyniesiony z pracy stos papierów pokrytych niezrozumiałymi wykresami. Ale stopniowo zdałem sobie sprawę, że z kuchni dobiega przyjemny aromat, znacznie miłszy od woni atramentu. I oto – patrzcie! patrzcie! – o szóstej wieczór drzwi kuchni się otworzyły, po czym buchnął z nich obłok pięknie pachnącej pary, aż pociekła mi ślinka. Odwróciłem się i zobaczyłem rozpromienioną Ritę w fartuchu i rękawicach kuchennych, z twarzą zaczerwienioną z wysiłku.

– Kolacja – oznajmiła. – Pomyślałam po prostu... – Spojrzała na mnie. – Wiem, że jest już późno... Ale byłeś taki... – Potrząsnęła głową. – Tak czy inaczej, przygotowałam coś specjalnego... Paellę z mango – dodała i nigdy nie wypowiedziano piękniejszych słów.

Paella z mango była jednym z najlepszych przepisów Rity, a już dawno jej nie jedliśmy. Długa przerwa nie wpłynęła na jakość potrawy, która okazała się cudowna. Zacząłem się opychać parującą, aromatyczną masą. Przez dwadzieścia minut myślałem tylko o paelli i, szczerze mówiąc, za bardzo się objadłem. To samo zrobił Cody, nawet Astor przestała narzekać i zjadła ze smakiem swoją porcję. Kiedy po kolacji odsunęliśmy krzesła od stołu, po potrawie nie zostało ani śladu.

Rita popatrzyła na nas ze szczerą satysfakcją.

– Cóż – rzekła. – Mam nadzieję, że... Może nie była taka dobra jak zwykle, ale...

Astor zaczęła przewracać oczami.

– Zawsze mówisz to samo, mamó! – stwierdziła. – Wypadła nieźle.

Cody zerknął na siostrę, pokręcił głową, a potem spojrzał na Ritę.

– Była dobra.

Rita się rozpromieniła, słysząc rzadką pochwałę Cody'ego, a później ja dodałem swoją kwestię.

– Nazwałbym ją dziełem sztuki – stwierdziłem, powstrzymując zadowolone beknięcie. – Wielkiej sztuki.

– Cóż... – odezwała się Rita. – To bardzo miło z waszej... Dziękuję. Chciałam po prostu... Zbiorę talerze. – Zarumieniła się i zaczęła sprzątać ze stołu.

Zadowolony poszedłem do swojego gabinetu i zacząłem się szykować do deseru: taśma klejąca, nóż do filetowania, pętla z nylonowej żyłki – kilka prostych akcesoriów, by zakończyć miły wieczór ulubionym daniem. Spakowawszy przybory do torby sportowej, dołączyłem do Cody'ego i Astor grających na Wii. Siedziałem na kanapie i obserwowałem radosną masakrę, czując, jak opuszcza mnie napięcie. Dlaczego nie? Przygotowałem sportową torbę z akcesoriami i wybrałem przyjaciela, który

miał się z nimi zapoznać; zaczynało się znowu normalne życie, a Rita przygotowała z tej okazji wspaniałą kolację, którą zapamiętam na długo.

Siedziałem i czekałem, aż zapadnie zmrok, rozmyślając o tym, co wkrótce zrobię, i trawiąc paellę. Było to przyjemne zajęcie, względnie łatwe, i w pewnym momencie zasnąłem.

Obudziłem się, nie mając pojęcia, gdzie jestem i która godzina; mrugałem głupkowato oczami w półmroku. Zwykle nie mam skłonności do drzemek; czułem się otępiały i odurzony. Po upływie minuty przypomniałem sobie, że siedzę na kanapie w salonie i że koło telewizora wisi zegar. Z nadludzkim wysiłkiem skierowałem oczy w tę stronę i spostrzegłem, że jest dziesiąta czterdzieści siedem. Było to coś więcej niż drzemka – raczej hibernacja.

Oddychałem głęboko przez kolejną minutę, usiłując odzyskać jasność umysłu niezbędną do tego, co zamierzałem zrobić tej nocy. Mimo to w dalszym ciągu czułem się otępiały. Czy Rita dodała czegoś do paelli? Ziół o działaniu nasennym? Kryptonitu? Cokolwiek to było, zasnąłem jak po tabletkach nasennych. Spędziłem chyba ze dwie minuty, zastanawiając się, czy nie iść do łóżka i nie odłożyć wszystkiego do jutra. Było późno, czułem zmęczenie; z pewnością Crowley może poczekać jeden dzień...

Na szczęście zwyciężył rozsądek; przypomniałem sobie, że odkładanie nocnej wyprawy nie wchodzi w rachubę. Groziło mi bezpośrednio niebezpieczeństwo, a rozwiązanie znajdowało się w zasięgu ręki i mogło mieć nawet sens terapeutyczny. Musiałem działać natychmiast, bez zwłoki. Powtórzyłem to kilka razy – nie zdołałem wzbudzić w sobie pożądanego entuzjazmu, lecz przynajmniej zacząłem coś robić. Przeciągnąłem się, wstałem i czekałem, aż w pełni odzyskam przytomność. Niestety, dalej byłem senny. Po chwili ruszyłem korytarzem i wziąłem torbę sportową zapakowaną po kolacji.

Zanim wyszedłem, zajrzałem do sypialni. Rita spała, pochrapując lekko, a Lily Anne leżała spokojnie w łóżeczku. W domu panował spokój; pora, by Dexter wymknął się w mrok.

Kiedy otworzyłem frontowe drzwi, zacząłem straszliwie ziewać; nie czułem normalnego lodowatego napięcia. Potrząsnąłem głową, na próżno próbując poprawić krążenie krwi w mózgu. Co się ze mną dzieje? Dlaczego nie mogę dojść do siebie? Czeka mnie przyjemna, satysfakcjonująca praca; nie ma sensu jej wykonywać jak lunatyk sterowany przez automatycznego pilota. Staralem się dodać sobie energii: Skup się, Dexter! Zaczynaj myśleć i weź się do roboty!

Gdy usiadłem za kierownicą i zapaliłem silnik, poczułem się trochę lepiej. Wrzuciłem bieg, wyjechałem na ulicę i pomyślałem, że powolna jazda przez Miami z pewnością dostarczy mi pożądanego zastrzyku adrenaliny. I rzeczywiście, moje przewidywania się sprawdziły – kiedy przejechałem trzydzieści metrów i zerknąłem w lusterko wsteczne, w moim krwiobiegu znalazła się miesięczna dawka adrenaliny. Z tyłu, na pustym parkingu pół przecznicy za moim domem zapaliły się reflektory samochodu, który zaczął mnie śledzić.

Wpatrywałem się w lusterko, próbując się przekonać, że to halucynacja. Ale światła się zbliżały, podążały stale za mną i o mało nie uderzyłem w drzewo, nim przypomniałem sobie, że powinienem również patrzeć przed siebie. Jednak bez przerwy zerkałem w lusterko, w którym lśniły reflektory jadącego za mną samochodu.

To tylko zbieg okoliczności, powiedziałem sobie, walcząc z dzwonekami alarmowymi, które zabrzęczały w moim mózgu. Nikt mnie nie śledził; jeden z sąsiadów przypadkiem zostawił wóz na pustym parkingu i wybrał się na nocną przejażdżkę. A może pijany kierowca postanowił odespać zbyt wiele Cuba Libre, nagle się obudził, a potem ruszył? Istniało wiele

rozsądnych, logicznych wyjaśnień; to, że ktoś uruchomił samochód tuż po mnie i jechał za mną, nie musiało oznaczać, że jestem śledzony. Rozsądek podpowiadał, że to zwykły przypadek.

Skręciłem w prawo i jechałem powoli; chwilę później to samo zrobił mój towarzysz, a dzwonki alarmowe przybrały na sile. Usiłowałem je zagłuszyć logiką. Naturalnie, że również skręcił. Nie było innego wyjazdu z dzielnicy; biegła tędy najkrótsza droga do autostrady Dixie, przy której znajdują się sklepy całodobowe, gdzie można kupić coś na kaca. Wielu ludzi mogło się tu znaleźć o tej porze. To, że ktoś podąża tuż za mną, jest kompletnym przypadkiem. Aby to udowodnić, na następnym skrzyżowaniu skręciłem w prawo, oddalając się od jasno oświetlonych sklepów znajdujących się przy autostradzie Dixie, i zapuściłem się w ciemne uliczki, przy których stały rzędy domów mieszkalnych. Następnie spojrzałem w lusterko wsteczne, by sprawdzić, czy samochód jadący za mną skręci w lewo.

Nie zrobił tego.

Skręcił w prawo, w tę samą ulicę jak ja, i podążał za mną niczym cień...

Kiedy to zobaczyłem, nagle ogarnęła mnie panika i wyprostowałem się na siedzeniu. Cień?! Czy to możliwe?

Czy śledzi mnie Crowley?!

Nie musiałem długo się zastanawiać, by znaleźć odpowiedź. Naturalnie, że było to możliwe, a nawet prawdopodobne, bo jak dotąd przez cały czas okazywał się sprytniejszy ode mnie. Znał mój adres i samochód. Napisał, że mnie obserwuje, i obiecał, że mnie zabije. A teraz zaczął mnie śledzić niczym pies gończy.

Nieświadomie przyśpieszyłem; samochód jadący za mną zrobił to samo i zaczął się do mnie zbliżać. Skręciłem w prawo, w lewo, w prawo, podążając przypadkowymi ulicami. Ciągle jechał za mną, cały czas zmniejszając dystans; żałowałem, że nie mogę nacisnąć pedału gazu

i zniknąć z rykiem w ciemności. Mimo wielu zakrętów nie odstępował mnie ani na krok; w końcu znalazł się zaledwie dziesięć metrów z tyłu.

Znów skręciłem w lewo, a on pojechał moim śladem. Nie miało to żadnego sensu. Musiałem go zgubić albo stawić mu czoła. Mój stary samochód mógłby przegonić tylko rower, toteż pozostawała konfrontacja.

Ale nie tutaj, nie na ciemnych ulicach osiedli mieszkaniowych, gdzie człowiek, który mnie śledzi, nie musiałby się martwić, że ktoś go zobaczy. Jeśli mamy się spotkać twarzą w twarz, powinno to nastąpić w jasnych światłach autostrady Dixie, gdzie znajdują się kamery monitoringu i gdzie wszystko zobaczą sprzedawcy sklepowi.

Zawróciłem, a drugi samochód zrobił to samo i zbliżył się do mnie jeszcze bardziej. Pojechałem szybko do autostrady, skręciłem w prawo, po czym zatrzymałem się na najbliższej stacji benzynowej. Zaparkowałem w jasno oświetlonym miejscu, tuż przed kasą, w polu widzenia pracownika obsługującego stację i kamery monitoringu. Czekałem, nie wyłączając silnika. Samochód, który śledził mnie od samego domu, zatrzymał się po chwili obok mojego wozu.

Nie był to odrapany, stary cadillac, którym jeździł Crowley, lecz względnie nowy ford taurus. Miałem wrażenie, że widywałem już gdzieś ten samochód, nawet dość często, wręcz codziennie. Kiedy kierowca wysiadł i padło na niego pomarańczowe światło reflektorów palących się na stacji, natychmiast go poznałem.

Dlatego, zamiast wypaść z auta i zmasakrować Crowleya opuchniętymi rękami, pozostałem na swoim miejscu i opuściłem szybę. Kierowca podszedł do mojego samochodu, spojrział na mnie i na jego twarzy pojawił się piękny, ekstatyczny uśmiech ukazujący setki lśniących, ostrych zębów. W obliczu takiego absolutnego szczęścia mogłem zadać tylko jedno pytanie:

– Co, u licha, pan tu robi o tej porze, sierżancie Doakes?

Sierżant Doakes przez dłuższą chwilę nie odpowiadał. Spoglądał na mnie w milczeniu i uśmiechał się drapieżnie, aż wreszcie cisza stała się niezręczna. Pomyślałem z niepokojem o torbie sportowej leżącej z tyłu na podłodze samochodu. Trudno byłoby wytłumaczyć jej zawartość człowiekowi o nieprzyjemnym, podejrzliwym umyśle – innymi słowy, komuś takiemu jak Doakes. Gdyby otworzył torbę i zobaczył moją kolekcję niezwykłych narzędzi, mógłbym mieć spore kłopoty, gdyż byłem oficjalnie podejrzewany o posługiwanie się właśnie takimi akcesoriami.

Ale niebezpieczeństwo to żywioł Dextera. Jestem mistrzem blefu i tego rodzaju sytuacje wyzwalają moje ukryte talenty.

– Zdumiewający zbieg okoliczności – rzekłem pogodnym tonem. – Wybrałem się do apteki, by kupić środki antyhistaminowe. – Pokazałem Doakesowi swoje opuchnięte dłonie, lecz nie wydawał się zainteresowany. – Mieszka pan w tej okolicy? – Umilkłem, czekając na odpowiedź, lecz się nie odzywał. Kiedy cisza zaczęła się przeciągać, stłumiłem w sobie chęć zapytania go, czy to kot odgryzł mu język, po czym nagle zdałem sobie sprawę, że nie ma przy sobie syntezatora mowy. – Ach, przepraszam, widzę, że nie ma pan przy sobie swojej gadającej maszyny, prawda? A zatem załatwmy to szybko. Nie ma nic gorszego niż długie monologi. – Wyciągnąłem rękę, by zamknąć okno, i dodałem wesoło: – Dobranoc, sierżancie!

Doakes pochylił się, oparł dwa metalowe szpony na szybie mojego wozu i nie pozwolił jej zamknąć. Nie uśmiechał się już, mięśnie jego szczęk się poruszały – naciskał szybę z coraz większą siłą. Zastanawiałem się przez chwilę, co by się stało, gdyby szkło pękło. Czy jeden z odłamków mógłby mu przeciąć nadgarstek? Myśl o tym, że Doakes wykrwawiłby się na śmierć na parkingu koło mojego samochodu, była bardzo przyjemna. Jednak, oczywiście, istniała również możliwość, że straszliwa, czerwona posoka trysnęłaby do wnętrza wozu i poplamiała moje ubranie. Na myśl o tym dostałem gęsiej skórki. Nie byłaby to tylko normalna, przerażająca krew, lecz ohydna, czarna krew Doakesa, i poczułem taką odrazę, że przez chwilę nie mogłem oddychać.

Na szczęście szyby samochodów są wykonane z bezpiecznego szkła. Nie pękają na ostre odłamki, tylko rozsypują się na małe, tępe kawałki; zabicie nimi Doakesa byłoby bardzo trudne, chyba że zmusiłbym go do ich połknięcia. Mogłoby to być trudne, więc wzruszyłem filozoficznie ramionami, przestałem zamykać okno i spojrzałem mu w oczy.

– Coś jeszcze, sierżancie? – spytałem uprzejmie.

Doakes nigdy nie słynął z umiejętności prowadzenia konwersacji, a wycięcie języka nie zwiększyło jego talentów w tej dziedzinie. Było jasne, że miałby wiele do powiedzenia, jednak milczał. Spoglądał na mnie, napinał mięśnie szczęk, ale nie naciskał już na szybę. W końcu pochylił się nade mną i popatrzyliśmy sobie w oczy. Było to bardzo nieprzyjemne; na szczęście nie śmierdział tak jak Hood. Człowiek o mniejszej odporności niż Dexter na pewno by się załamał, lecz ja zdołałem wytrzymać jego spojrzenie, nie wybuchając płaczem i nie przyznając się do wszystkich swoich zbrodni.

W końcu Doakes musiał zrozumieć, że nie jest w stanie nic powiedzieć i że niczego ode mnie nie wyciągnie. Nie przyznam się przecież, iż

popeliłem przestępstwa, o które mnie podejrzewa, i nie powiem, że jeżdżę nocą po mieście, by kogoś zabić. Wyprostował się powoli, nie odrywając ode mnie wzroku, po czym dwukrotnie skinął głową, jakby chciał powiedzieć: „W porządku”. Później uśmiechnął się do mnie, lekko obnażając zęby w drapieźnym półuśmiechu, znacznie bardziej niepokojącym od pełnego uśmiechu, i wykonał gest widywany w filmach: wskazał dwoma palcami swoje oczy, a następnie wyciągnął jeden palec w moim kierunku. Ponieważ nie miał palców, robił to lśniącymi, metalowymi szponami i rozszyfrowanie znaku wymagało pewnej dozy wyobraźni. Jednak znaczenie gestu było całkowicie jasne: „Obserwuję cię”. Przez chwilę wyciągał szpon w moją stronę i spoglądał na mnie wściekle, a potem odwrócił się gwałtownie, poszedł do swojego samochodu, otworzył drzwi i usiadł za kierownicą.

Czekałem przez chwilę, lecz Doakes nie odjechał. Po prostu czekał i obserwował, choć nie robiłem nic ciekawego, tylko się pocilem. Wyglądało na to, że naprawdę postanowił nie spuszczać mnie z oka. Zamierzał mnie śledzić, niezależnie od tego, co robię. Patrzył na mnie i przypomniałem sobie, że powinienem kupić środki antyhistaminowe; zapewne liczył, że o tym zapomnę. Dlatego po chwili wysiadłem z samochodu i wszedłem do sklepu na stacji benzynowej. Zdjąłem z półki pudełko tabletek, których reklamę widziałem w telewizji, zapłaciłem i wróciłem do auta.

Doakes w dalszym ciągu mnie obserwował. Wrzuciłem wsteczny, opuściłem parking i ruszyłem z powrotem do domu. Nie musiałem patrzeć do tyłu w lusterko, by wiedzieć, że mnie śledzi.

Jechałem powoli w stronę domu i przez cały czas widziałem w lusterku reflektory Doakesa, który podążał dziesięć metrów za mną. Był to znakomity, podręcznikowy przykład jawnego śledzenia innego samochodu;

wolałbym, by Doakes uczył tego młodych funkcjonariuszy w szkole policyjnej, niż dręczył mnie w ten sposób. Zaledwie kilka minut wcześniej byłem szczęśliwy, najedzony i zamierzałem wykonać konkretne zadanie, a teraz stanąłem w obliczu dylematu. Musiałem się zająć Crowleyem, i to jak najszybciej, lecz dopóki śledził mnie sierżant Doakes, nie wchodziło to w rachubę.

Czułem narastającą frustrację i przeklinałem swoją głupotę. Tropił mnie nie tylko Crowley, lecz również sierżant Doakes. Powinienem być się tego domyślić. Jasne, że mnie obserwował. Od lat czekał, bym znalazł się w takiej sytuacji. Należało to do celów jego życia; możliwość polowania na Dextera zastąpiłaby mu jedzenie i sen.

Znalazłem się w pułapce, w matni, z której nie istniała droga wyjścia. Jeśli nie załatwię Crowleya, on mnie załatwi. Jeśli spróbuję to zrobić, dopadnie mnie Doakes. Przegrałem.

Rozwazałem wszystkie możliwości, jednak rezultat był zawsze taki sam. Musiałem coś przedsięwziąć, lecz nie mogłem działać – doskonała łamigłówka, a w pobliżu nie było panny Marple, która pomogłaby ją rozwiązać. Kiedy zatrzymałem samochód przed domem, bolały mnie zęby, miałem spocone ręce i pogryzione wargi. Nic nie wymyśliłem.

Siedziałem przez minutę za kierownicą, zbyt sfrustrowany, by się poruszyć. Powoli przejechał obok mnie Doakes, zawrócił i zaparkował tam, gdzie poprzednio, skąd doskonale widział mnie i dom. Wyłączył silnik i reflektory; siedział w ciemnym samochodzie i patrzył. Znów zazgrzytałem zębami i ścisnąłem kierownicę. Nie miało to żadnego sensu; mogłem siedzieć w aucie w nieskończoność lub pogodzić się z tym, że mogę tylko iść do domu i trochę się przespać. Może podświadomość podsunie mi jakiś pomysł podczas snu? Równie prawdopodobne było to, że w nocy spadnie deszcz meteorytów, które zabiją zarówno Doakesa, jak i Crowleya.

Postanowiłem iść spać. Przynajmniej będę wypoczęty, gdy nadejdzie koniec. Wsiadłem z auta, zamknąłem je i poszedłem do domu, gdzie spokojnie się położyłem.

Ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu w nocy rzeczywiście znalazłem rozwiązanie. Nie pojawiło się ono we śnie; prawie nigdy nie miewam marzeń sennych, a gdy to się zdarza, pojawiają się w nich oczywiste, żenujące symbole – nigdy nie korzystałbym z rad, jakie mogłyby się pojawić w snach.

Kiedy wczesnym rankiem otworzyłem oczy i usłyszałem odgłosy dochodzące z łazienki, w której myła się Rita, ujrzałem przed oczami wyraźny obraz – wesołą, sztucznie uśmiechniętą twarz Briana, mojego brata. Znów zamknąłem oczy i zacząłem się zastanawiać, dlaczego o nim myślę i dlaczego jego fałszywy uśmiech budzi we mnie taką radość. Naturalnie tworzyliśmy rodzinę, a posiadanie rodziny powinno być źródłem szczęścia. Ale chodziło o coś ważniejszego. Brian nie tylko posiadał to samo DNA, ale był także jedynym człowiekiem na świecie, który znał melodię Mrocznego Tańca Dextera. I, co najważniejsze, mogłem go poprosić, by ją zagrał.

Leżałem w łóżku, uśmiechałem się i myślałem o Brianie, gdy do sypialni wróciła Rita, ubrała się i pośpieszyła do kuchni. Zastanawiałem się nad swoim pomysłem, rozważając jego słabe strony. Powtarzałem sobie, że chwytam się rozpaczliwych sposobów, że moja nadzieja jest złudna. To się nie może udać – rozwiązanie jest zbyt proste, zbyt skuteczne; po dziesięciu sekundach namysłu w stanie pełnej świadomości na pewno uznam je za przesadnie optymistyczne.

Powoli rozjaśniało mi się w głowie, lecz nie dostrzegałem żadnych negatywnych cech planu i na moją twarz wrócił uśmiech.

Mogło się udać.

Należy podać Brianowi adres Crowleya, wyjaśnić, o co chodzi, a następnie pozwolić działać.

Było to eleganckie rozwiązanie; jedyny prawdziwy problem polegał na tym, że nie zajmę się Crowleyem osobiście. Nie mógłbym nawet patrzeć, co wydawało się strasznie niesprawiedliwe. Bardzo, bardzo chciałem zrobić wszystko własnoręcznie: obserwować, jak ta żalosna, nadęta kreatura poci się, szarpie i próbuje wyrwać, gdy powoli, starannie, z sympatią prowadzę go coraz dalej, aż wreszcie zupełnie traci nadzieję i zbliża się do ciemnego kręgu na końcu krótkiej chwili jasności...

Jednak każdy dorosły człowiek musi się nauczyć, że nic nie jest doskonałe. Od czasu do czasu wszyscy musimy poświęcać drobne przyjemności, by osiągać wyższe cele; powinienem się zachować w dojrzały sposób i pogodzić z tym, że rezultat jest ważniejszy od osobistej satysfakcji. Najważniejsze to wysłać Crowleya w wesołą podróż do wieczności; nieważne, że dotrze tam bez mojej pomocy, byle stało się to jak najszybciej.

Wstałem z łóżka, wziąłem prysznic, ubrałem się i usiadłem przy stole w kuchni. Nie widziałem żadnych negatywnych cech swojego pomysłu. Moja pewność narastała, gdy jadłem bardzo smaczne śniadanie złożone z placków i kanadyjskiego boczku, a kiedy odsunąłem pusty talerz i nalałem sobie drugą filiżankę kawy, w mojej głowie uformował się konkretny plan. Brian mi pomoże; w końcu jest moim bratem. To zadanie stworzone dla niego, coś, co pozwoli mu wykorzystać swoje mocne strony, a jednocześnie sprawi przyjemność. Rozwiązanie wydawało się czyste, skuteczne i satysfakcjonujące; zacząłem nawet myśleć o tym, jak dobrze mieć starszego brata. Rodzina to najważniejsza rzecz na świecie.

Kiedy Rita sprzątnęła ze stołu, wpadłem w tak doskonały humor, że miałem ochotę podśpiewywać. Jeden problem został rozwiązany i mogłem

się zająć następnym: Hoodem, Doakesem i ich planem zniszczenia mnie. Byłem w tak dobrym nastroju, że zacząłem wierzyć, iż zdołam sobie poradzić również z nimi. Może powinienem się położyć spać i czekać, aż moja podświadomość podsunie mi nowy pomysł?

Wokół rozlegały się odgłosy porannej krzątaniny – wszyscy szykowali się do wyjścia z domu. Wreszcie w chwili gdy powinno zabrzmieć trzykrotne trzaśnięcie drzwi frontowych, do kuchni weszła Rita i pocałowała mnie w policzek.

– Druga trzydzieści – rzekła. – Zapomniałam ci powiedzieć wczoraj wieczorem, bo zasnąłeś. A przedtem po prostu chciałam... Przygotowanie paelli zajmuje sporo czasu, wiesz?

Znów miałem poczucie, że uczestniczę w rozmowie, która się zaczęła bez mojego udziału kilka minut wcześniej. Ale w taki optymistyczny poranek mogłem być cierpliwy.

– Paella była pyszna – odparłem. – O czym zapomniałaś mi powiedzieć?

– Och, że mamy spotkanie o drugiej trzydzieści. Umówiłam nas, kiedy ty i Cody... A potem, gdy wróciliście do domu... Tak czy inaczej, wyleciało mi to z głowy.

Przyszło mi na myśl kilka błyskotliwych i zabawnych uwag, ale znów postanowiłem się skupić na poważniejszej kwestii, która polegała na tym, że wciąż nie miałem pojęcia, o co chodzi.

– Będę tam o drugiej trzydzieści – odpowiedziałem. – Jeśli mi powiesz, gdzie mam przyjść i dlaczego.

Astor zawołała: „Mamo!”, trzasnęły frontowe drzwi, a Rita zmarszczyła brwi i pokręciła głową.

– Ach, czy nic... Rozmawiałam z Carlene w pracy. Jej szwagier jest adwokatem. – Obróciła głowę w stronę frontowych drzwi i wrzasnęła: – Chwileczkę, Astor!

Może zacząłem się przyzwyczajać do jej chaotycznego sposobu mówienia, bo po chwili zrozumiałem, co ma na myśli.

– Jesteśmy umówieni z adwokatem? – spytałem.

– Dziś o drugiej trzydzieści – odrzekła, pochyliła się i znów mnie pocałowała. – Adres jest na niebieskiej karteczce przyklejonej do lodówki.

– Wyprostowała się i dodała: – Nie zapomnij.

Poszła do salonu, wołając Astor. Zaczęły się sprzeczać o to, co wypada nosić w ośrodku dziennej opieki, co i tak nie miało większego znaczenia, bo były wakacje. Astor twierdziła, że spódniczka nie jest wcale za krótka, więc nie rozumiała, dlaczego musi wkładać szorty. Po kilku minutach hysterii frontowe drzwi trzykrotnie trzasnęły i zapanowała nagła cisza. Westchnąłem z ulgą i miałem wrażenie, że cały dom robi to samo.

Chociaż nie lubię, gdy ktoś inny układa mi rozkład dnia, i nie przepadam za adwokatami, przeczytałem niebieską kartkę przyklejoną do lodówki. Napis brzmiał: „Fleishman, 2.30”, a poniżej znajdował się adres na Brickell Avenue. Nie miałem pojęcia, czy to dobry prawnik, lecz z adresu wynikało, że jest drogi, co powinno być pewnym pocieszeniem. Nie zaszkodzi, jeśli z nim porozmawiam; może udzieli mi pomocy w walce z Hoodem i Doakesem. Należało się zająć moimi kłopotami z policją, zwłaszcza że rozwiązanie drugiego problemu wymagało tylko jednego telefonu.

Schowałem karteczkę do kieszeni i poszedłem po komórkę.

Kiedy wystukiwałem numer Briana, przyszło mi do głowy, że tego rodzaju rozmowy nie nadają się na telefon. Słyszałem już wiele nagranych rozmów. Zdania typu: „Czy widziałeś faceta z towarem?”, brzmiały bardzo podejrzanie, gdy słuchają ich członkowie ławy przysięgłych. Komórki to cudowne urządzenia, ale nie są bezpieczną formą komunikacji, a jeśli Doakes zadał sobie tyle trudu, by mnie śledzić, mógł także uzyskać nakaz podsłuchu moich rozmów telefonicznych. Dlatego, chcąc się zabezpieczyć,

umówiłem się z Brianem w Cafe Relampago, mojej ulubionej kubańskiej restauracji.

Spędziłem rano, krążąc po domu i porządkując rzeczy, które tego nie wymagały. Było to lepsze od siedzenia na kanapie i oglądania porannych programów telewizyjnych, by zapomnieć o dręczących mnie problemach. Rozpakowałem torbę sportową i starannie schowałem swoje akcesoria. Wkrótce, powiedziałem do nich czule.

O wpół do pierwszej zamknąłem dom i wsiałem do samochodu. Kiedy wyjechałem na ulicę, zaczął mnie śledzić sierżant Doakes; podążał tuż za mną przez całe miasto do autostrady Palmetto. Skręciłem w stronę portu lotniczego i pasażu handlowego, gdzie znajdowała się Cafe Relampago, i zaparkowałem przed restauracją, a Doakes zatrzymał się kilka miejsc w lewo, między mną a wyjazdem z parkingu. Na szczęście nie wszedł za mną do lokalu. Po prostu siedział w samochodzie, nie wyłączając silnika i spoglądając na mnie przez przednią szybę. Pomachałem mu wesoło i poszedłem na spotkanie z bratem.

Brian siedział w tylnej części sali zwrócony twarzą w stronę drzwi. Kiedy wszedłem, uniósł dłoń na powitanie. Zająłem miejsce naprzeciwko niego.

– Dziękuję, że zgodziłeś się ze mną spotkać – powiedziałem.

Uniósł brwi, udając zaskoczenie.

– To oczywiste – odrzekł. – Jesteśmy rodziną, prawda?

– Chciałbym cię o coś prosić – stwierdziłem.

– Mów, bracie.

Nim zdążyłem to zrobić, do stolika podeszła kelnerka i rzuciła na blat dwie karty dań. Rodzina Morganów odwiedza Cafe Relampago od dziesięcioleci, a ta kobieta, Rose, obsługiwała nas setki razy. Lecz kiedy kładła przed nami karty, udała, że mnie nie poznaje. Brian zamierzał się do

niej odezwać, lecz nie zdążył, bo obróciła się na pięcie i podążyła do kuchni.

– Urocza osoba – zauważył, odprowadzając ją wzrokiem.

– To dopiero początek – odparłem. – Zaczekaj, aż zobaczysz, jak stawia talerze.

– Jestem bardzo ciekawy – powiedział.

Mogłem prowadzić rozmowę na banalne tematy albo zdradzić Brianowi sekretny sposób rodziny Morganów, jak skłonić Rose do przyniesienia rachunku przed upływem pięciu minut, lecz czułem, że sytuacja staje się krytyczna, i postanowiłem przejść do rzeczy.

– Chciałbym cię prosić o drobną przysługę – zacząłem.

Uniósł ze zdziwieniem brwi.

– Wychowałem się w domu dziecka, lecz z mojego doświadczenia wynika, że jeśli członek rodziny prosi o „drobną przysługę”, zawsze oznacza to, że będzie ona wielka i prawdopodobnie bolesna – stwierdził. Podniósł torebkę z cukrem leżącą na stole i zaczął ją przerzucać z ręki do ręki.

– Mam nadzieję, że się okaże bolesna, ale nie dla ciebie – odparłem.

Przestał się bawić torebką i spojrzał na mnie z mrocznym błyskiem w oczach.

– Powiedz, o co chodzi – poprosił.

Zacząłem mówić. Dość niezgrabnie opisałem, jak Crowley widział mnie w trakcie zabawy. Nie mam pojęcia, dlaczego czułem się tak niezręcznie, gdy o tym opowiadałem. To prawda, nie lubię mówić o tych sprawach, a poza tym czułem wstyd przed bratem, że okazałem się dziecinnie nieostrożny i pozwoliłem się zobaczyć. Płonęły mi policzki i nie patrzyłem na Briana, który przez cały czas uważnie mnie obserwował. Wreszcie skończyłem.

Na początku milczał i niewiele brakowało, bym sam zaczął się bawić torebką cukru. Panowała cisza. Nagle pojawiła się Rose i z trzaskiem postawiła przed nami dwie szklanki wody, zabrała menu i znikła, nim któryś z nas zdążył się odezwać.

– Bardzo ciekawe – rzekł w końcu Brian. Zerknąłem na niego. Wciąż uważnie mi się przyglądał, a w jego oczach czaił się cień.

– Masz na myśli kelnerkę? – spytałem.

Uśmiechnął się, ukazując zęby.

– Nie – odpowiedział. – Chociaż jej zachowanie rzeczywiście jest zabawne. – Wreszcie oderwał ode mnie oczy i spojrzał przez ramię na drzwi kuchni, za którymi zniknęła Rose. – A zatem masz drobny problem i oczywiście zwracasz się o pomoc do brata?

– Hm, tak...

Podniósł torebkę z cukrem i spojrzał na nią ze zmarszczonym czołem.

– Dlaczego do mnie?

Zastanawiałem się, czy się nie przesłyszałem.

– Cóż, nie znam zbyt wielu ludzi, którzy potrafią robić takie rzeczy...

– Aha – mruknął, wpatrując się uważnie w torebkę, jakby próbował odczytać drobny druk.

– I, jak mówiłem, jestem śledzony – stwierdziłem. – W tej chwili na parkingu siedzi sierżant Doakes.

– Tak, widzę – odparł, choć widział tylko torebkę w swoich rękach.

– A ty jesteś moim bratem, prawda? – dodałem z nadzieją w głosie, zastanawiając się, dlaczego nagle zaczął okazywać taką rezerwę. – Jesteśmy rodziną.

– Taaaak... – mruknął z powątpiewaniem. – Czy to wszystko? Drobna przysługa ze strony członka rodziny? Niewielki prezent dla starszego brata, Briana, bo mały Dexie ma kłopoty?

Nie wiedziałem, dlaczego tak dziwnie się zachowuje. Naprawdę liczyłem na jego pomoc, lecz stawał się coraz bardziej irytujący. Miałem tego dość.

– Brian, na litość boską, potrzebuję twojej pomocy – rzekłem w końcu. – O co ci właściwie chodzi?

Upuścił torebkę na stół i wydany przez nią dźwięk wydał mi się głośniejszy, niż był w rzeczywistości.

– Przebacz mi, bracie – powiedział i wreszcie popatrzył mi prosto w oczy. – Jak wiesz, wychowałem się w domu dziecka, co sprawiło, że jestem z natury podejrzliwy. – Znów się uśmiechnął. – Czy na pewno nie masz żadnych ukrytych motywów.

– Na przykład jakich? – spytałem szczerze zdziwiony.

– Och, nie wiem – odrzekł. – Przychodzi mi do głowy, że mogłaby to być prowokacja.

– Co takiego?!

– A może chciałbyś mnie użyć po prostu jako przynęty, by się przekonać, co się stanie?

– Brian... – zacząłem.

– Taka myśl sama się narzuca, prawda? – spytał.

– Nie mnie – odpowiedziałem i nie mogąc wymyślić niczego bardziej przekonującego, dodałem: – Jesteś moim bratem.

– Tak – stwierdził. – Z drugiej strony jest jeszcze tamta sprawa. – Zmarszczył brwi i przez chwilę czułem strach, że znów zacznie przerzucać z ręki do ręki paczuszkę cukru. Zamiast tego jednak pokręcił głową, jakby pokonał silną pokusę, i popatrzył prosto na mnie. Przez dłuższą chwilę po prostu się we mnie wpatrywał, a ja odwzajemniałem jego spojrzenie. Później na jego twarzy pojawił się okropny, fałszywy uśmiech. – Z wielką przyjemnością ci pomogę – rzekł.

Odetchnąłem głęboko. Opuściła mnie część lęku i poczułem przypływ ulgi.

– Dziękuję – powiedziałem.

28

Kancelaria adwokacka Figuroi, Whitleya i Fleishmana mieściła się na trzynastym piętrze wieżowca na Brickell Avenue, na granicy obszaru, gdzie czynsze za wynajem powierzchni biurowych zaczynają być dość wysokie. Kiedy o drugiej piętnaście wszedłem do budynku, lobby było puste; stojąc koło windy, popatrzyłem na listę użytkowników i zauważyłem, że tylko nieliczne piętra są zajęte. Wieżowiec, podobnie jak wiele innych podobnych obiektów w Miami, wzniesiono w okresie ostatniego boomu na rynku nieruchomości, gdy inwestorów ogarnął dziki optymizm i wszyscy byli pewni, że ceny będą wzrastać w nieskończoność. Bańka mydlana wkrótce pękła – rynek się załamał i połowa nowoczesnych drapaczy chmur w centrum miasta zmieniła się w lśniące, kosztowne widma pozbawione najemców.

Kiedy wyszedłem z windy, Rity nie było w poczekalni, więc usiadłem w fotelu i zacząłem przeglądać czasopismo „Golf”. Zawierało ono sporo artykułów, które pomogłyby mi ulepszyć technikę golfa, gdybym tylko w niego grał. Duży złoty zegar na ścianie wskazywał dokładnie drugą trzydzieści, gdy drzwi windy się rozsunęły i ukazała się Rita.

– Och, jesteś, Dexter. – powiedziała.

Nigdy nie wiem, jak zareagować na tę boleśnie oczywistą uwagę, która wydaje się bardzo popularna, toteż przyznałem po prostu, że, owszem, jestem. Rita skinęła głową i podeszła do recepcji.

– Mamy umówione spotkanie z mecenasem Fleishmanem – oświadczyła zdyszczanym głosem.

Recepcjonistka, chłodna, elegancka kobieta w wieku około trzydziestu lat, zerknęła na terminarz i skinęła głową.

– Państwo Morgan?

– Tak, zgadza się – odpowiedziała Rita, a recepcjonistka się uśmiechnęła i podniosła słuchawkę telefonu stojącego na biurku.

– Państwo Morgan – powtórzyła i po chwili wprowadzono nas do gabinetu po drugiej stronie korytarza, gdzie za dużym drewnianym biurkiem siedział poważny mężczyzna około pięćdziesiątki. Miał włosy kiepsko ufarbowane na czarno. Kiedy weszliśmy, spojrzał na nas, wstał i wyciągnął rękę.

– Larry Fleishman. A pani na pewno ma na imię Rita – rzekł, ściskając jej dłoń. Na jego twarzy pojawił się dobrze wyćwiczony, całkowicie fałszywy wyraz szczerości. – Carlene wiele mi o pani opowiadała. – Zerknął mimo woli na biust Rity, która zarumieniła się i próbowała delikatnie wyswobodzić dłoń. Larry uniósł wzrok i puścił rękę, po czym zwrócił się w moją stronę. – Ach, eee... Derrick? – odezwał się, wyciągając dłoń w taki sposób, że musiałem się pochylić, by ją uścisnąć.

– Dexter – odpowiedziałem. – Pisane przez iks.

– Ach, niezwykle imię – zauważył w zamyśleniu.

– Trochę groteskowe – stwierdziłem i postanowiłem natychmiast wyrównać rachunek: – A pan się nazywa Leroy Fleishman?

Zamrugnął i puścił moją rękę.

– Larry – odparł. – Larry Fleishman.

– Przepraszam – powiedziałem i przez chwilę spoglądaliśmy na siebie w milczeniu. W końcu odchrząknął i popatrzył z powrotem na Ritę.

– Proszę usiąść – rzekł.

Zajęliśmy miejsca naprzeciwko biurka w dwóch odrapanych drewnianych fotelach obitych wytartym materiałem, a Larry usiadł za biurkiem i otworzył skoroszyt. Znajdował się w nim jeden arkusz papieru. Fleishman wyjął go i spojrzał na niego ze zmarszczonym czołem.

– Na czym polega problem? – spytał.

Nasz problem najwyraźniej nie był opisany na arkuszu papieru i zacząłem się zastanawiać, czy nie jest to po prostu czysta kartka. Mógł to być tylko rekwizyt służący do podkreślenia, że Larry jest prawdziwym adwokatem, równie sztuczny jak kolor jego włosów. Szczerze mówiąc, zacząłem się zastanawiać, czy Fleishman w ogóle może mi pomóc. Jeśli miałem odeprzeć skoncentrowany, nieuczciwy atak Hooda i Doakesa, potrzebowałem agresywnego, zręcznego prawnika, który potrafiłby bezlitośnie naginać reguły prawa na moją korzyść. Zamiast tego spoglądałem na pozera w średnim wieku, który wyraźnie mnie nie lubił i prawdopodobnie chętnie pomógłby mi trafić za kratki, by przelecieć moją żonę.

Jednak wydawało się, że Larry zrobił na Ricie duże wrażenie, toteż siedziałem obok niej i słuchałem, jak relacjonuje nasze nieszczęścia. Fleishman spoglądał na nią i kiwał głową, od czasu do czasu odrywał wzrok od jej biustu i patrzył na mnie z zaskoczonym wyrazem twarzy.

Kiedy wreszcie skończyła, odchylił się do tyłu w fotelu i wyduł wargi.

– Przede wszystkim chciałbym państwa zapewnić, że podjęli państwo słuszną decyzję, by przyjść do mnie na konsultację – rzekł i uśmiechnął się do Rity. – Zbyt wielu ludzi odkłada rozmowę z adwokatem do chwili, gdy nie można już w niczym pomóc. Na szczęście państwo postąpili inaczej.

– Wydawało się, że własne słowa mu się podobają, i skinął kilkakrotnie głową w stronę piersi Rity. – Najważniejsza jest dobra porada prawna na początku sprawy. Nawet jeśli człowiek jest niewinny – dodał, spoglądając

na mnie wzrokiem, który sugerował, że zupełnie w moją niewinność nie wierzy. Potem odwrócił się do Rity i uśmiechnął protekcjonalnie. – Ameryka ma najlepszy system prawny na świecie – ciągnął z poważną miną. Jego słowa wydawały się mało wiarygodne, ponieważ sam stanowił część amerykańskiego systemu prawnego. – Zadaniem prokuratora jest doprowadzić do skazania podejrzanego wszelkimi dostępnymi metodami, a ja mam go powstrzymać i nie dopuścić do wysłania pani męża za kratki. – Znow na mnie popatrzył, jakby się zastanawiał, czy nie jest to w istocie dobry pomysł.

– Tak, to prawda – rzekła Rita, a Larry obrócił głowę i przyjrzał się jej uważnie. – Właśnie o to chodzi... Nawet nie wiem... Czy ma pan duże doświadczenie? To znaczy... Prawo handlowe bardzo się różni od prawa karnego... Carlene, pańska szwagierka, powiedziała... To może być ważne.

Kiwnął głową, jakby słowa Rity miały jakiś sens, co sugerowało, że w ogóle jej nie słuchał.

– Tak, to ważne pytania – odparł. – Chcę, by państwo wiedzieli, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, by doprowadzić tę sprawę do szczęśliwego finału. Jednak będzie to wymagać pracy – dodał, unosząc dłonie i uśmiechając się z wyższością. – Powinni państwo mieć świadomość, że może się to okazać kosztowne. – Zerknął na mnie, a później na Ritę. – Oczywiście wolność nie ma ceny.

Byłem przekonany, że dla Larry'ego wolność ma bardzo konkretną cenę i że będzie to dokładnie dziesięć dolarów więcej niż stan naszego konta w banku. Lecz nim zdołałem wymyślić dyplomatyczny sposób poinformowania go, że wolałbym spędzić dwadzieścia lat w więzieniu niż następne dziesięć minut w jego towarzystwie, Rita zaczęła go zapewniać, że doskonale wszystko rozumie, że pieniądze nie stanowią problemu, bo chodzi o Dextera, a poza tym jesteśmy bardzo wdzięczni. Larry się

uśmiechał i kiwał w zamyśleniu głową w stronę biustu Rity. Kiedy wreszcie skończył jej się tlen i umilkła, by zaczerpnąć powietrza, wstał i wyciągnął rękę.

– Znakomicie – rzekł. – Proszę jeszcze raz przyjąć moje zapewnienie, że zrobię absolutnie wszystko, co w mojej mocy, by państwa kłopoty się skończyły. – Uśmiechnął się promiennie do Rity; w mojej ocenie imitowanie uśmiechów wychodziło mu znacznie gorzej niż Brianowi. – Proszę do mnie zadzwonić, gdybym mógł w czymkolwiek pomóc. – Skinął powoli głową. – W czymkolwiek – dodał z przesadnym naciskiem.

– Bardzo dziękujemy, to doprawdy bardzo... Zrobimy to – odpowiedziała Rita i po kilku sekundach znaleźliśmy się w poczekalni. Recepcjonistka wręczyła nam stos formularzy i poprosiła o ich wypełnienie dla mecenasa Fleishmana.

Spojrzałem na koniec korytarza, gdzie znajdował się gabinet adwokata. Stał w progu, spoglądając zza uchylonych drzwi. Z przyjemnością zauważyłem, że tym razem nie spogląda na biust Rity, tylko na jej pośladki.

Odwróciłem się w stronę recepcjonistki i wziąłem formularze.

– Wyślemy je pocztą – odezwałem się. – Zaraz skończy mi się limit czasu na parkometrze.

Rita zmarszczyła brwi i otworzyła usta, by coś powiedzieć, lecz ująłem ją mocno za ramię i poprowadziłem w stronę windy. Drzwi litościwie się zasunęły, zasłaniając koszmar kancelarii adwokackiej Figueroi, Whitleya i Fleishmana. Miałem nadzieję, że jestem tu po raz ostatni.

– Mogłeś zaparkować w garażu – rzekła Rita. – A poza tym... Dexter, wydaje mi się, że w tej części miasta nie ma parkometrów.

– Jeśli mam wybierać między pójściem do więzienia a patrzeniem, jak Fleishman gapi się na twój biust, to wolę zakład karny Raiford, Rito – stwierdziłem miłym, lecz stanowczym tonem.

Oblała się rumieńcem.

– Ale to przecież... Mój Boże, pewnie myślał, że jestem ślepa...
Uważasz, że może nam pomóc, Dexter? To bardzo poważna sprawa.

– Zbyt poważna, by ją powierzyć Larry’emu – odpowiedziałem. Rozległ się dzwonek windy, rozsunęły się drzwi i wysiedliśmy na parterze.

Odprowadziłem Ritę do samochodu. Zostawiła go w garażu budynku, ale zapomniała podstemplować kartę, bo wyprowadziłem ją z kancelarii, nim zdążyła poprosić o to recepcjonistkę.

Zapewniłem ją, że dodatkowe dziesięć dolarów nie doprowadzi nas do bankructwa, obiecałem, że poszukam innego adwokata, i patrzyłem, jak odjeżdża Brickell Avenue. Rozpocząła się godzina szczytu i zastanawiałem się, jak Rita jest w stanie jeździć samochodem po Miami. Nie była dobrym kierowcą; prowadziła auto w podobny sposób jak rozmawiała – stale się zatrzymywała, wahała, nagle zmieniała kierunek. Mimo to nie spotkałem kierowcy, który miałby tak ogromne szczęście, i nigdy nie zdarzyła jej się nawet najmniejsza stłuczka.

Wsiadłem do auta i rozpocząłem nudną podróż do domu, najpierw na południe wzdłuż Brickell Avenue, potem na zachód do autostrady I-95, a w końcu autostradą Dixie. Zamyśliłem się w czasie jazdy, co zawsze jest niebezpieczne w czasie godzin szczytu w Miami, i przy skrzyżowaniu z autostradą LaJeune omal nie uderzyłem w jaguara, którego kierowca nagle zjechał w lewo ze środkowego pasa ruchu. W ostatniej chwili uniknąłem kraksy, skręcając gwałtownie, po czym usłyszałem ryk klaksonów i przekleństwa w trzech językach. Doszedłem do wniosku, że to sprawiedliwa kara za krytykowanie umiejętności Rity.

W jakiś sposób dotarłem do domu, nie zderzając się z cysterną i nie ginąc w olbrzymiej kuli ognia. Zaparzyłem kawę i nalałem sobie filiżankę,

a tymczasem do domu wpadła Rita, niosąc na rękach Lily Anne. Podążali za nią Cody i Astor.

– Jesteś w domu! – zawołała, wbiegając przez frontowe drzwi. – Mam doskonale wiadomości i muszę... Cody, nie rzucaj bluzy byle gdzie! Astor, na litość boską, nie trzaskaj drzwiami! Weź małą! – odezwała się do mnie. Wyciągnęła Lily Anne w moją stronę i odwróciła się gwałtownie. Musiałem podbiec do przodu, by chwycić dziecko, i rozlałem trochę kawy.

Rita schowała klucze do torebki i położyła ją na stoliku przy frontowych drzwiach.

– Przed chwilą dzwonił do mnie Brian, twój brat – dodała na wypadek, gdybym zapomniał, kim jest Brian. – Powiedział mi... Co, kochanie? – zwróciła się do Cody'ego, który stanął koło jej łokcia i prosił o coś cichym głosem. – Tak, możecie pograć przez godzinę na Wii. Więc kiedy zadzwonił Brian... – Odwróciła się do mnie. Trzymałem Lily Anne i filiżankę, stojąc w niewielkiej kałuży kawy. – Ach! – Popatrzyła ze zmarszczonymi brwiami na podłogę. – Rozlałeś kawę, Dexter!

Zaraz się tym zajmę! – stwierdziła, wybiegła do kuchni i natychmiast wróciła z rolką papierowych ręczników. Ukucnęła i zaczęła ścierać kawę.

– Co powiedział Brian? – spytałem, patrząc na czubek głowy Rity, a ona zerknęła na mnie i uśmiechnęła się promiennie.

– Musimy pojechać do Key West! – odparła, po czym wstała i pobiegła do kuchni z mokrymi ręcznikami w ręku. Nawet nie zdążyłem zapytać, dlaczego jest to konieczne, dlaczego Brian wydaje nam polecenia i dlaczego Rita jest z tego powodu taka szczęśliwa. – Szczerze mówiąc, nikt jeszcze nigdy nie widział... – rzuciła przez ramię i znikła w drzwiach kuchni, a ja zacząłem się zastanawiać, w jaki sposób jestem w stanie żyć w tym domu, nie wiedząc, co się wokół mnie dzieje, a nawet o czym się mówi.

Lily Anne przypomniała mi, że próby zrozumienia naszej ponurej egzystencji są skazane na niepowodzenie; uderzyła mnie piąstką w nos, aż w moich oczach pojawiły się łzy. Roześmiała się radośnie, a ja patrzyłem na nią, krzywiąc się z bólu. Po chwili do pokoju wróciła Rita i odebrała mi dziewczynkę.

– Trzeba jej zmienić pieluszkę – stwierdziła i pośpieszyła w stronę przewijaka. Ruszyłem za nią w nadziei, że uzyskam jakieś wyjaśnienie.

– Dlaczego Brian powiedział, że musimy pojechać do Key West? – spytałem.

– Och, chodzi o dom – odparła Rita. – Brian mówi, że będą tam wszystkie domy... Przestań się wiercić, Lily – zwróciła się do dziecka, zapinając pieluszkę. – Więc musimy tam pojechać... To świetna okazja, żeby... A do tego kontakty Briana... Mamy szansę na bardzo korzystną transakcję. Gotowe, kochanie – zwróciła się do Lily, skończywszy ją przewijać. – Możesz zadzwonić do adwokata? Na przykład dziś wieczorem? Powinniśmy wyjechać jutro z samego rana.

Rita odwróciła się w moją stronę, trzymając na rękach Lily Anne. Na jej twarzy malowało się podniecenie i zadowolenie.

– To znakomita okazja – powiedziała. – A poza tym zobaczymy Key West! Będziemy się świetnie bawić!

W życiu każdego faceta przychodzi moment, gdy musi zebrać wszystkie siły i zachować się jak mężczyzna. Poczułem, że ta chwila właśnie nadeszła.

– Rito – odezwałem się stanowczo. – Chciałbym, żebyś głęboko odetchnęła, a potem powoli, spokojnie i jasno wytłumaczyła mi, o czym ty właściwie mówisz, do cholery!

Aby podkreślić wagę moich słów, Lily Anne uderzyła matkę w policzek i powiedziała „blap” wyraźnym, rozkazującym tonem.

Rita zatrzepotała rzęsami, może z bólu.

– Och – rzekła. – Przecież mówiłam, że...

– Mówiłaś, że Brian każe nam pojechać do Key West – przerwałem. –
Dodałaś, że będą tam wszystkie domy. Reszta jest kompletnie
niezrozumiała.

Otworzyła usta, a potem je zamknęła. Pokręciła głową.

– Przepraszam. Wydawało mi się, że wszystko wyjaśniłam. Wydaje mi
się to takie oczywiste...

– Na pewno – rzekłem.

– Odebrałam dzieci ze szkoły, jechaliśmy samochodem i zadzwonił do
mnie Brian. – Rita była koszmarnym kierowcą, toteż przeraziłem się na
myśl o tym, że prowadziła samochód i rozmawiała przez telefon. – Brian
powiedział... no wiesz. Pracuje w agencji nieruchomości. Zamierzają
złożyć wniosek na podstawie rozdziału jedenastego i muszą zgromadzić jak
najwięcej gotówki. – Uśmiechnęła się do mnie ciepło. – To znakomita
wiadomość!

Nie jestem specjalistą od spraw finansowych, lecz nawet ja słyszałem
o rozdziale jedenastym; byłem pewien, że ma coś wspólnego
z bankructwem. Jednak nie pojmowałem, dlaczego miałoby to być
znakomitą wiadomością, chyba że dla firm konkurujących z agencją Briana.

– Rito... – zacząłem.

– Nie rozumiesz? – przerwała. – To znaczy, że muszą natychmiast
sprzedać wszystkie swoje domy i organizują licytację! – rzekła triumfalnie.
– W Key West, bo tam są niższe prowizje. Zresztą na aukcję przyjdzie
więcej ludzi. Właśnie dlatego musimy pojechać do Key West. Spróbujemy
kupić jeden z domów. Brian przywiózł kompletną listę; to naprawdę
wspaniała okazja, by zdobyć nowy dom! Dexter, to może być naprawdę,
naprawdę... Ach, jestem taka podekscytowana! – zawołała, po czym rzuciła

się w moją stronę i próbowała mnie uścisnąć. Ale ponieważ w dalszym ciągu trzymała Lily Anne, po prostu oparła się o moją pierś, a dziewczynka znalazła się między nami. Moja córka nigdy nie marnowała okazji, więc zaczęła energicznie kopać mnie w brzuch.

Cofnąłem się o krok i położyłem dłonie na ramionach Rity.

– Licytacja w Key West? – spytałem. – Wystawiają tam na sprzedaż niezamieszkałe domy znajdujące się w Miami?

Rita skinęła głową ciągle rozpromieniona.

– Tak, w Key West – stwierdziła. – A na dodatek nigdy tam nie byliśmy!

Przez chwilę zastanawiałem się, co odpowiedzieć, i nic nie przychodziło mi do głowy. Wszystko wymykało mi się spod kontroli. Miałem wrażenie, że tracę równowagę i spadam w przepaść. Znalazłem się w dzikiej, dziwacznej i obcej krainie. Wiem, że nie jestem centrum wszechświata, lecz miałem w tej chwili bardzo ważne, pilne sprawy w Miami, toteż perspektywa wyjazdu do Key West i kupna nowego domu wydała mi się w tym momencie zupełnie nieprawdopodobna. Było to trochę zbyt lekkomyślne i nie w moim stylu.

Ale chociaż wolałbym zostać w Miami i chronić własną skórę, nie widziałem żadnej przyczyny, by nie jechać – zwłaszcza widząc histeryczny entuzjizm Rity. Pięć minut później usiadłem przed swoim wiernym laptopem, by zarezerwować trzydniowy pobyt w hotelu w Key West. Włączyłem komputer i czekałem. Ostatnio zaczął się ładować nieco wolniej. Zwykle oczyszczałem twardy dysk ze śmieci, lecz ostatnio byłem trochę zajęty. Spyware i cookies stają się codziennie coraz bardziej wyszukane; trochę zaniedbałem ten problem. Postanowiłem nadrobić zaległości, gdy wszystko się trochę uspokoi.

Komputer wreszcie się uruchomił i zacząłem szukać pokoju w hotelowym w Key West. Zająłem się przygotowaniem podróży

częściowo dlatego, że dobrze poruszałem się po internecie, a częściowo dlatego, że podniecona Rita popędziła do kuchni przygotować jakiś specjalny posiłek i nie chciałem jej przeszkadzać.

Przejrzałem witryny internetowe oferujące tanie wycieczki turystyczne. Mój humor się nie poprawił, gdy zobaczyłem, że trudno zarezerwować pokój w Key West, ponieważ w ten weekend odbywają się tam tak zwane Dni Hemingwaya, doroczny festiwal, w którym uczestniczą brodaci, grubi mężczyźni oddający się wszelkim możliwym rodzajom rozpusty. Nie udało mi się znaleźć pokoju hotelowego za rozsądną cenę, lecz natrafiłem na dość tani apartament w hotelu Surfside. Było w nim dość miejsca dla nas wszystkich i z łatwością mogliśmy spłacić rachunek w ciągu dziesięciu lat, co nie wyglądało najgorzej, gdyż chodziło o Key West założone przez chciwych piratów. Podałem numer swojej karty kredytowej i zarezerwowałem na trzy dni apartament numer tysiąc dwieście dwadzieścia dziewięć, poczynając od jutra, po czym wyłączyłem komputer.

Przez pięć minut spoglądałem na ciemny ekran laptopa i snułem jeszcze ciemniejsze myśli. Powtarzałem sobie, że wszystko będzie dobrze. Brian się zajmie Crowleyem, nawet jeśli nie będę mógł tego obserwować. A śledztwo Hooda przeciwko mnie musi się załamać. Nie istniały żadne dowody świadczące przeciwko mnie, a poza tym osłaniała mnie Deborah. Będzie uważnie obserwować Doakesa i nie pozwoli im chodzić na skróty. Wyglądało to na burzę w szklance wody.

Co najważniejsze, mój wypad do Key West całkowicie pokrzyżuje szyki Doakesowi. Albo przestanie mnie śledzić, albo wyda ogromną sumę na benzynę, by jechać za mną na południe.

Kiedy o tym pomyślałem, poczułem się nieco lepiej. Wizja Doakesa stojącego przed dystrybutorem paliwa na stacji benzynowej, obserwującego, jak kwota rachunku nieubłaganie rośnie, i zgrzytającego

zębami, była bardzo przyjemna. Narażenie Doakesa na poważny wydatek nie było zemstą o takiej skali, o jakiej marzyłem, ale na razie musiało mi wystarczyć. Życie jest trudne i niepewne; niekiedy trzeba się zadowolić niewielkim zwycięstwem.

29

Przez resztę wieczoru miałem urwanie głowy. W ostatnim spokojnym momencie zatelefonowałem do Debs i poprosiłem, by poleciła mi jakiegoś adwokata. Stwierdziła, że ma przyjaciela w izbie adwokackiej i postara się zdobyć nazwisko prawnika, którego policja najbardziej nie znosi. Później Rita zawołała: „Kolacja!”, rozległ się dzwonek do drzwi, Astor zaczęła wrzeszczeć na Cody’ego, by nie oszukiwał, a Lily Anne się rozplakała.

Poszedłem otworzyć. Na progu stał Brian w ciemnym ubraniu i przynajmniej raz jego uśmiech nie wydawał się kompletnie sztuczny.

– Witaj, bracie! – rzekł wesołym tonem, który sprawił, że zjeżyły mi się włosy na głowie. W głębi mojego mózgu, pełen oczekiwania poruszył się i zasyczał jak wąż Mroczny Pasażer.

Głos Briana wydawał się głębszy, chłodniejszy niż zwykle, a w jego oczach płonął dziwny ogień. Dobrze wiedziałem, co to znaczy.

– Brian – powiedziałem. – Czy... czy ty...

Pokręcił głową i jego uśmiech stał się szerszy.

– Jeszcze nie – odparł. – Właśnie tam jadę. – Patrzyłem na niego z zazdrością, a on uśmiechał się coraz bardziej. – Proszę. – Wręczył mi plik kartek, które wydawały się pokryte cyframi.

Przez jedną dziką sekundę miałem wrażenie, że są one w jakiś sposób związane z tym, co zamierzał zrobić, i wziąłem papiery, nie patrząc na nie.

– Co to takiego? – spytałem.

– Wasza lista – rzekł. Nie odpowiedziałem, więc po chwili dodał: – Lista domów wystawionych na licytację. Obiecałem twojej ślicznej żonie, że ją przywiozę.

– Och, rozumiem. – W końcu spojrzałem na pierwszą stronę. Natychmiast zorientowałem się, że jest to lista adresów w Miami wraz z danymi o powierzchni mieszkalnej, liczbie pokoi i tak dalej. – Cóż, dziękuję. Jadłeś już kolację? – spytałem, uchylając szerzej drzwi.

– Mam inne plany na wieczór – odpowiedział i w jego głosie zabrzmiał mroczny ton. – Sam wiesz – dodał cicho.

– Tak. Domyślam się... – Popatrzyłem na jego ciemne ubranie, wiedząc, co zamierza zrobić, i znów poczułem ukłucie zazdrości, ale mogłem powiedzieć tylko jedno: – Powodzenia, bracie!

– Dziękuję – odrzekł i skinął głową. – Ja także życzę wam powodzenia w poszukiwaniu domu. – W jego uśmiechu mógł się czaić cień szyderstwa. Odwrócił się, poszedł szybko do samochodu i odjechał w zapadającą ciemność. Patrzyłem za nim, żałując, że nie mogę mu towarzyszyć.

– Dexter? – zawołała z kuchni Rita, wyrywając mnie z zamyślenia. – Robi się zimno!

Zamknąłem drzwi i wróciłem do stołu, przy którym trwała kolacja. Wszyscy pośpiesznie jedli gulasz wieprzowy przyrządzony przez Ritę, co wydawało się niemal zbrodnią. Usiłowałem się delektować smakiem potrawy, lecz dzieci były bardzo podniecone perspektywą nagłego wyjazdu do Key West, a Rita nie przestawała mówić; przypominała kolibra trzepocącego skrzydłami. Między kolejnymi kęsami jedzenia informowała wszystkich członków rodziny, co powinni zrobić natychmiast po kolacji, a gdy talerze znalazły się w zlewie, zacząłem się wczuwać w gorączkowy rytm.

Wstałem od stołu i natychmiast zająłem się pakowaniem swoich rzeczy. Nie miałem wiele pracy, chociaż Ricie to samo zajęło kilka godzin. Wyjąłem z szafy kąpielówki i kilka ubrań, po czym włożyłem je do sportowej torby. Tymczasem Rita biegała tam i z powrotem między garderobą a łóżkiem, na którym stała otwarta jej gigantyczna walizka. Kiedy skończyłem, wziąłem torbę i postawiłem ją przy drzwiach, a następnie poszedłem sprawdzić, jak się pakują Cody i Astor.

Cody siedział na łóżku, obok którego stał plecak, i obserwował siostrę. Astor spojrzała groźnie na zawartość swojej szafy, wyjęła bluzkę, uniosła ją, wykrzywiła się przeraźliwie, po czym odłożyła ją na miejsce. Patrzyłem z fascynacją, jak powtarza tę czynność dwukrotnie. Cody zerknął na mnie i pokręcił głową.

– Jesteś spakowany, Cody? – spytałem.

Przytaknął i znów spojrzał na Astor. Kręciła się w miejscu, przygryzała wargi, przestępowała z nogi na nogę, nie czyniąc zauważalnych postępów. Uważając to za swój ojcowski obowiązek, podjąłem ryzyko odezwania się do niej.

– Astor?

– Zostaw mnie! – warknęła przez ramię. – Próbuję się spakować! W ogóle nie mam ubrań! – Rzuciła na ziemię naręczce bluzek i spodni, które najwyraźniej jej się nie podobały, i zaczęła je kopać.

Cody uniósł brwi i popatrzył na mnie.

– Dziewczyny – rzekł.

Miał prawdopodobnie rację; musiało chodzić o coś związanego z płcią, bo Astor zachowywała się prawie identycznie jak Rita. Kiedy po chwili wróciłem do sypialni, Rita trzymała w ręku letnią sukienkę, spoglądając na nią takim wzrokiem, jakby to ona była przyczyną śmierci Kennedy'ego; na

podłódze koło łóżka leżał stos sukienek i bluzek, nieco porządniejszy niż w pokoju Astor, jednak bardzo podobny.

– Jak ci idzie pakowanie? – spytałem pogodnie.

Obróciła głowę i popatrzyła na mnie wzrokiem zaskoczonej, nieco zdezorientowanej łani, jakbym przerwał jej ważną, prywatną medytację.

□□□

– Słucham? – spytała. Potrząsnęła głową i gniewnie zmarszczyła brwi. – Och, Dexter, proszę, nie teraz! Nawet nie wiesz... Czy nie mógłbyś iść do samochodu i uzupełnić paliwo? Muszę... Co za okropność! – dodała, rzucając letnią sukienkę na stos ubrań leżących obok łóżka.

Pozostawiłem Ritę z jej problemami i schowałem do bagażnika auta swoją torbę i plecak Cody'ego. Sprawdziłem wskaźnik paliwa i stwierdziłem, że bak jest prawie pełny. A potem stanąłem obok wozu i zacząłem się zastanawiać, co w tej chwili robi mój brat. Jeśli wszystko poszło dobrze, musiał już zacząć. To, że cała przyjemność przypadnie Brianowi, wydawało mi się niesprawiedliwe; to ja musiałem znosić ataki Crowleya. Ale przynajmniej raz na zawsze będę miał go z głowy. Dziś w nocy Crowley odejdzie do wieczności, zniknie jak wymarły gatunek ptaka. Żałowałem, że nie mogę uczestniczyć w zabawie, lecz z drugiej strony cieszyłem się, że moje kłopoty się skończą.

Mogłem tylko stać w świetle księżyca i wyobrażać sobie, co robi Brian. Gdybym zapomniał, dlaczego nie mogę do niego dołączyć, wystarczyło zerknąć na pusty parking po przeciwnej stronie ulicy. Ciągłe stał tam ford taurus, w którym siedział zawsze czujny sierżant Doakes, i wyobrażałem sobie jego lśniące zęby widoczne przez przednią szybę. Westchnąłem, pomachałem mu ręką i wszedłem do domu.

Rita ciągle rozrzucała ubrania po pokoju i mruczała pod nosem. Położyłem się do łóżka. Zamknąłem oczy i próbowałem zasnąć, ale w oku cyklonu jest to niewykonalne. Chwilami zapadałem w drzemkę, po czym budził mnie trzask wieszaków na ubrania albo hałas butów spadających na podłogę garderoby. Niekiedy Rita mówiła półgłosem zdumiewające rzeczy albo wybiegała z sypialni, po czym wracała z jakimś dziwnym przedmiotem, który wpychała do pęczniejącej walizki.

Zaśnięcie okazało się znacznie trudniejsze niż zwykle. Kilkakrotnie zapadałem w drzemkę i budziłem się, aż wreszcie około drugiej trzydzieści Rita zamknęła walizkę, postawiła ją z trzaskiem na podłodze i wślizgnęła się do łóżka obok mnie. W końcu zapadłem w głęboki, cudowny sen.



Rano błyskawicznie zjedliśmy śniadanie, po czym włożyliśmy pozostałe bagaże do samochodu. Skończyliśmy w miarę wcześnie. Złożyłem spacerówkę Lily Anne, wrzuciłem do bagażnika, wszyscy wsiedli do auta i byliśmy gotowi do drogi. Jednak kiedy zapuściłem silnik i wrzuciłem bieg, nagle zablokował nam drogę ford taurus.

To, kto nim przyjechał, nie stanowiło wielkiej tajemnicy. Wysiadłem, a w tej samej chwili otworzyły się drzwi taurusa. Wygramolił się z niego inspektor Hood i uśmiechnął się do mnie szyderczo.

– Sierżant Doakes mówi, że pakujesz bagaże do samochodu – stwierdził.

Spojrzałem na forda i zobaczyłem przez przednią szybę twarz sierżanta Doakesa, który siedział za kierownicą.

– Doprawdy? – spytałem.

Hood pochylił się w moją stronę, aż jego twarz znalazła się kilka centymetrów od mojej.

– Nie myśl, że uda ci się uciec, kochasiu! – rzekł. Jego oddech cuchnął jak ścieki z fabryki konserw rybnych.

Jestem bardzo dobrą kopią, lecz nie jestem dobry. Zrobiłem wiele złych rzeczy i mam nadzieję, że zrobię ich znacznie więcej. Z obiektywnego punktu widzenia prawie na pewno zasługuję na to, co chcieliby ze mną zrobić Hood i Doakes. Czekam, aż dosięgnie mnie karzące ramię sprawiedliwości, lecz nie zasługuję na to, by wdychać smród czyichś zepsutych, niemytych zębów.

Dotknąłem palcem mostka Hooda i odepchnąłem go. Przez chwilę myślałem, że się cofnie, ale wybrałem dobre miejsce i nie miał wyboru.

– Możesz mnie aresztować albo śledzić – powiedziałem. – Poza tym zejdziesz mi z drogi. – Popchnąłem go jeszcze mocniej, więc zrobił drugi krok do tyłu. – I umyj sobie zęby, na litość boską!

Hood odepchnął moją rękę i spojrzał na mnie wściekłym wzrokiem. Popatrzyłem mu w oczy; wymaga to bardzo niewiele energii, dlatego mógłbym spoglądać na niego w ten sposób przez cały dzień, gdyby mu na tym zależało. Ale odwrócił oczy jako pierwszy. Zerknął przez ramię na Doakesa, a potem znów na mnie.

– W porządku, kochasiu. Będę cię miał na oku. – Patrzył na mnie jeszcze przez chwilę, a gdy nie rezygnowałem, odwrócił się bez słowa, usiadł koło Doakesa, po czym ford taurus zawrócił i zatrzymał się przy krawężniku pięćdziesiąt metrów od nas.

Obserwowałem ich przez chwilę, by sprawdzić, czy coś zrobią, ale najwyraźniej chcieli mnie po prostu mieć na oku. Dlatego wsiadłem do swojego samochodu i rozpocząłem długą podróż na południe.

Doakes podążał tuż za mną prawie przez całą drogę do Key Largo. Ale gdy mimo swojego ograniczenia umysłowego wreszcie zrozumiał, że nie zamierzam wyskoczyć z samochodu, przesiąść się do hydroplanu i uciec na

Kubę, zwolnił, zawrócił i ruszył z powrotem do Miami. Do Key West prowadziła jedna autostrada, którą akurat jechałem. Wystarczyło kilka telefonów, by sprawdzić, gdzie zarezerwowałem pokój. Doskonale – nie robiłem niczego, z czym musiałbym się kryć. Zapomniałem o Hoodzie i Doakesie i skupiłem się na prowadzeniu samochodu, co stawało się coraz trudniejsze.

Jeśli komuś zależy na szybkości, jazda z Miami do Key West nigdy nie jest przyjemna. Z drugiej strony, jeżeli ktoś lubi wlec się godzinami w nieskończenie długiej kolumnie samochodów, które posuwają się w żółwym tempie przez jaskrawą krainę sklepów z T-shirtami i fast foodów, i jeśli ten ktoś lubi od czasu do czasu stawać na środku szosy, gapić się na znaki drogowe i uczyć na pamięć napisów, by powtarzać je przyjaciołom z Ohio, jeśli lubi patrzeć, jak kierowcy w samochodach z tyłu pocą się bez klimatyzacji w lipcowym skwarze, patrzą z lękiem na wskaźniki temperatury powoli osiagające krytyczny poziom, klną w oślepiającym blasku słońca i życzą wszystkim wszystkiego najgorszego, jeśli lubi, gdy na drodze stoi tysiąc samochodów, które czekają, by znów powoli ruszyć do przodu, czyli jeśli tak wyglądają twoje idealne, wymarzone wakacje w ziemi obiecanej, powinienes odwiedzić Florida Keys! To prawdziwy raj!

Tak naprawdę jazda powinna trwać dwie, trzy godziny. Jednak nigdy nie udało mi się dotrzeć do Key West szybciej niż w sześć godzin, a tym razem wlekliśmy się w skwarze przez siedem i pół, nim w końcu zatrzymaliśmy się na parkingu hotelu Surfside w centrum miasta.

Do samochodu podbiegł bardzo chudy Murzyn w ciemnym uniformie i otworzył mi drzwi, a później potruchtał na drugą stronę samochodu i pomógł wysiąść Ricie. Staliśmy przez chwilę koło auta, oślepieni bezlitosnym lipcowym słońcem Key West. Murzyn w uniformie podszedł do mnie. Najwyraźniej nie odczuwał upału – a może po prostu był tak

chudy, że jego organizm nie wytwarzał potu? Miał zupełnie suchą twarz i skakał wokół nas w ciemnej marynarce, nie okazując żadnych oznak przegrzania, choć panował niewiarygodny skwar i wilgoć.

– Wprowadzają się państwo do hotelu? – spytał z wyraźnym karaibskim akcentem.

– Tak – odpowiedziałem. – I bardzo liczymy na klimatyzację.

Skinął głową, jakby zawsze słyszał te słowa od turystów.

– Wszystkie pokoje są klimatyzowane. Czy pomóc państwu zanieść bagaże?

Wydawało się to rozsądnym pomysłem. Patrzyliśmy, jak kładzie nasze bagaże na wózku, z wyjątkiem plecaka Cody'ego, bo chłopiec nie chciał się z nim rozstać. Nie wiem, czy ciemnoskóry mężczyzna wydał mu się podejrzany, czy Cody miał w plecaku coś, czego nie chciał nikomu pokazywać – w grę wchodziły obie możliwości. Najważniejsze było to, by jak najszybciej dotrzeć do chłodnego, ciemnego lobby hotelowego, nim roztopimy się w promieniach słońca.

Weszliśmy za kościstym Murzynem do hotelu. Kiedy znaleźliśmy się w lobby, chłodne powietrze uderzyło mnie z taką siłą, że zdrętwiały mi wargi, a czas zwolnił. Jednak dotarliśmy do recepcji bez szoku termicznego.

– Dzień dobry państwu – powitał nas recepcjonista, kiwając poważnie głową. – Czy mają państwo rezerwację?

Ja również skinąłem głową i odpowiedziałem, że, owszem, zarezerwowaliśmy pokój, a Rita pochyliła się i dodała:

– Nie pokój, tylko apartament. Kiedy robiliśmy rezerwację przez internet, Dexter powiedział... To znaczy mój mąż, pan Morgan.

– Zaraz sprawdzę, proszę pani – odparł recepcjonista i popatrzył na komputer. Pozostawiłem Ritę przy kontuarze, by zajęła się formalnościami;

wziąłem Lily Anne i poszedłem za Codym i Astor do dużego stojaka, na którym znajdowały się broszury opisujące atrakcje turystyczne Magicznej Wyspy. Wyglądało na to, że w Key West można robić mnóstwo różnych rzeczy, jeśli tylko jest się właścicielem kilku kart kredytowych i ma nieprzewyciężoną chęć kupowania T-shirtów. Dzieci przeglądały folderki ułożone na stojaku. Cody wskazywał któryś, a Astor go wyjmowała. Następnie pochyłali się nad nim, Astor szeptała coś do brata, a ten kiwał głową i spoglądał na siostrę ze zmarszczonym czołem. Później szli do stojaka po następny folder. Kiedy Rita załatwiła formalności w recepcji, Astor miała ich już piętnaście.

– Cóż, wszystko załatwione! – rzekła Rita, dysząc ciężko, jakby przed chwilą przybiegła z Miami. – Pójdziemy do naszego pokoju? To znaczy apartamentu... W Key West hotele są takie... Będziemy się świetnie bawić!

Może byłem po prostu zmęczony prowadzeniem samochodu przez siedem i pół godziny, co kosztowało mnie mnóstwo nerwów, lecz nie podzielałem entuzjazmu Rity. Mimo że dotarliśmy do celu bez większych szkód. Poszedłem za Ritą i dziećmi do windy, a następnie pojechaliśmy do naszego pokoju – to znaczy apartamentu.

Składał się on z dużej sypialni, saloniku z aneksem kuchennym oraz wyłożonej kafelkami łazienki z prysznicem i jacuzzi. Unosił się w nim dziwny zapach, jakby ktoś usmażył torbę cytryn w beczce z toksycznymi chemikaliami. Rita rozsunęła zasłony w oknie, z którego rozciągał się przepiękny widok na tylną ścianę sąsiedniego hotelu.

– Och! – zawołała z entuzjazmem. – To takie... Otwórz drzwi, Dexter! Portier przyniósł nasze bagaże! Popatrzcie! Cody, Astor, jesteśmy w Key West!

Otworzyłem drzwi. Rzeczywiście, był to portier z bagażami. Zostawił je w sypialni, a potem uśmiechnął się do mnie z taką wyższością, że ogarnęło

mnie poczucie winy, iż daję mu zaledwie pięciodolarówkę. Jednak przyjął ją bez sprzeciwu i zniknął za drzwiami. Ledwo usiadłem, znów rozległo się pukanie do drzwi – był to kolejny umundurowany pracownik obsługi, który przyniósł łóżeczko dziecięce, ustawił je w sypialni i z poważną miną przyjął za swoje trudy kolejną pięciodolarówkę.

Kiedy wyszedł, usiadłem na kanapie. Lily Anne podskakiwała na moich kolanach; obserwowaliśmy pozostałych członków rodziny, którzy oglądali apartament – otwierali szuflady i szafy, po czym wołali do siebie, by pokazać, co odkryli. Wszystko wydawało się trochę nierealne. Naturalnie Key West zawsze takie jest, lecz tym razem to wrażenie się nasiliło. W gruncie rzeczy wcale nie powinienem tu być, nie miało to żadnego sensu – a jednak siedziałem w kosztownym pokoju – przepraszam, apartamencie – w lśniącej mekce turystów. Tymczasem w odległości paru godzin jazdy samochodem kilku bardzo poważnych, bardzo zdeterminowanych policjantów starało się mnie zrobić w morderstwo. Za to w innej części Miami przebywał mój brat, niedawny uczestnik pewnej szczególnej randki, w której ja również powinienem był wziąć udział. Te dwie sprawy miały dla mnie bezpośrednie znaczenie w przeciwieństwie do wycieczki do surrealistycznej oazy chciwości. Trudno było uwierzyć, że znalazłem się w świecie luksusowej fikcji, gdy w Miami toczyło się prawdziwe życie.

Rita skończyła wreszcie układać rzeczy w szafach i szufladach, po czym usiadła obok mnie. Wyciągnęła rękę, wzięła z moich kolan Lily Anne i westchnęła ciężko.

– Cóż, jesteśmy w Key West – stwierdziła z autentycznym zadowoleniem w głosie.

Mogło się to wydawać nieprawdopodobne, lecz tak w istocie było. Znajdowaliśmy się w Key West i przez kilka następnych dni prawdziwe życie musiało się toczyć beze mnie.

30

Licytacja nieruchomości miała się odbyć dopiero nazajutrz, toteż mieliśmy wolne popołudnie i wieczór. Okazały się one bardzo kosztowne. Spacerowaliśmy po starej części Key West; bez przerwy kupując różne rzeczy: butelki z wodą sodową (o cenach jak na lotnisku), lody, ciasto za pięć dolarów, okulary przeciwsłoneczne, krem do opalania, czapki, T-shirty i oryginalne miejscowe sandały. Zacząłem się czuć jak przenośny bankomat. Wydając pieniądze w tym tempie, powinniśmy do wieczora zbankrutować.

Nie mogłem zapanować nad Ritą. Najwyraźniej postanowiła doprowadzić nas do stanu całkowitej niewypłacalności i w tym celu zaciągnęła nas do hałaśliwego baru ze stolikami na chodniku, co sprawiło, że mogło nam nie starczyć pieniędzy na benzynę na powrót do domu. Zamówiła dwa koktajle *mai tai* i dwie *piña colada*; zapłaciliśmy za to tyle, ile za kolację dla ośmiu osób w dobrej restauracji. Popijałem jasnoróżowy płyn z plastikowego kubeczka, omal nie wydłubując sobie oka słomką, a Rita dała Astor komórkę i kazała zrobić nam zdjęcie, gdy stoimy przed dużym plastikowym rekinem, trzymając *mai tai*.

Dokończyłem drinka, nie wyczuwając w nim alkoholu, i od zbyt szybkiego picia lodowatego trunku na moment rozboleła mnie głowa. Powlekliśmy się Duval Street, odkrywając jeszcze bardziej wyszukane sposoby marnowania pieniędzy. Następnie skręciliśmy na plac Mallory'ego,

docierając tam w samą porę, by wziąć udział w mniej sformalizowanym akcie trwonienia gotówki – legendarnym święcie zachodu słońca. Rita wręczyła Cody’emu i Astor kilkanaście banknotów jednodolarowych i zachęciła ich, by dawali je zonglerom, połykaczom ognia, akrobatom i innym artystom ulicznym – punkt kulminacyjny nastąpił, gdy ona sama położyła dziesięciodolarówkę na wyciągniętej dłoni mężczyzny, który zmuszał kilkanaście kotów domowych do skakania przez płonące obręcze, krzycząc na nie piskliwym głosem z dziwnym cudzoziemskim akcentem.

Zjedliśmy kolację w uroczej restauracji, która szczyciła się tym, że podaje najświeższe dania rybne w mieście. Nie było w niej klimatyzacji, toteż miałem nadzieję, że produkty są naprawdę świeże. Mimo wiatraków obracających się na suficie było piekielnie gorąco i po pięciu minutach siedzenia przy dużym stole odkryłem, że przykleiłem się do ławy. Jedzenie pojawiło się zaledwie po czterdziestu pięciu minutach, a tłuszcz, w którym smażyły ryby, miał tylko kilka dni, toteż nie mogłem protestować, gdy otrzymaliśmy rachunek na kwotę, która wystarczyłaby na zaliczkę za nowego mercedesa.

Upał się nie zmniejszał, tłumy stawały się coraz hałaśliwsze, a mój portfel coraz chudszy. Kiedy dotarliśmy z powrotem do hotelu, byłem zlany potem, do połowy ogłuchły i miałem na nogach trzy nowe pęcherze. Już dawno równie dobrze się nie bawiłem i kiedy usiadłem w naszym pokoju – przepraszam, apartamencie – znów sobie przypominałem, dlaczego nie lubię się dobrze bawić.

Wziąłem prysznic. Kiedy wyszedłem z łazienki, Cody i Astor oglądali film w telewizji, Lily Anne smacznie spała w łóżeczku, a Rita siedziała przy biurku, studiując listę domów, które miały zostać sprzedane na jutrzejszej licytacji; marszczyła brwi i gryzmoła coś na marginesach.

Położyłem się do łóżka i natychmiast zasnąłem; w mojej głowie tańczyły wizje banknotów dolarowych. Wszystkie machały do mnie na do widzenia.

Kiedy następnego ranka otworzyłem oczy, było jeszcze ciemno. Rita siedziała przy biurku – znowu albo jeszcze – przeglądając listę domów i robiąc notatki. Popatrzyłem na zegarek na nocnym stoliku. Wskazywał piątą czterdzieści osiem.

– Rito... – odezwałem się zaspanym, ochrypłym głosem.

– Muszę obliczyć raty za wszystkie domy przy trzydziestoletnim kredycie hipotecznym o stałej stopie procentowej – stwierdziła, nie patrząc na mnie. – Czy byłyby niższe, gdybyśmy sfinansowali zakup przez Ernesto? Musimy zapłacić całą kwotę zaraz po licytacji.

W stanie, w jakim się znajdowałem, było to dla mnie zbyt skomplikowane, więc znów zamknąłem oczy. Kiedy zacząłem zapadać w sen, rozległo się kwilenie Lily Anne. Otworzyłem jedno oko i popatrzyłem na Ritę, która udawała, że nie słyszy. W języku małżeńskim znaczy to: „Ty to zrób, mój drogi”. Pożegnałem się z myślą o drzemce i wstałem z łóżka. Zmieniłem Lily Anne pieluszkę i dałem butelkę mleka, a gdy skończyłem, wyraźnie oznajmiła, że się obudziła.

Tablica w lobby hotelowym informowała, że śniadanie wydawane jest od szóstej rano. Skoro nie mogłem spać, postanowiłem napić się kawy i zjeść jeden z taśmowo produkowanych croissantów. Ubrałem się i ruszyłem w stronę drzwi, niosąc na rękę Lily Anne.

Kiedy znalazłem się w salonie, spod skłębionych koców na składanym łóżku wynurzyła się jasnowłosa głowa.

– Dokąd idziesz, Dexter? – spytała Astor.

– Na śniadanie.

– My też chcemy iść – odrzekła, po czym ona i Cody wyskoczyli z łóżka jak torpedy wystrzeliwane w stronę przepływającego okrętu.

Kiedy się ubrali, Rita wyszła z sypialni, by zobaczyć, co się dzieje, po czym postanowiła iść z nami. Dziesięć minut po podjęciu przeze mnie decyzji o zejściu na kawę cała rodzina pomaszzerowała do jadalni.

Było tam tylko dwóch mężczyzn w średnim wieku, którzy wyglądali, jakby się wybierali na ryby. Usiedliśmy jak najdalej od telewizora i zaczęliśmy jeść potrawy z bufetu, który okazał się zdumiewająco dobry jak na swoją cenę – kosztował dziewiętnaście dolarów dziewięćdziesiąt pięć centów od osoby.

Popijałem kawę, która smakowała, jakby przygotowano ją w zeszłym roku w moim biurze, zamrożono i wysłano w kontenerze do Key West. W końcu trochę się rozbudziłem. Myślałem o Brianie i o tym, że już na pewno skończył. Czułem lekką zazdrość; miałem nadzieję, że nie musiał się śpieszyć i dobrze się bawił.

Pomyślałem o Hoodzie i Doakesie i zacząłem się zastanawiać, czy śledzą mnie również w Key West. Byłem pewien, że mieliby na to ochotę, lecz z technicznego punktu widzenia byłoby to chyba naruszenie przepisów. Jednak Doakes nigdy nie zważał na przepisy, a Hood w ogóle nie był zdolny do zrozumienia ich treści, gdyż wiele z nich zawierało słowa składające się z więcej niż jednej sylaby. Byłem prawie pewien, że prędzej czy później się pojawią.

Z zamyślenia wyrwała mnie Rita, która rzuciła listę na stół i powiedziała:

– Pięć. – Zmarszczyła brwi, stukając w listę ołówkiem.

– Słucham? – spytałem grzecznie.

Spojrzała na mnie pustym wzrokiem.

– Pięć – powtórzyła. – Pięć domów. Pozostałe... – Gwałtownie machnęła ołówkiem i szybko ciągnęła zdenerwowanym tonem: – Są za duże albo za małe. Leżą w złej okolicy, mają wysoką podstawę opodatkowania. Stare dachy i może...

– Na licytację wystawiono pięć domów, które mogłyby się dla nas nadawać? – spytałem, gdyż zawsze wierzyłem, że osoby prowadzące rozmowę powinny wiedzieć, o czym mówią.

– Tak, oczywiście – stwierdziła Rita, znów marszcząc czoło, a potem stukając w papier ołówkiem. – Najlepszy byłby ten na Sto Czterdziestej Drugiej Alei, niedaleko miejsca, gdzie teraz mieszkamy, ale...

– Czy musimy stale mówić o tych nudnych domach? – przerwała Astor. – Nie możemy iść do akwarium, a później kupić dom?

– Nie, nie możemy, Astor, nie przerywaj! – odpowiedziała Rita. – To niesłychanie ważna sprawa i... Nawet nie macie pojęcia, ile jeszcze trzeba zrobić, by być gotowym na trzecią.

– Przecież nie musimy robić tego wszyscy – oznajmiła rozsądnym tonem Astor. – Chcielibyśmy iść do akwarium. – Spojrzała na Cody'ego, który przytaknął skinieniem głowy, a potem popatrzył na matkę.

– Wykluczone! – rzekła Rita. – To jedna z najważniejszych decyzji... Dotyczy waszej przyszłości! Będziecie mieszkać w tym domu przez bardzo długi czas.

– W akwarium można karmić rekiny – odezwał się cicho Cody.

– Co takiego?! Rekiny?! – zdziwiła się Rita. – Cody, nie wolno karmić rekinów!

– Wolno – zaprotestowała Astor. – To jest napisane w broszurze.

– To szaleństwo; przecież to rekiny! – rzekła z naciskiem Rita, jakby Astor użyła niewłaściwego określenia. – A licytacja zaczyna się już za... Wiecie, która godzina?! – Zaczęła się wiercić na krześle, schowała ołówek do torebki i pomachała listą nieruchomości, by przywołać kelnerkę. Nie mając ochoty na udział w nudnych formalnościach, popatrzyłem na Cody'ego i Astor, po czym odwróciłem się w stronę Rity.

– Mogę zabrać dzieci do akwarium – powiedziałem.

Spojrzała na mnie z zaskoczeniem.

– Co takiego?! Nie, Dexter, przecież... Musimy przejrzeć całą listę domów, a potem się zarejestrować! Jest za wiele rzeczy do zrobienia...

Po raz kolejny moje ogromne doświadczenie w kontaktach z ludźmi podpowiedziało mi, co należy zrobić. Wyciągnąłem rękę i ująłem jej dłoń, co nie było łatwe, bo stale się poruszała. Mimo to zdołałem ją jakoś chwycić i unieruchomić, po czym pochyliłem się i rzekłem:

– Znasz się na tym znacznie lepiej od nas, Rito. Co najważniejsze, jesteśmy pewni, że zrobisz wszystko dobrze. Mamy do ciebie zaufanie.

Cody i Astor są inteligentni. Kiedy usłyszeli moje słowa, natychmiast włączyli się do gry. Cody skinął szybko głową, a Astor powiedziała:

– Całkowite zaufanie, mamó, naprawdę.

– Poza tym to dzieci. Są w nowym mieście i chciałyby zobaczyć coś ciekawego.

– Nakarmić rekiny! – powtórzył z uporem Cody.

– Poza tym to edukacja! – prawie wykrzyknęła Astor. Obawiałem się, że przesadziła, lecz najwyraźniej jej uwaga okazała się trafna, bo Rita nie wydawała się już taka pewna jak poprzednio.

– Ale lista... Dexter, doprawdy, przecież powinieneś...

– Masz rację, Rito, ale popatrz na dzieci – odpowiedziałem i skinąłem głową w stronę Cody'ego i Astor, którzy jak na zawołanie zrobili niezwykle smutne miny. – Mam do ciebie zaufanie i wiem, że dokonasz dobrego wyboru – dodałem, lekko ściskając jej dłoń.

– Ależ, doprawdy... – zaprotestowała słabo Rita.

– Bardzo cię prosimy, mamó! – odezwała się Astor.

– Rekiny! – dodał Cody.

Rita popatrzyła na dzieci, przygryzając wargi, aż zacząłem się obawiać, że je odgryzie.

– No cóż – rzekła. – Jeśli tak wam zależy...

– Hura! – zawołała Astor, a Cody prawie się uśmiechnął. – Dziękujemy, mamó! – dodała Astor. Dzieci szybko wstały od stołu.

– Najpierw umyjcie zęby! – zaprotestowała Rita.

– Dexter, muszą się też nasmarować kremem przeciwsłonecznym, jest na stole w naszym pokoju.

– W porządku – powiedziałem. – A gdzie ty będziesz? Rita zmarszczyła brwi i popatrzyła na zegar.

– Salę aukcyjną otwierają o siódmej, czyli za dziesięć minut. Zabiorę tam Lily Anne i poproszę... Brian mówił, że mają kolorowanki dla dzieci... Ale, Dexter, doprawdy...

Wyciągnąłem rękę i poklepałem ją uspokajająco po dłoni.

– Wszystko będzie dobrze – powtórzyłem. – Damy sobie radę.

Pokręciła głową.

– Nie pozwolisz im za bardzo się zbliżyć do rekinów? – spytała. – Rekiny to jednak rekiny, wiesz.

– Będziemy bardzo ostrożni – uspokoilem ją. Kiedy wyszedłem, by dołączyć do Cody'ego i Astor, Rita wyjęła Lily Anne z wysokiego krzeselka przy stole i zaczęła jej wycierać buzię umazaną przecierem jabłkowym.

Astor i Cody stali przed hotelem, patrząc ze zdumieniem na kilka grupek barczystych, brodatych mężczyzn, którzy szybko szli Duval Street, spoglądając na siebie podejrzliwym wzrokiem.

– Oni wyglądają dokładnie tak samo, Dexter – powiedziała Astor, kręcąc głową. – Mają nawet takie same ubrania. To geje?

– Wszyscy nie mogą być gejami – odparłem. – Nawet w Key West.

– Więc kim są? – spytała takim tonem, jakbym ponosił winę za to, że mężczyźni są do siebie podobni.

Już miałem oznajmić, że to wynik nieprawdopodobnego zbiegu okoliczności, który zdarza się we wszechświecie raz na kilka milionów lat, lecz przypomniałem sobie, że jest lipiec i że znajdujemy się w Key West.

– Ach, teraz są Dni Hemingwaya. To jego sobowtóry – wyjaśniłem, a dzieci spojrzały na mnie pustym wzrokiem. Astor zmarszczyła brwi i zerknęła na Cody'ego, który pokręcił głową.

– Co to za Hemingway? – spytała.

Obserwowałem grupki identycznych postaci. Mężczyźni przepychali się na chodniku; kilku niosło butelki piwa.

– Człowiek, który zapuścił brodę i dużo pił – odrzekłem.

– Nie chciałabym tak wyglądać – mruknęła Astor.

– Chodźcie – odezwałem się. – Musicie umyć zęby. W drodze do windy spotkaliśmy Ritę idącą w stronę wyjścia.

Pomachała nam ręką.

– Nie podchodźcie za blisko do rekinów! – zawołała. – Zadzwoń do was! Pamiętajcie, o drugiej!

– Do widzenia, mamó! – krzyknęła Astor, a Cody uniósł dłoń.

Pojechaliśmy w milczeniu na piętro i ruszyliśmy korytarzem. Włożyłem kartę do zamka, otworzyłem drzwi pokoju i uchyliłem je przed Codym i Astor. Weszli szybko do środka, ale natychmiast stanęli jak wryci.

– O rany! – zawołała Astor.

– Bomba! – dodał Cody, a jego głos zabrzmiał głośniejszym i ostrzej niż normalnie.

– Popatrz na to, Dexter! – powiedziała uszczęśliwionym tonem Astor.

Przeszedłem obok nich, by zobaczyć, co się stało, i zamarłem. Zaszło mi w ustach, miałem pustkę w głowie i powtarzałem w kółko tylko jedno słowo: „Ale...”.

Składane łóżko, na którym wcześniej spali Cody i Astor, było rozłożone i starannie posłane: ktoś umieścił na nim poduszki i koc. Na łóżku leżał martwy mężczyzna, który nie przypominał już człowieka – cała jego twarz była zmiażdżona twardym narzędziem, pokryta zakrzepłą krwią. W środku sterczało kilka złamanych zębów, a z boku wisiało jedno oko wybite przez straszliwy cios.

Ktoś uderzył mężczyznę w twarz z ogromną siłą kijem baseballowym, prawdopodobnie zabijając go na miejscu. Mimo szoku wywołanego odkryciem zmasakrowanego człowieka leżącego w moim pokoju poznałem tani garnitur i rysy twarzy.

To był inspektor Hood.

31

Nigdy nie lubiłem Hooda, a teraz zacząłem go wręcz nie znosić. Kiedy żył, był wyjątkowo dokuczliwy, a to, że znalazł się martwy w moim pokoju hotelowym, przekroczyło wszelkie granice przyzwoitości. Wyjątkowa bezczelność – prawie żałowałem, że został zamordowany, przez co nie mogłem sam go zabić.

Ale poza naruszeniem zasad przyzwoitości były również inne konsekwencje, nieskończenie bardziej niepokojące. Chciałbym móc powiedzieć, że mój genialny umysł natychmiast zaczął je wszystkie analizować, lecz niestety prawda jest zupełnie inna. Byłem tak wściekły na Hooda za to wykroczenie przeciwko regułom dobrego smaku, że w ogóle o niczym nie myślałem, dopóki nie usłyszałem głosu Astor:

– Co to tutaj robi, Dexter?!

Otworzyłem usta, by coś odburknąć, lecz nagle zdałem sobie sprawę, że jest to bardzo trafne pytanie. Przyczyna pobytu Hooda w Key West wydawała się jasna – najwyraźniej mnie śledził, by mieć pewność, że nie ucieknę kradzioną łodzią na Kubę. Mogłem się tego spodziewać. Ale naszym śladem podążał również ktoś inny i zabił Hooda w bardzo szczególny sposób. Było to tak niepokojące, bo wydawało się teoretycznie niemożliwe. Jeśli nie chciałem przyjąć nieprawdopodobnej hipotezy, że doszło do monstrualnego zbiegu okoliczności i zupełnie obca osoba

z nieznanego powodu postanowiła zabić Hooda, a następnie podrzucić jego zwłoki w moim pokoju, istniał tylko jeden człowiek, który mógł to zrobić.

Crowley.

Przez cały czas sądziłem, że jest martwy, co powinno mu uniemożliwić popełnienie morderstwa. Ale nawet jeśli jakimś cudem żył, jak mnie tu znalazł? W jaki sposób się dowiedział, że przebywam w Key West, w tym hotelu, w tym konkretnym pokoju? Już wcześniej znał każdy mój ruch, a teraz nawet numer pokoju. Jak?

Cody usiłował się precyzyjnie przycisnąć do przodu, by przyjrzeć się zwłokom, lecz odepchnąłem go stanowczo w stronę drzwi.

– Odsuńcie się! – powiedziałem ostro i sięgnąłem po telefon. Nie miałem pojęcia, w jaki sposób Crowley tak zręcznie mnie tropił, lecz mogłem sprawdzić, czy naprawdę nie żyje. Wybrałem numer. Po trzech dzwonekach rozległo się przerażająco radosne „Halo!” wypowiedziane przez mojego brata.

– Brian, przepraszam, jeśli to pytanie wyda ci się dziwne, ale, hm, czy tamtej nocy załatwiłeś sprawę, którą miałeś się zająć? – spytałem.

– O tak – odpowiedział i usłyszałem w jego głosie autentyczne szczęście. – Wszyscy bardzo dobrze się bawili.

– Jesteś pewien? – spytałem, spoglądając na szczątki Hooda.

– Masz rację: to naprawdę dziwne pytanie – odparł. – Jasne, że jestem pewien; byłem tam przecież.

– I nie doszło do pomyłki? – W słuchawce zapadła cisza, aż zacząłem się zastanawiać, czy połączenie nie zostało przerwane. – Brian? – odezwałem się.

– Cóż... – rzekł po chwili. – Zabawne, że o to pytasz. Ten, hm, dżentelmen często używał tego samego słowa. Stale powtarzał, że

popelniam okropną pomyłkę. Zdaje się, że mówił coś na temat kradzieży tożsamości? Ale tak naprawdę go nie słuchałem.

Ktoś szturchnął mnie od tyłu.

– Dexter, nic nie widzimy! – zawołała Astor, napierając na mnie.

– Zaczekajcie chwilę! – rzuciłem ostro i znów odepchnąłem dzieci. –

Czy możesz opisać tego dżentelmena?

– Przed czy po? – spytał.

– Przed.

– Cóóóóóóóóóó... – odpowiedział. – Jakies czterdzieści pięć lat, sto siedemdziesiąt osiem centymetrów wzrostu, osiemdziesiąt kilogramów. Jasne włosy, brak zarostu, cienkie złote okulary.

– Ach... – westchnąłem. Crowley był prawdopodobnie piętnaście kilogramów cięższy, młodszy i nosił brodę.

– Wszystko w porządku, bracie? Wyglądasz na zdenerwowanego.

– Obawiam się, że nie wszystko jest w porządku – odparłem. – Mam wrażenie, że ten dżentelmen miał rację.

– Och, doprawdy? Doszło do pomyłki? – spytał Brian.

– Na to wygląda.

– Cóż, *que sera* – stwierdził Brian.

Znów poczułem szturchnięcie Astor.

– Wpuść nas do środka, Dexter! – zawołała.

– Muszę kończyć – odezwałem się do Briana.

– Chętnie bym się dowiedział, co zrobiłem – rzekł. – Zadzwonisz później?

– Jeśli będę mógł – odpowiedziałem. Odłożyłem słuchawkę i odwróciłem się w stronę Cody’ego i Astor. – Poczekajcie na korytarzu! – rozkazałem.

– Ale niczego nie zobaczyliśmy, Dexter! – zirytowała się Astor.

– Bardzo mi przykro. Nie możecie wejść do pokoju do zakończenia pracy przez policję.

– To niesprawiedliwe! – zaprotestował Cody, wydymając wargi.

– Przykro mi. Na tym polega moja praca – wyjaśniłem. Oczywiście miałem na myśli zbieranie dowodów na miejscu przestępstwa, a nie popełnianie morderstw. – Nie możemy niczego dotykać i musimy wezwać policję.

– Chcemy po prostu popatrzeć, niczego nie dotkniemy – stwierdziła Astor.

– Nie – odrzekłem, odpychając ich w stronę drzwi.

– Zaczekajcie na korytarzu. Wrócę za minutę.

Bardzo im się to nie podobało, ale spełnili polecenie, przez cały czas usiłując po raz ostatni zerknąć na zwłoki na rozkładanym łóżku. Wyprowadziłem ich na korytarz, zamknąłem drzwi i podszedłem do Hooda, by mu się przyjrzeć.

Nikt nie nazwałby go przystojnym mężczyzną, ale w tej chwili wyglądał odrażająco. Między połamanymi zębami sterczał język, a wybite oko było nabiegłe krwią. Zginął od jednego straszliwego ciosu i wydawało się, że nie cierpiał, co niezbyt mi się podobało.

Uklęknąłem obok łóżka i zajrzałem pod spód. Nie zauważyłem upuszczonych w pośpiechu kluczy ani chusteczki z monogramem, które zdradziłyby tożsamość mordercy, lecz nie potrzebowałem takich wskazówek. Wiedziałem, kto zabił Hooda, i chciałem się dowiedzieć, jak zwłoki znalazły się w moim pokoju. Po drugiej stronie łóżka leżał jakiś przedmiot i poszedłem go obejrzyć. Był to duży kapelusz piracki z czarną opaską na oko przymocowaną na stałe do przedniej części. Wewnątrz znajdowała się czerwona chustka na głowę. Przebranie Hooda?

Prawdopodobnie morderca zasłonił kapeluszem rany, przenosząc trupa do hotelu.

Wstałem i poszedłem sprawdzić sypialnię. Wszystko było w porządku – nikt nie ukrywał się w garderobie, walizka Rity wydawała się nietknięta, a na biurku stał mój laptop; najwyraźniej nikt go nie ruszał. Trochę mnie to zdziwiło. Crowley szczyił się swoją znajomością komputerów – dlaczego nie poświęcił dwóch minut, by zajrzeć do mojego laptopa i odkryć moje sekrety?

W głębi Lochów Dextera rozległ się cichy szelest skrzydeł i szept:

Bo nie potrzebował.

Zamrugąłem. Była to boleśnie prosta odpowiedź i już dawno nie czułem się tak głupio.

Nie potrzebował poznawać moich tajemnic.

Doskonale je znał.

Zawsze mnie wyprzedzał, ponieważ włamał się do mojego komputera i śledził każdy mój krok, kiedy szukałem jego adresu, czytałem pocztę lub rezerwowałem pokój w hotelu. Istniało mnóstwo odpowiednich programów. Jedyne problemy polegały na tym, jak zainstalował jeden z nich na moim twardym dysku. Próbowałem sobie przypomnieć, czy poza domem lub pracą zostawiałem gdzieś komputer bez nadzoru. Nie, nigdy bym tego nie zrobił. Ale Crowley nie musiał dotykać mojego komputera, by się do niego włamać. Jeśli dysponował odpowiednim robakiem, wystarczyła sieć wifi. Przypomniałem sobie, jak siedziałem przed laptopem i otworzyłem reklamę nowej strony internetowej zatytułowanej *Morderstwa w Miami*. Najpierw załadowała się grafika we flashu i ekran pokryła krew – doskonały sposób, by odwrócić moją uwagę, gdy robak instalował się na twardym dysku, by przekazywać Crowleyowi wszystkie informacje na mój temat.

Miało to sens. Byłem pewien, że się nie mylę; mógłbym to sprawdzić w ciągu dwóch minut, lecz rozległo się dzikie walenie do drzwi i stłumiony, pełen lęku głos Astor, która wypowiadała moje imię. Odwróciłem się od monitora. Poszukiwania robaka Crowleya nie miały znaczenia. Nie musiałem go znaleźć, by wiedzieć, że system jest zainfekowany. Była to jedyna możliwość.

Znów rozległo się stukanie. Wyszedłem na korytarz. Cody i Astor próbowali zajrzeć do środka i zobaczyć zwłoki Hooda, lecz zamknąłem drzwi.

– Chcieliśmy tylko ostatni raz popatrzeć – rzekła Astor.

– Nie – odpowiedziałem. – Jeszcze jedno. Musicie udawać, że jesteście przestraszeni. Żeby ludzie uważali was za normalne dzieci.

– Przestraszeni? – spytała Astor. – Czym przestraszeni?

– Zwłokami i tym, że w waszym pokoju był morderca.

– To apartament.

– Udawajcie przestraszonych, gdy będziecie rozmawiać z policjantami – powtórzyłem i poszedłem z dziećmi do windy. Na szczęście znajdowało się w niej lustro i w drodze na dół Cody i Astor mogli poćwiczyć robienie przestraszonych min. Nie wychodziło im to przekonująco – wymaga to lat ćwiczeń – ale miałem nadzieję, że nikt tego nie zauważy.

W swojej karierze zawodowej przebywałem na setkach miejsc zbrodni. Wiele z nich znajdowało się w hotelach i wiedziałem, że ich kierownictwa nie uważają martwych ciał znajdujących w pokojach za dobrą reklamę – wolą utrzymywać takie sprawy w tajemnicy. Poszedłem do recepcji i grzecznie poprosiłem o rozmowę z dyrektorem.

Recepcjonistka, sympatyczna ciemnoskóra Amerykanka, uśmiechnęła się uprzejmie i powiedziała:

– Oczywiście, proszę pana. Czy coś się stało?

– W naszym apartamencie jest trup – wyjaśniła Astor.

– Cicho! – rzekłem.

Uśmiech recepcjonistki zbladł, a potem zniknął. Spoglądała to na mnie, to na Astor.

– Jesteś tego zupełnie pewna, młoda damo? – spytała.

– Obawiam się, że to prawda – odparłem, kładąc dłoń na ramieniu dziewczynki.

Recepcjonistka patrzyła na nas przez kilka sekund z otwartymi ustami.

– O mój Boże... – rzuciła w końcu. – To znaczy... – Odchrząknęła i z wysiłkiem znów przybrała oficjalny wyraz twarzy. – Proszę chwilę zaczekać – powiedziała, po czym zmieniła zdanie i dodała: – To znaczy, niech państwo pozwolą za mną.

Poszliśmy za nią korytarzem i czekaliśmy, aż wezwie dyrektora. Po jego przybyciu czekaliśmy na przyjazd policji. Później funkcjonariusze z Key West i miejscowa ekipa kryminalistyczna udali się do naszego apartamentu. Staliśmy w lobby, gdy do hotelu weszła około czterdziestopięcioletnia kobieta, która popatrzyła na nas i zaczęła rozmawiać z recepcjonistką. Miała siwawe włosy i pomarszczoną skórę na szyi; przyszło mi do głowy, że w młodości przyjechała do Key West, by się dobrze bawić i spędzać czas w barach, po czym pewnego dnia zdała sobie nagle sprawę, że zabawa się skończyła i pora znaleźć normalną pracę. Nie wydawała się z niej zadowolona – na jej twarzy zastygł wyraz rozczarowania; wyglądała, jakby stale czuła na języku nieprzyjemny smak.

Po krótkiej, cichej wymianie zdań z recepcjonistką podeszła do nas.

– Pan Morgan? – spytała oficjalnym tonem, który natychmiast rozpoznałem. Jej następne słowa potwierdziły moje domysły. – Jestem inspektor Blanton. Muszę zadać państwu kilka pytań.

– Naturalnie – odpowiedziałem.

– Przede wszystkim chciałabym sprawdzić, czy z dziećmi jest wszystko w porządku – rzekła i nie czekając na moją odpowiedź, przykucnęła koło Cody’ego i Astor. – Cześć! – odezwała się tonem, jakim się mówi do psów albo idiotów. – Nazywam się inspektor Shari. Czy możemy porozmawiać o tym, co widzieliście w pokoju na górze?

– To apartament – stwierdziła Astor. – Prawie nic nie widzieliśmy, bo Dexter kazał nam wyjść, nim zdążyliśmy się przyjrzeć.

Blanton zatrzepotała rękami i otworzyła usta. Najwyraźniej nie takiej reakcji się spodziewała.

– Dzieci są bardzo przestraszone – odezwałem się, wymawiając te słowa z lekkim naciskiem, by o tym pamiętały.

– To oczywiste – stwierdziła Blanton. Popatrzyła na Cody’ego. – Nic ci nie jest, chłopcze?

– Wszystko w porządku – odpowiedział cicho, po czym spojrzał na mnie i dodał: – Jestem tylko bardzo przestraszony.

– To zupełnie naturalne – stwierdziła Blanton, a Cody zrobił zadowoloną minę. – A ty, kochanie? – spytała Astor. – Nic ci nie jest?

Dziewczynka z wyraźnym wysiłkiem powstrzymała się od gniewnego prychnięcia z powodu nazwania jej „kochaniem” i powiedziała tylko:

– Nic mi nie jest, proszę pani, jestem tylko przestraszona.

– Ehe... – mruknęła Blanton. Spoglądała na zmianę na Cody’ego i Astor, najwyraźniej szukając oznak szoku.

Zadzwoił mój telefon: to była Rita.

– Halo, kochanie! – rzekłem, odwracając się od Blanton i dzieci.

– Dexter, przed chwilą przejechałam koło akwarium. Otwierają je dopiero za kilka godzin. Gdzie jesteście?

– Cóż, sytuacja trochę się skomplikowała – odparłem. – Doszło do niewielkiego incydentu w hotelu...

– O mój Boże, wiedziałam! – zawołała.

– Nie ma się czym przejmować – przerwałem, podnosząc lekko głos. – Nic nam nie jest; po prostu coś się wydarzyło w hotelu i musimy złożyć zeznania jako świadkowie, to wszystko.

– Cody i Astor to dzieci – odpowiedziała Rita. – Nie można ich przesłuchiwać, to niezgodne z prawem. Nic im się nie stało?

– Czują się świetnie; rozmawiają z bardzo miłą panią policjantką. – Doszedłem do wniosku, że najlepiej zakończyć rozmowę i stwierdziłem: – Weź udział w licytacji, Rito. Nic nam nie będzie.

– Wykluczone... Jest tam policja, prawda?

– Musisz wziąć udział w licytacji; po to przyjechaliśmy do Key West. Kup dom na Sto Czterdziestej Drugiej Ulicy.

– To nie ulica, tylko aleja. Sto Czterdziesta Druga Aleja.

– Jeszcze lepiej – odparłem. – Nie martw się. Dotrzemy do akwarium na czas.

– Myślę, że powinnam do was przyjechać... – odezwała się niepewnie.

– Musisz się przygotować do licytacji. Nie martw się o nas. Załatwimy sprawę w hotelu i pojedziemy oglądać rekiny. To tylko drobny kłopot.

– Panie Morgan! – odezwała się za moimi plecami Blanton. – Ktoś chciałby z panem porozmawiać.

– Kup ten dom – poprosiłem Ritę. – Muszę kończyć. – Odwróciłem się w stronę Blanton i zauważyłem, że drobny kłopot zmienia się w większy kłopot.

Do pokoju wszedł szeroko uśmiechnięty sierżant Doakes.

□□□

Widziałem wiele policyjnych pokoi przesłuchań i, szczerze mówiąc, pomieszczenie pełniące tę funkcję w komendzie policji w Key West

wyglądało standardowo. Ale tym razem czułem się inaczej, bo siedziałem po złej stronie stołu. Policjanci nie skuli mnie, za co byłem im wdzięczny, lecz nie wydawali się skłonni mnie wypuścić. Najpierw przesłuchiwała mnie Blanton, a potem kilku innych inspektorów, którzy wchodzili, zadawali te same pytania i wychodzili. Kiedy otwierały się drzwi, widziałem na korytarzu sierżanta Doakesa. Nie uśmiechał się już, choć jestem pewien, że był bardzo szczęśliwy, ponieważ zawsze marzył, by mnie zobaczyć w takiej sytuacji. Prawdopodobnie sądził, iż Hood nie zginął na darmo.

Starłem się cierpliwie odpowiadać na cztery standardowe pytania, jakie zadawali policjanci z Key West, niezależnie od tego, ile razy to robili. Powtarzałem sobie, że tym razem naprawdę jestem zupełnie niewinny i nie mam się czym martwić. Prędzej czy później muszą mnie wypuścić, choćby Doakes bardzo naciskał, by tego nie robili.

Nie śpieszyli się jednak i po przeszło godzinie, gdy nawet nie zaproponowali mi kawy, pomyślałem, że powinienem coś zrobić. Kiedy do pokoju przesłuchań wszedł czwarty inspektor, usiadł naprzeciwko mnie i poinformował mnie po raz trzeci, że sprawa jest bardzo poważna, wstałem i rzekłem:

– Tak, bardzo poważna. Trzymacie mnie tutaj bez powodu, bez przedstawienia zarzutów, a ja nie zrobiłem absolutnie nic złego.

– Siadaj, Dexter – odrzekł inspektor. Miał około pięćdziesięciu lat i wyglądał, jakby go kilkakrotnie pobito. Czułem, że następne pobicie by mu nie zaszkodziło, gdyż wymówił moje imię tak, jakby uważał je za zabawne. Zwykle okazuję ogromną cierpliwość wobec przejawów głupoty, w moim mniemaniu jest wszechobecna, lecz to była kropla, która przelała czarę goryczy.

Oparłem pięści na stole, pochyliłem się w stronę policjanta i dałem upust świętemu oburzeniu.

– Nie! – stwierdziłem. – Nie usiądę. I nie zamierzam odpowiadać w kółko na te same pytania. Jeśli nie zamierzacie przedstawić mi zarzutów ani mnie zwolnić, chciałbym porozmawiać z adwokatem.

– Posłuchaj, wiemy, że pracujesz w policji hrabstwa Miami-Dade – odrzekł ze znużeniem inspektor. – Powinniśmy współpracować, prawda?

– Owszem, powinniśmy – odpowiedziałem. – Jeśli mnie natychmiast nie zwolnicie, zamierzam rozpocząć jak najszerszą współpracę z waszym wydziałem spraw wewnętrznych.

Przez kilka sekund bębnił palcami w blat stołu z taką miną, jakby zamierzał mnie natychmiast aresztować. Jednak w końcu lekko uderzył dłonią w stół, wstał i bez słowa wyszedł.

Po kolejnych pięciu minutach pojawiła się z powrotem Blanton. Nie wyglądała na szczęśliwą lub po prostu nie wiedziała, jak to się robi. Trzymała w jednej ręce szarą kopertę i uderzała nią w drugą; wyglądała, jakby miała zamiar oskarżyć mnie o deficyt budżetu federalnego. Nie odzywała się, po prostu patrzyła; znów kilkakrotnie uderzyła kopertą w dłoń, a potem pokręciła głową.

– Jesteś wolny – rzekła wreszcie.

Czekałem, by się przekonać, czy powie coś jeszcze. Milczała, toteż wyszedłem na korytarz. Naturalnie czekał tam na mnie sierżant Doakes.

– Życzę więcej szczęścia następnym razem – odezwałem się.

Nic nie odpowiedział, nie pokazał mi nawet zębów. Spoglądał na mnie dobrze mi znanym wzrokiem głodnego szakala, a ponieważ nie lubię niezręcznego milczenia, odwróciłem się i zajrzałem do pokoju przesłuchań, gdzie spędziłem ostatnie dziewięćdziesiąt minut.

– Gdzie są moje dzieci, Blanton? – spytałem, dumny, że pamiętam jej nazwisko.

Odłożyła kopertę, westchnęła i podeszła do drzwi.

– Pojechały do matki – odrzekła.

– Och, w porządku – stwierdziłem. – Odwieźliście je samochodem policyjnym?

– Nie, moglibyśmy mieć kłopoty z tego powodu – rzekła. – Mamy problemy budżetowe.

– Ale nie wsadziła ich pani po prostu samych do taksówki, prawda? – spytałem. Przyznaję, że zaczęła mnie irytować, podobnie jak cała policja Key West.

– Nie, naturalnie, że nie – odpowiedziała, okazując nieco więcej emocji niż przedtem. – Pojechali z godnym zaufania dorosłym.

Znałem tylko jedną lub dwie osoby, które można by uznać za godne zaufania, i przez chwilę zaświtał mi promyk nadziei. Może przyjechała Debs i sytuacja wreszcie zaczęła wracać do normy?

– Ach, rozumiem – rzekłem. – Ze swoją ciotką, sierżant Deborah Morgan?

Blanton zamrugła i pokręciła głową.

– Nie – odpowiedziała. – Ale nie ma się czym niepokoić; chłopiec znał tego pana. To opiekun jego drużyny zuchowej.

32

Spędziłem ostatnio mnóstwo czasu, lamentując nad osłabieniem mojej inteligencji, niegdyś tak olśniewającej, i z ulgą zdałem sobie sprawę, że moje szare komórki znów zaczynają funkcjonować. Nawet przez chwilę nie sądziłem, że „opiekun drużyny zuchowej” to Frank, brzuchaty mężczyzna opowiadający historyjki o duchach. Natychmiast zrozumiałem, kto porwał Cody’ego i Astor.

Był to Crowley.

Wszedł prosto do budynku pełnego policjantów, którzy go poszukiwali, choć nie zdawali sobie z tego sprawy, i podstępnie uprowadził moje dzieci. Gdzieś w głębi duszy podziwiałem jego absolutną bezczelność, lecz nie byłem w nastroju do komplementów.

Porwał mi sprzed nosa moje dzieci. Cody i Astor należały do mnie. Odebrałem to jako specjalną, osobistą zniewagę i ogarnęła mnie tak gwałtowna wściekłość, jakiej jeszcze nigdy nie odczuwałem. Przed moimi oczami pojawiła się czerwona mgła; przestałem widzieć nawet inspektor Blanton, która gapiła się na mnie jak okropna, głupia ryba. To ona ponosiła winę za to, że dałem się złapać i straciłem swoje dzieci. To ona posłuchała Doakesa i przywiozła mnie tutaj, po czym pozwoliła im odjechać z człowiekiem, który nigdy nie powinien się do nich zbliżyć – a teraz stała przede mną, robiąc kretyńskie miny. Miałem wielką ochotę chwycić ją za obwisłą, pomarszczoną szyję, a potem ścisnąć, aż oczy wyszłyby jej z orbit,

wywaliliby język, jej twarz stałaby się sina, a delikatne kości szyi popękałyby w moich rękach na kawałki...

Blanton musiała zauważyć, że moja reakcja nie ogranicza się do grzecznego podziękowania i beztronskiego kiwnięcia głową. Cofnęła się o krok w stronę pokoju przesłuchań i rzekła:

– Wszystko w porządku, prawda, panie Morgan? – Przestała się do mnie zwracać po imieniu, lecz wcale mnie to nie uspokoiło. Nie zdając sobie sprawy z tego, co robię, ruszyłem w jej stronę z zaciśniętymi pięściami. – Chłopiec go znał – ciągnęła, a w jej głosie zabrzmiała lekka desperacja. – To opiekun zuchów. Policja musiała zrobić wywiad środowiskowy...

Już miałem ją chwycić za gardło, gdy coś szarpnęło mnie mocno za łokieć – zahaczył o niego twardy, metalowy przedmiot i zmusił mnie do cofnięcia się o pół kroku. Odwróciłem się, gotów rozszarpać na kawałki człowieka, który to zrobił, i zobaczyłem sierżanta Doakesa, trudnego do rozszarpania. Chwycił mnie za rękę jedną ze swoich metalowych protez i spoglądał na mnie z rozbawionym zaciekawieniem, jakby miał nadzieję, że wywołam awanturę. Czerwona mgła opadła.

Odsunąłem stalowy szpon, co wymagało sporego wysiłku, i spojrzałem na inspektor Blanton.

– Jeśli cokolwiek się stanie moim dzieciom, będzie pani tego żałować przez resztę swojego krótkiego, głupiego, nędznego życia! – rzuciłem.

Nim zdążyła cokolwiek powiedzieć, odwróciłem się, przeszedłem obok Doakesa i oddaliłem się korytarzem.

Dotarcie do centrum miasta nie trwało długo. W Key West nie ma długich tras spacerowych. Miasto znajduje się na niewielkiej wyspie o powierzchni kilku kilometrów kwadratowych, na końcu Florida Keys. Uchodzi za piękny zakątek turystyczny, gdzie można przyjemnie spędzić czas. Ale jeśli ktoś idzie w upale Duval Street, usiłując odnaleźć mężczyźnę

i dwoje dzieci, Key West przestaje być małe. Kiedy w końcu dotarłem do śródmieścia i rozejrzałem się w panice, uświadomiłem to sobie z zapierającą dech jasnością. Szukałem główki szpilki na polu pokrytym stogami siana. Było to beznadziejne zadanie; nie istniało nawet sensowne miejsce, gdzie mógłbym zacząć.

Wydawało się, że wszystko się sprzysięgło przeciwko mnie. Na ulicach roilo się od ludzi, którzy zasłaniali widok. Minęło mnie trzech Hemingwayów i zrozumiałem, że próba odnalezienia Crowleya jest kompletnym nonsensem. Był tęgim mężczyzną z brodą, a na ulicach Key West roilo się od tęgich mężczyzn z brodami. Rozglądałem się dokoła dzikim wzrokiem, na próżno, było to bezużyteczne, absurdalne i beznadziejne – wszędzie pojawiały się sobowtóry Hemingwaya. Znów minęło mnie kilku tęgich, brodatych mężczyzn; dwóch z nich prowadziło za ręce dzieci w wieku Cody'ego i Astor. Za każdym razem czułem przypływ nadziei, lecz okazywało się, że twarze nie pasują. Po Duval Street przetaczały się tłumy i ogarnęła mnie czarna rozpacz. Nigdy ich nie znajdę. Crowley wygrał – mogę wracać do domu i czekać na koniec.

Zalała mnie fala zwątpienia, oparłem się o ścianę budynku i zamknąłem oczy. Łatwiej nic nie robić, stojąc w miejscu, niż nic nie robić, biegając chaotycznie po mieście. Stałem w cieniu, smakując gorycz porażki. Zapewne robiłbym to bardzo długo, lecz nagle w moim mózgu pojawiła się pewna myśl – płynęła pod prąd szarego nurtu niczym ryba i poruszała ogonem.

Obserwowałem, jak pływa leniwie dokoła, a kiedy wreszcie zrozumiałem, o co chodzi, chwyciłem rybę za płetwy i uniosłem, by się jej przyjrzeć. Obracałem ją, oglądałem ze wszystkich stron, a im dłużej to robiłem, tym bardziej mi się podobała. Otworzyłem oczy, wstałem powoli, jeszcze raz spojrzałem na wijący się kształt i wiedziałem, że jest dobry.

Crowley nie wygrał – jeszcze nie.

Nie zamigotała mi iskierka idiotycznej nadziei, przecież nie domyśliłem się, gdzie Crowley zabrał Cody’ego i Astor. Zdałem sobie jednak sprawę z prostszej prawdy.

Gra nie była skończona.

Crowley nie wykonał jeszcze zadania. Porwanie Cody’ego i Astor nie oznaczało zakończenia rozgrywki, ponieważ nie na tym polegała istota gry. Chodziło w niej o zniszczenie Dextera. Nie chciał zrobić krzywdy Cody’emu i Astor – jego nadmiernie rozwinięte poczucie dobra i zła nie pozwoliłoby mu skrzywdzić niewinnych dzieci. Nie, chciał zranić mnie, ukarać za niegodziwości, jakie popełniłem. Dopóki żyłem lub nie znalazłem się w kajdanach, Crowley nie zakończył gry.

Ja również. Dopiero ją zaczynałem.

Przez cały czas atakował mnie z doskoku, wytrącał z równowagi, zadawał szybkie, złośliwe ciosy, a potem znikał, nim zdążyłem zareagować. Uważał, że ma nade mną przewagę, że jestem tylko workiem treningowym, bezbronny celem, który nie potrafi się obronić, a w tej chwili sądził, że zapędził mnie do narożnika, gdzie z łatwością mnie znokautuje.

Jakże się mylił.

Jeszcze nie walczył ze mną twarzą w twarz. Nie miał pojęcia, co oznacza próba stawienia mi czoła osobiście. Nigdy nie stał naprzeciwko mistrza, Dextera Niszczyciela, nie widział atrybutów śmierci w moich rękach i nie był wokół nas mroczny wiatr. To w tej scenerii czułem się jak w domu, a on jeszcze nigdy nie odwiedził tej krainy, toteż walka w ogóle się nie rozpoczęła.

Porywając Cody’ego i Astor, Crowley dał sygnał, że rozpoczyna się ostatnia runda. Uważał, że jestem osłabiony i że łatwo mnie pokona. Nie porwał dzieci, by wytrącić mnie z równowagi, udowodnić mi swoją

przebiegłość, pokazać, że jestem bezradnym głupcem. Nie, uprowadził Cody'ego i Astor, bym zaczął go ścigać. Byli przynętą, która miała sprawić, że wpadnę w pułapkę.

Chciał, bym go odnalazł. Oznaczało to, że musi mnie jakoś poinformować, gdzie się znajduje. Na pewno pozostawił dla mnie jasną wskazówkę, zaproszenie do tańca. Nie chciał długo czekać i zdawać się na przypadek. Wiedziałem, że mam rację. Uderzył mnie rękawicą, a potem zostawił dla mnie wiadomość.

Rozległ się dzwonek mojej komórki i kiedy na nią zerknąłem, zobaczyłem, że to Rita. Niewiele brakowało, bym z przyzwyczajenia odebrał telefon – ale nim zdążyłem nacisnąć guzik i coś powiedzieć, w mojej głowie zapaliło się światło i wszystko zrozumiałem.

Naturalnie. Wszystko skupiało się wokół komputerów i zarozumiałej wiary Crowleya, że jest królem internetu. Nie zostawił wskazówki w przypadkowym miejscu – przyśle mi e-maila.

Komórka ciągle dzwoniła, ale miałem teraz do zrobienia coś znacznie ważniejszego niż rozmowa z Ritą i przerwałem połączenie. Dotknąłem ikonki otwierającej pocztę i upłynęło dużo czasu, nim na ekranie wreszcie pojawiła się moja skrzynka pocztowa. Na pierwszym miejscu znajdowała się wiadomość wysłana z adresu *Bloga Cienia*. Otworzyłem ją.

Zaczynała się następująco:

Bardzo dobrze. Wreszcie odkryłeś moje prawdziwe nazwisko i adres.

Ktoś mnie potrącił i natychmiast stałem się czujny. Minęła mnie grupka hałaśliwych młodych mężczyzn, którzy wyglądali jak uczestnicy imprezy studenckiej; pokrzykiwali i pili piwo z plastikowych kubeczków. Przeszedłem między nimi, usiadłem na niskim murku przed restauracją i zacząłem czytać:

Wreszcie odkryłeś moje prawdziwe nazwisko i adres. Szkoda, że nie jest to prawdziwe nazwisko i adres. Czy rzeczywiście myślałeś, że to takie proste? Ale dziękuję – rozwiązałeś za mnie pewien problem. Był to mój dawny szef, prawdziwy sukinsyn. Teraz znacznie bezpieczniej mogę się posługiwać nazwiskiem Doug Crowley, bo nikt się nie poskarży. Używam też jego samochodu.

Nasza przygoda zbliża się do końca. Musisz to wiedzieć. Został ostatni element i powinieneś wszystko rozumieć.

Ty i ja.

Musisz zapłacić za to, co zrobiłeś. Zajmę się tym. Nie ma innego sposobu i wiesz, że zbliża się koniec. Mam twoje dzieci. Prawdopodobnie nie zrobię im krzywdy, chyba że nie przyjdiesz.

Tym razem ja dyktuję warunki. Zastawiłem pułapkę i czekam na ciebie. Wybrałem naprawdę dowcipne miejsce. Pośpiesz się – nie bądź zółwem.

Wyglądają na miłe dzieci.

To wszystko. Przeczytałem e-mail jeszcze raz, lecz nie napisał nic więcej.

Rozboliła mnie szczęka. Zastanawiałem się dlaczego. Nikt mnie nie uderzył. Czy ostatnio dużo zgrzytam zębami? Chyba tak. Prawdopodobnie zupełnie zniszczyłem sobie szkliwo. To niedobrze. Będę miał dziury. Zastanawiałem się, czy pożyję na tyle długo, by iść do dentysty. Albo, jeśli dopisze mi szczęście, czy obejmie to program dentystyczny więzienia w Raiford?

Oczywiście jeśli będę tu dalej stał i myślał o swoich zębach, prawdopodobnie najlepiej by było, gdybym sam je sobie wyrwał.

Gdzieś czekał na mnie Crowley, a może Bernie, jeśli tak brzmiało jego imię. Ale czy był nadal tutaj, w Key West? Mało prawdopodobne – nie można uprawiać tej gry w parku miejskim. Potrzebne jest miejsce położone na uboczu, izolowane – poinformuje mnie o jego lokalizacji w jakiś sprytny sposób, żebym się w końcu domyślił, lecz nie zrobi tego za wcześnie. Chciał doprowadzić do ostatecznej rozgrywki równie szybko jak ja, więc na pewno nie znajduje się ono zbyt daleko. Nie zabierze dzieci do Zanzibaru ani nawet do Cleveland.

Przeczytałem jeszcze raz e-mail, szukając jakiejś wskazówki. Wszystko było dość proste i zrozumiałe, z wyjątkiem końcówki, gdy napisał: „Wybrałem naprawdę dowcipne miejsce”, a potem: „Nie bądź żółwiem”. Nie miało to żadnego sensu. Zdania brzmiały niezręcznie, nie w jego stylu. Dlaczego miejsce miało być dowcipne? A nawet jeśli było, dlaczego nie napisał po prostu: „Moim zdaniem to zabawne, pośpiesz się”. Poza tym wiadomość wydawała się zupełnie normalna; to te zdania musiały stanowić wskazówkę, gdzie powinienem pojechać. Doskonale – gdybym potrafił wymyślić komiczne miejsce i pośpieszyć tam, prawie na pewno bym go znalazł.

„Komiczne”. W mieście było kilkanaście kabaretów i teatr komediowy, wszystkie dość blisko, więc mogłem się tam szybko dostać. Ale „komiczne” to nie to samo co „dowcipne” – i dlaczego musiałem się śpieszyć?

Zdałem sobie sprawę, że znów zgrzytam zębami. Przestałem i odetchnąłem głęboko. Przypomniałem sobie, że jestem bardzo inteligentny, znacznie bystrzejszy od Crowleya; na pewno potrafię rozszyfrować wszystkie jego zagadki. Musiałem po prostu zacząć myśleć pozytywnie i trochę się skupić.

Poczułem się znacznie lepiej. Zacząłem od początku.

„Dowcipne”. To nic nie znaczyło.

„Nie bądź zółwiem”. Jeszcze gorzej. Nic nie przychodziło mi do głowy. Cudownie było obserwować potęgę pozytywnego myślenia.

W porządku, musiałem coś przeoczyć. Może chodzi o słowo „dowcipne”? Czy to jakaś okropna gra słów, na przykład kilka przecznic dalej znajduje się Ulica Dowcipna? Nie, to naciągane. A może istnieje Dowcipna Wyspa? Nigdy o niej nie słyszałem. A zółw? Nad morzem znajdowała się hodowla zółwi. Jednak Crowley napisał: „Nie bądź zółwiem”, więc to nie miało sensu. Nie mogło o to chodzić, a ja nie byłem tak inteligentny, za jakiego się uważałem.

Przeszło obok mnie trzech mężczyzn, sprzecząc się po hiszpańsku. Usłyszałem słowo *pendejo* i uznałem je za właściwe. Byłem *pendejo*, kompletnym idiotą, czy po hiszpańsku, czy po angielsku. Crowley prawdopodobnie nawet nie mówi po hiszpańsku. Ja znam ten język, lecz nie pomogło mi to go odnaleźć. W gruncie rzeczy znajomość hiszpańskiego przydawała mi się tylko do zamawiania posiłków w restauracjach. Był to bezużyteczny język i chyba powinienem gdzieś się przeprowadzić, by więcej go nie słyszeć. Znaleźć jakąś małą wysepkę i po prostu...

W dali rozlegał się gwar ludzkich głosów i muzyka, turkot kolejki turystycznej (Conch Train) jadącej po ulicach Key West, kretyńskie śmiechy podpitych turystów, którzy zaledwie kilka minut wcześniej tak mnie denerwowali. Na niebie świeciło bezlitosne lipcowe słońce, zmieniając ziemię w popiół. Ale Dexter nie był już rozgrzany i niezadowolony, lecz czuł podmuchy łagodnego wiatru i słyszał uspokajającą, cudowną melodię, rozkoszną symfonię życia. Key West to naprawdę zaczarowane miejsce, a hiszpański jest najwspanialszym językiem świata – błogosławiłem dzień, gdy postanowiłem się go nauczyć. Wszystko wydawało się świeże, wspaniałe i nie byłem już wcale *pendejo*,

ponieważ przypomniałem sobie jedno hiszpańskie słowo i wszystko stało się jasne.

Żółw to po hiszpańsku *tortuga*.

Sto kilometrów na południe od Key West znajduje się skupisko niewielkich wysp o nazwie Tortugas; w istocie rzeczy Dry Tortugas. Jest tam park narodowy, stary fort; na wyspy kilka razy dziennie kursują promy i wiedziałem, że Crowley zabrał tam Cody'ego i Astor.

Naprzeciwko miejsca, gdzie siedziałem, znajdował się hotel. Przebiegłem przez ulicę i wpadłem do lobby. Tuż koło drzwi stał drewniany stojak z broszurami opisującymi atrakcje turystyczne Key West. Szybko wybrałem folder zatytułowany CONCH LINE i zdjąłem go ze stojaka.

Nasze superszybkie, ultranowoczesne katamarany dwa razy dziennie kursują do Fort Jefferson i wysp Dry Tortugas! – przeczytałem.

Promy odpływały z portu znajdującego się w odległości ośmiuset metrów od miejsca, gdzie się znajdowałem; drugi, ostatni, o dziesiątej rano. Rozejrzałem się po lobby i zauważyłem zegar nad recepcją; wskazywał dziewiątą pięćdziesiąt sześć. Miałem cztery minuty.

Wybiegłem z lobby i pognałem Duval Street. Tłumy zadowolonych, roześmianych turystów były jeszcze większe; przedarcie się przez nie wydawało się prawie niemożliwe. Dotarłem do skrzyżowania i skręciłem w prawo, w Caroline Street, gdzie panował znacznie mniejszy ruch. Kilkadziesiąt metrów dalej na chodniku siedziało czterech brodatych mężczyzn z butelką w papierowej torbie. Nie byli Hemingwayami; mieli długie, zmierzwione brody. Obserwowali mnie z pustymi twarzami, gdy przebiegałem obok nich, i zaczęli mnie leniwie dopingować. Miałem nadzieję, że przyniesie mi to szczęście.

Kolejne trzy przecznice. Byłem pewien, że biegnę dłużej niż cztery minuty, lecz w głowie dzwoniła mi myśl, że żaden statek nie odpływa

punktualnie. Oblewałem się potem, kiedy po lewej stronie między budynkami ukazało się morze, więc przyśpieszyłem. Znajdowałem się teraz na dużym parkingu koło portu. Było tam jeszcze więcej ludzi, a z nadbrzeżnych restauracji dobiegała muzyka; wyprzedziłem kilka powolnych rowerów, aż wreszcie przebiegłem po drewnianym molo, minąłem drewnianą szopę kapitanatu i dotarłem do nabrzeża...

Zobaczyłem superszybki, ultranowoczesny katamaran *Conch Line*, który powoli wychodził w morze, skręcając w stronę wyjścia z portu. Kiedy zatrzymałem się na nabrzeżu, znajdował się pięć metrów ode mnie, czyli za daleko.

Jednak na tyle blisko, że widziałem Cody'ego i Astor, którzy stali przy relingu i spoglądali na mnie z niepokojem. Tuż za nimi znajdował się Crowley w kapeluszu z szerokim rondem, z triumfalnym uśmiechem na twarzy. Położył jedną rękę na ramieniu Astor, a drugą pomachał w moją stronę. Mogłem tylko patrzeć, jak statek się oddala, nabiera prędkości, mija Sunset Keys, kierując się na południe, i znika w bezmiarze pustego, błękitnego Atlantyku.

33

W Key West jest wielu ludzi, którzy nic nie robią – to dobre miejsce, by nic nie robić. Można patrzeć na tłumy przechodniów na Duval Street i zastanawiać się, z jakiej obcej planety przybyli. Można iść nad morze i oglądać pelikany, nisko lecące samoloty ciągnące kolorowe banery, jachty stojące na kotwicy albo płynące przez port z opalonymi turystami na pokładzie.

Przez pięć minut właśnie tym się zajmowałem. Zgodnie z zasadami panującymi w Key West po prostu nic nie robiłem. Stałem na nabrzeżu i patrzyłem na wodę, jachty i ptaki. Nie miałem nic do roboty. Statek z Codym i Astor odpłynął, znajdował się w tej chwili na pełnym morzu, dwa kilometry od brzegu. Nie mogłem go zawrócić ani pobiec za nim po wodzie.

Dlatego nic nie robiłem. Wydaje się to trochę dziwne, ale chyba udało mi się znaleźć jedyne miejsce w Key West, gdzie nie można było nic nie robić. Nagle zaczęli się koło mnie przepychać ludzie niosący zwoje lin i pchający wózki wypełnione bagażami, jedzeniem, lodem i ekwipunkiem do nurkowania. Sądząc po ich zirytowanych spojrzeniach, blokowałem im przejście.

W końcu jeden z mężczyzn puścił rączki wózka wypełnionego butlami do nurkowania, wyprostował się i popatrzył na mnie.

– Przepraszam, szefie, czy nie mógłby się pan trochę odsunąć? – spytał przyjacielskim tonem. – Musimy załadować na statek sprzęt do nurkowania. – Odwróciłem się i spojrzałem na jego sympatyczną, ciemnobrązową twarz. – Płyniemy na rafę. Wyjątkowo piękne miejsce. Powinien pan je kiedyś zobaczyć – dodał na wypadek, gdybym okazał się potencjalnym klientem.

W mrocznych zakamarkach mojego mózgu załśnił promyk nadziei.

– Nie płyniecie przypadkiem do Fortu Jefferson?

Roześmiał się.

– Do Tortugas? Nie, proszę pana, spóźnił się pan na ostatni statek. Następny odpływa jutro.

Nadzieja jak zawsze okazała się głupią stratą czasu. Promyk nadziei zgasł i zastąpiła go fala gęstej mgły. Jednak mężczyzna dalej paplał, ponieważ ludzie zawsze chcą z nami rozmawiać, gdy wolelibyśmy zostać sam na sam ze swoją rozpaczą.

– Warto zobaczyć Tortugas. Fort Jefferson jest wspaniały, najlepszy jest widok z samolotu. Dam panu broszurę. – Zrobił pięć kroków w prawo i wyjął ze schowka kolorowy folder na błyszczącym papierze. – Proszę, to ich reklamówka. Pracuje tam moja dziewczyna. Latają do Tortugas cztery razy dziennie. Zakręcają nisko nad fortem, a potem lądują na morzu. Bardzo ciekawe i bardzo fajne.

Wcisnął mi do ręki broszurę. Na górze znajdował się napis: ALBATROSS AIRLINES, i nagle poczułem przypływ podniecenia.

– To hydroplan? – spytałem.

– Tak, oczywiście – odpowiedział. – Tam nie ma lotniska.

– Samolotem można się tam dostać znacznie szybciej niż statkiem, prawda?

– Jasne. Statek linii Conch Lines płynie trzy godziny, może trochę więcej. Samolot leci czterdzieści minut. Poza tym są fantastyczne widoki.

To, że lot był przyjemny, nie miało dla mnie znaczenia. Zgodziłbym się nawet na bardzo niewygodną podróż, byle dotrzeć do fortu przed Crowleyem, który zamierzał zastawić w nim na mnie pułapkę.

– Dziękuję – odpowiedziałem, czując szczerą wdzięczność.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odrzekł mężczyzna. – A teraz, gdyby nie miał pan nic przeciwko temu... – Skinął ręką, wskazując miejsce, gdzie powinienem stanąć, ale ja pędziłem już po nabrzeżu, mijając sklepy i restauracje. Dotarłem na parking, gdzie znów dopisało mi szczęście, ponieważ nadszedła jasnorożowa taksówka z Key West i wysiadła z niej grupa bladych turystów z nadwagą. Wślizgnąłem się do wozu, gdy ostatni z nich zapłacił za kurs kobiecie siedzącej za kierownicą.

– Dzień dobry! – powitała mnie, uśmiechając się z zawodową uprzejmością. Miała około pięćdziesięciu lat i kwadratową, ogorzałą twarz.

– Dokąd jedziemy?

Było to rozsądne pytanie i zdałem sobie sprawę, że nie znam odpowiedzi. Na szczęście trzymałem w ręku kolorowy folder; otworzyłem go i szybko przejrzałem.

– Na lotnisko – powiedziałem, znalazłszy odpowiednią stronę. – Jak najszybciej.

– W porządku – odrzekła kobieta, wyjechała z parkingu i ruszyła bulwarem biegnącym wzdłuż brzegu morza. Rozległ się dzwonek mojej komórki: znowu Rita. Wyłączyłem telefon.

Kiedy mijaliśmy Smathers Beach, zobaczyłem przyjęcie weselne zorganizowane na plaży. Pan i panna młoda stali nad brzegiem morza pod białym baldachimem używanym podczas ślubów żydowskich. Jak się

nazywa taki baldachim? Nie mogłem sobie przypomnieć właściwego słowa. Nie miało to znaczenia; właśnie skręcaliśmy na lotnisko.

Wyskoczyłem z taksówki i rzuciłem kobiecie pieniądze, nie licząc ich ani nie czekając na resztę. Kiedy wbiegłem do terminalu, przypomniało mi się słowo „chupa”. Była to nazwa baldachimu stosowanego podczas wesel żydowskich. To, że przypomniałem sobie to słowo, w dziwny sposób mnie ucieszyło; doszedłem do wniosku, że warto się zastanowić nad przyczyną, dlaczego wydało mi się to takie ważne.

Biuro Albatross Airlines znajdowało się na końcu terminalu. Za kontuarem stała kobieta około pięćdziesiątki ubrana w brązowy mundur. Miała ogorzałą twarz i wyglądała jak bliźniaczka kobiety, która wiozła mnie taksówką. Zacząłem się zastanawiać, czy to dziewczyna mężczyzny spotkanego w porcie. Miałem nadzieję, że nie.

– Czym mogę służyć? – spytała ochrypłym głosem.

– Muszę się jak najszybciej dostać do Dry Tortugas – odpowiedziałem.

– Następny samolot startuje w południe – oznajmiła, kiwając głową w stronę rozkładu lotów wiszącego na ścianie.

– Muszę się tam dostać natychmiast.

– Przykro mi.

Odetchnąłem głęboko i powiedziałem sobie, że rozbijanie czyjejś głowy nie zawsze jest najlepszym rozwiązaniem.

– To niespodziewany wypadek – stwierdziłem.

– Związany z lotnictwem? – prychnęła sarkastycznie.

– Tak – odpowiedziałem i zamrugła ze zdziwienia. – Moje dzieci są na pokładzie statku płynącego do Dry Tortugas.

– Miła wycieczka – zauważyła.

– Jest z nimi człowiek, który może im zrobić krzywdę.

Wzruszyła ramionami.

– Może pan skorzystać z mojego telefonu i zadzwonić na policję. Zawiadomią strażników rezerwatu.

– Nie mogę zatelefonować na policję – odparłem, mając nadzieję, że nie zapyta dlaczego.

– Dlaczego?

Zacząłem gorączkowo myśleć. Oczywiście nie mogłem jej powiedzieć prawdy, ale kłamstwo nigdy nie stanowiło dla mnie problemu.

– Eee... – zacząłem, czekając, aż przyjdzie mi do głowy wiarygodne wyjaśnienie. – To mój szwagier. Mamy problemy rodzinne. Jeśli wmiesza się w to policja, moja siostra tego nie przeżyje. A nasza matka... sama pani rozumie. Mama jest chora na serce.

– Aha – mruknęła z powątpiewaniem.

Najwyraźniej nie posuwałem się do przodu, mimo swojej niezwyklej kreatywności. Nie wpadłem jednak w rozpacz. Byłem już wcześniej w Key West i wiedziałem, jak się tu załatwia sprawy. Wyciągnąłem portfel.

– Proszę – rzekłem, odliczając sto dolarów. – Czy naprawdę nie da się nic zrobić?

Pieniądze zniknęły, nim zdążyłem dokończyć zdanie.

– Nie wiem – odparła. – Zapytam Leroya.

Wyszła przez drzwi znajdujące się pod rozkładem lotów. Po minucie wróciła z mężczyzną w mundurze pilota. Był w podobnym wieku co ona, miał twarde błękitne oczy i spłaszczony nos boksera.

– Co się dzieje, szefie? – spytał.

– Muszę jak najszybciej dotrzeć do Dry Tortugas – odpowiedziałem.

– Jackie mi mówiła – rzekł, kiwając głową. – Ale następny planowy lot jest za dwie godziny. Nic nie mogę zrobić. Przykro mi.

Było mu przykro, ale nie odchodził, co oznaczało, że nie odmawiał, tylko prowadził negocjacje.

– Pięćset dolarów – powiedziałem.

Pokręcił głową i oparł się o ladę.

– Przykro mi, przyjacielu, po prostu nie mogę tego zrobić – odparł. – Firma bardzo pilnuje takich rzeczy.

– Siedemset – stwierdziłem. – Chodzi o moje małe dzieci. Grozi im wielkie niebezpieczeństwo.

– Mogę stracić pracę – odparł.

– Tysiąc dolarów – rzuciłem i przestał kręcić głową.

– No cóż... – powiedział z wahaniem.

Ludzie odpowiedzialnie gospodarujący swoimi pieniędzmi patrzą z pogardą i potępieniem na rozrzutników, którzy całkowicie wykorzystują limit swoich kart kredytowych. Rozbójnik stojący za kontuarem bardzo szybko mnie do tego zmusił. Zdobycie tysiąca dolarów wymagało zdebitowania dwóch kart, ale kiedy zaspokoilem jego grzeszną chciwość, po pięciu minutach siedziałem w fotelu samolotu i zapinałem pasy. Maszyna potoczyła się po pasie startowym, nabrała prędkości i wzbiła się w powietrze.

Mężczyzna w porcie twierdził, że lot do Dry Tortugas dostarcza niezapomnianych wrażeń; to samo podawała wręczona mi przez niego broszura. Nawet jeśli widoki były rzeczywiście piękne, w ogóle ich nie pamiętam. Widziałem tylko wskazówki zegarka pełnące do przodu. Miałem wrażenie, że poruszają się znacznie wolniej niż zwykle. Tyknięcie. Długa przerwa. Tyknięcie. Długa przerwa. Czas straszliwie się włókł, a ja musiałem dotrzeć do Fort Jefferson przed Crowleyem. Ile czasu minęło od odpłynięcia statku? Usiłowałem liczyć w pamięci minuty. Nie powinno to być trudne, ale zupełnie nie mogłem się skoncentrować i tylko zgrzytałem zębami.

Na szczęście dla stanu mojego uzębienia lot nie trwał długo.

– Jest! – rzekł pilot, kiwając głową w stronę okna. Były to pierwsze słowa, jakie wypowiedział od startu. Przystałem zgrzytać zębami i popatrzyłem na niego. – Prom, na którym płyną pańskie dzieci – dodał, znów kiwając głową.

Wyjrzałem przez okno. Pod nami zobaczyłem lśniący, biały pokład dużego, szybkiego statku wycieczkowego, za którym ciągnął się długi kilwater spienionej wody. Nawet z tej wysokości widziałem ludzi na pokładzie, lecz nie potrafiłem rozpoznać Cody'ego i Astor.

– Niech się pan odpręży – stwierdził pilot. – Dotrzemy tam trzy kwadransy przed nimi.

Nie odprężyłem się, ale poczułem się trochę lepiej. Przelecieliśmy nad statkiem i zostawiliśmy go za sobą. Kiedy zniknął nam z oczu, pilot znów się odezwał.

– Fort Jefferson – rzekł.

Po chwili sylwetka fortu stała się wyraźniejsza. Wyglądał imponująco.

– Jest duży – powiedziałem.

Pilot skinął głową.

– Zmieściłby się w nim Yankee Stadium i zostałyby jeszcze sporo miejsca – rzekł. Skinąłem głową, choć zupełnie nie rozumiałem, po co ktoś miałby umieszczać Yankee Stadium w Fortcie Jefferson.

– Bardzo ładny – zauważyłem. Nie powinienem zachęcać pilota do rozmowy, bo zaczął długą, pełną dygresji opowieść o wojnie secesyjnej, zamachu na Lincolna i nieistniejącym szpitalu na pobliskim piaszczystym przylądku. Po chwili przestałem go słuchać i skupiłem się na fortcie. Był naprawdę wielki; gdybym pozwolił Crowleyowi wejść do środka, mógłbym go nigdy nie odnaleźć. Przy brzegu znajdowało się molo, najwyraźniej jedyne na wyspie.

– Statek musi tam przybić, prawda? – spytałem. Pilot spojrział na mnie z otwartymi ustami. Przerwałem w połowie opowieść o latarni morskiej znajdującej się półtora kilometra od fortu.

– Zgadza się – odrzekł. – Ale niektórzy pasażerowie powinni być wyrzucani do Świńskiego Kanału. – Skinął głową w stronę pasa ciemnoniebieskiej wody między fortem a latarnią morską. – Tylko na to zasługują.

– Do czego?

Uśmiechnął się.

– Świńskiego Kanału – powtórzył. – Mieszka tam największy rekin młot w tej części świata. Przeszło sześć metrów długości, zawsze głodny. Naprawdę nie radziłbym tam pływać.

– Będę o tym pamiętał – odpowiedziałem sucho. – Kiedy lądujemy?

Wyglądał na lekko zirytowanego, że nie potrafię docenić jego dowcipu, lecz tylko wzruszył ramionami. Wyciągnął ode mnie dość pieniędzy, by się pogodzić z niewielkimi przykrościami.

– Za chwilę – odrzekł, po czym skręcił i zaczął lecieć nisko nad cieśniną między latarnią morską a fortem. Pływaki hydroplanu wyrzuciły do góry fontanny słonej wody; przez chwilę silniki maszyny pracowały na wyższych obrotach, po czym zwolniliśmy i skręciliśmy w stronę fortu. Był naprawdę ogromny, otoczony morzem; wyglądał majestatycznie i dziwacznie, a jego ogromne mury z czerwonej cegły górowały nad koronami nielicznych palm. Z bliższej odległości zauważyłem rząd otworów w górnej części murów, prawdopodobnie dawne stanowiska armat. Miały w sobie coś widmowego – przypominały puste oczodoły gigantycznej czaszki i nadawały budowli tajemniczy wygląd.

Pilot zwolnił i hydroplan przepłynął koło skupiska drewnianych pali, pozostałości po zniszczonym molo, a następnie znaleźliśmy się

w niewielkiej, ładnej zatoczce. Z boku kotwiczyło kilka jachtów, a przy nabrzeżu cumował niewielki kuter z logo National Park Service. Skręciliśmy w jego stronę i dobiliśmy do brzegu tuż obok.

Zszedłem na ląd i ruszyłem ceglana ścieżką prowadzącą do fortu, szukając najlepszego miejsca, by zaczekać na Crowleya. Chciałem go obserwować, nie będąc widzianym, i zaatakować, nim się zorientuje, że jestem w pobliżu. Uwielbiam niespodzianki, więc postanowiłem go zaskoczyć.

Słońce ciągle było oślepiająco jasne i niestety nie zauważyłem żadnych dobrych miejsc, gdzie mógłbym się schować. Ceglana ścieżka prowadziła do drewnianego mostu zwodzonego nad fosą, przy którym stało kilkoro ludzi. Byli ubrani w szorty i klapki; wszyscy mieli w uszach słuchawki i kołysali się w różnych rytmach, wpatrując się w tablicę z napisem:

FORT JEFFERSON
PARK NARODOWY DRY TORTUGAS

Było to tylko sześć słów, toteż przeczytanie tablicy powinno zająć kilka sekund, lecz może nie potrafili się skoncentrować z powodu zbyt głośnej muzyki? Albo po prostu nie umieli szybko czytać? Tak czy inaczej, tablica nie nadawała się na kryjówkę, nawet gdyby obok nie stała grupka półanalfabetów.

Minąłem ich i wszedłem na most. Po drugiej stronie, bezpośrednio pod amerykańską flagą wiszącą na szczycie muru, znajdowała się duża brama prowadząca do fortu; dalej widać było krąg światła. Stałem pod marmurowym łukiem i nagle otoczyła mnie ciemność. Miałem wrażenie, że zapadła noc, i mrugałem przez chwilę, nic nie widząc.

Kiedy tak stałem, wpatrując się w mrok, w moim mózgu zapaliło się małe światełko i mruknąłem: „Aha”.

Znalazłem właściwe miejsce. Tu będę czekać na Crowleya. Mogłem stąd obserwować nabrzeże, gdzie miał przybić prom, a on nie zauważył mnie stojącego w mroku. Zejdzie na ląd, myśląc, że jestem sto kilometrów za nim, podąży ścieżką, minie most i znajdzie się pod łukowatą bramą, gdzie przez chwilę będzie oślepiiony, podobnie jak ja. A potem zrobi ostatni krok w Prawdziwą Ciemność Przyjemności Dextera. Było to idealne rozwiązanie.

Oczywiście pozostawał problem, co dalej. Mogłem łatwo zaskoczyć Crowleya, obezwładnić go, nim zda sobie sprawę, co się dzieje, lecz co potem? Nie miałem ze sobą żadnych akcesoriów – pętli, taśmy klejącej, niczego. Znajdowałem się w miejscu publicznym. Mógłbym łatwo go ogłuszyć, lecz potem musiałbym dźwigać tęgiego, nieprzytomnego człowieka, co zawsze jest kłopotliwe, nawet gdy w pobliżu nie kręcą się turyści. Gdybym go gdzieś zaciągnął, na pewno ktoś by mnie zauważył, co zmusiłoby mnie do wygłaszania żałosnych usprawiedliwień typu: „Mój przyjaciel jest pijany”. A może wykończyć go w bramie, zostawić tam i szybko oddalić się z dziećmi? Gdybyśmy zdołali dotrzeć niepostrzeżenie do nabrzeża, mieliśmy szansę, że nikt nie skojarzy nas z zabójstwem.

Przygryzłem wargę tak mocno, że prawie przeciąłem sobie skórę. Wszystko opierało się na dwóch słowach: „jeśli” i „nadzieja” – nie znoszę tego. Wokół kręcą się ludzie i jeśli choć jeden z nich mnie zauważy, będę skończony. Po znalezieniu zwłok Crowleya zezna, że mnie z nim widział. A ponieważ policja interesuje się mną w związku z dwoma morderstwami, na pewno nie uwierzy w wersję o wypadku.

Ale nie miałem wyboru. Musiałem zabić Crowleya, i to teraz, a ciemna brama dawała najlepszą szansę. Nie pozostawało nic innego, jak mieć nadzieję, że dopisze mi szczęście. Nigdy wcześniej nie polegałem na

szczęściu i byłem bardzo niezadowolony, że teraz muszę na nie liczyć. Nie wierzyłem w szczęście. Za bardzo przypominało modlitwę o nowy rower.

Z wnętrza fortu weszli do bramy mężczyzna i kobieta w średnim wieku, trzymając się za ręce. Minęli mnie, po czym ruszyli w stronę nabrzeża, nie zwracając na mnie uwagi; ich klapki klekotały na twardej kamiennej nawierzchni. Rozwahałem różne możliwości, lecz nie przyszło mi do głowy nic lepszego. Najciekawsza nowa myśl sprowadzała się do tego, że Crowley porwał Cody'ego i Astor. Gdybym został oskarżony o morderstwo, mogłem twierdzić, że ich bronilem, i prosić sąd o łagodny wymiar kary. Sądy na Florydzie nie są szczególnie wyrozumiałe, lecz nie miało to większego znaczenia. Był to przynajmniej jakiś sposób obrony i w ostateczności mogłem go wykorzystać.

Tak czy inaczej, naprawdę chciałem zabić Crowleya, i to było najważniejsze. Jeśli miało to oznaczać długi pobyt za kratami, musiałem się z tym pogodzić. Prawdopodobnie na to zasługiwałem.

Popatrzyłem na zegarek. Prom miał przy płynąć za pół godziny. Nie mogłem siedzieć przez cały czas w mrocznej bramie, bo ktoś wreszcie zacznie się zastanawiać, co tu robię. Ruszyłem naprzód i wszedłem do fortu.

W środku wydawał się jeszcze większy. Mury otaczały wielki dziedziniec, na którym rosła trawa i kilka drzew; przecinały go ścieżki biegnące w stronę zewnętrznej części umocnień. Na terenie fortu znajdowało się kilka budynków, prawdopodobnie kwatery strażników parku narodowego. Po prawej stronie zauważyłem tablicę z napisem: CENTRUM TURYSTYCZNE; na szczycie muru wznosiła się czarna latarnia morska widoczna na tle jasnoblękitnego nieba.

W górnej części ceglanoego muru znajdował się rząd dużych otworów przypominających drzwi. Dół wyglądał podobnie – dostrzegłem tam setki

mniejszych drzwi prowadzących do ciemnych pomieszczeń i korytarzy. Na terenie fortu było mnóstwo ciemnych, odosobnionych zakamarków, tak licznych, że nie dałaby rady ich upilnować nawet Dziesiąta Dywizja Górską, a cóż dopiero garstka strażników parku narodowego. Rozumiałem już, dlaczego Crowley wybrał to miejsce. Była to idealna sceneria dla wakacyjnego morderstwa, po którym miało straszyć.

Skreśliłem w prawo, minąłem wejście do Centrum Turystycznego i ruszyłem wzdłuż muru, zaglądając do ciemnych, pustych pomieszczeń. Pod latarnią morską znalazłem klatkę schodową prowadzącą na szczyt muru. Wspiąłem się na górę, aż znalazłem się na otwartej przestrzeni zalanej słońcem. Zmrużyłem oczy i rozejrzałem się; intensywne światło było bardzo nieprzyjemne. Żałowałem, że nie wziąłem ciemnych okularów. Przydałaby się także bazooka lub przynajmniej kij baseballowy, toteż myśl o okularach wydawała się trochę banalna.

Podszedłem do krawędzi muru i spojrzałem w dół. U podnóża znajdowała się fosa, a dalej widać było piaszczystą drogę biegnącą między fortem a plażą. Drogą kroczył gruby mężczyzna w skąpych kąpielówkach, a za nim biegł duży czarny pies. Kilka metrów od brzegu kołysało się na wodzie parę dużych łodzi. Na pokładzie jednego z jachtów rozległ się krzyk mężczyzny i krótkotrwały ryk muzyki.

Skreśliłem w lewo i poszedłem szczytem muru w stronę, z której miał przyplłynąć prom; po chwili dotarłem do dużej armaty, gdzie troje dzieci bawiło się w piratów. Kilka metrów dalej leżała na ziemi cegła. Rozpadła się na trzy części i wyleciała ze ściany. Rozejrzałem się; piraci bawili się obok armaty i w pobliżu nie było nikogo innego. Pochyliłem się, podniosłem połówkę cegły i schowałem do kieszeni. Nie była to bazooka, lecz zawsze coś mogącego służyć jako broń.

Dotarcie do końca muru zajęło mi pięć minut. Kiedy tam doszedłem, byłem spocony i rozboleła mnie głowa. Stałem i spoglądałem w stronę Key West, mrużąc oczy przed oślepiającymi refleksami słońca w wodzie. Czekałem dziesięć minut, stale obserwując horyzont. W tym czasie minęły mnie trzy osoby, dwie kobiety w średnim wieku paplające ochrypłymi głosami i jeden stary mężczyzna z obandażowaną głową. A później w dali pojawił się niewielki biały punkcik, jaśniejszy niż blask słońca odbijającego się w wodzie. Przyglądałem się, jak staje się coraz większy, i po kilku minutach mogłem go rozpoznać. Był to prom, na którym płynęli do mnie Cody i Astor wraz z Crowleyem. Prawie dotarli na miejsce, w samą porę.

Pośpieszyłem do schodów, zeszedłem na dół i zacząłem się w bramie.

34

Stałem w ciemnej bramie fortu, ukryty za kamiennym łukiem, i obserwowałem duży prom, który wpłynął do portu i przycumował do nabrzeża. W swoim smutnym, krótkim życiu wiele razy czaiłem się w zasadzce, snując złowrogie myśli, ale tym razem sytuacja była zupełnie inna. Nie czekało mnie rozkoszne rendez-vous w starannie wybranym miejscu w czasie pełni Księżyca. Tym razem miała nastąpić publiczna egzekucja w tłumie obcych ludzi, perwersja, do której zmusiła mnie konieczność, i czułem się tak, jakbym robił wszystko po raz pierwszy. Byłem zeszywniały i miałem wrażenie, że jestem niezgrabnym amatorem. Nie słyszałem słodkiego szelestu skrzydeł i zachęcających szeptów Mrocznego Pasażera; nie słyszałem muzyki *danse macabre*; przez czubki moich palców nie przepływał rozkoszny, chłodny prąd mocy i pewności. Zaschło mi w gardle, moje wciąż opuchnięte dłonie były spocone. Słyszałem szybkie bicie swojego serca – tym razem nie czatowałem w zasadzce, całkowicie panując nad sytuacją, i odczuwałem niemal bolesne zdenerwowanie i przygnębienie.

Nie miałem innego wyjścia. Musiałem podjąć walkę, toteż obserwowałem prom. Z pokładu zrzucano na nabrzeże stalowy trap i zaczął nim schodzić na ląd tłum turystów zamierzających odwiedzić park narodowy Dry Tortugas, gdzie znajdował się Fort Jefferson i gdzie miała się odbyć ostatnia bitwa Dextera.

Na pokładzie przyplłynęło około sześćdziesięciorga ludzi; większość z nich zaczęła obchodzić fort, aż wreszcie zauważyłem jasne włosy Astor. Po chwili tłum znów się rozdzielił i wtedy ujrzałem całą trójkę. Cody i Astor trzymali się za ręce, a Crowley podążał tuż za nimi, kierując ich ceglana ścieżką w stronę fortu.

Znieruchomiałem i cofnąłem się w głąb ciemnej, kamiennej bramy. Poruszyłem palcami dłoni. Czułem się zeszywniały, musiałem więc odzyskać sprawność mięśni. Zacisnąłem kilkakrotnie pięść, a później wsunąłem rękę do kieszeni i wyjąłem kawałek cegły, ale nie poczułem się lepiej.

Czekałem. Miałem tak zaschnięte usta, że przełykanie stało się bolesne. Mimo to przełknąłem ślinę, odetchnąłem głęboko i starałem się odzyskać lodowaty spokój. Bez powodzenia. Drżały mi ręce i czułem, że cegła ślizga mi się w wilgotnej dłoni. Zerknąłem zza kamiennego łuku i przez kilka sekund nic nie widziałem. Wysunąłem się trochę z cienia; stali przed tablicą, rozglądając się dokoła. Widziałem poruszające się usta Astor, która wygłaszała jakąś gniewną tyradę; na twarzy Cody'ego malował się grymas niezadowolenia. Crowley niósł na ramieniu sukienną torbę i udawał, że jest w świetnym humorze, jakby naprawdę spędzał wymarzone wakacje z dwojgiem cudownych dzieci.

Ciągle stali koło tablicy. Zastanawiałem się, co Crowley im powiedział, by ich uspokoić. Musiał ich jakoś przekonać. Nie mieli powodu, by mu nie ufać, jeśli kłamstwo wydawało się wiarygodne, lecz Cody i Astor nie byli zwykłymi, grzecznymi dziećmi. Mieli miłe, młodzieńcze twarze, jednak w ich pięknych, rozczochranych głowach rozkwitały mroczne, złowrogie kwiaty. Crowley nie mógł tego podejrzewać, że byli Dexterami-W-Zalążku, małymi potworami w każdym znaczeniu tego słowa. Poczulem przypływ czułości dla Cody'ego i Astor.

Na most zwodzony weszła grupka turystów i zasłoniła Crowleya. Cofnąłem się i udawałem, że oglądam kamienną ścianę, na szczęście nie zwrócili na mnie uwagi – przeszli przez bramę, paplając po hiszpańsku, po czym zniknęli we wnętrzu fortu. Kiedy mnie minęli, wysunąłem głowę z bramy i znów zerknąłem na tablicę.

Ani śladu Crowleya i dzieci.

Poczułem przypływ paniki i przez chwilę nie byłem w stanie myśleć. Spoglądałem na miejsce, gdzie poprzednio się znajdowali, i ścisnąłem cegłę, aż bolały mnie palce. Gdzie się podziali? Dlaczego nie poszli przez most zwodzony w stronę zastawionej przeze mnie pułapki?

Wychyliłem się trochę dalej i spojrzałem w lewo. Nic. Zrobiłem krok do przodu, wyszedłem z bramy i popatrzyłem w prawo. Teraz ich zobaczyłem: szli piaszczystą drogą w stronę miejsca biwakowego na zewnątrz fortu, oddalając się od pułapki. Ogarnęła mnie irytacja – dlaczego zachowali się tak idiotycznie? Dlaczego Crowley nie chciał wejść do bramy, gdzie mógłbym go walnąć cegłą?

Przeszli obok rzędu stołów, przy których turyści jedli posiłki, a następnie minęli kępę karłowatych drzew rosnących koło plaży. Po chwili zasłoniły ich gałęzie i straciłem ich z oczu.

Usłyszałem syczący dźwięk i zdałem sobie sprawę, że ze złością wydmuchuję powietrze między zębami, co jeszcze bardziej mnie zdenerwowało. Jeśli tylko na to mnie stać, równie dobrze mogę wracać do domu. Schowałem połówkę cegły z powrotem do kieszeni, a potem wyszedłem na słońce i w ponurym nastroju ruszyłem śladem Crowleya i dzieci.

Przy jednym ze stołów siedziała rodzina złożona z pięciu osób. Jedli lunch i wyglądali tak szczęśliwie, że miałem ochotę wyjąć cegłę i rozbić im

głowy. Jednak poszedłem dalej, skradając się ścieżką w kierunku kępy karłowatych drzew.

Zatrzymałem się na moment, nie wiedząc, co robić. Liście zasłaniały mnie przed Crowleyem, lecz on także mógł je wykorzystać, ukryć się między gałęziami, by sprawdzić, czy ktoś go nie śledzi – nakazywała to elementarna ostrożność drapieżnika. W końcu uznałem, że trzeba się zabezpieczyć; skręciłem w lewo i zacząłem obchodzić zagajnik. Minąłem kolejne stoły i przeszedłem pod sznurem do bielizny, aż wreszcie dotarłem do luki w linii drzew. Okrążyłem ostatni stół i zapuściłem się między gałęzie. Przeszedłem na drugą stronę zagajnika, zatrzymałem się przed ostatnim pniem i powoli rozsunąłem dłonią liście.

Powinienem ich zobaczyć po prawej, w odległości zaledwie dziesięciu metrów. Ale nie było ich tam. Rozsunąłem gałęzie szerzej – stali na piasku i spoglądali na kąpielisko. Gdybym przekradł się ostrożnie między drzewami i zaszedł ich od tyłu... Nie, Crowley położył im dłonie na plecach i skierował w przeciwną stronę, tam skąd przyszli – cała trójka powoli ruszyła w stronę nabrzeża. Było oczywiste, że Crowley przeprowadza rekonesans, sprawdza, czy wszystko jest w porządku, nim uda się w wybrane miejsce, gdzie będzie na mnie czekał, wykorzystując element zaskoczenia.

Ale, oczywiście, przebywałem już na wyspie, i to ja go zaskoczę, jeśli zdołam się do niego zbliżyć. Jednak jak to zrobić? Między drzewami a nabrzeżem ciągnęła się otwarta przestrzeń, na której znajdowało się zaledwie jedno miejsce mogące służyć za kryjówkę – metalowy barak w pobliżu przystani, do której przybijały promy. Poza tym był tylko fort, morze i wąska piaszczysta droga okrążająca mury z czerwonej cegły. Gdybym wyszedł zza drzew i podążył ich śladem, byłoby mnie widać jak na dłoni. Ale przecież nie mogłem pozwolić im odejść.

Popatrzyłem na plażę. Leżało na niej kilka ręczników, kłapek i toreb plażowych. Najbliższy ręcznik był jasnopomarańczowy, a tuż za nim leżał inny, biały. Właściciele ręczników najwyraźniej znajdowali się w wodzie.

Na końcu plaży na dużym leżaku siedziała tęga kobieta w średnim wieku, obserwując grupkę bardzo hałaśliwych dzieci chlapiących się w morzu. W okolicy nie było nikogo innego z wyjątkiem kilku ludzi pływających dalej od brzegu, koło boi wyznaczających koniec kąpieliska. Znowś spojrzałem w prawo i zobaczyłem, że Crowley i dzieci w dalszym ciągu okrążają fort.

Przyszedł mi do głowy pewien pomysł i nim zdążyłem go uznać za kiepski, zacząłem wcielać go w życie. Wyszedłem nonszalancko na plażę, chwyciłem biały ręcznik, po czym wróciłem między drzewa. Zdjąłem koszulę i owinąłem się nią wokół pasa, po czym obwiązałem głowę ręcznikiem, tworząc rodzaj turbana; w jednym z rogów ręcznika umieściłem kawałek cegły. Następnie wyszedłem spomiędzy drzew i ruszyłem przez rejon, gdzie organizowano pikniki. Popatrzcie na mnie – pływałem i suszę mokre włosy. Nie jestem Dexterem, tylko normalnym turystą.

Crowley, Astor i Cody zmierzali w stronę krańca fortu; minęli nabrzeże i weszli na piaszczystą drogę. Podążałem za nimi. Nagle Cody zatrzymał się i odwrócił. Popatrzył na port i na mury obronne, po czym zmarszczył brwi. Zauważyłem, że porusza ustami; wskazał most zwodzony. Crowley pokręcił głową i położył mu dłoń na ramieniu, by skłonić go do pójścia we właściwym kierunku, lecz Cody się odsunął i znowś wskazał most. Crowley potrząsnął głową i wyciągnął rękę; Cody odskoczył, a Astor stanęła między nimi i zaczęła mówić.

Wykorzystałem to, że się zatrzymali, i zmniejszyłem dzielący nas dystans. Nie miałem pojęcia, co zrobię, ale byłem gotów rozbić

Crowleyowi głowę, gdybym zdołał się do niego zbliżyć. Podszedłem jeszcze bliżej – kiedy znalazłem się w odległości zaledwie trzech i pół metra, wyraźnie usłyszałem, jak Astor mówi, że to wszystko jakieś bzdury; spytała, gdzie jest Dexter. Uniosłem ręce i zacząłem energicznie wycierać ręcznikiem włosy. Byłem już tylko cztery kroki od nich, gdy Astor przerwała swoją tyradę, popatrzyła na mnie i zawołała:

– A więc jednak tu jesteś, Dexter!

Stałem jak wryty. Wiem, że postąpiłem głupio, lecz nie byłem w swojej normalnej formie. Crowley zareagował błyskawicznie; nie marnował czasu na zagłębienie pod ręcznik, by potwierdzić moją tożsamość. Cisnął na ziemię sukienną torbę, chwycił Astor, wsadził sobie pod pachę i pobiegł w stronę portu. Zaczęła rozpaczliwie się wyrywać i wrzeszczeć z całych sił, lecz Crowley uderzył ją pięścią w bok głowy, nawet przy tym nie zwalnając. Astor zwiotczała.

Rzuciłem ręcznik na piasek, lecz nim zacząłem ich ścigać, zatrzymałem się na chwilę obok Cody'ego.

– Idź do fortu! – rozkazałem. – Znajdź strażników i powiedz, że się zgubiłeś. – Nie czekałem, by się przekonać, czy wykona polecenie; odwróciłem się i popędziłem za Crowleyem.

Miał sporą przewagę, lecz biegł wolniej, bo dźwigał Astor, i kiedy dotarł do portu, zacząłem się do niego zbliżać. Od nabrzeża odbijał właśnie piętnastometrowy jacht wędkarski, kiedy Crowley wskoczył na jego pokład; na rufie stała kobieta w bikini, trzymając cumę. Crowley mocno ją odepchnął i wpadła tyłem do wody, wciąż ściskając linę. Rzucił nieprzytomną Astor na deski koło chłodziarki, a tymczasem starszy mężczyzna stojący na mostku wrzasnął ochryłym głosem: „Hej!”. Crowley popędził po drabince na górę. Mężczyzna krzyknął: „Ratunku!”, po czym Crowley uderzył go pięścią w brzuch i chwycił ster. Właściciel

łodzi zgiął się wpół i upadł na kolana, a jacht zaczął się oddalać od nabrzeża.

Znajdowałem się na tyle blisko, by wskoczyć na pokład, gdy Crowley zwiększył obroty silnika i przełożył ster. Łódź zaczęła się powoli obracać, sunąc w stronę kanału. Pierwszy raz w czasie całej tej żalostnej przygody ani przez chwilę się nie zawahałem, nie rozważałem różnych możliwości ani nie żaliłem się nad sobą. Rozpędziłem się i skoczyłem.

Był to dobry skok, bardzo daleki, o prawie idealnej trajektorii, lecz wpadłem do wody metr od jachtu. Zanurzyłem się, wypłynąłem na powierzchnię, po czym spostrzegłem, że łódź przyśpiesza. Uderzyła mnie fala wywołana przez śrubę – odepchnęła od burty i zalała usta wodą. Popłynąłem naprzód, próbując chwycić burłę, gdy wtem coś uderzyło mnie mocno w plecy i znów wepchnęło pod wodę.

Na chwilę ogarnęła mnie straszliwa panika i przypomniałem sobie relację pilota hydroplanu o gigantycznym rekinie młocie ze Świńskiego Kanału, lecz to, co mnie uderzyło, wydawało się zbyt gładkie jak na rekina. Chwyciłem to coś i poczułem, że wyciąga mnie na powierzchnię, a kiedy zaczerpnąłem powietrza i otworzyłem oczy, spostrzegłem, że trzymam ludzką nogę. Należała do kobiety w bikini, którą Crowley strącił do wody; w dalszym ciągu mocno trzymała cumę i płynęła za jachtem.

Łódź zaczęła nabierać prędkości, a nas otaczał spieniony kilwater, co utrudniało widzenie i utrzymanie się na powierzchni. Bardzo szybko doszedłem do wniosku, że kobieta, której nogę trzymam, prędzej czy później musi puścić linę. Kiedy to zrobi, Crowley odpłynie z Astor, wszystkie nadzieje znikną, tym razem prawdopodobnie na zawsze. Nie mogłem na to pozwolić.

Dlatego, rezygnując z ostrożności i dobrych manier, chwyciłem kobietę wyżej. Moje palce zaczepiły o pasek materiału wokół talii i podciągnąłem

się do przodu – lecz nagle znów się cofnąłem, ponieważ bikini zsunęło się z pośladków kobiety.

Złapałem ją za kolano, a potem objąłem rękami w talii, kładąc dłoń na jej ramieniu. Udało mi się chwycić linę, w chwili gdy kobieta wreszcie ją puściła. Uderzyła mnie mocno całym ciałem, po czym próbowała mnie objąć. Przez moment miałem wrażenie, że też się puszczę, lecz zniknęła w wirującej pianie, a ja chwyciłem linę drugą ręką i zacząłem podciągać się w stronę jachtu.

Powoli, centymetr po centymetrze zbliżałem się do rufy, walcząc z naporem wody. Wyraźnie tuż przed sobą widziałem jasnoblękitny napis: REEL FUN, ST. JAMES CITY, oznaczający nazwę jachtu i jego port macierzysty. Wreszcie, po kilku minutach, które wydały mi się całymi godzinami, zdołałem chwycić krawędź podestu do nurkowania, wąskiej, drewnianej półki umieszczonej na rufie. Wdrapałem się na nią, dysząc ciężko.

Poruszyłem ramionami – były sztywne i obolałe. Cóż w tym dziwnego? Po tym, co przeżyłem w ciągu ostatnich kilku dni, powinienem się cieszyć, że w ogóle są sprawne. Musiały wykonać ostatnią czynność – wyciągnąłem je w stronę lśniącej, metalowej drabinki i wspiąłem się na pokład jachtu.

Widziałem nad sobą głowę i ramiona Crowleya, który stał na mostku trzy metry nad pokładem, wprowadzając jacht do Świńskiego Kanalu. Dobrze – nie widział mnie i nie zdawał sobie sprawy, że dostałem się na łódź. Miejmy nadzieję, że zauważy to dopiero, gdy będzie za późno.

Ruszyłem naprzód. Stary mężczyzna leżał na boku, obejmując swoje przedramię i jęcząc cicho. Wyglądało na to, że Crowley złamał mu rękę, zrzucając go z mostka. W tej chwili w ogóle mnie to nie obchodziło. Minąłem go i poszedłem w stronę drabinki prowadzącej na mostek. U jej podnóża, koło otwartej pokładowej lodówki leżała Astor. W środku

łodówki widać było pojemniki z lodem oraz puszki piwa i wody sodowej. Pochyliłem się nad Astor i zbadałem jej tętno na szyi. Okazało się miarowe i silne, a gdy dotknąłem dłonią jej czoła, jęknęła cicho. Prawdopodobnie nic jej nie będzie, tymczasem jednak nic nie mogłem dla niej zrobić.

Zostawiłem ją na pokładzie i zacząłem się wspinać po drabince. Kiedy moja głowa znalazła się tuż nad najwyższym szczeblem, zatrzymałem się. Miałem przed sobą łydki Crowleya. Wyglądały atletycznie, zaskakująco muskularnie jak na kogoś, kogo uważałem za oferwę. Przez cały czas go nie doceniałem, lekceważyłem jego możliwości i nagle przyszła mi do głowy myśl zupełnie nie w moim stylu.

A jeśli go nie pokonam? Jeśli tym razem spotkałem godnego siebie przeciwnika, zbyt silnego, by go zabić? A jeśli występ teatralny Dextera wkrótce się zakończy?

Był to naprawdę straszliwy moment i, co gorsza, zdałem sobie sprawę, że czuję prawdziwą ludzką niepewność. Naprawdę nisko upadłem. Nigdy wcześniej nie wątpiłem w swoją zdolność wykonywania rutynowych egzekucji – to, że stało się to w tym momencie, dodatkowo mnie przerażyło.

Zamknąłem na chwilę oczy, prosząc Mrocznego Pasażera o pomoc, błagając o ostatnią Szarżę Mrocznej Brygady. Mruknął coś zrzędlawie, westchnął i zaszeleścił skrzydłami – wydawało się to mało zachęcające, lecz musiało wystarczyć. Otworzyłem oczy i szybko wdrapałem się na mostek.

Crowley sterował jachtem jedną ręką, płynąc Świńskim Kanałem i oddalając się od fortu. Natarłem na niego całym ciałem, aż uderzył w panel kontrolny, przesuwając do przodu dźwignię prędkości. Łódź wyskoczyła do przodu, a ja objąłem ramieniem szyję Crowleya i zacząłem go dusić.

Był naprawdę silniejszy, niż wyglądał. Wbił palce w moje przedramię i obrócił się gwałtownie, unosząc mnie w powietrze i rzucając o ścianę. Grzmotnąłem w nią głową, aż zobaczyłem gwiazdy, i Crowley wyslizgnął się z mojego uchwytu.

Nim zdołałem się otrząsnąć, rzucił się na mnie i walnął mnie pięścią w brzuch. Chociaż straciłem na chwilę oddech, przejaśniło mi się w głowie; przyklęknąłem i uderzyłem go mocno w nogę. Wyraźnie jęknął i usiłował trafić mnie łokciem w głowę – gdyby mu się udało, roztrzaskałby mi czaszkę, na szczęście jednak zdołałem się uchylić. Odskokczyłem, zerwałem się na równe nogi i stanąłem naprzeciwko niego.

Wyprostował się i przez dziwną, krótką chwilę spoglądaliśmy na siebie. Później zrobił krok do przodu, zamarkował cios prawą ręką, a gdy się uchyliłem, wyciągnął lewą rękę i wyłączył silnik. Jacht natychmiast zwolnił, a ja zachwiałem się, uderzając biodrem w panel kontrolny i pochylając się w stronę plastikowej przedniej szyby mostka.

Kiedy ja usiłowałem odzyskać równowagę, Crowley nie musiał tego robić, ponieważ był przygotowany na ten nagły wstrząs, i zaatakował mnie, nim zdołałem przyjść do siebie. Uderzył mnie kolaniem w brzuch, a potem chwycił mnie rękoma za szyję i zaczął dusić. Pociemniało mi w oczach i miałem wrażenie, że czas zwolnił.

Zbliżał się mój koniec. Uduszony przez opiekuna drużyny zuchowej – nawet nie przez opiekuna, tylko zwykłego pomocnika. Niezbyt piękna śmierć. Chwyciłem nadgarstki Crowleya, lecz prawie nic nie widziałem i coraz trudniej przychodziło mi się skupić.

Co to takiego? Czy mam halucynacje na temat hurys w rajku? Czy to Astor wchodząca po drabince? Tak, to ona, trzyma w ręku puszkę wody sodowej z lodówki na pokładzie. To miło z jej strony – boli mnie gardło, więc przyniosła zimny napój. Gest trochę nie w jej stylu, ale w tej chwili

mocno potrząsała puszką. To już bardziej pasuje. Zamierza dla żartu opryskać mnie wodą sodową. Ostatni prysznic przed śmiercią.

Astor stanęła obok Crowleya, skierowała puszkę w stronę jego twarzy i krzyknęła: „Hej, dupku!”. Rozległ się głośny trzask i w oczy Crowleya poleciał pienisty płyn. Następnie uderzyła go puszką prosto w nos i kopnęła w krocze.

Cofnął się, zaskoczony atakiem, stękając z bólu. Zdjął z mojej szyi jedną rękę, by otrzeć twarz, a kiedy uścisk na moim gardle zelżał – zacząłem coś widzieć. Chwyciłem palce ściskające mi gardło i zacząłem je wyłamywać. Usłyszałem suchy trzask, po czym Crowley wydał dziwny gulgocący dźwięk i mnie puścił. Astor znów kopnęła go w krocze; cofnął się pół kroku i przechylił przez reling.

Nigdy nie lubię marnować okazji. Rzuciłem się do przodu i pchnąłem go mocno ramieniem. Przeleciał przez reling, uderzył w burtę i wpadł z głośnym pluśnięciem do wody.

Popatrzyłem na niego. Unosił się na wodzie twarzą w dół, a jacht przesuwał się powoli obok.

Kiedy Crowley znalazł się za rufą, stanęła koło mnie Astor.

– Dupek! – powtórzyła. A potem posłała mi cudowny, fałszywy uśmiech i spytała: – Wolno mi go tak nazywać, Dexter?

Objąłem ją ramieniem.

– Wolno – odpowiedziałem.

Nagle zeszywniała i wyciągnęła rękę.

– Rusza się – stwierdziła.

Popatrzyłem na Crowleya. Uniósł głowę nad powierzchnią wody, kasłał, po jego twarzy ciekła krew, jednak płynął powoli w stronę pobliskiej piaszczystej łachy. Ciągle żył, chociaż biliśmy go, kopaliśmy, połamaliśmy

mu palce, zrzuciliśmy z mostka do wody, a nawet opryskaliśmy wodą sodową. Zastanawiałem się, czy nie jest krewnym Rasputina.

Chwyciłem koło sterowe i skierowałem jacht w stronę miejsca, gdzie płynął Crowley.

– Umiesz prowadzić łódź? – spytałem Astor.

– Naturalnie! – odparła z wielką pewnością siebie.

– Weź ster i spróbuj przepłynąć jak najbliżej niego, ale nie wpadnij na brzeg – powiedziałem.

– Dobrze – rzekła. Chwyciła ster, a ja szybko zszedłem po drabince.

Na pokładzie siedział stary mężczyzna i głośno jęczał. Nie mogłem liczyć na jego pomoc. Jednak zauważyłem obok niego duży bosak przymocowany do ściany. Wyjąłem go z uchwytów; miał ponad trzy metry długości i solidny metalowy szpikulec. Wydawał się idealną bronią. Mogłem uderzyć Crowleya w skroń, a potem zahaczyć koszulę i przytrzymać go pod wodą przez kilka minut, by naprawdę utonął.

Podszedłem do relingu. Crowley znajdował się dziesięć metrów przed nami, a kiedy uniosłem bosak, by zadać cios, rozległ się ryk silnika i jacht popłynął szybko do przodu. Zachwiałem się i chwyciłem burtę, by utrzymać równowagę; w tej samej chwili rozległo się głucho uderzenie w kadłub. Silnik zaczął pracować na jałowych obrotach, a ja popatrzyłem na Astor na mostku. Na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech, tym razem szczery.

– Przepłynęłam po nim! – krzyknęła, oglądając się do tyłu.

Poszedłem na rufę. Przez chwilę widziałem tylko spieniony kilwater. Nagle na wodzie pojawił się powolny, ciężki wir. Czy to możliwe? Czyżby ciągle żył?

W tym samym momencie na powierzchni pojawiła się głowa i ramiona Crowleya; stało się to błyskawicznie. Jego szeroko otwarte usta wykrzywiały

grymas niewiarygodnego bólu i zdumienia; powoli unosił się do góry, aż ukazała się cała górna część ciała. Pod wodą znajdował się jakiś wielki cień, gigantyczny, szary potwór złożony z zębów. Potrząsał wściekle Crowleyem – raz, drugi, trzeci – po czym tułów odpadł i runął do morza, przecięty w pasie. Zniknął pod powierzchnią, a ogromny szary cień zawrócił i odpłynął, pozostawiając tylko niewielki krwawy wir i wspomnienie niewiarygodnej siły.

Wszystko wydarzyło się tak szybko, że nie wierzyłem własnym oczom. Ale dobrze zapamiętałem obraz wielkiego, szarego potwora, a kilwater zmienił kolor na różowy.

- Co to było? – spytała Astor.
- Rekin ze Świńskiego Kanału – odpowiedziałem.
- Suuper! – rzekła, przeciągając głoski. – Naprawdę suuper!

35

Tak się złożyło, że stary mężczyzna okazał się bardzo pomocny. Złamał obojczyk, gdy Crowley zepchnął go z mostka; co więcej, był bardzo bogatym i wpływowym człowiekiem, który lubił się znajdować w centrum uwagi. Oznajmił, że jest bardzo ważną osobistością, i zażądał, by wszyscy natychmiast udzielili mu pomocy.

Krzyczał z bólu, wspominając szaleńca, który brutalnie go zaatakował i ukradł mu jacht. Groził wszystkim dookoła, że pozwie do sądu administrację parku narodowego. Przestał się wściekać tylko na chwilę, gdy wskazał mnie i powiedział: „Ocalił mnie ten dzielny, wspaniały człowiek!”, po czym otaczający nas tłum ludzi spojrzał na mnie z podziwem. Nie trwało to długo, bo stary, bogaty mężczyzna jeszcze nie skończył. Żądał podania morfiny i wezwania helikoptera; kazał strażnikom parku zacumować swój jacht i zatelefonować do adwokata, wypowiadał zawołane groźby związane ze stanową legislaturą i gubernatorem, z którym osobiście się przyjaźnił. Wrzeszczał, krzyczał i miotał przekleństwa. Zwracał na siebie tak dużą uwagę, że nikt nawet nie patrzył na towarzyszącą mu kobietę, która stała owinięta ręcznikiem, by ukryć fakt, że ma na sobie tylko górę od bikini.

Nikt również nie zauważył, że dzielny, wspaniały człowiek, cudowny, kochany Dexter, wziął za ręce dwoje zbłąkanych dzieci, oddalił się z nimi dyskretnie i popłynął z powrotem do względnie spokojnego Key West.

Kiedy przybyliśmy do hotelu, poinformowano nas, że nasz apartament jest ciągle opieczętowany na polecenie policji. Powiniennem był się tego spodziewać – opieczętowałem w swoim życiu wiele pomieszczeń, gdzie popełniono morderstwa. Już miałem usiąść na chłodnej, marmurowej posadzce i zacząć lamentować nad swoim nieszczęsnym losem, gdy recepcjonistka oznajmiła, że nasze rzeczy przeniesiono do jeszcze ładniejszego apartamentu z widokiem na morze. Jakby na potwierdzenie, że wszystko się zmienia i że nasze kłopoty się skończyły, poinformowała nas, że dyrekcja hotelu wyraża ubolewanie z powodu przykrości, jakie nas spotkały, i aby je zrekompensować, nasz rachunek za pobyt zostanie pokryty przez hotel. Wyraziła nadzieję, że przyjmiemy propozycję spożycia darmowej kolacji w restauracji; jej koszt nie obejmował trunków. Nie oznacza to oczywiście, że hotel, jego pracownicy lub kierownictwo ponoszą jakąkolwiek odpowiedzialność za nieszczęśliwy incydent, który wydarzył się w naszym apartamencie; dyrekcja zaproponowała przedłużenie naszego pobytu o jeden dzień, a ponadto byłaby niezmiernie wdzięczna, gdybyśmy zechcieli podpisać krótkie oświadczenie, że nie wysuwamy żadnych roszczeń.

Nagle poczułem się bardzo zmęczony. Mimo to ogarnęła mnie satysfakcja, gdyż zacząłem nabierać pewności, że najgorsze minęło i że prędzej czy później wszystko się unormuje. Wiele przeszedłem, popełniłem mnóstwo błędów, a mimo to udało mi się przeżyć. Chociaż postępowałem beznadziejnie głupio, otrzymałem w nagrodę kolację i darmowy pobyt w luksusowym apartamencie. Życie naprawdę jest złe, okropne i niesprawiedliwe, czyli dokładnie takie, jakie powinno być.

Uśmiechnąłem się uwodzicielsko do recepcjonistki i powiedziałem:

– W porządku, ale niech pani dorzuci lody bananowe dla dzieci i butelkę merlota dla żony.

Rita czekała na nas w nowym apartamencie. Rozciągał się z niego naprawdę piękny widok na zatokę; łatwiej mogłem stąd docenić pocztówkową urodę morza niż z nabrzeża, z którego spoglądałem na odpływający katamaran. Zdaje się, że Rita podziwiała widok z balkonu już od dłuższego czasu – otworzyła barek i przyrządziła sobie koktajl Cuba Libre. Kiedy weszliśmy, zerwała się na równe nogi i podbiegła do nas, drżąc z podniecenia.

– Dexter, mój Boże, gdzie byliście?! – zawołała. – Mamy dom! O mój Boże, ciągle nie mogę... A was nie było! Właśnie ten, o którym mówiliśmy! Na Sto Czterdziestej Drugiej Alei! Mój Boże, z basenem, i kosztował tylko... W licytacji uczestniczyła jeszcze jedna osoba, ale zrezygnowała... Jest nasz, Dexter! Mamy nowy dom! Duży, wspaniały dom! – Rozpłakała się i powtórzyła: – O mój Boże!

– To cudownie – odparłem, choć nie byłem do końca przekonany. Ale starałem się mówić pewnym tonem, bo Rita płakała.

– Po prostu nie mogę w to uwierzyć! – ciągnęła, chlipiąc. – Jest idealny, a oprocentowanie kredytu hipotecznego wynosi cztery i pół procent... Opaliłaś się, Astor?

– Tylko trochę – odpowiedziała Astor, choć na jej twarzy było widać nie tylko opaleniznę. Uderzenie Crowleya pozostawiło czerwony ślad, który wkrótce stanie się fioletowy, lecz nie miałem wątpliwości, że dziewczynka poradzi sobie z pytaniami Rity.

– Och, co się dzieje z twoją twarzą?! – zawołała Rita, kładąc dłoń na policzku Astor. – Jest spuchnięta i nie możesz nawet... Co się stało, Dexter?!

– Popłynęliśmy na wycieczkę statkiem – odpowiedziałem.

– Ale... Mówiliście, że zamierzacie karmić rekiny – stwierdziła Rita.

Popatrzyłem na Cody'ego i Astor, która odwzajemniła moje spojrzenie i zachichotała.

– Nakarmiliśmy rekiny – rzekła.

□□□

Tego wieczoru zjedliśmy naprawdę dobrą kolację. Zawsze miałem wrażenie, że darmowe posiłki smakują lepiej; po dwóch dniach wydawania pieniędzy w Key West było to szczególnie przyjemne. Potrawy stały się jeszcze smaczniejsze, gdy trzy minuty po deserze do jadalni wpadła jak huragan moja siostra, sierżant Deborah Morgan. Poruszała się tak błyskawicznie, że usiadła przy stole, nim się zorientowałem, że jest w pomieszczeniu. Jestem prawie pewien, że kilka sekund później rozległ się grzmot towarzyszący przekraczaniu prędkości dźwięku.

– Dexter, co ty tu, kur. co ty tu, do cholery, robisz?! – spytała, zerkając z zażenowaniem na Cody'ego i Astor.

– Dzień dobry, ciociu! – odezwała się Astor z wyraźnym podziwem. Debs nosiła pistolet i rozstawiała mężczyzn po kątach, co niesłychanie imponowało dziewczynce.

Deborah wiedziała o tym; uśmiechnęła się do Astor i powiedziała:

– Cześć, kochanie! Jak się masz?

– Fantastycznie! – zawołała z entuzjazmem Astor. – Jeszcze nigdy nie mieliśmy takich fajnych wakacji!

– Jeszcze nigdy nie mieliśmy takich fajnych wakacji!

Deborah zrobiła zdziwioną minę, ale odpowiedziała po prostu:

– Cóż, bardzo się cieszę.

– Co cię sprowadza do Key West, siostrze? – spytałem. Spojrzała na mnie i zmarszczyła brwi.

– Podobno Hood przyjechał tu za tobą i znaleziono go martwego w twoim pokoju – odpowiedziała.

– To prawda – rzekłem spokojnie. – W okolicy jest również sierżant Doakes.

Deb zacisnęła szczęki; było oczywiste, że zgrzyta zębami, i zacząłem się zastanawiać, co się nam przytrafiło w dzieciństwie, że oboje mamy do tego skłonność.

– W porządku. Lepiej powiedz, co się stało – poprosiła. Popatrzyłem na swoją niewielką rodzinę siedzącą przy stole i chociaż byłem bardzo szczęśliwy, że mogę opowiedzieć siostrze swoją żalną historię, zdałem sobie sprawę, że wiele szczegółów nie nadaje się dla wrażliwych uszu, to znaczy, oczywiście, dla Rity.

– Nie wyszłabyś ze mną na zewnątrz, siostrze? Podążyłem za Debs do lobby, gdzie znaleźliśmy miękką skórzaną kanapę. Usiedliśmy obok siebie i wszystko jej opowiedziałem. Było to zdumiewająco przyjemne, a reakcja Debs sprawiła mi jeszcze większe zadowolenie.

– Jesteś pewien, że nie żyje? – spytała.

– Deborah, na litość boską, widziałem go przegryzionego na pół przez ogromnego rekina! Jest martwy i strawiony.

Kiwnęła głową.

– Cóż, mamy szansę się z tego wyplątać – rzekła.

Miło było słyszeć, że mówi „my”, ale pozostawała kwestia kilku niepokojących szczegółów związanych ze mną.

– Co z Hoodem? – spytałem.

– Dostał to, na co zasłużył, dupek! – stwierdziła. Byłem wstrząśnięty, że mówi z aprobatą o zabójstwie funkcjonariusza policji. Może ona także się cieszyła, że nigdy więcej nie poczuje jego śmierzącego oddechu? Jednak

zacząłem się zastanawiać, czy atak na jej zawodową reputację nie wywołał trwałych szkód.

– Czy twoja opinia w wydziale zabójstw znów się poprawiła? – spytałem.

– Mój psychopata, Kovasik, siedzi w areszcie – odpowiedziała, wzruszając ramionami i gładząc zdrową dłoń gips na swoim ręku. – Kiedy wrócę do pracy, postawię mu zarzuty, które się utrzymają. Hood nie potrafił podważyć winy Kovasika. Tym bardziej nie robi tego po śmierci.

– Policjanci z Key West już nie podejrzewają, że zamordowałem Hooda?

– Nie. Rozmawiałam z inspektorem, eee... Blanton? – Skinąłem głową. – W torbie znalezionej w Tortugas był kij baseballowy, a także inne przedmioty.

– Jakie? – spytałem. Bardzo mnie to zainteresowało.

– Dość dziwne – odrzekła z irytacją. – Taśma klejąca. Sznur do bielizny. Haczyki wędkarskie. Piła ciesielska. Różne dziwne rzeczy – dodała, patrząc na mnie z niepokojem. – Najważniejszy jest kij baseballowy. Znalezione na nim krew, skórę i włosy, które prawdopodobnie należą do Hooda. – Wzruszyła ramionami, po czym, co dziwne, mocno uderzyła mnie pięścią w ramię.

– Auć! – jęknąłem, zastanawiając się nad ciekawymi możliwościami stwarzanymi przez haczyki wędkarskie...

– To załatwia sprawę – stwierdziła.

– Więc oczyszczą mnie z podejrzeń? – spytałem, masując obolałą rękę.

– Tak naprawdę mają nadzieję, że wyjedziesz i nie zaczniesz się awanturować, że pozwolili porwać twoje dzieci.

I to z komendy policji. Pieprzeni kretyni! – prychnęła.

Westchnąłem. Dziwne, że jak dotąd nawet o tym nie pomyślałem. Rzeczywiście, policja z Key West mogła mieć ochotę zapomnieć o całej

sprawie.

– Zwałą wszystko na Crowleya?

– Tak – odpowiedziała Deborah. – Może Blanton na to nie wygląda, ale zna się na rzeczy. Znalazła pokojówkę z hotelu, która kogoś zauważyła i podała rysopis. Mężczyzna w wieku trzydziestu kilku lat, tęgi, z krótką brodą.

– To on.

– Pomagał pijanemu przyjacielowi wyjść z windy na twoim piętrze. Pokojówka twierdziła, że przyjaciel wyglądał na bardzo pijanego, pijanego w trupa, i nosił piracki kapelusz zasłaniający twarz, jaki znaleźli w twoim pokoju.

– Apartamencie – mruknąłem w zamyśleniu.

Zignorowała moją uwagę i pokiwała głową.

– Pokojówka nie była zbyt rozmowna; pochodzi z Wenezueli i bała się, że straci zieloną kartę, na szczęście podała dobry rysopis. Dwaj kucharze widzieli ich wchodzących wejściem dla personelu. Poza tym kelner potwierdził, że podczas śniadania byłeś z rodziną w jadalni, a więc...

Zastanawiałem się nad tym, pielęgnując iskierkę nadziei, która stopniowo zmieniała się w promyk. Taka niestaranność nie była w stylu Crowleya, ale prawdopodobnie został zaskoczony przez Hooda i musiał improwizować. Wyobraziłem sobie, jak obaj jednocześnie mnie śledzili i nagle się spotkali – komiczny incydent, który zakończył się zatłuczeniem na śmierć inspektora Hooda. Może Crowley wpadł w panikę, a może po prostu czuł się niepokonany i wierzył w swoje szczęście? Nigdy się nie dowiem i nie ma to żadnego znaczenia. Tak czy inaczej, Crowleyowi w końcu się udało. Nikt nie widział, jak zabija Hooda, i nikt go nie zatrzymał, gdy wnosił zwłoki do pokoju. Ale oczywiście ludzie widzą tylko

to, co chcą wiedzieć, albo jeszcze mniej, toteż dziwne było tylko to, że w ogóle ktoś coś zauważył.

Najważniejsze, że wreszcie dostrzegłem światło na końcu bardzo długiego, bardzo ciemnego tunelu. Westchnąłem z ulgą i popatrzyłem na siostrę, która odwzajemniła moje spojrzenie.

– Więc policja z Key West już mnie nie podejrzewa? – spytałem.

Skinęła głową.

– Mam jeszcze lepszą wiadomość – powiedziała. – Ten pieprzony Doakes naprawdę narobił sobie kłopotów.

– Jak?

– Pracuje w administracji, więc nie powinien się mieszać do śledstw – wyjaśniła Deborah. – Poza tym przyjechał do Key West, które znajduje się poza naszą jurysdykcją. – Uniosła zdrową rękę, na której nie nosiła gipsu, i zrobiła kwaśną minę. – Policja z Key West złożyła w tej sprawie oficjalną skargę. Doakes usiłował ich zmusić, by dalej traktowali cię jako podejrzanego; zastraszał świadków. – Umilkła i przez chwilę spoglądała w dal. – Cholera, kiedyś był naprawdę dobrym policjantem! – Westchnęła i było mi przykro, że współczuje komuś, kto poświęcił tyle czasu i wysiłku, by uprzykrzyć mi życie. Jednak nie to było najważniejsze.

– Co z nim zrobili? – spytałem.

– Został zawieszony ze wstrzymaniem poborów do zakończenia postępowania dyscyplinarnego – odpowiedziała, spoglądając na mnie z wyrazem twarzy, którego nie potrafiłem do końca zrozumieć.

– To cudownie! – wypaliłem, nie mogąc się powstrzymać.

– Jasne – mruknęła kwaśno. Przez kilka sekund siedziała w ponurym zamyśleniu, a potem wróciła do rzeczywistości. – Nieważne... – dodała.

– A co słyhać w Miami? – spytałem. – Czy ciągle pozostaję w kręgu zainteresowania śledczych?

– Oficjalnie tak, ale sprawę przejął Laredo, który nie jest głupcem – odrzekła, wzruszając ramionami. – Prawdopodobnie za kilka dni wrócisz do pracy. – Spojrzała na mnie twardym wzrokiem; wydawało się, że o czymś myśli, ale się nie odzywała. Po prostu na mnie patrzyła; w końcu przeniosła wzrok na frontowe drzwi. – Gdyby tylko... – Zawahała się i przełknęła ślinę. – Gdyby tylko znalazły się jakieś dowody, byłbyś czysty. – Przez frontowe drzwi wszedł gruby mężczyzna w szortach, za którym podążały dwie niskie blondynki. Wydawało się, że wzbudziły jej zainteresowanie.

– Jakie dowody, Debs? – spytałem.

Wzruszyła ramionami, przyglądając się grubemu mężczyźnie.

– Ach, sama nie wiem... Może coś, co sugerowałoby, że Hood był wariatem? Że postępował nieetycznie i próbował cię zrobić?

Gruby mężczyzna i jego towarzyszki zniknęli w korytarzu, a Deborah spojrzała na gips na swoim przedramieniu.

– Gdybyśmy zdołali znaleźć coś takiego, a twoje nazwisko nie pojawiło się w związku ze sprawą Tortugas, wszystko byłoby załatwione – zakończyła z dziwnym uśmiechem.

Może naprawdę istnieje jakieś dobrotliwe Bóstwo Ciemności, które czuwa nad naprawdę złymi ludźmi, ponieważ wszystko się nam upiekło. Wydarzenia w Tortugas wywołały zainteresowanie prasy – wspomniała ona o anonimowym bohaterze, który ocalił życie właściciela jachtu, ale nikt nie znał nazwiska tego wspaniałego człowieka, a świadkowie opisywali go w tak różny sposób, że mógłby to być praktycznie każdy. Szkoda, ponieważ starszy mężczyzna okazał się naprawdę ważny – należało do niego kilka stacji telewizyjnych i członków legislatury stanowej.

Nikt nie znał dalszych losów przestępcy, który zaatakował właściciela jachtu. Towarzyszka starszego mężczyzny podała dobry rysopis Crowleya, pasujący do posiadanego przez policję z Key West, toteż było jasne, że

najpierw zabił on policjanta z Miami, a następnie próbował porwać jacht i uciec, prawdopodobnie na Kubę. Nikt nie wiedział, czy przebywa w Hawanie, czy w innym miejscu – tak czy inaczej, zniknął. Uznano go oficjalnie za zaginionego i znalazł się na kilku listach poszukiwanych. Nikt go jednak specjalnie nie szukał: żyjemy w czasach ograniczeń budżetowych i brakowało na to środków. Zniknął, nikogo to nie obchodziło, wydarzenia w Dry Tortugas szybko uległy zapomnieniu, a prasa zaczęła pisać o dekapitacji trzech osób, w tym mężczyzny w średnim wieku, który jako dziecko był gwiazdą telewizyjną.

Sytuacja stopniowo się uspokajała. Gdyby tylko zdarzył się cud i udało się w jakiś sposób zdyskredytować Hooda, moi koledzy powitaliby mnie w pracy z otwartymi ramionami, a życie stałoby się znowu cudownie banalne i szczęśliwe. W dzień po moim powrocie z Key West zatelefonowała do mnie Deborah, by mnie poinformować, że nazajutrz rano ekipa kryminalistyczna przeszuka dom Hooda. Mieliśmy nadzieję, że znajdą tam coś ciekawego.

Mogło to być coś tak interesującego, że cała sprawa zniknie, a Dexter zmieni się z podejrzanego w prawdziwego męczennika, ofiarę niesprawiedliwości i nikczemnej intrygi mającej go zniesławić.

Czy technicy naprawdę znaleźli coś w domu Hooda?

O tak, znaleźli. Odkryli tam mnóstwo materiałów, które nie tylko dowodziły mojej niewinności, lecz rzucały negatywne światło na nieżyjącego inspektora, na jego poziom moralny i kwalifikacje do służby w organach wymiaru sprawiedliwości. Były one tak obciążające, że policja postanowiła jak najszybciej zamknąć sprawę, by uniknąć brzydkiej skazy na swojej reputacji.

Technicy kryminalistyczni przybyli do zapuszczonej, śmierdzącej nory, w której mieszkał Hood, i z niesmakiem patrzyli na stosy śmieci, brudnych

naczyń i ubrań, zdumiewając się, że istota ludzka mogła żyć w takich warunkach. W domu Hooda panował straszliwy bałagan, który przyprawiał o mdłości – niemal wyobrażałem sobie, co technicy tam znaleźli.

Niesmak moich kolegów stopniowo zmienił się w szok, a potem ponurą odrazę, gdy odkryli na twardym dysku komputera Hooda pornografię dziecięcą, serię obleśnych listów miłosnych pisanych do Camilli Figg oraz odpowiedź, że ona nie chce go nigdy więcej widzieć z powodu jego chorego zainteresowania dziećmi i cuchnącego oddechu. Łatwo było dojść do wniosku, że to Hood zabił ją z zazdrości, a później starał się zwalić wszystko na biednego, niewinnego Dextera – zwłaszcza gdy znalazł w domu Camilli jego fotografie. Zresztą z listów Hooda wynikało, że i tak nigdy mnie nie lubił.

W którymś momencie jeden z policjantów mógłby się zreflektować i zapytać: „Czy to wszystko nie jest szyte grubymi nićmi? Czy nie znaleźliśmy zbyt wielu dowodów przeciwko inspektorowi Hoodowi, który nie może się bronić? Można odnieść wrażenie, że ktoś się zakradł do jego śmierdzącego domu i podrzucił sfabrykowane dowody, prawda?”.

Ale człowiek, który zadałby te pytania, szybko pokręciłby z dezaprobatą głową, uznając, że nie wolno kwestionować niepodważalnych materiałów – myśl, że ktoś mógłby je podrzucić, wydałaby mu się absurdalna. Kto mógłby zrobić coś takiego? I kto potrafiłby to zrobić? Czy istnieje osoba odznaczająca się takim zdumiewającym talentem, sprytem i nikczemnością, by pośmiertnie zniszczyć imię inspektora Hooda? Czy naprawdę istnieje ktoś znający sprawę tak dobrze, by spreparować odpowiednie dowody i uczynić je niepodważalnymi dzięki znajomości procedur policyjnych? Kto?

Kto mógłby się skradać w mroku niczym cień, wślizgnąć do domu Hooda i podrzucić kompromitujące materiały? Kto, znalazłszy się

w środku, dysponowałyby tak zaawansowaną wiedzą techniczną, by przegrać dane z pendrive'a na niewielki komputer Hooda, nie pozostawiając żadnych śladów tej operacji? A przede wszystkim, kto zrobiłby to z takim inteligentnym, oryginalnym, złośliwym poczuciem humoru?

Czy naprawdę istnieje ktoś, kto posiadał tyle różnych mrocznych umiejętności i – co najważniejsze – jest wystarczająco podły, by je wykorzystać? Czy na całym świecie istnieje osoba mająca te wszystkie cudowne cechy?

Tak.

Istnieje.

Ale tylko jedna.